George Orwell

ROK 1984

REBIS

George Orwell

ROK 1984

Przełożył
Andrzej Jankowski

Dom Wydawniczy REBIS

CZĘŚĆ I

I

Był jasny, zimny kwietniowy dzień, a zegary wybijały trzynastą. Winston Smith, z brodą przyciśniętą do piersi, uciekając przed paskudnym wiatrem, wśliznął się szybko przez szklane drzwi do Bloku Zwycięstwa, nie dość szybko jednak, by powstrzymać tuman kurzu, który dostał się tam razem z nim.

Korytarz cuchnął gotowaną kapustą i starymi wycieraczkami. Na jednym jego końcu przypięto do ściany kolorowy plakat, za duży do eksponowania pod dachem. Przedstawiał tylko ogromną, szeroką na dobry metr twarz — twarz mężczyzny w wieku około czterdziestu pięciu lat, z bujnym wąsem, o surowych rysach, ale przystojną. Winston skierował się w stronę schodów. Nie było sensu podchodzić do windy. Nawet w najlepszych czasach rzadko działała, a obecnie, w ramach oszczędności podczas przygotowań do Tygodnia Nienawiści, za dnia wyłączano prąd. Winston mieszkał na siódmym piętrze, a ponieważ miał wrzodziejący żylak nad prawą kostką, wchodził powoli, zatrzymując się kilka razy po drodze. Na każdym piętrze ze ściany naprzeciw drzwi windy spoglądał plakat z ogromną twarzą. Był to jeden z tych tak zmyślnie zrobionych portretów, że gdziekolwiek człowiek się ruszył, wzrok mężczyzny z plakatu podążał za nim. WIELKI BRAT PATRZY NA CIEBIE, głosił napis pod nim.

W mieszkaniu soczysty głos odczytywał listę liczb, które miały coś wspólnego z wytopem surówki. Dobiegał z prostokątnej, podobnej do zmatowiałego lustra płyty, która osadzona była w ścianie po prawej. Winston przekręcił gałkę i głos nieco przycichł, ale słowa wciąż były wyraźne. Urządzenie to (zwane teleekranem) można było ściszyć, ale nie sposób było cał-

kowicie go wyłączyć. Podszedł do okna — drobna, mizerna postać, której wątłość podkreślał niebieski kombinezon, partyjny mundur. Włosy miał bardzo jasne, twarz z natury rumianą, skórę szorstką od chropowatego mydła, tępych żyletek i mroźnej zimy, która się niedawno skończyła.

Świat na zewnątrz, nawet przez zamknięte okno, zionął chłodem. W dole, na ulicy, lekkie podmuchy wiatru wzbijały wirujące kłęby kurzu oraz strzępów papieru i chociaż świeciło słońce, a niebo było błękitne, wszystko wydawało się bezbarwne. Wszystko oprócz porozlepianych wszędzie plakatów. Czarnowąse twarze spoglądały zewsząd. Jedna z fasady domu naprzeciwko. WIELKI BRAT PATRZY NA CIEBIE, oznajmiał podpis, a ciemne oczy świdrowały oczy Winstona. Niżej, na poziomie ulicy, spazmatycznie łopotał na wietrze inny plakat, naderwany w rogu, na przemian odsłaniając i zasłaniając pojedyncze słowo: ANGSOC. W oddali przemykał między dachami śmigłowiec. Na chwilę zawisł w powietrzu jak ścierwica mięsówka, po czym odleciał łukiem. Był to patrol policyjny zaglądający ludziom w okna. Jednak te patrole były nieistotne. Istotna była tylko Policja Myśli.

Za plecami Winstona głos z teleekranu wciąż paplał o surówce i przekroczeniu dziewiątego planu trzyletniego. Teleekran przekazywał informacje w obie strony. Wychwytywał każdy dźwięk głośniejszy od cichego szeptu; co więcej, w polu widzenia metalowej płyty Winston był nie tylko słyszany, ale i widziany. Oczywiście nikt nie wiedział, czy jest akurat podglądany. To, jak często i wedle jakich reguł Policja Myśli podłączała się do czyjegoś urządzenia, pozostawało w sferze domysłów. Możliwe nawet, że przez cały czas obserwowała wszystkich. W każdym razie mogła się podłączyć do dowolnego urządzenia nadawczo-odbiorczego, kiedy tylko chciała. Trzeba było żyć — i żyło się — z nawyku, który przerodził się w instynkt, z założeniem, że każdy dźwięk, który się wydaje, może zostać podsłuchany, a każdy ruch, z wyjątkiem wykonywanych w kompletnej ciemności — szczegółowo przeanalizowany.

Winston trzymał się tyłem do teleekranu. Tak było bezpieczniej, choć — jak dobrze wiedział — również z pleców można było wiele wyczytać.

Odległe o kilometr Ministerstwo Prawdy, jego miejsce pracy, potężny, biały gmach, górowało nad brudną panoramą miasta. To jest Londyn, pomyślał z nieokreślonym niesmakiem, główne miasto Pasa Startowego Jeden, trzeciej pod względem zaludnienia prowincji Oceanii. Próbował wydobyć jakieś wspomnienie z dzieciństwa, które powiedziałoby mu, czy Londyn zawsze tak wyglądał. Czy zawsze ciągnęły się tu szeregi sypiących się dziewiętnastowiecznych domów o ścianach podpartych belkami, oknach pozatykanych kartonem i dachach połatanych arkuszami blachy falistej, z chylącymi się we wszystkie strony murkami ogrodów? I leje po bombach, w których wirował pył skruszonych tynków, a sterty gruzu porastała wierzbówka, oraz miejsca, gdzie bomby zniwelowały większy teren i gdzie wyrosły kolonie lichych, przypominających kurniki drewnianych chat? Ale na nic się to zdało, nic nie pamiętał, z dzieciństwa nie pozostało nic oprócz ciągu jasno rozświetlonych obrazów bez żadnego tła i w większości niezrozumiałych.

Ministerstwo Prawdy — w nowomowie Minprawd — zaskakująco się różniło od wszystkich innych budynków w polu widzenia. Był to ogromny piramidalny gmach ze lśniącego białego betonu, wznoszący się, taras po tarasie, trzysta metrów w powietrze. Z miejsca, gdzie stał Winston, można było odczytać umieszczone na jego białej fasadzie trzy hasła Partii:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
NIEWIEDZA TO SIŁA.

Chodziły słuchy, że w Ministerstwie Prawdy są trzy tysiące pokoi nad poziomem ziemi i tyle samo pod ziemią. W Londynie były tylko trzy inne podobne budynki porównywalnej wielkości. Tak bardzo dominowały nad okoliczną architekturą, że patrzącemu z dachu Bloku Zwycięstwa rzucały się w oczy wszystkie cztery jednocześnie. Były siedzibami czterech ministerstw, pomiędzy które rozdzielony był cały aparat władzy: Ministerstwa Prawdy, które zajmowało się wiadomościami, rozrywką, edukacją i sztuką,

Ministerstwa Pokoju, które parało się wojną, Ministerstwa Miłości, które stało na straży pokoju i porządku, oraz Ministerstwa Obfitości, które odpowiadało za sprawy gospodarcze. Ich nazwy brzmiały w nowomowie: Minprawd, Minpax, Minmił i Minobfit.

Ministerstwo Miłości budziło prawdziwą grozę. Gmach ten w ogóle nie miał okien. Winston nigdy nie postawił w nim nogi, a nawet nie zbliżył się na mniej niż pół kilometra. Można tam było wejść tylko w sprawach urzędowych, a i wtedy dopiero po długim kluczeniu w labiryncie drutu kolczastego, stalowych drzwi i ukrytych gniazd karabinów maszynowych. Nawet prowadzące do zewnętrznych barier ulice patrolowali wyposażeni w przegubowe pałki gorylowaci strażnicy w czarnych mundurach.

Winston nagle się odwrócił. Nadał swej twarzy optymistyczny wyraz, który wskazane było przybrać, stojąc przodem do teleekranu. Przeszedł do malutkiej kuchni. Wychodząc z ministerstwa o tej porze, zrezygnował z obiadu w stołówce, a wiedział, że w domu nie ma nic do jedzenia oprócz kawałka czarnego chleba, który musiał zostawić na jutrzejsze śniadanie. Wziął z półki butelkę bezbarwnego płynu z prostą, białą etykietką, na której widniał napis DŻIN ZWYCIĘSTWA. Wydobywał się z niej mdlący oleisty zapach, jak z chińskiej wódki ryżowej. Winston nalał sobie prawie pełną filiżankę, przygotował się na wstrząs i wypił duszkiem jak dawkę leku.

Jego twarz natychmiast zrobiła się szkarłatna, a z oczu pociekły łzy. Trunek smakował jak kwas azotowy, a poza tym, łykając go, miał wrażenie, jakby ktoś zdzielił go gumową pałką w tył głowy. Jednak chwilę potem palenie w brzuchu ustało i świat wydał się bardziej radosny. Winston wyjął ze zmiętoszonej paczki jednego z PAPIEROSÓW ZWYCIĘSTWA i przez nieuwagę obrócił go czubkiem w dół, wskutek czego tytoń wysypał się na podłogę. Z następnym poszło lepiej. Wrócił do pokoju i usiadł przy małym stoliku na lewo od teleekranu. Wyjął z szuflady obsadkę, kałamarz i gruby czysty zeszyt z czerwonym grzbietem i marmurkowymi okładkami.

Teleekran w pokoju znajdował się z jakiegoś powodu w niezwykłym miejscu. Zamiast, co było normą, zainstalować go w krótszej ścianie, skąd obejmowałby całe pomieszczenie, umieszczono go w dłuższej, naprzeciw

okna. Z jednej jego strony była płytka wnęka, w której siedział teraz Winston, prawdopodobnie przeznaczona, gdy budowano ten blok, na regał z książkami. Wcisnąwszy się w nią, Winston znikał z zasięgu teleekranu, a przynajmniej jego pola widzenia. Oczywiście było go słychać, ale dopóki siedział w tym miejscu, nie był widoczny. To właśnie po części ta niezwykła topografia pokoju podsunęła mu pomysł, do urzeczywistnienia którego miał się zaraz zabrać.

Pomysł ten podsunął mu także zeszyt, który przed chwilą wyjął z szuflady. Był on wyjątkowy piękny. Takiego gatunku gładkiego kremowego papieru, nieco pożółkłego ze starości, nie produkowano co najmniej od czterdziestu lat. Winston domyślał się jednak, że zeszyt jest znacznie starszy. Zobaczył go w oknie tchnącego stęchlizną sklepiku ze starociami w obskurnej dzielnicy miasta (nie pamiętał już której) i od razu naszło go przemożne pragnienie, by go posiąść. Członkowie Partii nie powinni chodzić do zwyczajnych sklepów („zaopatrywać się na wolnym rynku”, jak to nazywano), ale tej zasady nie przestrzegano zbyt ściśle, ponieważ pewnych artykułów, takich jak sznurowadła czy żyletki, nie można było dostać w żaden inny sposób. Rozejrzał się szybko po ulicy, wśliznął do środka i kupił zeszyt za dwa i pół dolara bez żadnego konkretnego celu. Z poczuciem winy zaniósł go w teczce do domu. Nawet bez żadnych zapisków był to przedmiot kompromitujący.

Teraz miał zamiar zrobić w nim pierwszy wpis. Nie było to bezprawne (nic nie było bezprawne, bo nie było już żadnego prawa), ale mógł zasadnie przypuszczać, że gdyby to wyszło na jaw, prawie na pewno zostałby skazany na karę śmierci albo co najmniej dwadzieścia pięć lat ciężkich robót. Wsadził do obsadki stalówkę i oblizał ją, by usunąć z niej tłuszcz. Pióro było przyrządem archaicznym, rzadko używanym nawet do podpisów, ale udało mu się, ukradkiem i nie bez trudu, je zdobyć, po prostu dlatego, że uważał, iż ten zachwycający kremowy papier zasługuje na nie, zamiast na ołówek kopiowy. Prawdę mówiąc, nie nawykł do ręcznego pisania. Poza bardzo krótkimi notatkami zwykle dyktowano wszystko do mowopisu, którego z oczywistych powodów nie mógł wykorzystać do swoich obecnych

celów. Umoczył pióro w atramencie i na kilka sekund się zawahał. Poczuł skurcz kiszek. Przyłożenie pióra do papieru było decydującym krokiem. Małymi, koślawymi literami napisał:

4 kwietnia 1984.

Odchylił się na krześle. Opadła go zupełna bezradność. Przede wszystkim nie miał żadnej pewności, że jest to rok 1984. Musiało być coś koło tego, bo był święcie przekonany, że ma trzydzieści dziewięć lat, a wiedział, że urodził się w 1944 albo 1945, ale w obecnych czasach nie sposób było ustalić żadnej daty z dokładnością do roku czy dwóch.

Dla kogo, zaczął się nagle zastanawiać, pisze ten dziennik? Dla przyszłości, dla jeszcze nienarodzonych pokoleń. Jego myśli przez chwilę krążyły wokół wątpliwej daty na kartce, a potem osiadły ze wstrząsem na słowie z nowomowy: „dwumyślenie”. Po raz pierwszy dotarło do niego, jak ogromnego podjął się zadania. Jak można się porozumieć z przyszłością? Było to z samej swej natury niemożliwe. Przyszłość albo będzie podobna do teraźniejszości, a w takim wypadku nie będzie go słuchać, albo zupełnie inna i jego wysiłek stanie się daremny.

Przez pewien czas siedział, gapiąc się bezmyślnie na papier. Teleekran przeszedł na głośną muzykę wojskową. Było dziwne, że nie tylko stracił, jak się wydawało, zdolność wysławiania się, ale nawet zapomniał, co pierwotnie miał zamiar napisać. Od tygodni przygotowywał się na tę chwilę i nie przyszło mu do głowy, że będzie potrzebował czegokolwiek prócz odwagi. Samo pisanie miało być łatwe. Musiał tylko przelać na papier monolog, który nieustannie, dosłownie od lat, toczył się w jego głowie. Jednak teraz ulotnił się nawet ten monolog. W dodatku zaczął go swędzieć wrzodziejący żylak nad kostką. Nie śmiał się podrapać, bo gdy to robił, zawsze wdawała się infekcja. Mijały sekundy. Do jego świadomości nie docierało nic oprócz leżącej przed nim pustej kartki, swędzenia skóry, grzmotu muzyki i lekkiego upojenia po dżinie.

Zdjęty nagłą paniką, zaczął pisać, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi. Jego drobne, dziecięce pismo rozlewało się na całą stronę, pozbywając się najpierw dużych liter, a w końcu znaków przestankowych.

4 kwietnia, 1984. Wczoraj wieczorem kino. Same kroniki wojenne. Jedna bardzo dobra o statku pełnym uchodźców bombardowanym gdzieś na Morzu Śródziemnym. publiczność bardzo rozbawiona ujęciami wielkiego potężnego grubego mężczyzny starającego się odpłynąć i ścigającego go śmigłowca najpierw widać go pluskającego się w wodzie jak morświn potem przez celowniki działek śmigłowca a potem jest cały podziurawiony a morze wokół niego robi się różowe i nagle tonie jakby przez te dziury wlewała się woda publiczność ryczy ze śmiechu gdy idzie pod wodę potem widać pełną dzieci szalupę ratunkową i wiszący nad nią śmigłowiec. na dziobie siedzi kobieta w średnim wieku, chyba żydówka, z może trzyletnim chłopcem w ramionach mały krzyczy ze strachu i chowa głowę między jej piersi jakby próbował się w niej zakopać a kobieta otacza go ramionami i uspokaja chociaż sama jest blada ze strachu cały czas starając się go zasłonić jakby jej ramiona mogły zatrzymać kule potem śmigłowiec zrzuca na nich dwudziestokilową bombę niesamowity błysk i szalupa rozpada się w drzazgi potem wspaniałe ujęcie wylatującej w powietrze dziecięcej rączki śmigłowiec musiał to nagrywać kamerą na dziobie i aplauz z miejsc dla członków partii ale nagle jakaś kobieta w części widowni dla proli zaczęła się awanturować i krzyczeć że nie powinni tego pokazywać nie przy dzieciach tak nie wolno przy dzieciach aż w końcu wyprowadziła ją policja ale nie sądzę żeby coś się jej stało nikogo nie obchodzi co mówią prole typowa reakcja proli oni nigdy…|

Winston przerwał pisanie, częściowo dlatego, że chwycił go kurcz. Nie wiedział, co sprawiło, że spod pióra popłynął ten bełkot. Ale jeszcze dziwniejsze było to, że gdy to robił, w jego umyśle pojawiło się zupełnie inne wspomnienie, i to tak wyraźnie, że poczuł, iż jest w stanie je zapisać. Uświadomił sobie, że właśnie z powodu tego wydarzenia postanowił nagle wrócić do domu i zacząć prowadzić ten dziennik.

Do tego wydarzenia — jeśli coś tak mglistego mogło się w ogóle wydarzyć — doszło rano w Ministerstwie.

Była prawie jedenasta zero zero i w Departamencie Dokumentacji, gdzie pracował Winston, wyciągano z boksów krzesła i ustawiano je pośrodku pomieszczenia, naprzeciw teleekranu, przygotowując się do Dwóch Minut Nienawiści. Winston właśnie siadał w jednym ze środkowych rzędów, gdy do sali niespodziewanie weszły dwie osoby, które znał z widzenia, ale z którymi nigdy nie zamienił ani słowa. Jedną z nich była dziewczyna, którą często mijał na korytarzach. Nie znał jej nazwiska, ale wiedział, że pracuje w Departamencie Literatury. Przypuszczalnie — jako że czasami widywał ją z pobrudzonymi smarem rękami i kluczem do nakrętek — była mechanikiem i obsługiwała jedną z maszyn piszących powieści. Miała około dwudziestu siedmiu lat, śmiałe spojrzenie, gęste, ciemne włosy, piegowatą twarz i szybkie, sportowe ruchy. Jej kombinezon owinięty był kilkakrotnie w talii wąską szkarłatną szarfą, znakiem Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej, tak ciasno, że uwydatniał jej kształtne biodra. Winstonowi nie spodobała się od pierwszego spojrzenia. Wiedział dlaczego. Z powodu otaczającej ją aury boiska hokeja na trawie, zimnych łaźni, grupowych wycieczek i ogólnej czystości umysłu. Nie lubił prawie wszystkich kobiet, zwłaszcza młodych i ładnych. Kobiety, przede wszystkim młode, były najbardziej zagorzałymi zwolennikami Partii, gładko łykały wszystkie slogany, zajmowały się po amatorsku szpiegowaniem i wszędzie węszyły odstępstwa od ortodoksji. Ale ta dziewczyna sprawiała wrażenie bardziej niebezpiecznej niż większość innych. Raz, gdy mijali się w korytarzu, obrzuciła go z ukosa szybkim spojrzeniem, które zdawało się przeszywać go na wylot i napełniło czarnym przerażeniem. Przyszło mu do głowy, że może być agentką Policji Myśli. Prawdę mówiąc, było to wielce nieprawdopodobne. Mimo to za każdym razem, gdy pojawiała się blisko niego, czuł szczególny niepokój, w którym strach mieszał się z wrogością.

Drugą osobą był mężczyzna nazwiskiem O’Brien, członek Partii Wewnętrznej, który piastował tak ważne i wysokie stanowisko, że Winston miał jedynie mgliste pojęcie, czym się zajmuje. Gdy ludzie wokół krzeseł zobaczyli czarny kombinezon członka Partii Wewnętrznej, w sali momentalnie zaległa cisza. O’Brien był postawnym, krzepkim mężczyzną o potęż-

nym karku i grubo ciosanej, srogiej i wiecznie nadąsanej twarzy. Mimo groźnego wyglądu miał pewien urok. To, jak poprawiał okulary na nosie, było dziwnie rozbrajające, rzec można — zaskakująco kulturalne. Mogłoby przywodzić na myśl, gdyby ktoś jeszcze rozumował w takich kategoriach, gest osiemnastowiecznego szlachcica podsuwającego gościom tabakierę. W ciągu dziesięciu lat Winston widział O'Briena może tyle samo razy. Było w tym człowieku coś, co go przyciągało, i to nie tylko z powodu intrygującego kontrastu między cywilizowanym zachowaniem a wyglądem zawodowego boksera. Brało się to raczej ze skrycie żywionego przekonania — a może nie tyle z przekonania, ile z nadziei — że O'Brien nie jest ortodoksem bez skazy. Nieodparcie sugerowało to coś w jego twarzy. Możliwe, że wypisana była na niej nawet nie nieortodoksyjność, lecz po prostu inteligencja. W każdym razie sprawiał wrażenie osoby, z którą można by porozmawiać, gdyby udało się jakoś oszukać teleekran i znaleźć się z nim sam na sam. Winston nigdy nie zrobił najmniejszego kroku, by sprawdzić swój domysł, bo nie miał jak. O'Brien zerknął na zegarek, zobaczył, że jest prawie punkt jedenasta, i najwyraźniej postanowił zostać w Departamencie Dokumentacji do końca Dwóch Minut Nienawiści. Zajął krzesło w tym samym rzędzie co Winston, dwa miejsca dalej. Między nimi siedziała drobna blondynka, która pracowała w boksie obok Winstona. Ciemnowłosa dziewczyna usiadła tuż za nimi.

W następnej chwili z wielkiego teleekranu na końcu sali buchnął przeraźliwy, ostry zgrzyt, jakby jakiejś monstrualnej nienaoliwionej maszyny. Od tego dźwięku cierpły zęby i jeżyły się włosy na karku. Zaczął się seans nienawiści.

Jak zwykle na ekranie pojawiła się twarz Emmanuela Goldsteina, Wroga Ludu. Wśród publiczności rozległy się tu i ówdzie syki. Drobna blondynka wydała pisk strachu zmieszanego z odrazą. Goldstein, renegat i wywrotowiec, kiedyś, dawno temu (nikt nie pamiętał jak dawno), był jednym z przywódców Partii, niemal równym Wielkiemu Bratu, ale później podjął działalność kontrrewolucyjną i został skazany na karę śmierci, ale w jakichś tajemniczych okolicznościach uciekł i zniknął. Program Dwóch Minut Nie-

nawiści był każdego dnia inny, ale jego główną postacią zawsze pozostawał Goldstein. Był pierwowzorem zdrajcy, tym, który pierwszy zbrukał czystość Partii. Wszystkie następne zbrodnie przeciw Partii, wszystkie zdrady, akty sabotażu, herezje, odstępstwa od jej linii wynikały z głoszonych przez niego nauk. Wciąż żył i knuł spiski, może gdzieś za morzem, pod osłoną swoich zagranicznych mocodawców, a może nawet — od czasu do czasu pojawiały się takie plotki — w jakiejś kryjówce w samej Oceanii.

Winstona ścisnęło w mostku. Nie mógł patrzeć na oblicze Goldsteina bez mieszaniny bolesnych emocji. Była to chuda żydowska twarz w aureoli kędzierzawych siwych włosów, z kozią bródką — inteligentna, ale nosząca piętno wrodzonej podłości i starczego otępienia u nasady długiego nosa, na której tkwiła para okularów. Przypominała owczy pysk, a i głos brzmiał jak beczenie owcy. Goldstein wygłaszał swoją zwykłą jadowitą tyradę przeciw Partii. Była ona tak przesadnie napastliwa i przewrotna, że jego pobudki mogło przejrzeć nawet dziecko, ale na tyle wiarygodna, że napełniała człowieka niepokojem, by nie dali mu się zwieść inni, mniej rozsądni. Goldstein znieważał Wielkiego Brata, oskarżał Partię o sprawowanie dyktatorskich rządów, domagał się natychmiastowego zawarcia pokoju z Eurazją, głosił wolność słowa, prasy, zgromadzeń i myśli, histerycznie krzyczał, że Rewolucja została zdradzona, a to wszystko w szybkiej, kwiecistej mowie, która była parodią zwyczajowego stylu partyjnych mówców, a nawet zawierała słowa zaczerpnięte z nowomowy; w istocie więcej słów, niż jakikolwiek członek Partii w rzeczywistości by użył. I przez cały czas, na wypadek gdyby ktokolwiek miał wątpliwości, co się kryje za bałamutnym bajdurzeniem Goldsteina, za jego głową maszerowały przez teleekran niekończące się kolumny eurazjatyckiej armii — szereg za szeregiem krzepkich mężczyzn o nieprzeniknionych azjatyckich twarzach, którzy podpływali do powierzchni ekranu i niknęli, po czym zastępowali ich następni. Głuchy, miarowy tupot żołnierskich butów tworzył podkład dla beczącego głosu Goldsteina.

Seans nienawiści nie trwał jeszcze trzydziestu sekund, gdy z piersi połowy zgromadzonych w sali zaczęły się wyrywać niekontrolowane

krzyki. Nie można było znieść widoku pełnej samozadowolenia, podobnej do owczego pyska twarzy Goldsteina i przerażającej potęgi armii eurazjatyckiej za nim, a poza tym sama myśl o Goldsteinie automatycznie wzbudzała strach i złość. Był on trwalszym obiektem nienawiści niż Eurazja czy Wschodoazja, bo gdy Oceania była w stanie wojny z jednym z tych mocarstw, z drugim przeważnie żyła w pokoju. Jednak było dziwne, że mimo iż wszyscy nienawidzili Goldsteina i nim pogardzali, mimo iż codziennie z trybun i z teleekranów, w prasie i książkach po tysiąc razy obalano, druzgotano i wyszydzano jego teorie, że pokazywano, jak żałosnymi są bredniami, pomimo tego wszystkiego jego wpływ zdawał się nigdy nie maleć. Zawsze znajdowali się nowi naiwniacy, którzy dawali mu się nabrać. Nie było dnia, żeby Policja Myśli nie zdemaskowała szpiegów i sabotażystów działających wedle jego wskazówek. Był dowódcą ogromnej widmowej armii, podziemnej sieci konspiratorów oddanych idei obalenia Państwa. Podobno zwali się Bractwem. Opowiadano też sobie szeptem o strasznej książce, kompendium wszystkich herezji, której autorem był Goldstein i która krążyła potajemnie tu i ówdzie. Nie miała tytułu. Jeśli o niej w ogóle napomykano, to po prostu mówiono „ta książka”. Ale wiedziano o niej tylko z niejasnych pogłosek. Żaden szeregowy członek Partii nawet nie wspomniał o Bractwie ani o *tej książce*, jeśli mógł ominąć ten temat.

W drugiej minucie seansu nienawiść przerodziła się w szał. Ludzie zrywali się z krzeseł i wrzeszczeli na cała gardło, starając się zagłuszyć doprowadzający ich do wściekłości beczący głos, który dobiegał z ekranu. Drobna blondynka dostała wypieków, a jej usta otwierały się i zamykały jak pysk ryby wyciągniętej z wody. Poczerwieniała nawet surowa twarz O’Briena. Siedział sztywno wyprostowany na krześle, a jego potężna pierś nadymała się i drżała, jakby stawał naprzeciw napierającej fali. Ciemnowłosa dziewczyna za Winstonem zaczęła krzyczeć: „Świnia! Świnia! Świnia!”. Nagle chwyciła ciężki słownik nowomowy i cisnęła nim w ekran. Uderzył w nos Goldsteina i odbił się, lecz głos zdrajcy ciągnął nieubłaganie. W chwili przytomności Winston zdał sobie sprawę, że krzyczy razem

z pozostałymi i wściekle kopie piętą w poprzeczkę swego krzesła. Najstraszniejsze w Dwóch Minutach Nienawiści nie było to, że człowiek miał obowiązek brać w nich udział, lecz że nie mógł się od tego powstrzymać. Nim minęło trzydzieści sekund, nie musiał już udawać. Przez całą grupę zdawał się przepływać jak prąd elektryczny ohydny strumień ekstatycznego strachu i mściwości, żądzy mordu, torturowania, miażdżenia młotem kowalskim, który nawet wbrew woli jednostki przemieniał ją we wrzeszczącego szaleńca o wykrzywionej furią twarzy. Ale ta wściekłość była abstrakcyjną, nieukierunkowaną emocją, którą można było przenieść jak płomień lampy lutowniczej z jednego obiektu na inny. I tak w pewnym momencie nienawiść Winstona nie obracała się wcale przeciw Goldsteinowi, ale odwrotnie — przeciw Wielkiemu Bratu, Partii i Policji Myśli. W takich chwilach był całym sercem z samotnym, wyszydzanym odszczepieńcem na ekranie, jedynym strażnikiem prawdy i rozsądku w świecie kłamstw. A jednak w następnej chwili ponownie jednoczył się z otaczającymi go ludźmi i wszystko, co mówiono o Goldsteinie, wydawało mu się prawdą. Wtedy jego skryta odraza do Wielkiego Brata zmieniała się w uwielbienie, a Wielki Brat jawił się jako niezwyciężony i nieustraszony obrońca, wznoszący się jak skała naprzeciw azjatyckich hord, Goldstein zaś, mimo swej izolacji, bezradności i niepewności co do jego istnienia, wyrastał na jakiegoś złowrogiego czarownika, który samą siłą swego głosu mógł zniszczyć gmach cywilizacji.

W takich chwilach można nawet było zwrócić swoją złość w tę czy w inną stronę aktem woli. Nagle Winstonowi udało się z gwałtownym wysiłkiem, z jakim podrywa się głowę z poduszki podczas koszmarnego snu, przenieść nienawiść z twarzy na ekranie na ciemnowłosą dziewczynę za nim. W jego umyśle pojawiły się jak żywe piękne halucynacje. Okładał ją na śmierć gumową pałką. Przywiązywał nagą do pala i szpikował strzałami, które sterczały z jej ciała niczym z ciała Świętego Sebastiana. Gwałcił ją i w chwili orgazmu podrzynał jej gardło. Co więcej, uświadomił sobie tak jasno jak nigdy dotąd, *dlaczego* jej nienawidzi. Nienawidził jej, bo była młoda, ładna i aseksualna, bo chciał pójść z nią do łóżka, ale nigdy tego nie

zrobi, bo jej powabna, jędrna kibić, która wydawała aż się prosić, by ją objąć, owinięta była tą ohydną szkarłatną szarfą, agresywnym symbolem czystości.

Nienawiść sięgnęła apogeum. Głos Goldsteina stał się autentycznym beczeniem i na mgnienie oka jego twarz przeistoczyła się w owczy pysk, a potem w postać nacierającego, potężnego i strasznego eurazjatyckiego żołnierza z terkoczącym pistoletem maszynowym w dłoniach, który — zdawało się — zaraz wyskoczy z ekranu, tak że niektórzy z widzów w pierwszym rzędzie szarpnęli się na krzesłach do tyłu. Ale w tej samej chwili wroga postać zmieniła się w twarz Wielkiego Brata, czarnowłosego, wąsatego, promieniejącego siłą i tajemniczym spokojem, tak ogromną, że wypełniła niemal cały ekran. Z wszystkich piersi dobyło się głębokie westchnienie ulgi. Nikt nie słyszał, co Wielki Brat mówi. Było to tylko kilka słów otuchy, w rodzaju tych, jakie wypowiada się w wirze bitwy, nierozróżnialnych, lecz przez sam fakt ich wymówienia przywracających wiarę. Potem twarz Wielkiego Brata powoli się rozpłynęła i w jej miejsce pojawiły się wypisane wielkimi literami trzy hasła Partii:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
NIEWIEDZA TO SIŁA.

Ale twarz Wielkiego Brata zdawała się jeszcze przez kilka sekund utrzymywać na ekranie, jakby wrażenie, które na wszystkich wywarła, było zbyt żywe, by się natychmiast ulotnić. Drobna blondynka rzuciła się do przodu, przechylając się nad oparciem stojącego przed nią krzesła. Wyciągnęła ręce do ekranu, szepcząc drżącym głosem coś, co brzmiało jak „Mój Zbawco!”. Potem ukryła twarz w dłoniach. Widać było, że odmawia modlitwę.

W tym momencie cała grupa zaczęła monotonnie, rytmicznie skandować: „Wu-Be!… Wu-Be!, robiąc długie pauzy między pierwszą i drugą zgłoską, raz za razem, bardzo wolno. W tym głuchym zawodzeniu było coś tak osobliwie dzikiego, że zdawało się, iż w jego tle słychać tupot bosych

stóp i dudnienie tam-tamów. Trwało to może trzydzieści sekund i było refrenem, który często rozbrzmiewał w chwilach przemożnych emocji. Był to po części hymn na cześć mądrości i majestatu Wielkiego Brata, ale w jeszcze większej mierze akt autohipnozy, celowe wyłączenie świadomości za pomocą rytmicznych dźwięków. Winston poczuł, że wywracają mu się wnętrzności. Chociaż podczas Dwóch Minut Nienawiści dawał się ponieść powszechnemu szaleństwu, to nieludzkie zawodzenie „Wu-Be!… Wu-Be!” zawsze przejmowało go grozą. Oczywiście zawodził razem z resztą; nie można było postąpić inaczej. Ukrywanie emocji, kontrolowanie mimiki, robienie tego, co wszyscy inni, było instynktownym odruchem. Ale w tym kilkusekundowym odstępie, w którym odzyskiwał świadomość, wyraz jego oczu mógł zdradzić, co naprawdę czuje. I dokładnie w tym momencie zdarzyło się to coś — jeśli się rzeczywiście zdarzyło.

Na chwilę pochwycił spojrzenie O’Briena. Tamten akurat wstał, zdjął okulary i charakterystycznym gestem wkładał je ponownie na nos. Jednak na ułamek sekundy ich oczy się spotkały i choć trwało to tak krótko, Winston wiedział — tak, *wiedział*! — że O’Brien myśli to samo co on. Przekazali sobie jednoznaczny komunikat, zupełnie jakby otworzyły się im umysły i przez oczy z jednego do drugiego popłynęły ich myśli. „Jestem z tobą — zdawał się mówić O’Brien. — Wiem dokładnie, co czujesz. Wiem o twojej pogardzie, nienawiści, odrazie. Ale nie martw się, jestem po twojej stronie!” Potem ten błysk zrozumienia zgasł i twarz O’Briena stała się tak samo nieprzenikniona jak twarze wszystkich pozostałych.

To było wszystko i Winston nie był już pewien, czy rzeczywiście do tego doszło. Takie wydarzenia nigdy nie miały dalszego ciągu. Podtrzymywały jedynie jego wiarę czy nadzieję, że oprócz niego Partia ma też innych wrogów. Być może pogłoski o szeroko rozgałęzionych podziemnych organizacjach były jednak prawdziwe — być może Bractwo istniało naprawdę! Pomimo niekończących się aresztowań, spowiedzi winowajców i egzekucji nie można było mieć pewności, czy Bractwo nie jest zwykłym mitem. Bywały dni, kiedy w to wierzył, i takie, kiedy nie dawał temu wiary. Nie było żadnych dowodów, tylko ulotne mignięcia, które mogły coś znaczyć

albo nic: strzępy podsłuchanych rozmów, gryzmoły na ścianach ubikacji, a nawet raz, gdy spotkały się dwie nieznajome osoby, drobny ruch rąk, który wyglądał na znak rozpoznawczy. Były to tylko domysły; niewykluczone, że to wszystko było wytworem jego wyobraźni. Wrócił do swojego boksu, nie spojrzawszy ponownie na O’Briena. Nie przyszło mu do głowy, żeby kontynuować ich przelotny kontakt. Byłoby to niewyobrażalnie niebezpieczne, nawet gdyby wiedział, jak się do tego zabrać. Wymienili trwające sekundę czy dwie wymowne spojrzenia — i to wszystko. Ale w samotności, w której trzeba było żyć, nawet to było zapadającym w pamięć wydarzeniem.

Winston otrząsnął się i usiadł prościej. Odbiło mu się. Dżin podchodził mu do gardła.

Ponownie skupił wzrok na stronie zeszytu. Odkrył, że podczas gdy siedział bezradnie, pogrążony w zadumie, jednocześnie, jakby automatycznie, pisał. I nie było to już takie samo, ścieśnione i niezdarne pismo jak wcześniej. Pióro sunęło zmysłowo po gładkim papierze, kreśląc zgrabnymi wielkimi literami:

PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM

i zapełniając nimi prawie pół strony.

Poczuł przypływ paniki. Było to absurdalne, bo napisanie tych konkretnych słów nie było bardziej niebezpieczne niż samo przystąpienie do pisania dziennika, ale przez chwilę czuł pokusę, by podrzeć zbrukane strony i porzucić całe to przedsięwzięcie.

Jednak nie zrobił tego, bo wiedział, że nic to nie da. To, czy napisał PRECZ Z WIELKIM BRATEM, czy się przed tym powstrzymał, nie robiło żadnej różnicy. To, czy będzie dalej prowadził dziennik, czy nie, nie robiło

różnicy. Tak czy tak dopadnie go Policja Myśli. Popełnił — i popełniłby, nawet gdyby nie przyłożył pióra do papieru — największą zbrodnię, która była zalążkiem wszystkich pozostałych. Zwano to myślozbrodnią. Przestępstwa tego nie sposób było wiecznie ukrywać. Przez pewien czas, nawet latami, można było unikać kary, ale wcześniej czy później i tak cię dopadali.

Zawsze odbywało się to nocą — aresztowań dokonywano nieodmiennie w nocy. Nagłe szarpnięcie wyrywało cię ze snu, szorstka ręka potrząsała cię za ramię, w oczy biły snopy światła z latarek, łóżko otaczał krąg surowych twarzy. W ogromnej większości nie było procesów, żadnych doniesień o aresztowaniu. Ludzie po prostu znikali, zawsze nocą. Twoje nazwisko usuwano z rejestrów, wymazywano wszystkie wzmianki o tym, co kiedykolwiek zrobiłeś, zaprzeczano, że kiedykolwiek istniałeś, a potem popadałeś w zapomnienie. Kasowano cię, unicestwiano, *ewaporowano* — jak to określano.

Na chwilę Winston wpadł w histerię. Zaczął pisać pospiesznie stawianymi, niezgrabnymi kulfonami:

zastrzelą mnie nie dbam o to strzelą mi w tył głowy nie dbam o to precz z wielkim bratem zawsze strzelają w tył głowy nie dbam o to precz z wielkim bratem…

Odchylił się do tyłu, nieco zawstydzony, i odłożył pióro. W następnej chwili aż podskoczył na krześle. Ktoś pukał do drzwi.

Już są! Siedział cicho jak mysz pod miotłą, w daremnej nadziei, że ktokolwiek to jest, może odejdzie po jednej próbie. Ale nie, pukanie się powtórzyło. W tej sytuacji najgorsze byłoby ociąganie się. Serce waliło mu młotem, ale twarz, wskutek długiego przyzwyczajenia, była zapewne bez wyrazu. Wstał i powlókł się w stronę drzwi.

II

Kładąc dłoń na klamce, Winston zorientował się, że zostawił na stoliku otwarty dziennik. Całą stronę zajmowało hasło PRECZ Z WIELKIM BRATEM, wypisane tak dużymi literami, że można je było odczytać z drugiego końca pokoju. To, że go tam zostawił, było niewyobrażalnie głupie. Zdawał sobie jednak sprawę, że nawet w przypływie paniki nie chciał poplamić kremowego papieru, zamykając zeszyt, nim wysechł atrament.

Wziął głęboki oddech i otworzył drzwi. Natychmiast spłynęła na niego ciepła fala ulgi. Za progiem stała bezbarwna kobieta o rzadkich włosach i pobrużdżonej twarzy. Wyglądała na załamaną.

— Och, towarzyszu — zaczęła ponurym, płaczliwym głosem. — Wydawało mi się, że słyszę, jak wchodzicie. Nie moglibyście pójść do mnie i rzucić okiem na zlew w kuchni? Zatkał się i…

Była to pani Parsons, żona sąsiada z tego samego piętra. (Partia nie pochwalała słowa „pani” — do wszystkich trzeba było się zwracać „towarzyszu” albo „towarzyszko” — ale wobec niektórych kobiet samo cisnęło się na usta). Miała około trzydziestki, ale wyglądała dużo starzej. Odnosiło się wrażenie, że w zmarszczkach na jej twarzy zalega kurz. Winston ruszył za nią korytarzem. Te amatorskie naprawy były niemal codziennym utrapieniem. Blok Zwycięstwa był stary, zbudowano go w latach trzydziestych albo coś koło tego, i sypał się. Z sufitów i ścian złuszczały się płaty tynku, każdej zimy podczas ostrych mrozów pękały rury, a ilekroć spadł śnieg, przeciekał dach, ogrzewanie działało zwykle na pół mocy, jeśli dla oszczędności nie wyłączono go całkowicie. Naprawy, z wyjątkiem tych, których

można było dokonać samemu, musiały być zatwierdzane przez specjalny komitet, który nawet z wymianą szyby w oknie potrafił zwlekać dwa lata.

— Oczywiście to tylko dlatego, że Toma nie ma w domu — powiedziała mętnie pani Parsons.

Jej mieszkanie było większe niż Winstona, ale też obskurne, tyle że inaczej. Wszystko było poobijane i zdeptane, jakby niedawno buszowało tam jakieś duże, dzikie zwierzę. Na podłodze porozrzucany był sprzęt sportowy — kije hokejowe, rękawice bokserskie, pęknięta piłka futbolowa, para wywróconych na lewą stronę, przepoconych szortów — a na stole piętrzyły się brudne talerze i zeszyty z oślimi uszami. Na ścianach wisiały szkarłatne flagi Ligi Młodzieżowej i plakat z wizerunkiem Wielkiego Brata naturalnej wielkości. W powietrzu unosiła się, jak w całym budynku, woń gotowanej kapusty, ale przebijał przez nią ostrzejszy odór potu, który — co było wiadomo, gdy tylko się go poczuło, choć trudno było powiedzieć skąd — był potem osoby w tej chwili nieobecnej. W drugim pokoju ktoś starał się grać na grzebieniu z kawałkiem papieru toaletowego do taktu wciąż płynącej z teleekranu muzyki wojskowej.

— To dzieci — wyjaśniła pani Parsons, rzucając na drzwi nieco lękliwe spojrzenie. — Nie wychodziły dzisiaj z domu. I oczywiście…

Miała zwyczaj urywać zdania w połowie. Kuchenny zlew wypełniała po brzegi brudna, zielonkawa woda, która cuchnęła jeszcze bardziej niż kapusta. Winston przyklęknął i przyjrzał się kolanku rury. Nie cierpiał pracy fizycznej i nie cierpiał się pochylać, bo zawsze wywoływało to u niego atak kaszlu. Pani Parsons patrzyła na niego bezradnie.

— Oczywiście gdyby Tom był w domu, w jednej chwili by to naprawił — powiedziała. — Uwielbia robić takie rzeczy. Ma złote ręce ten mój Tom.

Parsons był kolegą Winstona z pracy. Grubawym, ale żwawym mężczyzną o porażającej głupocie, wulkanem kretyńskiego entuzjazmu, jednym z tych ślepo posłusznych, oddanych sprawie wołów roboczych, na których, nawet bardziej niż na Policji Myśli, opierało się trwanie Partii. Niedawno, w wieku trzydziestu pięciu lat, został wbrew swej woli usunięty z Ligi Młodzieży, a zanim się do niej dostał, udało mu się utrzymać w Wywiadowcach

ponad rok po przekroczeniu wieku statutowego. W ministerstwie zatrudniony był na podrzędnym stanowisku, które nie wymagało inteligencji, ale z drugiej strony był czołową postacią w Komitecie Sportu i wszystkich innych komitetach zajmujących się organizowaniem zbiorowych wycieczek, spontanicznych demonstracji, kampanii na rzecz oszczędzania i ogólnie ochotniczych akcji. Między pyknięciami z fajki informował cię z cichą dumą, że od czterech lat pojawia się co wieczór w osiedlowej świetlicy. Gdziekolwiek się ruszył, towarzyszył mu przemożny odór potu, nieświadomie przedstawiane świadectwo wytężonej pracy, który utrzymywał się jeszcze długo po jego odejściu.

— Ma pani klucz francuski? — zapytał Winston, majstrując przy nakrętce kolanka.

— Klucz francuski… — powtórzyła pani Parsons, natychmiast tracąc rezon. — Bo ja wiem… Nie jestem pewna. Może dzieci…

Rozległ się tupot butów i jeszcze jeden świst na grzebieniu i do salonu wpadły dzieci. Pani Parsons przyniosła klucz francuski. Winston wypuścił wodę ze zlewu i z obrzydzeniem wyjął kłębek ludzkich włosów, który zatykał odpływ. Najdokładniej jak mógł opłukał palce zimną wodą z kranu i wrócił do drugiego pokoju.

— Ręce do góry! — wrzasnął dziki głos.

Zza stołu wyskoczył chłopiec o zadziornym wyglądzie, grożąc mu dziecinnym pistoletem automatycznym, a jego młodsza może o dwa lata siostra robiła to samo kawałkiem drewna. Oboje byli w niebieskich spodenkach, szarych koszulach i czerwonych chustach, które stanowiły umundurowanie Konfidentów. Winston podniósł ręce nad głowę, ale poczuł się trochę nieswojo, bo zachowanie chłopca świadczyło, że nie jest to bynajmniej zabawa.

— Jesteś zdrajcą! — wrzasnął chłopiec. — Jesteś myślozbrodniarzem! Eurazjatyckim szpiegiem! Zastrzelę cię, ewaporuję, poślę cię do kopalni soli!

Nagle oboje zaczęli skakać wokół niego, krzycząc: „Zdrajca!” i „Myślozbrodniarz!”, przy czym dziewczynka naśladowała każdy ruch brata. Było

to nieco przerażające, jak zabawa z tygrysiątkami, które wkrótce wyrosną na ludojady. W oczach chłopca widać było wyrachowaną zaciekłość, ewidentne pragnienie, by uderzyć albo kopnąć Winstona, i świadomość, że jest już prawie tak duży, żeby to zrobić. Dobrze, że pistolet w jego ręku nie jest prawdziwy, pomyślał Winston.

Pani Parsons spoglądała nerwowo to na Winstona, to na dzieci. W lepszym świetle w salonie spostrzegł zaciekawiony, że w jej zmarszczkach rzeczywiście jest kurz.

— Robią tyle hałasu… — powiedziała. — Są zawiedzione, że nie będą mogły obejrzeć wieszania, ot i co. Jestem za bardzo zajęta, żeby je tam zabrać, a Tom nie wróci w porę z pracy.

— Dlaczego nie możemy zobaczyć wieszania?! — rozdarł się chłopiec.

— Chcę zobaczyć wieszanie! Chcę zobaczyć wieszanie! — skandowała dziewczynka, wciąż podskakując.

Winston przypomniał sobie, że wieczorem mieli być powieszeni w Parku jacyś eurazjatyccy jeńcy winni zbrodni wojennych. Widowisko to odbywało się mniej więcej raz w miesiącu i cieszyło się dużą popularnością. Dzieci zawsze domagały się, żeby je tam zabrać. Pożegnał się z panią Parsons i ruszył w stronę swoich drzwi. Ale nie uszedł sześciu kroków, gdy coś bardzo boleśnie uderzyło go w kark. Poczuł się, jakby dźgnięto go rozżarzonym do czerwoności drutem. Okręcił się w porę, by zobaczyć, że pani Parsons wciąga syna do mieszkania, a chłopak chowa do kieszeni procę.

— Goldstein! — wrzasnął chłopak, gdy zamknęły się za nim drzwi. Ale Winstona najbardziej uderzył podszyty bezradnością strach malujący się na szarej twarzy kobiety.

Znalazłszy się z powrotem w mieszkaniu, przeszedł szybko obok teleekranu i ponownie usiadł przy stoliku, wciąż rozcierając kark. Muzyka płynąca z teleekranu ucichła i szorstki wojskowy głos zaczął czytać z okrutną przyjemnością opis uzbrojenia nowej pływającej fortecy, którą właśnie zakotwiczono między Islandią a Wyspami Owczymi.

Z takimi dziećmi, pomyślał, ta nieszczęsna kobieta żyje zapewne w ciągłym strachu. Jeszcze rok, dwa i będą ją obserwować dzień i noc, wypatru-

jąc oznak nieortodoksyjności. W obecnych czasach prawie wszystkie dzieci były straszne. A najgorsze było to, że choć organizacje takie jak Wywiadowcy systematycznie zmieniały je w krnąbrne małe dzikusy, nie budziło to w nich najmniejszej skłonności do buntu przeciw dyscyplinie Partii. Przeciwnie, kochały ją i wszystko, co się z nią wiązało. Pieśni, pochody, transparenty, wycieczki, musztra z atrapami karabinów, skandowanie haseł, kult Wielkiego Brata — to wszystko było dla nich czymś w rodzaju wspaniałej zabawy. Całą zaciekłość kierowały na zewnątrz, na wrogów państwa: cudzoziemców, zdrajców, sabotażystów, myślozbrodniarzy. Było niemal normą, że ludzie po trzydziestce bali się własnych dzieci. I nie bez powodu, bo rzadko zdarzał się tydzień, w którym „Times” nie zamieściłby akapitu opisującego, jak jakiś mały donosiciel — zwano ich „bohaterskimi dziećmi” — podsłuchał coś kompromitującego i zadenuncjował Policji Myśli własnych rodziców.

Pieczenie w miejscu, gdzie trafił pocisk z procy, ustało. Winston podniósł bez przekonania pióro, zastanawiając się, czy coś jeszcze warto zapisać w dzienniku. I nagle znowu wrócił myślami do O’Briena.

Przed laty — kiedy to było…? chyba siedem lat temu — śniło mu się, że idzie przez ciemny jak smoła pokój. A gdy mijał kogoś siedzącego z boku, człowiek ten rzekł: „Spotkamy się w miejscu, gdzie nie panuje mrok”. Powiedział to bardzo cicho, niemal od niechcenia, jakby to tylko stwierdzał, nie nakazywał. Winston poszedł dalej, nie zatrzymując się. Dziwne, że wtedy, w tym śnie, te słowa nie zrobiły na nim wielkiego wrażenia. Dopiero później, stopniowo, zaczęły jakby nabierać znaczenia. Nie pamiętał już, czy zobaczył po raz pierwszy O’Briena przed czy po tym śnie, nie pamiętał też, czy od razu rozpoznał jego głos jako ten ze snu. W każdym razie rozpoznał. To O’Brien przemówił do niego z ciemności.

Winston nigdy nie nabrał pewności — nawet po wymianie spojrzeń tego ranka nie potrafił tego stwierdzić — czy O’Brien jest przyjacielem, czy wrogiem. Zresztą wydawało się, że nie ma to większego znaczenia. Zawiązała się między nimi nić porozumienia, ważniejszego od sympatii czy przyjaznego nastawienia. „Spotkamy się w miejscu, gdzie nie panuje mrok”

— powiedział. Winston nie wiedział, co to znaczy, był jednak pewien, że w jakiś sposób słowa te się ziszczą.

Głos z teleekranu umilkł. W zastałe powietrze popłynął czysty, piękny dźwięk trąbki. Głos podjął chrapliwie:

— Uwaga! Proszę wszystkich o uwagę! Przed chwilą nadeszła wiadomość z frontu malabarskiego: nasze siły w Indiach Południowych odniosły wspaniałe zwycięstwo. Zostałem upoważniony, by powiedzieć, że akcja, o których teraz donosimy, może przybliżyć koniec wojny. A oto ta wiadomość…

Zaraz będzie zła nowina, pomyślał Winston. I oczywiście, po krwawym opisie unicestwienia armii eurazjatyckiej, ze zdumiewającą liczbą zabitych i wziętych do niewoli, głos zapowiedział, że od następnego tygodnia przydział czekolady zostanie zmniejszony z trzydziestu do dwudziestu gramów.

Winstonowi znowu się odbiło. Dżin przestawał działać, pozostawiając po sobie przygnębienie. Z teleekranu — może po to, by uczcić zwycięstwo, a może by zatrzeć pamięć o utraconej czekoladzie — buchnęło *Oceanio, to dla ciebie*. Należało stanąć na baczność, ale w miejscu, gdzie się teraz znajdował, był niewidoczny.

Oceanio, to dla ciebie ustąpiło miejsca lżejszej muzyce. Winston podszedł do okna, trzymając się tyłem do teleekranu. Dzień wciąż był zimny i jasny. Gdzieś w oddali wybuchł z głuchym, niosącym się echem hukiem pocisk rakietowy. Obecnie na Londyn spadało ich co tydzień od dwudziestu do trzydziestu.

Na ulicy wiatr szarpał naderwanym plakatem i na przemian pojawiało się i znikało słowo ANGSOC. Angsoc. Święte zasady angsocu. Nowomowa, dwumyślenie, zmienność przeszłości. Winston czuł się tak, jakby przedzierał się przez lasy na dnie morza, zagubiony w potwornym świecie, w którym on sam był potworem. Był samotny. Przeszłość była martwa, przyszłość — niewyobrażalna. Jaką miał pewność, że choć jeden żyjący teraz człowiek jest po jego stronie? I skąd miał wiedzieć, czy dominacja Partii nie będzie trwała *wiecznie*? Powróciły do niego jak odpowiedź trzy hasła na białej fasadzie Ministerstwa Prawdy:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
NIEWIEDZA TO SIŁA.

Wyjął z kieszeni dwudziestopięciocentówkę. Na niej też widniały, wypisane małymi, wyraźnymi literami, te same hasła, a na rewersie głowa Wielkiego Brata. Jego oczy śledziły cię nawet z monety. Z monet, znaczków, okładek książek, transparentów, plakatów i opakowań papierosów. Te oczy zawsze na ciebie patrzyły i zawsze otaczał cię ten głos. We śnie czy na jawie, przy pracy czy posiłku, wewnątrz czy na zewnątrz, w kąpieli czy w łóżku — nie było przed nimi ucieczki. Oprócz tych niewielu centymetrów sześciennych w czaszce nic nie było twoje.

Słońce już się przesunęło i miriady okien w Ministerstwie Prawdy, na które już nie padało światło, wyglądały ponuro jak otwory strzelnicze fortecy. Na widok tego podobnego do piramidy kształtu zadrżało mu serce. Budynek był zbyt potężny, aby można go było wziąć szturmem. Nie zburzyłoby go nawet tysiąc pocisków rakietowych. Winston znowu zaczął się zastanawiać, dla kogo pisze ten dziennik. Dla przyszłości, dla przeszłości — dla epoki, która mogła być urojeniem. I czekała go nie śmierć, lecz unicestwienie. Dziennik zostanie spalony na popiół, a on sam ewaporowany. To, co napisał, przeczyta tylko Policja Myśli, a potem go zniszczy i wymaże jego istnienie z pamięci. Jak ma się zwracać do przyszłości, skoro nie przetrwa po nim żaden ślad, nawet anonimowe słowo nabazgrane na papierze?

Teleekran wybił czternastą. Za dziesięć minut Winston musiał wyjść. O czternastej trzydzieści musiał być z powrotem w pracy.

Co dziwne, bicie zegara podniosło go na duchu. Był samotnym duchem głoszącym prawdę, której nikt nigdy nawet nie usłyszy. Ale dopóki będzie ją głosił, ciągłość, w jakiś niezrozumiały sposób, nie zostanie przerwana. Utrwalał dziedzictwo ludzkości nie przez to, że jego głos stawał się sły-

szalny, lecz że wciąż był zdrów na umyśle. Wrócił do stołu, umoczył pióro w atramencie i napisał:

Do przyszłości lub do przeszłości, do czasów, w których myśl jest wolna, kiedy ludzie się od siebie różnią i nie żyją w samotności, do czasów, w których istnieje prawda, a tego, co się stało, nie można zmienić:

Z epoki uniformizacji, z epoki samotności, z epoki Wielkiego Brata, z epoki dwumyślenia — pozdrowienia!

Pomyślał, że jest już martwy. Wydawało mu się, że dopiero teraz, kiedy potrafił sformułować swoje myśli, zrobił decydujący krok. Konsekwencje każdego czynu zawierają się w samym tym czynie. Napisał:

Myślozbrodnia nie pociąga za sobą śmierci, myślozbrodnia JEST śmiercią.

Teraz, gdy uznał, że jest martwy, stało się dla niego ważne, by jak najdłużej zachować życie. Dwa palce prawej ręki miał poplamione atramentem. Właśnie taki drobiazg mógł cię zdradzić. Jakiś wścibski fanatyk w ministerstwie (prawdopodobnie kobieta, ktoś taki jak ta drobna blondynka albo ciemnowłosa dziewczyna z Departamentu Literatury) mógł zacząć się zastanawiać, dlaczego pisał podczas przerwy obiadowej, dlaczego używał staromodnego pióra, *co* pisał — a potem szepnąć słówko komu trzeba. Poszedł do łazienki i starannie zmył atrament ciemnobrązowym mydłem, które drapało skórę jak papier ścierny i dlatego świetnie nadawało się do tego celu.

Odłożył zeszyt do szuflady. Nie było sensu myśleć o tym, by go gdzieś ukryć, ale mógł przynajmniej zrobić coś, by się przekonać, czy jego istnienie zostało odkryte. Włos pozostawiony na końcu strony byłby zbyt oczywisty. Koniuszkiem palca podniósł łatwy do rozpoznania białawy paproch i umieścił na rogu okładki, skąd musiał zostać strząśnięty, gdyby ktoś poruszył zeszyt.

III

Winstonowi śniła się matka.

Musiał mieć dziesięć albo jedenaście lat, kiedy zniknęła. Była wysoką, posągową, raczej małomówną kobietą o powolnych ruchach i wspaniałych jasnych włosach. Ojca pamiętał bardziej niewyraźnie jako ciemnowłosego szczupłego mężczyznę, zawsze w porządnym, ciemnym ubraniu (szczególnie zapadły mu w pamięć bardzo cienkie podeszwy jego butów) i okularach. Najwidoczniej oboje rodziców musiała pochłonąć jedna z pierwszych wielkich czystek lat pięćdziesiątych.

W tej chwili matka siedziała w jakimś miejscu głęboko pod nim, z jego młodszą siostrą w ramionach. Siostry w ogóle nie pamiętał, oprócz tego, że była zawsze milczącym niemowlęciem o wielkich, uważnych oczach. Obie patrzyły na niego. Były gdzieś pod ziemią — może na dnie studni lub bardzo głębokiego grobu — ale było to miejsce, które choć i tak znajdowało się daleko pod nim, wciąż się zapadało. Były w salonie tonącego statku i patrzyły na niego przez coraz ciemniejszą wodę. W salonie wciąż jeszcze było powietrze, one widziały jego, a on je, ale cały czas pogrążały się w zielonej wodzie, która lada chwila musiała skryć je na zawsze. Podczas gdy woda wsysała je na pewną śmierć, on stał w świetle i na powietrzu, a one były w dole, ponieważ on był na górze. Wiedział o tym i one też wiedziały, i tę wiedzę miały wypisaną na twarzach. Ani na ich twarzach, ani w sercach nie było żadnego wyrzutu, tylko wiedza, że muszą zginąć po to, aby on żył, i że taki jest nieunikniony porządek rzeczy.

Nie mógł sobie przypomnieć, co się stało, ale w tym śnie wiedział, że matka i siostra w jakiś sposób oddały za niego własne życie. Był to jeden

z tych snów, które pomimo typowej sennej scenerii są kontynuacją pracy umysłu osoby śniącej na jawie i w których uświadamia ona sobie fakty, które po przebudzeniu wciąż wydają się nowe i cenne. Winston zdał sobie nagle sprawę, że śmierć matki, prawie przed trzydziestu laty, była wydarzeniem tragicznym i bolesnym w sensie, jakiego teraz nie można było już pojąć. Dotarło do niego, że tragedia należała do dawnych czasów, do epoki, w której wciąż istniały prywatność, miłość i przyjaźń, kiedy członkowie rodziny stali przy sobie, nie musząc wiedzieć, z jakiego powodu to robią. Wspomnienie matki rozdzierało mu serce, bo umarła, kochając go, gdy był zbyt młody i samolubny, aby odwzajemnić jej miłość, i ponieważ w jakiś sposób, nie pamiętał jaki, poświęciła życie dla osobistego, niezmiennego pojęcia wierności. Wiedział, że obecnie coś takiego nie mogłoby się zdarzyć. Dzisiaj panowały strach, nienawiść i ból, nie było godności uczuć ani głębokiego, dojmującego smutku. Zdawało mu się, że widzi to wszystko w dużych oczach matki i siostry, spoglądających na niego przez zieloną wodę setki sążni niżej i zapadających się w nią coraz głębiej.

Nagle stał w letni wieczór, gdy ukośnie padające promienie słońca złociły ziemię, na sprężystej murawie. Krajobraz, na który patrzył, tak często powracał w jego snach, że Winston nigdy nie był całkowicie pewien, czy widział go w rzeczywistym świecie, czy nie. W myślach po przebudzeniu nazywał to Złotą Krainą. Było to stare pastwisko, z trawą wyskubaną przez króliki, biegnącą przez nią szeroką na pół metra ścieżką i rozsianymi tu i ówdzie kretowiskami. W nierównym pasie drzew po drugiej stronie łąki łagodnie kołysały się w podmuchach słabego wiatru gałęzie wiązów, a gęstwina ich liści falowała jak kobiece włosy. Gdzieś w pobliżu, choć poza zasięgiem wzroku, toczył się wolno czysty strumyk, w którego rozlewiskach pod wierzbami pływały klenie.

Przez łąkę szła ku niemu ta ciemnowłosa dziewczyna. Jednym ruchem ściągnęła ubranie i rzuciła je pogardliwie na bok. Miała białe, gładkie ciało, ale nie budziło ono w nim pożądania; prawdę mówiąc, ledwie na nie spojrzał. Uczuciem, które nim owładnęło, był podziw dla gestu, którym rzuciła ubranie na ziemię. Zdawało się, że swoją gracją i swobodą unicestwia on

całą kulturę, cały system myślowy, jakby jednym, wspaniałym ruchem ręki można było strącić w niebyt Wielkiego Brata i Policję Myśli. Również ten gest należał do dawnych czasów. Winston obudził się ze słowem „Szekspir” na ustach.

Z teleekranu wydobywał się rozsadzający uszy gwizd, który przez trzydzieści sekund ciągnął się na tej samej wysokości. Była dokładnie siódma piętnaście, pora pobudki dla pracowników biurowych. Winston zwlókł się z łóżka — nagi, bo członek Partii Zewnętrznej otrzymywał tylko trzy tysiące kartek odzieżowych rocznie, a na piżamę trzeba było przeznaczyć sześćset — i chwycił leżące na krześle szorty i wypłowiały podkoszulek. Za trzy minuty zaczynała się gimnastyka poranna. W następnej chwili zgiął go wpół gwałtowny kaszel, który prawie zawsze napadał go tuż po przebudzeniu. Tak kompletnie opróżnił on jego płuca, że Winston mógł odzyskać oddech, tylko kładąc się na plecach i kilkakrotnie głęboko wciągając powietrze. Z wysiłku nabrzmiały mu żyły i zaczął go swędzieć wrzodziejący żylak nad kostką.

— Grupa trzydzieści-czterdzieści! — szczeknął przeszywający kobiecy głos. — Grupa trzydzieści-czterdzieści! Proszę zająć miejsca. Trzydzieści-czterdzieści!

Winston zerwał się i stanął na baczność przed ekranem, na którym pojawił się już obraz dość młodej kobiety, chudej, ale muskularnej, w stroju gimnastycznym i tenisówkach.

— Zgięcia i wyprosty ramion! — rzuciła. — Podaję tempo. *Raz*, dwa, trzy, cztery! Dalej, towarzysze, z życiem! *Raz*, dwa, trzy, cztery! *Raz*, dwa, trzy, cztery!…

Ból spowodowany atakiem kaszlu nie wyparł całkowicie z umysłu Winstona wrażenia wywołanego przez sen, a rytmiczne ruchy ćwiczenia nieco je odświeżyły. Mechanicznie wyrzucając ręce w przód i w tył, z wyrazem ponurego zadowolenia na twarzy, który uważano za właściwy podczas gimnastyki porannej, usiłował powrócić myślami do mglistego okresu wczesnego dzieciństwa. Było to niezwykle trudne. Wszystko, co było przed końcówką lat pięćdziesiątych, się zatarło. Gdy nie można się odwołać do żad-

nych zewnętrznych źródeł, nawet zarys własnego życia traci ostrość. Pamiętał wielkie wydarzenia, do których prawdopodobnie nie doszło, szczegóły wypadków, których atmosfery nie potrafił odtworzyć, ale były też długie puste okresy, do których nie mógł nic przypisać. Wtedy wszystko było inne. Nawet nazwy państw i ich kształty na mapie. Na przykład Pas Startowy Jeden nie nosił w tamtych dniach tej nazwy: nazywał się Anglia czy Brytania, chociaż Londyn — był tego pewien — zawsze nazywał się Londynem.

Zdecydowanie nie pamiętał czasów, gdy jego kraj nie toczył wojny, ale w jego dzieciństwie ewidentnie był dość długi okres pokoju, ponieważ jedno z jego najwcześniejszych wspomnień dotyczyło nalotu, który — jak się wydawało — wszystkich zaskoczył. Może było to wtedy, gdy na Colchester spadła bomba atomowa. Nie pamiętał samego nalotu, ale zapamiętał rękę ojca ściskającą jego dłoń, gdy zbiegali w dół, coraz niżej i niżej, w jakieś miejsce głęboko w ziemi, po krętych schodach, które dzwoniły pod jego stopami, od czego w końcu tak rozbolały go nogi, że musieli się zatrzymać i odpocząć. Matka, jak zwykle powolna i senna, szła daleko za nimi. Niosła jego siostrzyczkę, a może tylko stertę koców — nie był pewien, czy siostra była już wtedy na świecie. Wreszcie wyłonili się z klatki schodowej w jakimś hałaśliwym, zatłoczonym miejscu, które — jak się zorientował — było stacją metra.

Wszędzie na kamiennych płytach podłogi siedzieli ludzie, inni, ciasno ściśnięci, na metalowych pryczach ustawionych jedna nad drugą. Winston, matka i ojciec znaleźli miejsce na podłodze; blisko nich siedzieli obok siebie na pryczy stary mężczyzna i stara kobieta. Mężczyzna miał na sobie przyzwoity ciemny garnitur i czarny kaszkiet, zsunięty do tyłu na bardzo siwych włosach. Jego twarz była purpurowa, a niebieskie oczy miał pełne łez. Cuchnął dżinem, który zdawał się wydobywać z jego skóry zamiast potu, i można było fantazjować, że łzy płynące z jego oczu to czysty dżin. Ale chociaż był lekko podpity, cierpiał, zdjęty żalem, który był szczery i nie do zniesienia. Na swój dziecięcy sposób Winston pojął, że właśnie zdarzyło się coś strasznego, coś, co było nie do wybaczenia i czego nigdy nie da się

odwrócić. Wydawało mu się też, że wie, co to było. Ktoś, kogo staruszek kochał, może mała wnuczka, został zabity. Stary co kilka minut powtarzał:

— Nie powinniśmy byli im ufać. Tak mówiłem, prawda, mamuśka? Oto, co nam przyszło z tego, że im ufaliśmy. Stale to powtarzałem. Nie powinniśmy byli ufać tym gnojom.

Ale którym gnojom nie powinni byli ufać, Winston już nie pamiętał.

Od tamtej pory wojna trwała dosłownie bez przerwy, chociaż, ściśle mówiąc, nie zawsze była to ta sama wojna. W jego dzieciństwie przez kilka miesięcy w samym Londynie toczyły się chaotyczne walki uliczne; niektóre z nich żywo pamiętał. Ale prześledzenie historii całego tego okresu, dojście do tego, kto w danym momencie z kim walczył, było zupełnie niemożliwe, bo nie zachowały się żadne zapisy, żadne wypowiedziane słowo i nigdy nie pojawiła się wzmianka o jakimkolwiek sojuszu oprócz aktualnego. Na przykład w tej chwili, w roku 1984 (jeśli był to rok 1984), Oceania była w stanie wojny z Eurazją i w sojuszu ze Wschodoazją. W żadnej publicznej czy prywatnej wypowiedzi nigdy nie przyznano, że te trzy mocarstwa były kiedykolwiek w innych stosunkach. W rzeczywistości, jak Winston dobrze wiedział, minęły zaledwie cztery lata od czasów, gdy Oceania, w sojuszu z Eurazją, prowadziła wojnę z Wschodoazją. Ale był to tylko fragment tajemnej wiedzy, którą Winston przypadkiem posiadał, bo jego pamięć nie była pod dostateczną kontrolą. Oficjalnie nigdy nie doszło do zmiany partnerów. Oceania była w stanie wojny z Eurazją, a zatem zawsze walczyła z Eurazją. Aktualny wróg był wcieleniem absolutnego zła, z czego wynikało, że jakiekolwiek przeszłe czy przyszłe porozumienie z nim było niemożliwe.

Straszne, pomyślał po raz tysięczny, zmuszając się do bolesnego odchylenia ramion do tyłu (z dłońmi na biodrach podczas skrętów tułowia, co rzekomo było ćwiczeniem dobrym na mięśnie pleców), straszne było to, że to wszystko mogło być prawdą. Skoro Partia mogła wetknąć rękę w przeszłość i powiedzieć o tym czy tamtym wydarzeniu, że *nigdy do niego nie doszło*, to chyba było to bardziej przerażające niż tortury i śmierć?

Partia twierdziła, że Oceania nigdy nie była w sojuszu z Eurazją. On, Winston Smith, wiedział, że nie dalej niż cztery lata temu łączył ją z Eurazją sojusz. Ale gdzie istniała ta wiedza? Tylko w jego świadomości, która i tak musi wkrótce zostać unicestwiona. A jeśli inni przyjmowali kłamstwo narzucane przez Partię — jeśli wszystkie zapiski zawierały tę samą opowieść — kłamstwo przechodziło do historii i stawało się prawdą. „Kto kontroluje przeszłość — głosiło hasło Partii — ten kontroluje przyszłość, a kto kontroluje teraźniejszość, kontroluje przeszłość". A jednak przeszłość, choć z samej swej natury dawała się zmienić, nigdy nie została zmieniona. To, co było prawdą teraz, było nią od zawsze do zawsze. Było to całkiem proste. Trzeba było tylko niekończącej się serii zwycięstw nad swoją pamięcią. „Kontrolowania rzeczywistości", czyli — jak zwano to w nowomowie — „dwumyślenia".

— Spocznij! — warknęła instruktorka, już trochę łagodniej.

Winston opuścił ręce wzdłuż tułowia i powoli znów nabrał w płuca powietrza. Jego umysł ześlizgnął się w labirynt świata dwumyślenia. Wiedzieć i nie wiedzieć, być przekonanym o całkowitej prawdomówności, opowiadając starannie skonstruowane kłamstwa, mieć jednocześnie dwie opinie, które nawzajem się wykluczają, wiedząc, że są sprzeczne, używać logiki przeciw logice, odrzucać moralność, roszcząc sobie do niej prawo, wierzyć, że demokracja jest niemożliwa i że Partia jest jej strażnikiem, zapominać o wszystkim, o czym trzeba było zapomnieć, i przypominać to sobie, gdy zaszła taka konieczność, a nade wszystko stosować ten proces do samego tego procesu. Był to szczyt wyrafinowania: świadomie wprowadzać się w stan nieświadomości, po czym stawać się nieświadomym hipnozy, w którą się przed chwilą wprowadziło. Nawet zrozumienie świata dwumyślenia wymagało dwumyślenia.

Instruktorka ponownie kazała im stanąć na baczność.

— A teraz zobaczmy, kto z was potrafi dotknąć palców u nóg! — powiedziała entuzjastycznie. — Zginamy się w biodrach, towarzysze. — *Raz* — dwa! *Raz* — dwa!…

Winston nie cierpiał tego ćwiczenia, bo powodowało przeszywający ból w nogach, od pięt do pośladków, i często kończyło się kolejnym atakiem kaszlu. Rozmyślania sprawiały mu połowiczną przyjemność. Doszedł do wniosku, że przeszłość nie została po prostu zmieniona, lecz w rzeczywistości zniszczona. Bo jak można było ustalić nawet najbardziej oczywisty fakt, skoro nie istniały żadne świadectwa poza tymi, które zachowały się w jego pamięci? Starał się sobie przypomnieć, w którym roku usłyszał pierwszą wzmiankę o Wielkim Bracie. Uznał, że musiało to być w latach sześćdziesiątych, ale nie miał pewności. Oczywiście w podręcznikach historii Partii Wielki Brat figurował jako wódz i strażnik Rewolucji od jej pierwszych dni. Jego czyny stopniowo cofano w czasie, aż rozciągnęły się na baśniowy świat lat czterdziestych i trzydziestych, kiedy kapitaliści w dziwacznych cylindrycznych kapeluszach wciąż jeszcze jeździli wielkimi lśniącymi samochodami lub przeszklonymi powozami konnymi po ulicach Londynu. Nie sposób było się dowiedzieć, ile było w tej legendzie prawdy, a ile zmyślenia. Winston nie pamiętał nawet, kiedy powstała sama Partia. Nie sądził, że przed rokiem 1960 kiedykolwiek usłyszał słowo „angsoc”, ale było możliwe, że w formie, jaką miało w staromowie, to znaczy jako „angielski socjalizm”, było w użyciu już wcześnie. Wszystko spowijała mgła. Owszem, czasami udawało się przyłapać Partię na oczywistym kłamstwie. Na przykład, wbrew temu, co twierdzono w partyjnych podręcznikach historii, nie było prawdą, że to ona wynalazła samoloty. Pamiętał samoloty z najwcześniejszego dzieciństwa. Ale nie można było niczego dowieść. Nie było żadnych dowodów. Tylko raz w całym swoim życiu miał w rękach dokument, który był niewątpliwym dowodem zafałszowania historycznego faktu. I wtedy…

— Smith! — wrzasnął jędzowaty głos z teleekranu. — 6079 Smith Wu! Tak, *wy*! Pochylcie się niżej! Stać was na więcej. Nie staracie się. Niżej, proszę! Tak lepiej, towarzyszu. A teraz cały oddział spocznij i patrzeć na mnie.

Nagle całe ciało Winstona oblało się gorącym potem. Jednak jego twarz pozostała całkowicie nieprzenikniona. Nigdy nie okazuj niepokoju! Nigdy

nie okazuj niechęci! Może cię zdradzić jedno mrugnięcie. Stał i patrzył, jak instruktorka unosi ręce nad głowę — nie można powiedzieć, że z gracją, ale zdumiewająco zręcznie i skutecznie — robi skłon i wsuwa pierwsze człony palców rąk pod palce stóp.

— Widzicie, towarzysze? *Tak* macie to robić. Przyjrzyjcie się jeszcze raz. Mam trzydzieści dziewięć lat i urodziłam czwórkę dzieci. Patrzcie! — Zrobiła jeszcze jeden skłon. — Widzicie, że *moje* kolana nie są ugięte. Wszyscy możecie to zrobić, jeśli się postaracie — dodała, prostując się. — Każdy przed czterdziestym piątym rokiem życia jest na tyle sprawny, że może dotknąć palców nóg. Nie mamy przywileju walki na pierwszej linii frontu, ale przynajmniej możemy zachować sprawność. Pamiętajcie o naszych chłopcach na froncie malabarskim! I o marynarzach na pływającej fortecy! Pomyślcie tylko, z czym oni muszą się mierzyć. Spróbujcie jeszcze raz. Tak lepiej, towarzyszu, *dużo* lepiej — dodała zachęcająco, gdy Winstonowi po raz pierwszy od kilku lat udało się gwałtownym wypadem dotknąć palców stóp bez zginania kolan.

IV

Z głębokim bezwiednym westchnieniem, od którego nie mogła go powstrzymać na początku dnia pracy nawet bliskość teleekranu, Winston przyciągnął do siebie mowopis, zdmuchnął kurz z mikrofonu i włożył okulary. Potem rozwinął i spiął cztery małe zwitki papieru, które wyskoczyły z pneumatycznej rury po prawej stronie biurka.

W ściankach boksu znajdowały się trzy otwory. Na prawo od mowopisu niewielki, na komunikaty pisemne, z lewej strony większy, na gazety, a w ściance bocznej, w zasięgu jego ręki, duża podłużna szczelina zabezpieczona metalową kratką. Ta ostatnia przeznaczona była do usuwania zużytego papieru. Takie same znajdowały się w tysiącach, może w dziesiątkach tysięcy pomieszczeń w budynku, nie tylko w biurach, ale również, w niewielkich odstępach, na każdym korytarzu. Z jakiegoś powodu zwano je dziurami pamięci. Gdy się wiedziało, że każdy dokument trzeba zniszczyć, a nawet gdy się widziało leżący gdzieś strzępek papieru, niemal odruchowo podnosiło się klapkę najbliższej dziury pamięci, po czym odlatywał on na podmuchu ciepłego powietrza do ogromnych pieców ukrytych gdzieś w zakamarkach budynku.

Winston przyjrzał się czterem kawałkom papieru, które właśnie rozwinął. Każdy zawierał jedno- albo dwuwierszową wiadomość w skrótowym żargonie — właściwie nie w nowomowie, ale składającym się głównie z jej słów — którego używano w ministerstwie w sprawach wewnętrznych. Miały one taką treść:

times 17.3.84 przemówienie wb zniekształcone afryka sprostować

times 19.12.83 prognozy 3l na 3ci kwartał 83 literówka sprostować
times 14.2.84 minobfi błędnie cytowana czekolada sprostować
times 3.12.83 relacja wb porządku dnia dwakroćplusniedobrze dot nieosób zmienić w całości antekatalogować

Z lekkim uczuciem zadowolenia Winston odłożył czwartą wiadomość na bok. Było to skomplikowane i odpowiedzialne zadanie, którym lepiej będzie zająć się na końcu. Pozostałe trzy dotyczyły spraw rutynowych, chociaż drugie polecenie prawdopodobnie oznaczało żmudne przedzieranie się przez listy liczb.

Wystukał na teleekranie numery wsteczne i zamówił w archiwum odpowiednie wydania „Timesa", które zaledwie po kilku minutach oczekiwania wysunęły się z pneumatycznej rury. Wiadomości, które otrzymał, odnosiły się do artykułów albo doniesień, w których z takiego czy innego względu uznano za konieczne dokonać zmian albo — jak to oficjalnie nazywano — sprostowań. Na przykład z numeru „Timesa" z siedemnastego marca wynikało, że w przemówieniu z poprzedniego dnia Wielki Brat przewidywał, iż na froncie południowoindyjskim będzie panował spokój, ale niebawem ruszy eurazjatycka ofensywa w Afryce Północnej. Jednak dziwnym trafem Naczelne Dowództwo Eurazjatyckie wszczęło ofensywę w Indiach Południowych, a Afrykę Północną na razie sobie darowało. Należało więc przepisać odpowiedni ustęp mowy Wielkiego Brata w taki sposób, by przepowiedział on to, co się faktycznie stało. Natomiast „Times" z dziewiętnastego grudnia opublikował oficjalne prognozy produkcji różnych kategorii towarów konsumpcyjnych w czwartym kwartale 1983 roku, który był też szóstym kwartałem Dziewiątego Planu Trzyletniego. Dzisiejsze wydanie podawało rzeczywistą wysokość produkcji, z której wynikało, że we wszystkich wypadkach prognozy były całkowicie błędne. Zadaniem Winstona było sprostowanie pierwotnych liczb, by się zgadzały z późniejszymi. Trzecia wiadomość odnosiła się do bardzo prostego błędu, który można było sprostować w kilka minut. Całkiem niedawno, bo w lutym, Ministerstwo Obfitości złożyło obietnicę (w oficjalnym języku nazywało się to

„kategorycznym zobowiązaniem”), że w roku 1984 przydział czekolady nie ulegnie zmianie. Tymczasem, czego Winston był świadom, racje czekolady miały zostać zmniejszone z trzydziestu do dwudziestu gramów już pod koniec bieżącego tygodnia. Należało tylko zastąpić pierwotną obietnicę zapowiedzią, że prawdopodobnie trzeba będzie zmniejszyć przydział czekolady już w kwietniu.

Gdy tylko Winston uporał się z każdym komunikatem, wpiął mowopisane poprawki do odpowiednich numerów „Timesa”, które wsunął do pneumatycznej rury. Potem niemal nieświadomym ruchem zmiął oryginały komunikatów oraz wszystkie swoje notatki i wrzucił je do dziury pamięci, by pochłonęły je płomienie.

Nie znał szczegółów tego, co się działo w niewidocznym labiryncie, do którego prowadziły te rury, ale miał o tym pewne ogólne pojęcie. Po naniesieniu do konkretnego wydania „Timesa” wszelkich koniecznych poprawek numer wydawano ponownie, oryginalny egzemplarz niszczono, a w jego miejsce wstawiano skorygowany. Temu procesowi ciągłych zmian poddawano nie tylko gazety, ale też książki, periodyki, broszury, plakaty, ulotki, filmy, ścieżki dźwiękowe, dowcipy rysunkowe, zdjęcia — każdy rodzaj literatury i dokumentacji, który mógł mieć jakieś polityczne czy ideologiczne znaczenie. Dzień w dzień niemal co minuta aktualizowano przeszłość. Dzięki temu można było wykazać na podstawie dokumentów, że każda prognoza sporządzona przez Partię była prawidłowa, nie mogła się zachować ani jedna wiadomość czy opinia, która była sprzeczna z wymogami bieżącej chwili. Cała historia była palimpsestem, ścieranym i przepisywanym tak często, jak to było konieczne. Gdy już tego dokonano, w żadnym razie nie można było udowodnić, że doszło do jakiegokolwiek fałszerstwa. Personel największej sekcji w Departamencie Archiwów, dużo większy od tego, w którym pracował Winston, składał się po prostu z pracowników, których zadaniem było wyszukiwanie i zbieranie wszystkich egzemplarzy książek, gazet i innych dokumentów zastąpionych nowymi i przeznaczonych do zniszczenia. Numer „Timesa”, który z powodu zmian w sojuszach politycznych albo błędnych prognoz przedstawionych przez

Wielkiego Brata został dziesięć razy przepisany na nowo, wciąż stał w archiwum z oryginalną datą i nie istniał żaden inny, który mógłby mu zaprzeczyć. Również książki przepisywano wciąż na nowo i wydawano bez żadnych informacji, że wprowadzono w nich jakiekolwiek zmiany. Nawet pisemne instrukcje, które otrzymywał Winston i których nieodmiennie się pozbywał zaraz po ich wykonaniu, nigdy nie stwierdzały ani nawet nie sugerowały, że trzeba będzie dokonać fałszerstwa: zawsze odnosiły się do pomyłek, błędów drukarskich, literówek albo błędnie cytowanych wypowiedzi, które trzeba było w trosce o ścisłość poprawić.

Ale właściwie, myślał, adiustując liczby podane przez Ministerstwo Obfitości, nie jest to nawet fałszerstwo. To po prostu zastępowanie jednej bzdury inną. Większość materiału, którym się zajmował, nie miała żadnego związku z niczym w świecie rzeczywistym, nawet takiego, który zawierało zwykłe kłamstwo. Statystyka była taką samą fantazją w wersji pierwotnej jak w skorygowanej. Oczekiwano, że większość danych będziesz brał z sufitu. Na przykład według szacunków przedstawionych przez Ministerstwo Obfitości produkcja butów w tym kwartale miała wynieść sto czterdzieści pięć milionów par, a jako rzeczywisty wynik podano sześćdziesiąt dwa miliony. Jednak Winston, przepisując prognozę, zmniejszył tę liczbę do pięćdziesięciu siedmiu milionów, by uwzględnić zwykłe oświadczenie, że plan został przekroczony. W każdym razie sześćdziesiąt dwa miliony nie były bliższe prawdy niż pięćdziesiąt siedem czy sto czterdzieści pięć milionów. Prawdopodobnie nie wyprodukowano ani jednej pary. Bardzo możliwe, że nikt nie wiedział, ile ich wyprodukowano, ani nie dbał o to. Wiedziało się tylko tyle, że co kwartał szyto astronomiczną liczbę butów na papierze, a połowa ludności Oceanii chodziła boso. I tak było z każdą kategorią odnotowanych faktów, dużych i małych. Wszystko niknęło w świecie cienia, w którym w końcu nawet rok nie był pewny.

Winston spojrzał na salę. W boksie po drugiej stronie wytrwale pracował niewysoki mężczyzna o wyglądzie pedanta i ciemnym zaroście, nazwiskiem Tillerson. Trzymał na kolanach złożoną gazetę, a usta miał tuż przy mikrofonie mowopisu. Sprawiał wrażenie, jakby to, co mówił, starał się

utrzymać w tajemnicy między sobą i teleekranem. Podniósł głowę i jego okulary rzuciły złowrogi błysk w stronę Winstona.

Winston prawie go nie znał i nie miał pojęcia, czym się zajmuje. Ludzie w Departamencie Archiwów niezbyt chętnie mówili o swojej pracy. W długiej sali bez okien mieszczącej dwa rzędy boksów, wypełnionej nieustannym szelestem papieru i szumem głosów mruczących do mowopisów, pracowało co najmniej kilkanaście osób, których Winston nie znał nawet z nazwiska, chociaż widywał ich codziennie przechodzących spiesznie korytarzem i żywo gestykulujących podczas Dwóch Minut Nienawiści. Wiedział, że w boksie obok haruje drobna blondynka, wyszukując i usuwając nazwiska ludzi, którzy zostali ewaporowani, a zatem właściwie nigdy nie istnieli. Była w tym pewna stosowność, bo kilka lat wcześniej ewaporowany został jej mąż. Kilka boksów dalej łagodny człeczyna, niezaradny marzyciel nazwiskiem Ampleforth, o bardzo owłosionych uszach i zadziwiającym talencie do żonglowania rymami i metrami, zajmował się produkowaniem zmienionych wersji — zwanych ostatecznymi — wierszy, które wprawdzie uznano za niepoprawne ideologicznie, ale z takich czy innych powodów postanowiono zostawić w antologiach. A ta sala, w której urzędowało jakieś pięćdziesiąt osób, była tylko jedną z podsekcji, jakby pojedynczą komórką, ogromnego kompleksu Departamentu Archiwów. Za nią, nad nią i pod nią uwijały się roje pracowników zajmujących się niewyobrażalną liczbą czynności. Znajdowały się tam ogromne drukarnie z własnymi redakcjami, fachowcami od typografii i znakomicie wyposażonymi studiami, które sporządzały falsyfikaty zdjęć. Były tam też sekcje przygotowujące teleprogramy, w których pracowali inżynierowie, realizatorzy i zespoły aktorów dobranych ze względu na umiejętność naśladowania głosów. Pracowały tam armie referentów, których jedynym zadaniem było zestawianie list książek i periodyków przeznaczonych do wycofania. Znajdowały się też repozytoria, gdzie przechowywano skorygowane dokumenty, i ukryte piece, w których palono ich oryginały. I gdzieś w tych czeluściach rezydowały całkowicie anonimowe mózgi kierownicze, które koordynowały wszystkie te działania i wyznaczały linie polityki, zgodnie z którymi ten fragment

przeszłości należało zachować, tamten sfalsyfikować, a jeszcze inny wymazać i skazać na nieistnienie.

A Departament Archiwów był tylko jednym z działów Ministerstwa Prawdy, którego głównym zadaniem nie było rekonstruowanie przeszłości, ale dostarczanie obywatelom Oceanii gazet, filmów, podręczników, programów teleekranowych, sztuk, powieści — wszelkich, jakie można było sobie wyobrazić, informacji, instrukcji i treści rozrywkowych, od pomnika po slogan, od poematu lirycznego po traktat biologiczny i od elementarza po słownik nowomowy. Poza tym ministerstwo musiało nie tylko zaspokajać wielorakie potrzeby Partii, ale również powtarzać to na niższym poziomie dla dobra proletariatu. Proletariacką literaturą, muzyką, dramatem i ogólną rozrywką zajmował się cały ciąg osobnych departamentów. Produkowano tutaj szmatławce, które nie zawierały niemal nic oprócz doniesień o wydarzeniach sportowych, przestępstwach, horoskopów, sensacyjnych opowiadań za pięć centów, filmów ociekających seksem i ckliwych piosenek komponowanych całkowicie przez mechaniczne urządzenia na specjalnym rodzaju kalejdoskopów zwanych wersyfikatorami. Wydawano nawet cały podgatunek — „pornosec” w nowomowie — poświęcony najohydniejszej pornografii, rozsyłany w zaklejonych pakietach, na który nie pozwalano nawet patrzeć żadnym członkom Partii niezaangażowanym w jego produkcję.

Podczas gdy Winston pracował, z pneumatycznej rury wysunęły się trzy komunikaty, ale dotyczyły tak prostych spraw, że załatwił je, nim oderwały go od zajęć Dwie Minuty Nienawiści. Gdy po sesji Dwóch Minut Nienawiści wrócił do swojego boksu, wziął z półki słownik nowomowy, przesunął mowopis na bok, przetarł okulary i zabrał się do swojego głównego zadania tego ranka.

Praca była największą przyjemnością w życiu Winstona. Wprawdzie w większości była nudną rutyną, ale zdarzały się w niej zadania tak trudne i złożone, że mógł się w nich całkowicie zatracić jak w głębiach problemu matematycznego — fałszerstwa tak wysublimowane, że nie mógł się kierować żadnymi wskazówkami oprócz znajomości zasad angsocu i swojej

oceny tego, czego oczekiwała od niego Partia. W tym był dobry. Raz powierzono mu nawet sprostowanie artykułów wstępnych „Timesa”, które zostały napisane całkowicie w nowomowie. Rozwinął komunikat, który wcześniej odłożył na bok. Brzmiał on:

> times 3.12.83 doniesienie rozkazu dnia wb dwakroćplusdobre dot nieosób przeredagować w pełni nowy zatwprzeł antearch

W staromowie (czyli standardowym angielskim) można by to oddać tak:

> Doniesienie o rozkazie dziennym Wielkiego Brata zamieszczone w „Timesie” z 3 grudnia 1983 r. jest bardzo nierzetelne i zawiera odniesienia do nieistniejących osób. W pełni przeredagować i przed przekazaniem do archiwum przedłożyć przełożonym do zatwierdzenia.

Winston przeczytał kłopotliwy artykuł. Wydawało się, że rozkaz dzienny Wielkiego Brata poświęcony był głównie pochwale pracy organizacji o nazwie PDPF, która dostarczała papierosy i inne dobra marynarzom z pływających fortec. Niejaki towarzysz Withers, prominentny członek Partii Wewnętrznej, został wyróżniony listem pochwalnym i odznaczony Orderem Najwyższej Zasługi Drugiej Klasy.

Trzy miesiące później PDPF została nagle rozwiązana bez podania żadnych powodów. Przypuszczalnie towarzysz Withers i jego kamraci popadli w niełaskę, ale ani w prasie, ani w telewizji nie było o tym żadnej wzmianki. Tego można się było spodziewać, ponieważ przestępców politycznych zwykle nie stawiano przed sądem ani nawet nie demaskowano publicznie. Wielkie czystki obejmujące tysiące osób i publiczne procesy zdrajców oraz myślozbrodniarzy, którzy pokornie przyznali się do popełnionych przestępstw, a następnie zostali zgładzeni, były specjalnymi pokazami urządzanymi nie częściej niż raz na kilka lat. Zazwyczaj ludzie, którzy ściągnęli na siebie gniew Partii, po prostu znikali i słuch o nich ginął. Nigdy nie było wiadomo, co się z nimi stało. Niektórzy może nawet wciąż żyli.

W takim czy innym czasie zniknęło co najmniej trzydzieści osób znanych Winstonowi, nie licząc jego rodziców.

Podrapał się lekko spinaczem po nosie. W boksie naprzeciw towarzysz Tillotson nadal siedział tajemniczo pochylony nad swoim mowopisem. Na chwilę podniósł głowę — znowu ten złowrogi błysk okularów. Winston zastanawiał się, czy towarzysz Tillotson wykonuje taką samą pracę jak on. Było to absolutnie możliwe. Tak trudnych zadań nigdy nie powierzono by jednej osobie; z drugiej strony przydzielenie ich jakiemuś komitetowi byłoby otwartym przyznaniem się do fabrykowania informacji. W tej chwili nad konkurencyjnymi wersjami tego, co rzeczywiście powiedział Wielki Brat, siedziało prawdopodobnie co najmniej dziesięć osób. I wkrótce jakiś tęgi mózg z Partii Wewnętrznej wybierze którąś z nich, zredaguje, po czym wprawi w ruch złożoną machinę niezbędnych odsyłaczy do innych materiałów i na koniec wybrane kłamstwo przejdzie do trwałych archiwów i stanie się prawdą.

Winston nie miał pojęcia, dlaczego Withers popadł w niełaskę. Może z powodu korupcji lub niekompetencji. Może Wielki Brat po prostu pozbył się zbyt popularnego podwładnego. Może Withersa albo kogoś z jego bliskiego otoczenia podejrzewano o skłonności wywrotowe. A może, co było najbardziej prawdopodobne, to wszystko stało się po prostu dlatego, że czystki i ewaporacje były niezbędną częścią mechanizmu władzy. Jedyną rzeczywistą wskazówką były słowa „dot nieosób”, które świadczyły, że Withers jest już martwy. Nigdy nie można było mieć pewności, że dzieje się tak ze wszystkimi aresztowanymi. Czasami wypuszczano ich i pozwalano żyć na wolności przez rok czy dwa przed egzekucją. Niekiedy, bardzo rzadko, ktoś, kogo od dawna uważano za martwego, pojawiał się jak duch na kolejnym procesie publicznym, na którym obciążał swoimi zeznaniami setki innych, po czym znikał, tym razem na zawsze. Jednak Withers już był *nieosobą*. Nie istniał, nigdy nie istniał. Winston doszedł do wniosku, że nie wystarczyłoby po prostu odwrócić sens przemówienia Wielkiego Brata. Lepiej byłoby połączyć je z czymś zupełnie niezwiązanym z oryginalnym tematem.

Mógł przerobić to przemówienie na zwykłe oskarżenie zdrajców i myślozbrodniarzy, ale byłoby to zbyt oczywiste, natomiast zmyślone zwycięstwo na froncie albo tryumfalne przekroczenie Dziewiątego Planu Trzyletniego w dziedzinie produkcji mogłoby zanadto skomplikować sprawę. Potrzebny był mu wytwór czystej fantazji. I nagle w jego umyśle pojawił się jak żywy obraz niejakiego towarzysza Ogilvy'ego, który niedawno poległ bohatersko w bitwie. Zdarzało się, że Wielki Brat upamiętniał w rozkazie dziennym jakiegoś skromnego, szeregowego członka Partii, którego życie i śmierć przedstawiał jako przykład godny naśladowania. Dzisiaj powinien uczcić w przemówieniu towarzysza Ogilvy'ego. Wprawdzie nie było takiego towarzysza, ale kilka wierszy druku i parę podrobionych zdjęć powołałoby go wkrótce do istnienia.

Po chwili namysłu Winston przysunął do siebie mowopis i zaczął dyktować w dobrze znanym stylu Wielkiego Brata, zarazem wojskowym i pedantycznym oraz, z powodu chwytu retorycznego, jakim było zadawanie pytań i natychmiastowe odpowiadanie na nie („Jaką naukę wyciągamy z tego faktu, towarzysze? Naukę — co także jest jedną z fundamentalnych zasad angsocu — że…" itd., itd.), łatwym do naśladowania.

W wieku trzech lat towarzysz Ogilvy nie uznawał innych zabawek niż bębenek, pistolet maszynowy i model śmigłowca. W wieku sześciu lat — na rok przed czasem, dzięki uczynionemu specjalnie dla niego odstępstwu od regulaminu — wstąpił do Wywiadowców, a w wieku dziewięciu lat był już drużynowym. Gdy miał jedenaście lat, podsłuchawszy rozmowę, która — jak mu się wydawało — świadczyła o przestępczych skłonnościach, zadenuncjował Policji Myśli swego wuja. W wieku siedemnastu lat został okręgowym organizatorem Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej. W wieku dziewiętnastu lat opracował projekt granatu ręcznego, który został zaakceptowany przez Ministerstwo Pokoju i podczas pierwszego próbnego wybuchu zabił trzydziestu jeden eurazjatyckich jeńców. W wieku dwudziestu trzech lat zginął w akcji. Podczas lotu z ważnymi raportami nad Oceanem Indyjskim, ścigany przez myśliwce odrzutowe wroga, obciążył się karabinem maszynowym i skoczył wraz z raportami ze swego śmigłowca

w toń, kończąc życie w sposób — mówił Wielki Brat — którego nie sposób nie podziwiać i nie zazdrościć. Wielki Brat dodał kilka słów o czystości i determinacji Ogilvy'ego. Był on całkowitym abstynentem, osobą niepalącą, i nie miał żadnych rozrywek poza codziennymi godzinnymi ćwiczeniami w sali gimnastycznej, a do tego złożył ślub celibatu, uważając, że małżeństwa i opieki nad rodziną nie sposób pogodzić z całodobową służbą sprawie. Nie rozmawiał na inne tematy niż zasady angsocu i nie miał w życiu innego celu niż pokonanie eurazjatyckiego wroga i tropienie szpiegów, sabotażystów, myślozbrodniarzy i zdrajców wszelkiej maści.

Winston przez chwilę zastanawiał się, czy odznaczyć towarzysza Ogilvy'ego Orderem Najwyższej Zasługi; w końcu zdecydował się tego nie robić, gdyż pociągnęłoby to za sobą konieczność wprowadzenia zmian w innych materiałach.

Ponownie spojrzał na rywala w boksie naprzeciwko. Coś mu mówiło, że Tillotson pracował nad tym samym zadaniem co on. Nie sposób było odgadnąć, czyja wersja zostanie ostatecznie przyjęta, ale miał głębokie przekonanie, że jego. Niewyobrażalny jeszcze godzinę temu towarzysz Ogilvy był teraz postacią faktyczną. Zdumiało go, że można było tworzyć ludzi zmarłych, ale nie żywych. Towarzysz Ogilvy, który w teraźniejszości nigdy nie istniał, teraz istniał w przeszłości, a gdy zaginie pamięć o tym fałszerstwie, będzie postacią równie autentyczną i tak samo udokumentowaną jak Karol Wielki czy Juliusz Cezar.

V

Długa kolejka po obiad w niskiej, znajdującej się głęboko pod ziemią stołówce drgnęła i posunęła się powoli do przodu. W sali, która była już pełna po brzegi, panował ogłuszający hałas. Przez kratę nad kontuarem wypływały unoszące się z kotła z gulaszem kłęby pary o kwaśnym, metalicznym zapachu, który nie mógł całkowicie stłumić odoru Dżinu Zwycięstwa. Po drugiej stronie sali był mały bar, zaledwie otwór w ścianie, gdzie za dziesięć centów można było kupić jednego głębszego.

— No i mam faceta, którego szukałem — odezwał się ktoś za Winstonem.

Winston się odwrócił. Stał za nim jego przyjaciel Syme, który pracował w Departamencie Badań. Być może słowo „przyjaciel” nie było najwłaściwszym określeniem. W obecnych czasach nie miało się przyjaciół, tylko towarzyszy, ale byli wśród nich tacy, w których obecności człowiek czuł się lepiej niż wśród innych. Syme był filologiem, specjalistą od nowomowy, co więcej — jednym z członków ogromnego zespołu ekspertów zajmującego się przygotowywaniem jedenastego wydania *Słownika nowomowy*. Był to drobny człeczyna, niższy od Winstona, o ciemnych włosach i dużych, wyłupiastych oczach, zarazem smutnych i szyderczych, które zdawały się uważnie badać twarz rozmówcy.

— Chciałem cię zapytać, czy przypadkiem nie masz jakichś żyletek — powiedział.

— Ani jednej! — odparł szybko Winston z nieczystym sumieniem. — Szukałem w całym mieście. Zniknęły bez śladu.

Wszyscy pytali o żyletki. Prawdę mówiąc, miał dwie jeszcze nieużywane, które trzymał na czarną godzinę. Ich znalezienie było od miesięcy marzeniem ściętej głowy. W sklepach partyjnych stale brakowało jakiegoś niezbędnego artykułu. Czasami guzików, czasem przędzy do cerowania, niekiedy sznurowadeł; obecnie żyletek. Jeśli w ogóle można było je gdzieś dostać, to tylko dopytując o nie mniej lub bardziej ukradkowo na „wolnym” rynku.

— Od sześciu tygodni używam tej samej — dodał kłamliwie.

Kolejka znowu drgnęła i przesunęła się nieco do przodu. Gdy się zatrzymała, odwrócił się ponownie do Syme’a. Każdy z nich wziął zatłuszczoną metalową tacę ze stosu na brzegu kontuaru.

— Poszedłeś wczoraj obejrzeć wieszanie jeńców? — zapytał Syme.

— Pracowałem — odparł Winston obojętnym tonem. — Pewnie obejrzę je w kinie.

— Bardzo marna namiastka — rzekł Syme.

Jego drwiące spojrzenie omiotło twarz Winstona. Zdawało się mówić: „Znam cię. Przejrzałem cię na wylot. Doskonale wiem, dlaczego nie poszedłeś wczoraj obejrzeć wieszania”. Syme był zażartym ortodoksem w sensie intelektualnym. Rozwodził się z nieznośną rozkoszą nad nalotami śmigłowców na wioski wroga, nad procesami i zeznaniami myślozbrodniarzy, nad egzekucjami w podziemiach Ministerstwa Miłości. Rozmawiając z nim, trzeba było odciągać go od takich tematów i starać się doprowadzić do tego, by wdał się w rozważania o szczegółach nowomowy, o których rozprawiał ze znawstwem i ciekawie. Winston przechylił głowę nieco na bok, by uniknąć badawczego spojrzenia jego dużych ciemnych oczu.

— To było wieszanie jak należy — powiedział Syme z rozrzewnieniem. — Moim zdaniem psuje je związywanie nóg skazańców. Lubię patrzeć, jak wierzgają. A nade wszystko, jak na koniec wywalają języki, sine, całkiem sine. Ten element najbardziej mi się podoba.

— Następny! — wrzasnęła przepasana białym fartuchem prolka z chochlą.

Winston i Syme wsunęli swe tace pod kratę. Na każdą szybko wrzucono regulaminowy obiad — metalową miskę różowawo-szarego gulaszu, pajdę chleba, kostkę sera, kubek bezmlecznej Kawy Zwycięstwa i pastylkę sacharyny.

— Tam jest wolny stolik, pod tym teleekranem — powiedział Syme. — Weźmy po drodze dżin.

Dżin podano im w fajansowych kubkach bez uszek. Przecisnęli się przez zatłoczoną salę i wyładowali to, co mieli na tacach, na stolik z metalowym blatem, na rogu którego ktoś zostawił kałużę rozlanego gulaszu, wstrętną maź, która wyglądała jak wymiociny. Winston uniósł kubek z dżinem, zebrał się w sobie i jednym haustem łyknął płyn z oleistym posmakiem. Zamrugał powiekami, by pozbyć się łez, którymi zaszły mu oczy, i nagle odkrył, że jest głodny. Zaczął pochłaniać łyżki gulaszu, rzadkiej brei, w której pływały kawałki gąbczastej różowawej substancji, prawdopodobnie preparatu mięsnego. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem, dopóki nie opróżnili misek. Przy stoliku po lewej stronie Winstona, nieco z tyłu, ktoś trajkotał jak nakręcony. Ostry dźwięk, który brzmiał niemal jak kwakanie kaczki, przebijał się przez ogólny gwar w sali.

— Jak idzie praca nad słownikiem? — zapytał Winston, podnosząc głos, by przekrzyczeć hałas.

— Powoli — odparł Syme. — Siedzę nad przymiotnikami. To fascynujące zajęcie.

Na wzmiankę o nowomowie natychmiast się rozjaśnił. Odsunął miskę, wziął w delikatną dłoń pajdę chleba, a w drugą kostkę sera i pochylił się nad stołem, by móc mówić bez krzyczenia.

— Jedenaste wydanie jest definitywne — powiedział. — Nadajemy językowi ostateczny kształt: postać, jaką przybierze, gdy nikt nie będzie już mówił inaczej. Kiedy skończymy, tacy jak ty będą musieli nauczyć się go od nowa. Pewnie myślisz, że naszym głównym zadaniem jest wynajdywanie nowych słów. Nic podobnego! My niszczymy słowa — dziesiątki, setki słów, i to codziennie. Redukujemy język do niezbędnego minimum.

W jedenastym wydaniu nie będzie ani jednego słowa, które do roku 2050 wyjdzie z użycia.

Wgryzł się łapczywie w chleb i przełknął kilka kęsów, po czym podjął wyjaśnienia z namiętnością pedanta. Jego wąska, ciemna twarz się ożywiła, wzrok stracił szyderczy wyraz i stał się niemal rozmarzony.

— Niszczenie słów to coś pięknego. Oczywiście najwięcej wyrzucamy na śmietnik czasowników i przymiotników, ale są też setki rzeczowników, których również można się pozbyć. Nie tylko synonimy, również antonimy. No bo przecież jakie uzasadnienie ma słowo, które jest po prostu przeciwieństwem innego? Przeciwieństwo jakiegoś słowa zawiera się w nim samym. Weźmy na przykład przymiotnik „dobry”. Skoro mamy „dobry”, to po co nam „zły”? „Niedobry” spełni swoje zadanie równie dobrze, a nawet lepiej, bo jest jego dokładnym przeciwieństwem, którym nie jest to drugie. Idźmy dalej: jeśli chcesz mocniejszej formy „dobrego”, to jaki sens ma utrzymywanie całego szeregu niejasnych, zbytecznych słów, takich jak „świetny” czy „wspaniały” i cała reszta? To znaczenie oddaje „plusdobry” albo „dwakroćplusdobry”, jeśli chcesz czegoś jeszcze mocniejszego. Oczywiście używamy tych form już teraz, ale w ostatecznej wersji nowomowy nie będzie innych. Na koniec całe pojęcie dobra i zła będzie się zawierać w zaledwie sześciu słowach, a faktycznie tylko w jednym. Nie widzisz w tym piękna, Winstonie? Oczywiście ten pomysł wyszedł od Wu Be — dodał po zastanowieniu.

Na wzmiankę o Wielkim Bracie twarz Winstona przybrała wyraz uniesienia. Ale nie było zbyt przekonujące i Syme natychmiast odkrył brak należytego entuzjazmu.

— Nie doceniasz nowomowy, Winstonie — powiedział niemal ze smutkiem. — Nawet kiedy w niej piszesz, wciąż myślisz w staromowie. Czytałem kilka z tych kawałków, które czasami pisujesz dla „Timesa”. Są całkiem dobre, ale to przekłady. W głębi serca wolisz się trzymać staromowy, z całą jej niejasnością i bezużytecznymi odcieniami znaczeniowymi. Nie pojmujesz piękna niszczenia słów. Wiesz, że nowomowa jest jedynym języ-

kiem na świecie, którego zasób słów z każdym rokiem coraz bardziej się kurczy?

Oczywiście Winston o tym wiedział. Uśmiechnął się tylko, miał nadzieję, że życzliwie, bo nie ufał własnemu głosowi. Syme ugryzł kolejny kęs ciemnego chleba, szybko go przeżuł i ciągnął dalej:

— Nie rozumiesz, że całym celem nowomowy jest zawężenie myślenia? W końcu doprowadzimy do tego, że myślozbrodnia stanie się praktycznie niemożliwa, ponieważ nie będzie słów, którymi można by ją wyrazić. Każde pojęcie, które może być kiedykolwiek potrzebne, będzie się zawierało w *jednym* słowie o ściśle określonym znaczeniu, a wszystkie jego znaczenia uboczne zostaną wymazane i zapomniane. W jedenastym wydaniu jesteśmy już tego bliscy. Ale ten proces będzie trwał jeszcze długo po twojej i mojej śmierci. Z każdym rokiem będzie coraz mniej słów i coraz bardziej będzie się zawężał zakres świadomości. Oczywiście już teraz nie ma żadnego powodu ani usprawiedliwienia dla myślozbrodni. To tylko kwestia samodyscypliny, kontrolowania rzeczywistości. Ale w końcu nawet to nie będzie potrzebne. Gdy język stanie się doskonały, dzieło Rewolucji zostanie zakończone. Nowomowa to angsoc, angsoc to nowomowa — dodał z niemal mistycznym zadowoleniem. — Czy przyszło ci kiedyś do głowy, Winstonie, że najpóźniej w roku 2050 nie będzie nikogo, kto by zrozumiał, o czym teraz rozmawiamy?

— Poza… — zaczął Winston niepewnie, ale zaraz przerwał. Miał już na końcu języka „Poza prolami”, ale się powstrzymał, niepewny, czy ta uwaga nie jest w jakimś sensie sprzeczna z ortodoksją. Ale Syme domyślił się, co chciał powiedzieć.

— Prole nie są ludźmi — powiedział beztrosko. — Do roku 2050, a prawdopodobnie wcześniej, całkowicie zniknie znajomość staromowy. Cała literatura przeszłości zostanie zniszczona. Dzieła Chaucera, Szekspira, Miltona, Byrona będą istnieć tylko w wersjach nowomowowych, nie po prostu zmienione, ale przekształcone w coś przeciwnego do tego, czym pierwotnie były. Zmieni się także literatura partyjna. A nawet hasła Partii. Jak mogłoby istnieć hasło „wolność to niewola”, kiedy przestanie istnieć

pojęcie wolności? Cała atmosfera myślenia będzie inna. Prawdę mówiąc, nie będzie żadnego myślenia w naszym rozumieniu tego słowa. Ortodoksja znaczy niemyślenie — brak potrzeby myślenia. Ortodoksja to nieświadomość.

Pewnego dnia, pomyślał nagle Winston z głębokim przekonaniem, Syme zostanie ewaporowany. Jest zbyt inteligentny. Widzi zbyt wyraźnie i mówi zbyt szczerze. Partia nie lubi takich ludzi. Pewnego dnia zniknie. Ma to wypisane na twarzy.

Winston zjadł chleb i ser. Obrócił się na krześle nieco na bok, by wypić kawę. Przy stoliku po lewej mężczyzna o piskliwym głosie wciąż gadał jak najęty. Słuchała go i zdawała się skwapliwie zgadzać z każdym jego słowem młoda kobieta, być może jego sekretarka, która siedziała tyłem do Winstona. Od czasu do czasu Winston wychwytywał uwagi w rodzaju „Uważam, że macie *całkowicie* rację. *Całkowicie* się z wami zgadzam” wypowiadane młodzieńczym i raczej głupim głosem. Ale ten drugi głos nie zamilkł ani na chwilę, nawet gdy dziewczyna odzywała się, by mu przytaknąć. Winston znał tego człowieka z widzenia, ale wiedział o nim tylko tyle, że piastuje jakieś ważne stanowisko w Departamencie Literatury. Był to mężczyzna około trzydziestki, o umięśnionej szyi i dużych, ruchliwych ustach. Głowę miał lekko odchyloną do tyłu i ponieważ siedział pod takim kątem, w jego okularach skrzyło się światło i zamiast oczu Winston widział dwa puste krążki. Było okropne, że ze strumienia dźwięków, który wylewał się z jego ust, nie można było wyróżnić niemal żadnego słowa. Tylko raz Winstonowi udało się wyłowić jeden zwrot — „doszczętne i ostateczne wytępienie goldsteinizmu” — wyrzucony tak szybko, że słowa zdawały się tworzyć jednolitą całość, jak odlane i zastygłe czcionki wiersza druku. Reszta była tylko hałasem, kwa-kwa-kwakaniem. Ale chociaż nie było słychać, co ten człowiek mówi, nie można było mieć najmniejszej wątpliwości co do ogólnego charakteru tej przemowy. Mógł potępiać Goldsteina i domagać się zastosowania surowszych środków wobec myślozbrodniarzy i sabotażystów, pomstować na potworności, których dopuszczała się armia eurazjatycka, czy też wychwalać Wielkiego Brata i bohaterów na froncie mala-

barskim — nie robiło to żadnej różnicy. Cokolwiek to było, można było mieć pewność, że każde słowo jest czystą ortodoksją, czystym angsocem. Patrząc na tę bezoką twarz z poruszającą się szybko w górę i w dół szczęką, Winston miał dziwne wrażenie, że nie jest to człowiek z krwi i kości, lecz jakaś kukła. Nie mówił mózg tej istoty, lecz jej krtań. To, co się z niej wydobywało, składało się ze słów, ale nie było mową w prawdziwym sensie tego słowa: były to dźwięki wydawane nieświadomie, jak kwakanie kaczki.

Syme umilkł na chwilę i trzonkiem łyżki kreślił esy-floresy w kałuży gulaszu. Głos dobiegający od tamtego stolika wciąż szybko kwakał, dobrze słyszalny mimo panującego wokół hałasu.

— Jest takie słowo w nowomowie — odezwał się Syme — nie wiem, czy je znasz: „kwakmówić”, kwakać jak kaczka. To jedno z tych ciekawych słów, które mają dwa przeciwstawne znaczenia. Użyte w odniesieniu do oponenta jest obelgą, natomiast w odniesieniu do kogoś, z kim się zgadzasz, pochwałą.

Syme zostanie bez wątpienia ewaporowany, pomyślał znowu Winston. Pomyślał o tym z pewnym smutkiem, chociaż wiedział, że Syme nim pogardza, żywi do niego lekką niechęć i zadenuncjowałby go jako myślozbrodniarza, gdyby dostrzegł jakikolwiek powód, by to zrobić. Z Syme’em było coś nie tak. Czegoś mu brakowało: rozwagi, rezerwy, jakiejś zbawiennej głupoty. Nie można było mu zarzucić, że ma nieortodoksyjne poglądy. Wierzył w zasady angsocu, czcił Wielkiego Brata, cieszył się ze zwycięstw, nienawidził odszczepieńców, i to nie tylko szczerze, lecz z bezgraniczną żarliwością, wiedząc, kto obecnie jest na cenzurowanym, dzięki informacjom, do których szeregowy członek Partii nie miał dostępu. Mimo to zawsze otaczała go atmosfera podejrzliwości. Mówił rzeczy, których lepiej było nie mówić, czytał zbyt wiele książek, chadzał do kawiarni Pod Kasztanem, gdzie spotykali się malarze i muzycy. Nie było zakazu, nawet niepisanego, chodzenia do tego lokalu, ale cieszył się on złą sławą. Dawniej zbierali się tam starzy zdyskredytowani przywódcy Partii, zanim objęła ich czystka. Powiadano, że przed laty, przed dziesiątkami lat, widywano tam

samego Goldsteina. Nietrudno było przewidzieć los Syme’a. A mimo to Winston był pewien, że gdyby Syme ujrzał choć na sekundę jego skrywane oblicze, natychmiast wydałby go Policji Myśli. Zresztą tak samo postąpiłby każdy inny, ale Syme bardziej skwapliwie niż większość. Zapał nie wystarczał. Ortodoksja była nieświadomością.

Syme uniósł głowę.

— Idzie tu Parsons — powiedział.

Coś w jego głosie zabrzmiało tak, jakby dodał: „ten cholerny dureń”. Faktycznie przeciskał się ku nim Parsons, sąsiad Winstona z Bloku Zwycięstwa, baryłkowaty mężczyzna średniego wzrostu, o jasnych włosach i żabiej twarzy. W wieku trzydziestu pięciu lat zaczęły mu się już odkładać na karku i w pasie fałdy tłuszczu, ale jego ruchy były żwawe i chłopięce. Tak bardzo wyglądał na chłopca w powiększeniu, że chociaż miał na sobie regulaminowy kombinezon, trudno było się oprzeć wrażeniu, iż ubrany jest w granatowe spodenki, szarą koszulę i czerwoną chustę Wywiadowców. Na jego widok w wyobraźni zawsze pojawiał się obraz dołeczków kolan w pulchnych nogach i rękawów podwiniętych na tłustych przedramionach. Prawdę mówiąc, Parsons przebierał się w szorty za każdym razem, gdy podsuwała mu do tego pretekst grupowa wycieczka albo inne zajęcia sportowe. Powitał ich radosnym „Cześć, cześć!” i usiadł przy ich stoliku, wydzielając intensywną woń potu. Całą, różową twarz pokrywały jego krople. Miał niesamowitą zdolność pocenia się. Po wilgotnej rączce rakietki w osiedlowej świetlicy zawsze można było poznać, że grał w ping-ponga. Syme wyciągnął pasek papieru z długą kolumną słów i począł je studiować z ołówkiem kopiowym w dłoni.

— Popatrz no tylko na niego! Pracuje nawet w przerwie obiadowej — powiedział Parsons, szturchając Winstona łokciem. — To dopiero zapał, nie? Co tam masz, stary? Pewnie coś, co jest dla mnie za mądre. Smith, stary, powiem ci, dlaczego cię ścigam. Chodzi o tę składkę, którą zapomniałeś mi wpłacić.

— Co to za składka? — zapytał Winston, machinalnie szukając pieniędzy. Prawie jedną czwartą poborów trzeba było przeznaczać na dobrowolne

składki, tak liczne, że trudno je było spamiętać.

— Na Tydzień Nienawiści. No wiesz, tę zbieraną od każdego mieszkania. Jestem skarbnikiem naszego bloku. Staramy się z całych sił zrobić wspaniały pokaz. Mówię ci, to nie będzie moja wina, jeśli na Bloku Zwycięstwa nie zawiśnie najwięcej flag na całej ulicy. Obiecałeś mi dwa dolary.

Winston wygrzebał i podał mu dwa zmięte i brudne banknoty, co Parsons odnotował w małym zeszyciku starannym pismem półanalfabety.

— Aha, stary — powiedział. — Słyszałem, że ten mój mały gnojek strzelił wczoraj do ciebie z procy. Dałem mu za to niezły opieprz. Powiedziałem, że jak to zrobi jeszcze raz, zabiorę mu procę.

— Chyba był trochę wkurzony, że nie poszedł na egzekucję — rzekł Winston.

— A, tak… no, ale to pokazuje, że ma właściwego ducha, nie? Psotne gnojki oboje, ale jaki mają zapał! W głowach im tylko Wywiadowcy — i oczywiście wojna. Wiesz, co ta moja mała zrobiła w ostatnią sobotę, gdy była ze swoim zastępem na wycieczce koło Berkhamstead? Namówiła dwie koleżanki, żeby urwały się z nią z wycieczki, i przez całe popołudnie śledziły dziwnego faceta. Szły za nim krok w krok dwie godziny przez las, a kiedy wyszli koło Amersham, wskazały go patrolowi.

— Po co to zrobiły? — zapytał Winston, nieco zaskoczony.

— Moja mała była pewna, że to jakiś agent wroga, na przykład zrzucony na spadochronie — kontynuował tryumfalnie Parsons. — Ale teraz najlepsze, stary. Jak myślisz, co ściągnęło na niego jej uwagę? Dziwne buty. Powiedziała, że nigdy wcześniej nie widziała nikogo w takich butach. Więc mógł to być obcokrajowiec. Smarkula ma dopiero siedem lat, a jaka bystra, co?

— Co się stało z tym człowiekiem? — zapytał Winston.

— A skąd miałbym wiedzieć? Ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby… — Parsons wykonał ruch, jakby mierzył z karabinu i cmoknął językiem, naśladując odgłos wystrzału.

— Dobrze — powiedział z roztargnieniem Syme, nie podnosząc wzroku znad paska papieru.

— Oczywiście, nie możemy ryzykować — zgodził się posłusznie Winston.

— No bo jest wojna, nie? — rzekł Parsons.

Jakby na potwierdzenie jego słów z teleekranu nad ich głowami popłynął dźwięk trąbki. Jednak tym razem nie był to komunikat o zwycięstwie militarnym, lecz tylko oświadczenie Ministerstwa Obfitości.

— Towarzysze! — zabrzmiał przejęty młodzieńczy głos. — Uwaga, towarzysze! Mamy dla was wspaniałą wiadomość. Wygraliśmy bitwę o produkcję! Ukończone właśnie sprawozdania z wyników produkcji wszystkich kategorii towarów konsumpcyjnych świadczą, że w minionym roku stopa życiowa wzrosła co najmniej o dwadzieścia procent. Dzisiejszego ranka w całej Oceanii odbyły się żywiołowe, spontaniczne demonstracje, gdy z fabryk i biur wyległy rzesze pracowników i pod sztandarami przemaszerowały ulicami, głośno wyrażając wdzięczność Wielkiemu Bratu za nowe, szczęśliwe życie pod jego światłym przywództwem. A oto kilka danych. Artykuły żywnościowe…

Zwrot „nowe, szczęśliwe życie” powtórzył się kilka razy. Ostatnio było to ulubione wyrażenie Ministerstwa Obfitości. Parsons, którego uwagę przykuł sygnał trąbki, słuchał z poważną, ale gapowatą miną, jakby podniośle znudzony. Nie rozumiał liczb, ale zdawał sobie sprawę, że są one w jakimś sensie powodem do zadowolenia. Wyciągnął wielką, brudną fajkę, już w połowie wypełnioną zwęglonym tytoniem. Przy stu gramach tygodniowego przydziału rzadko można było nabić nim fajkę po wierzch. Winston ostrożnie palił Papierosa Zwycięstwa, trzymając go poziomo. Nowy przydział przysługiwał dopiero od jutra, a zostały mu już tylko cztery. Na chwilę odciął się od dobiegającego zewsząd hałasu i wsłuchał się w potok słów wylewających się z teleekranu. Okazało się, że odbyły się nawet demonstracje w podzięce Wielkiemu Bratu za zwiększenie przydziału czekolady do dwudziestu gramów na tydzień. A nie dalej niż wczoraj, pomyślał, oznajmiono, że przydział został *zmniejszony* do dwudziestu. Czy to możliwe, że mogli to przełknąć po zaledwie dwudziestu czterech godzinach? Tak, możliwe. Parsons przełykał to gładko, jak bezmyślne zwierzę.

Bezoki stwór przy sąsiednim stoliku chłonął to fanatycznie, namiętnie, z pragnieniem wyśledzenia, zadenuncjowania i ewaporacji każdego, kto ośmieliłby się bąknąć, że w ubiegłym tygodniu przydział wynosił trzydzieści gramów. Syme też — w jakiś bardziej skomplikowany, dwumyśleniowy sposób — Syme też to łykał. Czyżby zatem *tylko* on, Winston, pamiętał?

Z teleekranu wciąż wylewały się bajeczne dane statystyczne. W porównaniu z ubiegłym rokiem było więcej żywności, więcej ubrań, więcej domów, więcej mebli, więcej garnków, więcej paliwa, więcej statków, więcej śmigłowców, więcej książek, więcej noworodków — więcej wszystkiego oprócz chorób, przestępstw i przypadków szaleństwa. Z roku na rok, z minuty na minutę wszyscy pięli się i wszystko wznosiło się szybko coraz wyżej. Tak jak wcześniej Syme, Winston wziął łyżkę i grzebał nią w bladym sosie rozlanym na stole, wyprowadzając z kałuży długą linię, która układała się w jakiś wzór. Rozmyślał z niechęcią o fizycznej stronie życia. Czy zawsze było tak jak teraz? Czy jedzenie zawsze miało taki smak? Rozejrzał się po stołówce. Niskie, zatłoczone pomieszczenie o ścianach wybrudzonych przez ocierające się o nie niezliczone ciała, poobijane metalowe stoliki i krzesła, ustawione tak ciasno, że siedziało się, dotykając innych łokciami, pogięte łyżki, powgniatane tace, toporne białe kubki, wszystkie powierzchnie lepiące się od tłuszczu, brud w każdej szczelinie i kwaśny odór dżinu zmieszany z wonią podłej kawy, metalicznego gulaszu i niepranych ubrań. Wciąż buntowały się przeciw temu żołądek i skóra i człowiek miał poczucie, że podstępem odebrano mu coś, do czego miał prawo. Po prawdzie nie przypominał sobie niczego, co by się od tego wiele różniło. Jak daleko sięgał pamięcią, nigdy nie było dość jedzenia, nigdy nie miał skarpetek ani bielizny, które nie byłyby pełne dziur, meble zawsze były poobijane i rozchybotane, pomieszczenia niedogrzane, wagony w metrze zatłoczone, domy się rozpadały, chleb był ciemny, herbata była rarytasem, kawa miała ohydny smak i nigdy nie wystarczało papierosów, niczego oprócz syntetycznego dżinu nie było pod dostatkiem i nic poza nim nie było tanie. I chociaż, oczywiście, z wiekiem człowiek znosił to coraz gorzej, to czyż to, że ściskało mu się serce od niewygód, brudu i niedo-

statku, niekończących się zim, skarpetek lepiących się do nóg, wiecznie niedziałających wind, zimnej wody, szorstkiego mydła, rozsypujących się w rękach papierosów, jedzenia o dziwnym, obrzydliwym smaku, nie było oznaką, iż *nie* jest to naturalny porządek rzeczy? Czy ktoś by czuł, że jest to nie do zniesienia, gdyby nie zachowywał jakiegoś odziedziczonego po przodkach wspomnienia, że kiedyś było inaczej?

Ponownie rozejrzał się po stołówce. Prawie wszyscy byli brzydcy i pozostaliby tacy, nawet gdyby ubrano ich inaczej niż w jednakowe granatowe kombinezony. Na końcu sali siedział samotnie przy stoliku, pijąc z kubka kawę, drobny, zadziwiająco podobny do żuka mężczyzna, a jego małe oczka rzucały podejrzliwe spojrzenia na boki. Gdyby się człowiek nie rozejrzał, pomyślał Winston, jak łatwo byłoby mu uwierzyć, że istnieje, a nawet przeważa, typ fizyczny przedstawiany przez Partię jako wzór — wysocy, muskularni młodzieńcy i piersiaste dziewczyny, jasnowłosi, energiczni, opaleni i beztroscy. W rzeczywistości, na ile potrafił to ocenić, większość ludności Pasa Startowego Jeden była małego wzrostu, ciemnowłosa i niezbyt urodziwa. Było zadziwiające, że w ministerstwach plenił się ten żukowaty typ: niewysocy, przysadziści osobnicy, którzy bardzo wcześnie stawali się otyli, krótkonodzy, poruszali się szybko, choć ukradkowo, i mieli nalane, nieprzeniknione twarze z małymi oczkami. To ten typ zdawał się rozkwitać pod panowaniem Partii.

Oświadczenie Ministerstwa Obfitości zakończyło się drugim sygnałem trąbki i ustąpiło miejsca brzękliwej muzyce. Parsons, w którym bombardowanie liczbami wzbudziło nieokreślony entuzjazm, wyjął fajkę z ust.

— W tym roku Ministerstwo Obfitości na pewno wykonało dobrą robotę — powiedział i znacząco kiwnął głową. — Aha, Smith, nie masz przypadkiem jakichś żyletek, które mógłbyś mi odstąpić?

— Ani jednej — odparł Winston. — Od sześciu tygodni używam tej samej.

— Tak tylko zapytałem, stary.

— Przykro mi — rzekł Winston.

Kwaczący głos przy następnym stoliku, chwilowo uciszony oświadczeniem ministerstwa, na nowo się rozgadał, równie głośno jak przedtem. Winston ni z tego, ni z owego pomyślał o pani Parsons, z tymi rzadkimi włosami i kurzem w zmarszczkach na twarzy. Za dwa lata dzieci doniosą na nią Policji Myśli. Pani Parsons zostanie ewaporowana. Syme zostanie ewaporowany. A także Winston. I O'Brien. Natomiast Parsonsowi to nie grozi. Tak samo bezokiemu stworowi z kaczym głosem. Niskim, żukowatym osobnikom, którzy tak zręcznie przemykali labiryntem korytarzy w ministerstwach, też nie. I tej ciemnowłosej dziewczynie z Departamentu Literatury — ona również nigdy nie zostanie ewaporowana. Wydawało mu się, że intuicyjnie wie, kto przetrwa, a kto zginie, choć niełatwo było powiedzieć, co umożliwia przeżycie.

Z nagłym drgnięciem ocknął się z zamyślenia. Dziewczyna przy sąsiednim stoliku nieco się obróciła i patrzyła na niego. To była ta ciemnowłosa. Patrzyła na niego kątem oka, ale dziwnie uważnie. Gdy napotkała jego spojrzenie, odwróciła wzrok.

Na plecy Winstona wystąpił pot. Chwycił go straszny skurcz przerażenia. Niemal natychmiast minął, ale pozostawił po sobie dręczący niepokój. Dlaczego ona go obserwuje? Dlaczego stale za nim łazi? Niestety, nie pamiętał, czy siedziała już przy tym stoliku, gdy wszedł do stołówki, czy przyszła potem. W każdym razie wczoraj, podczas Dwóch Minut Nienawiści, usiadła tuż za nim, chociaż nie było widocznej potrzeby, by zajęła akurat to miejsce. Całkiem możliwe, że jej prawdziwym celem było słuchać go i upewnić się, że krzyczy wystarczająco głośno.

Powróciła wcześniejsza myśl: prawdopodobnie w rzeczywistości nie służyła w Policji Myśli, ale było to niewielkim pocieszeniem, bo największe zagrożenie stanowili właśnie szpiedzy amatorzy. Nie wiedział, jak długo mu się przypatrywała, ale może nawet przez pięć minut, i niewykluczone, że w tym czasie nie panował w pełni nad swoją mimiką. W miejscu publicznym czy w zasięgu teleekranu nie można było pozwolić myślom błądzić. Było to śmiertelnie niebezpieczne. Mógł cię zdradzić najmniejszy drobiazg. Nerwowy tik, nieświadome zerknięcie z obawą, zwyczaj mrucze-

nia pod nosem — wszystko, co mogło nasunąć podejrzenie, że odstajesz od normy, że masz coś do ukrycia. Tak czy owak, niewłaściwy wyraz twarzy (na przykład niedowierzająca mina, kiedy ogłaszano zwycięstwo) sam w sobie był przestępstwem. W nowomowie było nawet na to specjalne słowo: „twarzozbrodnia”.

Dziewczyna znowu odwróciła się do niego tyłem. Być może jednak go nie śledziła, być może to, że przez dwa ostatnie dni siadała tak blisko niego, było zbiegiem okoliczności. Papieros zgasł, więc ostrożnie położył go na krawędzi stolika. Dopali go po pracy, jeśli uda mu się zachować w nim tytoń. Całkiem możliwe, że osoba przy sąsiednim stoliku jest wywiadowczynią Policji Myśli, i całkiem możliwe, że nim miną trzy dni, znajdzie się w kazamatach Ministerstwa Miłości, ale nie można było zmarnować niedopałka.

Syme złożył pasek papieru i schował go do kieszeni. Parsons znowu zaczął gadać.

— Opowiadałem ci kiedy, stary — mówił, chichocząc z cybuchem fajki w zębach — jak te moje dwa nicponie podpaliły spódnicę starej handlarce na rynku, bo zobaczyły, że zawija parówki w plakat z Wu Be? Podkradły się do niej od tyłu i podpaliły spódnicę zapałkami. Zdaje się, że nieźle ją poparzyły. Małe urwisy, nie? Ale ile w nich zapału! Teraz w Wywiadowcach mają szkolenie pierwsza klasa, nawet lepsze niż za moich czasów. Nie zgadniesz, co im ostatnio dali. Trąbki do podsłuchiwania przez dziurki od kluczy! Moja mała przyniosła wczoraj taką do domu. Wypróbowała ją na drzwiach salonu i myślę, że słyszała dwa razy lepiej niż samym uchem przez dziurkę od klucza. Oczywiście to tylko zabawka, no wiesz. Ale podsuwa im dobry pomysł, nie?

W tym momencie teleekran wydał przeszywający gwizd. Był to sygnał powrotu do pracy. Cała trójka zerwała się na nogi, by przyłączyć się do walki o wejście do wind, i z papierosa Winstona wysypała się resztka tytoniu.

VI

Winston pisał w pamiętniku:

To się zdarzyło trzy lata temu. Był ciemny wieczór, wąska boczna uliczka obok dużego dworca kolejowego. Stała koło bramy, pod latarnią, która ledwie świeciła. Miała młodą twarz pod bardzo grubym makijażem. To właśnie ten makijaż mnie pociągał, jego biel jak maski, i jaskrawoczerwone usta. Kobiety, które należą do Partii, nigdy się nie malują. Na ulicy nie było nikogo więcej, żadnych teleekranów. Powiedziała: Dwa dolary. Więc…

Przez chwilę trudno mu było kontynuować. Zamknął oczy i przycisnął palcami powieki, starając się usunąć obraz, który stale powracał. Czuł przemożną pokusę, by wykrzyczeć na cały głos stek przekleństw. Albo walnąć głową w ścianę, przewrócić kopniakiem stół i cisnąć kałamarz przez okno — zrobić cokolwiek, byleby gwałtownie, byle narobić hałasu albo zadać sobie ból i wymazać dręczące wspomnienie.

Najgorszym twoim wrogiem, pomyślał, jest twój układ nerwowy. Wewnętrzne napięcie może się w każdej chwili przełożyć na jakiś widzialny objaw. Jak u przechodnia z teczką, którego widział na ulicy kilka tygodni wcześniej, zwyczajnie wyglądającego mężczyzny, członka Partii, w wieku trzydziestu pięciu, może czterdziestu lat, dość wysokiego i szczupłego. Dzieliło ich kilka metrów, gdy nagle lewą część twarzy mężczyzny wykrzywił skurcz. Powtórzyło się to, gdy się mijali: tylko drgnięcie, tik, szybki jak trzask migawki aparatu fotograficznego, ale wyraźnie mimowolny. Pamiętał, że pomyślał wtedy: Ten biedak jest już skończony. Najstraszniejsze było to, że prawdopodobnie ten grymas był nieświadomy. Ale

największe zagrożenie stwarzało mówienie przez sen. Z tego, co wiedział, nie było jak się przed tym ustrzec.

Wziął oddech i pisał dalej:

poszedłem za nią przez bramę i podwórko do kuchni w suterenie. Przy ścianie stało łóżko, a na stole lampa o bardzo przygaszonym świetle. Kobieta…

Miał sucho w ustach, a chciało mu się splunąć. Wraz z obrazem kobiety w piwnicznej kuchni pojawiło się wspomnienie Katharine, jego żony. Był żonaty — w każdym razie kiedyś i prawdopodobnie nadal, bo o ile widział, żona nie zmarła. Miał wrażenie, że znowu czuje ciepły zaduch, który panował w tamtej kuchni w suterenie, zapach marnych, tanich perfum zmieszany z odorem pluskiew i brudnych ubrań, ale mimo to nęcący, ponieważ żadna członkini Partii nie tylko nie używała perfum, ale nawet nie można było sobie wyobrazić, by to zrobiła. Używały ich tylko prolki. W umyśle Winstona woń perfum łączyła się nierozerwalnie z cudzołóstwem.

Pójście z tą kobietą było jego pierwszym potknięciem mniej więcej od dwóch lat. Oczywiście zadawanie się z prostytutkami było zabronione, ale był to jeden z tych zakazów, na których złamanie można było sobie od czasu do czasu pozwolić. Chociaż niebezpieczne, nie było to sprawą życia i śmierci. Przyłapanie z prostytutką mogło oznaczać pięć lat w obozie pracy przymusowej, nie więcej, jeśli nie popełniło się żadnego innego przestępstwa. I łatwo było wymigać się od kary, jeśli nie zostało się przyłapanym na gorącym uczynku. W ubogich dzielnicach roiło się od kobiet, które były gotowe się sprzedać. Niektóre można było kupić nawet za butelkę dżinu, którego prole nie powinni pić. Partia nawet zachęcała po cichu do korzystania z usług prostytutek, traktując to jako ujście dla popędów, których nie można całkowicie stłumić. Sama rozwiązłość nie była aż tak ważna, dopóki oddawano się jej ukradkiem i bez radości, i tylko z kobietami z niższej, pogardzanej klasy. Natomiast stosunki seksualne między członkami Partii były niewybaczalną zbrodnią. Ale mimo że było to jedno z przestępstw, do

których zawsze przyznawali się oskarżeni podczas wielkich czystek, trudno było sobie wyobrazić, by rzeczywiście do nich dochodziło.

Celem Partii nie było tylko niedopuszczenie do tworzenia się między mężczyznami i kobietami więzów wierności, których nie potrafiłaby kontrolować. Rzeczywistym, niedeklarowanym celem było odarcie stosunku seksualnego z całej przyjemności. Wrogiem była nie tyle miłość, ile erotyzm, zarówno w związku małżeńskim, jak i poza nim. Wszystkie małżeństwa członków Partii musiał zaaprobować specjalnie do tego powołany komitet i choć nigdy otwarcie nie sformułowano tej zasady, zawsze odmawiano na nie zgody, jeśli para sprawiała wrażenie, że czuje do siebie pociąg fizyczny. Jedynym uznawanym celem małżeństwa było płodzenie dzieci, które miały służyć Partii. Stosunek seksualny należało traktować jako nieco odrażający zabieg, coś w rodzaju lewatywy. Tego też nigdy nie powiedziano wprost, lecz pośrednio wpajano od dzieciństwa każdemu członkowi Partii. Istniały nawet organizacje, takie jak Młodzieżowa Liga Antyseksualna, które zalecały obu płciom całkowity celibat. Wszystkie dzieci powinno się poczynać przez sztuczne zapłodnienie („sztuczpłod” w nowomowie) i wychowywać w instytucjach publicznych. Winston zdawał sobie sprawę, że nigdy nie traktowano tego serio, ale jakoś pasowało to do ogólnej ideologii partyjnej. Partia starała się zabić popęd płciowy, a jeśli się to nie udawało, to przynajmniej wypaczyć go i zohydzić. Nie wiedział, dlaczego tak jest, ale wydawało się naturalne, że zdaniem Partii ma być. I jeśli chodzi o kobiety, wysiłki te przynosiły spore sukcesy.

Znowu pomyślał o Katharine. Musiało upłynąć dziewięć, dziesięć, prawie jedenaście lat, odkąd się rozstali. Aż dziw, że tak rzadko o niej myślał. Zdarzało się, że na wiele dni udawało mu się zapomnieć, że kiedykolwiek był żonaty. Byli razem niespełna piętnaście miesięcy. Partia nie pozwalała na rozwód, ale jeśli małżonkowie nie mieli dzieci, zachęcała do separacji.

Katharine była wysoką, jasnowłosą dziewczyną, prostą jak trzcina, o wspaniałych ruchach. Miała śmiałą, wyrazistą twarz, którą ktoś mógłby uważać za szlachetną, dopóki by nie odkrył, że za tą twarzą jest prawie kompletna pustka. Już na samym początku małżeństwa Winston doszedł do

wniosku, być może tylko dlatego, że znał ją bliżej niż inni, iż ma do czynienia z najgłupszym, najbardziej prymitywnym i pustym umysłem, z jakim się kiedykolwiek spotkał. W jej głowie nie postała żadna myśl, która nie była sloganem, i nie było takiego idiotyzmu, absolutnie żadnego, którego by nie przełknęła, jeśli głosiła go Partia. W myślach przezwał ją „ludzką płytą gramofonową". Ale ścierpiałby wspólne życie, gdyby nie jedno — seks.

Ledwie jej dotknął, wzdrygała się i sztywniała. Obejmując ją, czuł, jakby brał w ramiona drewniany manekin z ruchomymi kończynami. Najdziwniejsze było to, że nawet gdy go do siebie przyciągała, miał wrażenie, że jednocześnie z całej siły go odpycha. Brało się ono stąd, że leżała z zamkniętymi oczami, cała spięta, ani się nie opierając, ani nie współdziałając, ale się *poddając*. Było to krępujące, a po pewnym czasie stało się okropne. Ale nawet wtedy zniósłby życie z nią, gdyby uzgodnili, że pozostaną białym małżeństwem. Ale, o dziwo, to Katharine się na to nie godziła. Mówiła, że muszą mieć dziecko, jeśli mogą. Tak więc ten rytuał wciąż się powtarzał, regularnie raz w tygodniu, jeśli z jakichś względów nie było to niemożliwe. Przypominała mu o tym nawet rano, jako o czymś, co trzeba zrobić wieczorem i o czym nie można zapomnieć. Miała na to dwa określenia. Jednym było „zrobienie dziecka", drugim „nasz obowiązek wobec Partii" — tak, naprawdę używała takich słów. Wkrótce zaczął odczuwać strach, gdy zbliżał się wyznaczony dzień. Ale na szczęście dziecko się nie pojawiło i w końcu zgodzili się zaprzestać prób, a niedługo potem się rozstali.

Winston westchnął bezgłośnie. Znowu ujął pióro i napisał:

Rzuciła się na łóżko i od razu, bez żadnego wstępu, w najbardziej wulgarny, najstraszniejszy sposób, jaki można sobie wyobrazić, zadarła spódnicę. A ja…

Ujrzał siebie, jak stoi tam w mdłym świetle lampy, z wonią pluskiew i tanich perfum w nozdrzach, w poczuciu klęski i frustracji, które nawet w tamtej chwili mieszało się z myślą o białym ciele Katharine przemienio-

nym w bryłę lodu przez hipnotyczną moc Partii. Dlaczego zawsze musiało to się tak odbywać? Dlaczego nie mógł mieć swojej kobiety zamiast tych paskudnych szamotanin w kilkuletnich odstępach? Ale prawdziwy romans był niemal nie do pomyślenia. Wszystkie partyjne kobiety były takie same. Czystość miały zakorzenioną równie głęboko jak wierność partii. Gruntowne wczesne warunkowanie, gry i zimna woda, bzdury, które wpajano im w szkole, w Wywiadowcach, w Lidze Młodzieżowej, wykłady, pochody, pieśni, hasła i muzyka wojskowa wyparły z nich to naturalne uczucie. Rozum mówił mu, że muszą być wyjątki, ale serce w to nie wierzyło. Wszystkie były niewzruszone, takie, jak chciała Partia. A tym, czego chciał on, nawet bardziej niż być kochanym, było zburzyć ten mur cnoty, choćby raz w całym życiu. Udany stosunek płciowy był aktem buntu. Pożądanie było myślozbrodnią. Nawet rozbudzenie seksualne Katharine, gdyby udało mu się do tego doprowadzić, byłoby czymś w rodzaju uwiedzenia, mimo że była jego żoną.

Ale trzeba było spisać resztę tej historii. Napisał więc:

Podkręciłem lampę. Kiedy zobaczyłem ją w pełnym świetle…

Słaby płomień lampy naftowej, który rozproszył mrok, wydawał się bardzo jasny. Po raz pierwszy dobrze zobaczył tę kobietę. Zrobił krok w jej stronę i przystanął, ogarnięty żądzą i strachem. Był boleśnie świadom ryzyka, jakie podjął, przychodząc tu. Całkiem możliwe, że gdy będzie wychodził, zgarnie go jakiś patrol; właściwie mogli już na niego czekać za drzwiami. Gdyby wyszedł, nie zrobiwszy tego, po co przyszedł…!

Trzeba to było zapisać, trzeba było to wyznać. W świetle lampy zobaczył nagle, że kobieta jest *stara*. Makijaż na jej twarzy był tak gruby, że wyglądał, jakby lada chwila mógł pęknąć niczym tekturowa maska. We włosach miała siwe pasma, ale naprawdę okropne było to, że jej usta nieco się rozchyliły, ukazując tylko czarną jamę. Nie miała ani jednego zęba.

Nabazgrał pospiesznie:

Gdy zobaczyłem ją w świetle, okazało się, że jest starą babą, ma co najmniej pięćdziesiąt lat. Ale i tak zrobiłem to, co chciałem zrobić.

Znowu przycisnął powieki palcami. W końcu to napisał, ale nie robiło to żadnej różnicy. Terapia nie podziałała. Opadło go równie silne jak przedtem pragnienie, by kląć na cały głos.

VII

Jeśli jest jakaś nadzieja — napisał Winston — to tylko w prolach”.

Jeśli można było mieć nadzieję, to trzeba ją było pokładać w prolach, bo tylko tam, w tych rojnych, lekceważonych masach, które stanowiły osiemdziesiąt pięć procent ludności Oceanii, mogła się zrodzić siła zdolna obalić Partię. Od wewnątrz nie można było jej zniszczyć. Jej wrogowie, jeśli miała jakichś wrogów, nie mogli się w żaden sposób zjednoczyć, a nawet rozpoznać się wzajemnie. Nawet jeśli legendarne Bractwo istniało, a mogło istnieć, było nie do pomyślenia, by jego członkowie kiedykolwiek zdołali utworzyć grupy składające się z więcej niż dwóch czy trzech osób. Bunt przejawiał się wyrazem oczu, zmianą tonu głosu, co najwyżej wyszeptanym słowem. Ale prole, gdyby w jakiś sposób zdali sobie sprawę ze swojej siły, nie musieliby konspirować. Wystarczyłoby, żeby powstali i otrząsnęli się jak koń otrząsający się z much. Gdyby się na to zdecydowali, mogliby rozznieść Partię w pył już jutro z samego rana. Może wcześniej czy później dotrze to do nich? A jednak…!

Pamiętał, jak pewnego razu, gdy szedł zatłoczoną ulicą, z bocznej uliczki przed nim buchnął wrzask setek głosów, kobiecych głosów. Był to budzący grozę okrzyk złości i rozpaczy, głębokie, głośne „O-o-o-och!”, które niosło się jak dźwięk dzwonu. Serce Winstona zabiło żywiej. Bunt! Prole w końcu się ruszyli! Kiedy dotarł tam, skąd dobiegała wrzawa, zobaczył tłoczący się wokół straganów na rynku tłum dwustu albo trzystu kobiet o tak tragicznych minach, jakby były pasażerkami tonącego statku. Ale w tej samej chwili ogólna rozpacz przerodziła się w kłótnie między poszczególnymi zebranymi. Okazało się, że na jednym ze straganów sprze-

dawano blaszane rondle. Były liche i nietrwałe, ale brakowało jakichkolwiek naczyń kuchennych. Teraz niespodziewanie dostawa się wyczerpała. Kobiety, którym udało się kupić rondle, popychane i potrącane przez resztę, starały się uciec, podczas gdy dziesiątki innych otaczały stragany i oskarżały sprzedawcę o kumoterstwo i o to, że jeszcze zostały mu jakieś rondle, ale gdzieś je schował. Rozległy się nowe wrzaski. Dwie grube kobiety, jedna z włosami opadającymi na oczy, trzymały ten sam rondel i wyrywały go sobie. Każda ciągnęła w swoją stronę i wkrótce oderwała się rączka. Winston przyglądał się im z niesmakiem. Ale, choć tylko przez chwilę, jakaż — niemal przerażająca — moc brzmiała w tym krzyku z setek gardeł! Dlaczego nigdy nie podniosą takiego wrzasku w jakiejś ważnej sprawie?

Napisał:

Nie zbuntują się, dopóki nie zyskają świadomości, a nie mogą jej zyskać, dopóki się nie zbuntują.

To zdanie, pomyślał, wygląda niemal jak cytat z jakiegoś partyjnego podręcznika. Oczywiście Partia twierdziła, że wyzwoliła proli z poddaństwa. Przed Rewolucją byli strasznie ciemiężeni przez kapitalistów, głodzeni i bici, kobiety zmuszano do harówki w kopalniach węgla (w rzeczywistości wciąż tam pracowały), sześcioletnie dzieci sprzedawano do pracy w fabrykach. Zarazem jednak, zgodnie z zasadami dwumyślenia, Partia nauczała, że prole są z natury gatunkiem podrzędnym i trzeba ich trzymać jak zwierzęta w posłuszeństwie, stosując kilka prostych reguł. W gruncie rzeczy niewiele o nich wiedziano, bo nie trzeba było dużo wiedzieć. Dopóki pracowali i rozmnażali się, ich pozostałe zajęcia nie były ważne. Pozostawieni sami sobie jak bydło puszczone samopas na równinach Argentyny, powrócili do stylu życia, który wydawał się im naturalny, odziedziczony po przodkach. Rodzili się, wychowywali się w rynsztokach, koło dwunastego roku życia szli do pracy, przechodzili krótki okres rozkwitu urody i seksualnego pożądania, żenili się, mając dwadzieścia lat, około trzydziestki wchodzili w wiek średni i w większości umierali około sześćdziesiątki. Ich myśli

wypełniały po horyzont ciężka praca fizyczna, opieka nad domem i dziećmi, drobne sprzeczki z sąsiadami, filmy, piłka nożna, piwo i przede wszystkim hazard. Nietrudno było mieć ich pod kontrolą. Zawsze krążyło wśród nich kilku agentów Policji Myśli, rozpowszechniając fałszywe pogłoski oraz namierzając i likwidując nieliczne jednostki, które uznano za potencjalnie niebezpieczne, ale nie czyniono żadnych starań, by wpoić im ideologię Partii. To, by prole mieli zdecydowane poglądy polityczne, było niepożądane. Wymagano od nich tylko prymitywnego patriotyzmu, do którego zawsze można się było odwołać, gdy trzeba było ich skłonić do pogodzenia się z wydłużeniem godzin pracy albo zmniejszeniem przydziałów podstawowych artykułów. I nawet gdy okazywali niezadowolenie, co się czasami zdarzało, do niczego to nie prowadziło, bo nie mając żadnej ogólnej idei, koncentrowali się na konkretnych, drobnych niedogodnościach. Większe zło niezmiennie umykało ich uwagi. Znaczna większość proli nie miała w domach teleekranów. Nawet policja kryminalna rzadko się wtrącała w ich sprawy. Przestępczość w Londynie osiągnęła wielkie rozmiary, był to cały osobny świat złodziei, bandytów, prostytutek, handlarzy narkotyków i szantażystów wszelkiej maści, ale ponieważ działali tylko wśród proli, nie przywiązywano do tego wagi. We wszystkich kwestiach obyczajowych pozwalano im się stosować do ich odwiecznego kodeksu. Nie narzucano im seksualnego purytanizmu Partii. Rozwiązłość uchodziła bezkarnie, rozwody były dozwolone. Ba, zezwolono by im nawet na praktyki religijne, gdyby prole wykazywali jakiekolwiek oznaki, że go potrzebują czy chcą. Byli poza podejrzeniem. Jak głosił slogan Partii, „Prole i zwierzęta są wolni”.

Winston sięgnął ręką do kostki i ostrożnie podrapał się po owrzodzeniu. Znowu zaczęło go swędzieć. Nieodmiennie wracał do konstatacji, że nie sposób się dowiedzieć, jak naprawdę wyglądało życie przed Rewolucją. Wyjął z szuflady szkolny podręcznik historii, który pożyczył od pani Parsons, i zaczął przepisywać jego fragment do dziennika:

W dawnych czasach — głosił tekst — *przed wspaniałą Rewolucją, Londyn nie był tym pięknym miastem, które znamy dzisiaj. Było to ciemne, brudne, żałosne miejsce,*

gdzie mało kto miał dość jedzenia i gdzie setki, tysiące ludzi nie miało butów, a nawet dachu nad głową. Dzieci nie starsze od was musiały pracować dwanaście godzin dziennie dla okrutnych panów, którzy chłostali je biczami, jeśli pracowały zbyt wolno, i karmili tylko stęchłymi okruchami chleba i wodą. Ale wśród tej straszliwej nędzy stało kilka wielkich i pięknych domów bogaczy, z których każdy miał aż trzydziestu doglądających go służących. Ci bogacze nazywali się kapitalistami. Byli to grubi, brzydcy ludzie o nikczemnych twarzach, tacy jak ten na obrazku na sąsiedniej stronie. Jak widzicie, jest w długiej, czarnej marynarce, którą zwano frakiem, i dziwacznym, błyszczącym, podobnym do rury od pieca, nakryciu głowy, które zwano cylindrem. Był to strój kapitalisty i nikt inny nie mógł go nosić. Kapitaliści posiadali wszystko na świecie i wszyscy inni byli ich niewolnikami. Posiadali całą ziemię, wszystkie domy, wszystkie fabryki i wszystkie pieniądze. Jeśli ktoś nie był im posłuszny, mogli wtrącić go do więzienia albo odebrać mu pracę i zagłodzić na śmierć. Kiedy zwykły człowiek zwracał się do kapitalisty, musiał zdjąć czapkę, nisko się ukłonić i mówić do niego „panie". Przywódcę wszystkich kapitalistów nazywano królem i…

Znał resztę tego katalogu. Wzmianki o biskupach w szatach z długimi rękawami, sędziach w gronostajowych togach, pręgierzu, dybach, kieracie, kańczugu, bankiecie wydawanym przez burmistrza Londynu i zwyczaju całowania papieża w duży palec u nogi. Było też coś zwanego *ius primae noctis*, o czym chyba nie wspomina się w podręczniku dla dzieci. Było to prawo, zgodnie z którym każdy kapitalista mógł się przespać z każdą kobietą pracującą w jednej z jego fabryk.

Skąd można było wiedzieć, ile z tego jest kłamstwem? *Może* naprawdę przeciętnemu człowiekowi wiodło się teraz lepiej niż przed Rewolucją. Jedynym dowodem przeciw był niemy sprzeciw w jego kościach, intuicyjne poczucie, że warunki, w których żyje, są nieznośne i że w dawnych czasach musiały być inne. Miał wrażenie, że naprawdę charakterystyczne dla współczesnego życia nie były wszechobecne okrucieństwo i brak poczucia bezpieczeństwa, lecz jego pustka, obskurność, apatia. Gdy się człowiek rozejrzał, uderzało go, że nie jest ono w niczym podobne nie tylko do kłamstw, które wylewały się z teleekranów, ale nawet do ideałów, które Partia starała

się osiągnąć. Duże jego obszary, takie jak brnięcie przez nudne zajęcia, walka o miejsce w wagonie kolejki podziemnej, cerowanie przetartych skarpetek, żebranie o pastylkę sacharyny, zachowywanie niedopałka papierosa na później, były nawet dla członków Partii neutralne i nie miały związku z polityką. Ideałem, do którego dążyła Partia, było coś ogromnego, strasznego i lśniącego — świat ze stali i betonu, świat monstrualnych maszyn i straszliwej broni — naród wojowników i fanatyków maszerujących naprzód noga w nogę, myślących to samo i skandujących te same hasła, wiecznie zapracowanych, walczących, triumfujących, prześladujących — trzysta milionów ludzi o tej samej twarzy. Rzeczywistością były niszczejące, brudne miasta, gdzie niedożywieni ludzie w dziurawych butach snuli się ospale po byle jak naprawianych dziewiętnastowiecznych domach, w których zawsze unosił się fetor kapusty i zepsutych ubikacji. Winstonowi ukazała się wizja Londynu, rozległego i popadającego w ruinę miasta z milionami śmietników, na którą nakładał się obraz pani Parsons, kobiety o pobrużdżonej twarzy i rzadkich włosach, zmagającej się bezradnie z zapchanym zlewem.

Znowu się schylił i podrapał po kostce. Teleekrany dniem i nocą bombardowały uszy danymi statystycznymi, które dowodziły, że obecnie ludzie mają więcej jedzenia, więcej ubrań, lepsze mieszkania i rozrywki — że żyją dłużej, pracują krócej, są roślejsi, zdrowsi, bardziej inteligentni i lepiej wykształceni niż pięćdziesiąt lat temu. Nie można było udowodnić prawdziwości ani zadać kłam żadnemu z tych twierdzeń. Partia utrzymywała na przykład, że obecnie czterdzieści procent dorosłych proli umie czytać i pisać, podczas gdy przed Rewolucją tylko piętnaście, że współczynnik umieralności niemowląt wynosi tylko sto sześćdziesiąt na tysiąc, natomiast przed Rewolucją trzysta — i tak dalej. Było to jak równanie z dwiema niewiadomymi. Być może każde słowo w podręcznikach historii, nawet to, co nie budziło żadnych zastrzeżeń, było czystym wymysłem. Równie dobrze nigdy nie było takiego prawa jak *ius primae noctis*, takiej istoty jak kapitalista ani takiej części stroju jak cylinder.

Wszystko rozpływało się we mgle. Przeszłość była wymazywana, wymazywanie było zapominane, kłamstwo stawało się prawdą. Tylko raz w życiu — *po* wydarzeniu, co było ważne — miał w ręku konkretny, niewątpliwy dowód fałszerstwa. Trzymał go w palcach przez trzydzieści sekund. Musiało to być w 1973 roku — w każdym razie mniej więcej wtedy, gdy rozeszli się z Katharine. Ale znacząca data była o siedem czy osiem lat wcześniejsza.

Tak naprawdę ta historia zaczęła się w połowie lat sześćdziesiątych, w okresie wielkich czystek, kiedy raz na zawsze zmieciono rzeczywistych przywódców Rewolucji. Do 1970 roku nie przetrwał żaden z nich oprócz Wielkiego Brata. Całą resztę zdemaskowano jako zdrajców i kontrrewolucjonistów. Goldstein uciekł i ukrywał się nie wiadomo gdzie, kilku z pozostałych po prostu zniknęło, a większość stracono po procesach pokazowych, podczas których przyznali się do swych zbrodni. Wśród ostatnich ocalałych było trzech mężczyzn o nazwiskach Jones, Aaronson i Rutherford. Musiano ich aresztować w 1965. Jak się często zdarzało, zniknęli na rok czy dłużej, nikt więc nie wiedział, czy jeszcze żyją, czy są martwi, a potem nagle wyciągnięto ich z niebytu, by — jak zwykle — obciążyli się zeznaniami. Przyznali się do dostarczania informacji wrogowi (również wtedy była nim Eurazja), sprzeniewierzenia funduszy publicznych, zamordowania wielu zaufanych członków Partii, intryg przeciw Wielkiemu Bratu, które zaczęli knuć na długo przed Rewolucją, i aktów sabotażu, w wyniku których poniosło śmierć setki tysięcy ludzi. Po przyznaniu się do tych czynów ułaskawiono ich, przywrócono im członkostwo w Partii i dano stanowiska, które były w rzeczywistości synekurami, ale których nazwy brzmiały poważnie. Cała trójka napisała do „Timesa” długie, żałosne artykuły, w których analizowała powody swojej zdrady i przyrzekała poprawę.

Jakiś czas po wypuszczeniu ich na wolność Winston zobaczył całą trójkę w kawiarni Pod Kasztanem. Pamiętał podszytą strachem fascynację, z jaką przyglądał się im kątem oka. Byli dużo starsi od niego, relikty starego świata, niemal ostatnie wielkie postacie z heroicznych początków Partii. Wciąż jeszcze otaczała ich słaba aura walki podziemnej i wojny domowej.

Chociaż w owym czasie fakty i daty coraz bardziej blakły, miał wrażenie, że znał ich nazwiska, nim usłyszał o Wielkim Bracie. Ale byli wyrzutkami, wrogami, niedotykalnymi, niemal na pewno skazanymi na zagładę w ciągu roku czy dwóch. Nikomu, kto raz wpadł w ręce Policji Myśli, nigdy nie udało się ujść z życiem. Byli trupami czekającymi na odesłanie do grobu.

Przy żadnym z najbliższych stolików nie było nikogo. Nie było mądrze nawet dać się widzieć w pobliżu takich osób. Siedzieli w milczeniu nad szklaneczkami dżinu doprawionego goździkami, który był specjalnością zakładu. Z całej trójki największe wrażenie zrobił na Winstonie wygląd Rutherforda. Był on kiedyś znanym karykaturzystą, którego zjadliwe rysunki pomagały rozpalać opinię publiczną przed i podczas Rewolucji. Jeszcze teraz ukazywały się sporadycznie w „Timesie”, ale były już tylko marnymi imitacjami jego dawnego stylu, zaskakująco bezbarwnymi i nieprzekonującymi. Zawsze było to odgrzewanie starych tematów — ruder w slumsach, przymierających głodem dzieci, walk ulicznych, kapitalistów w cylindrach — zdawali się z nimi nie rozstawać nawet na barykadach — niekończące się, beznadziejne próby powrotu do przeszłości. Był monstrualnie potężnym mężczyzną z grzywą przetłuszczonych siwych włosów, workami pod oczami, pobrużdżoną twarzą i grubymi negroidalnymi wargami. Kiedyś musiał być bardzo silny, ale teraz jego ogromne ciało było sflaczałe, zgarbione i rozlewało się na wszystkie strony. Zdawał się rozpadać na oczach Winstona jak osypująca się góra.

Była piętnasta, godzina samotności. Winston nie mógł sobie przypomnieć, jak znalazł się w kawiarni o takiej porze. Była prawie pusta. Z teleekranu sączyła się tandetna muzyka. Trzej mężczyźni w rogu siedzieli niemal nieruchomo, nie odzywając się ani słowem. Kelner przyniósł bez zamówienia nowe szklaneczki dżinu. Na stoliku przed nimi leżała szachownica z ustawionymi pionkami i figurami, ale gra się nawet nie zaczęła. I wtedy, może na pół minuty, coś się stało z teleekranem. Zmieniła się grana melodia, zmieniła się też jej tonacja. Była to szczególna, fałszywa, chełpliwa, szydząca nuta — Winston nazwał ją w myślach ociekającą żółcią. A potem jakiś głos zaśpiewał:

Pod potężnym kasztana pniem
Sprzedałem ciebie, tyś sprzedał mnie.
Tam kłamią oni, a my co dzień
Tu, gdzie się wznosi kasztana pień.

Żaden z nich nawet się nie poruszył. Winston jeszcze raz zerknął na zniszczoną twarz Rutherforda i zobaczył, że jego oczy są pełne łez. I po raz pierwszy zauważył z wewnętrznym wzdrygnięciem, nie wiedząc jednak, *na co* się wzdrygnął, że zarówno Aaronson, jak i Rutherford mają złamane nosy.

Niedługo potem całą trójkę ponownie aresztowano. Okazało się, że zaraz po wypuszczeniu na wolność zaangażowali się ponownie w działania konspiracyjne. Na drugim procesie raz jeszcze przyznali się do swoich starych zbrodni i do szeregu nowych. Zostali zgładzeni, a ich los został zapisany w historii Partii jako ostrzeżenie dla potomności. Mniej więcej pięć lat później, w 1973 roku, Winston rozwijał rulon dokumentów, który przed chwilą wypadł z pneumatycznej rury na jego biurko, gdy natrafił na kawałek papieru najwyraźniej wetknięty między inne i zapomniany. W chwili, gdy go wygładził, uświadomił sobie jego znaczenie. Była to połowa strony wyrwana z „Timesa” jakieś dziesięć lat wcześniej — górna połowa, więc z datą — na której widniało zdjęcie delegatów na jakąś konferencję partyjną w Nowym Jorku. W środku grupy byli wyeksponowani Jones, Aaronson i Rutherford. Nie było najmniejszych wątpliwości, że to oni; w każdym razie w podpisie pod zdjęciem figurowały ich nazwiska.

Rzecz w tym, że w obu procesach wszyscy trzej przyznali, że w tamtym czasie byli na terytorium Eurazji. Wylecieli z tajnego lotniska w Kanadzie na spotkanie gdzieś na Syberii i rozmawiali z członkami eurazjatyckiego Sztabu Generalnego, którym zdradzili najważniejsze tajemnice wojskowe. Ta data utkwiła Winstonowi w pamięci, ponieważ był to akurat dzień przesilenia letniego, ale cała ta historia musiała być też zapisana w niezliczo-

nych innych miejscach. Nasuwał się tylko jeden wniosek: zeznania były fałszywe.

Oczywiście samo w sobie nie było to wielkie odkrycie. Już wtedy Winston nie sądził, że ludzie likwidowani podczas czystek naprawdę popełnili zbrodnie, o które ich oskarżano. Ale to był konkretny dowód, fragment unicestwionej przeszłości, coś takiego jak kostna skamieniałość, która pojawiła się w niewłaściwej warstwie i wywróciła teorię geologiczną. To zdjęcie wystarczyłoby do rozbicia Partii w pył, gdyby można je było opublikować i ukazać światu, co znaczy.

Zabrał się do pracy. Gdy tylko zobaczył, co jest na tamtym zdjęciu i pojął jego wagę, przykrył je inną kartką papieru. Na szczęście, kiedy rozwinął tamtą stronę, była odwrócona do góry nogami do teleekranu.

Położył notatnik na kolanie i odsunął się z krzesłem, by znaleźć się jak najdalej od pola widzenia teleekranu. Nietrudno było zachować kamienną twarz, można było nawet, z niewielkim wysiłkiem, zapanować nad oddechem, ale nie nad biciem serca, a teleekrany były tak czułe, że mogły to wychwycić. Odczekał — jak ocenił — dziesięć minut, cały czas trzęsąc się ze strachu, że zdarzy się coś — na przykład nagły przeciąg na biurku — co go zdradzi. Potem, nie odwracając ponownie zdjęcia, wrzucił je wraz z innymi, zbędnymi już papierami do dziury pamięci. Po minucie powinno obrócić się w popiół.

Było to dziesięć, może jedenaście lat temu. Dzisiaj pewnie zatrzymałby to zdjęcie. Dziwne było, że to, iż trzymał je w rękach, zdawało się mieć znaczenie jeszcze teraz, gdy zarówno samo to zdjęcie, jak i wydarzenie, które zostało na nim utrwalone, były tylko wspomnieniem. Zastanawiał się, czy uścisk, w którym Partia trzymała przeszłość, zelżał, bo istniejący *kiedyś* dowód już nie istnieje?

Ale dziś, nawet gdyby to zdjęcie udało się jakoś wskrzesić z popiołów, być może nie byłoby żadnym dowodem. Już wtedy, gdy dokonał tego odkrycia, Oceania nie toczyła wojny z Eurazją, więc ci trzej straceni mężczyźni musieli zdradzić swój kraj agentom Wschodoazji. Od tamtej pory zaszły też inne zmiany — dwie, trzy, nie pamiętał ile. Bardzo możliwe, że

te zeznania były tylekroć przerabiane, iż fakty i daty nie miały już najmniejszego znaczenia. Przeszłość nie tylko się zmieniła — zmieniała się ciągle. Najbardziej dręczyło go koszmarne uczucie, że nie potrafi jasno zrozumieć, *dlaczego* podjęto się tego wielkiego oszustwa. Bezpośrednie korzyści płynące z fałszowania przeszłości były ewidentne, ale ostateczny cel był tajemnicą. Znowu ujął pióro i napisał:

Rozumiem JAK; nie rozumiem DLACZEGO.

Zastanawiał się, jak wiele razy wcześniej, czy nie jest wariatem. Być może wariat to po prostu jednoosobowa mniejszość. Kiedyś oznaką szaleństwa była wiara, że Ziemia krąży wokół Słońca, obecnie zaś — że przeszłość jest niezmienna. Ale myśl o tym, że jest wariatem, niezbyt go niepokoiła; grozą przejmowało to, że mógł się też mylić.

Podniósł dziecięcy podręcznik historii i przyjrzał się portretowi Wielkiego Brata na frontyspisie. Hipnotyzujące oczy zaglądały w głąb jego duszy. Miał wrażenie, jakby napierała na niego jakaś ogromna siła, coś, co wnikało mu do głowy, waliło w mózg, wypłaszało jego przekonania, niemal zmuszało, by nie wierzył świadectwu własnych zmysłów. W końcu Partia ogłosi, że dwa plus dwa równa się pięć, a on w to uwierzy. Było to nieuniknione, wcześniej czy później Partia to zrobi; wymagała tego jej logika. Ich filozofia odrzucała nie tylko wartość doświadczenia, ale nawet samo istnienie rzeczywistości zewnętrznej. Zdrowy rozsądek był herezją nad herezjami. A najbardziej przerażające nie było to, że zabiją go za to, iż myśli inaczej, ale że mogą mieć rację. No bo przecież skąd wiadomo, że dwa plus dwa równa się cztery? Albo że działa siła grawitacji? Albo że przeszłość jest niezmienna? A jeśli przeszłość i świat zewnętrzny istnieją tylko w umyśle, a sam umysł można kontrolować — co wtedy?

Ale nie! Nagle wezbrała w nim, jakby sama z siebie, odwaga. Przed jego oczami pojawiła się twarz O’Briena, nieprzywołana żadnym oczywistym skojarzeniem. Wiedział, z większą pewnością niż wcześniej, że O’Brien jest po jego stronie. Pisał ten dziennik dla O’Briena — *do* O’Briena — był on

niczym niekończący się list, którego nikt nigdy nie przeczyta, ale zaadresowany do konkretnej osoby i z tego brał się jego ton.

Partia kazała mu odrzucać świadectwo jego własnych oczu i uszu. To był jej ostateczny, najważniejszy rozkaz. Opadło go przygnębienie, gdy pomyślał o stojącej przeciw niemu ogromnej potędze, o łatwości, z jaką każdy partyjny intelektualista pokonałby go w debacie, o subtelnych argumentach, których nie zdołałby zrozumieć, a co dopiero na nie odpowiedzieć. A jednak to on miał rację! To oni się mylili, nie on. Trzeba bronić tego, co oczywiste i prawdziwe, nawet jeśli to głupie. Truizmy są prawdziwe, tego się trzymaj! Świat materialny istnieje, jego prawa są niezmienne. Kamienie są twarde, woda mokra, niepodtrzymywane przedmioty spadają na ziemię. Z poczuciem, że mówi do O’Briena, a także ustanawia ważny aksjomat, napisał:

Wolność to możliwość bezkarnego twierdzenia, że dwa plus dwa równa się cztery. Jeśli to jest zagwarantowane, wynika z tego cała reszta.

VIII

Skądś w głębi korytarza spłynął na ulicę zapach palonej kawy — prawdziwej kawy, nie Kawy Zwycięstwa. Winston zatrzymał się bezwiednie. Na chwilę znalazł się z powrotem w na pół zapomnianym świecie dzieciństwa. Potem trzasnęły drzwi, ucinając raptownie aromat niczym dźwięk.

Przewędrował chodnikami wiele kilometrów i znowu zaczął mu doskwierać wrzód na nodze. Już po raz drugi w ciągu trzech tygodni opuścił wieczorne zajęcia w świetlicy, co było nierozważne, bo można było mieć pewność, że dokładnie sprawdzano obecność. Członek Partii nie miał w zasadzie wolnego czasu i poza łóżkiem nigdy nie był sam. Zakładano, że gdy nie pracuje, nie je ani nie śpi, bierze udział w jakichś wspólnych zajęciach lokalnej społeczności — robienie czegokolwiek, co mogłoby nasuwać przypuszczenie o upodobaniu do samotności, nawet spacer w pojedynkę, było zawsze trochę ryzykowne. W nowomowie istniało na to słowo: „życiesobie”, oznaczające indywidualizm i ekscentryczność. Ale gdy tego wieczoru wyszedł z ministerstwa, skusił go balsamiczny zapach kwietniowego powietrza. Niebo było tak ciepłobłękitne jak jeszcze nigdy w tym roku i nagle długi, hałaśliwy wieczór w świetlicy, nudne, męczące gry, pogadanki, podlewana dżinem atmosfera wrzaskliwego kumplostwa wydały mu się nieznośne. Pod wpływem impulsu odwrócił się od przystanku autobusowego i powędrował w labirynt Londynu, najpierw na południe, potem na wschód, z powrotem na północ, gubiąc się w nieznanych ulicach i nie przejmując się, dokąd idzie.

„Jeśli jest jakaś nadzieja — napisał w pamiętniku — to tylko w prolach”. Te słowa, stwierdzenie mistycznej prawdy, a zarazem ewidentnego absurdu,

stale do niego wracały. Był gdzieś w rozległych, brunatnych slumsach na północny wschód od miejsca, które kiedyś było stacją Świętego Pankracego. Szedł po kocich łbach ulicą małych jednopiętrowych domów z odrapanymi wejściami, które wychodziły wprost na chodnik i dziwnie przypominały szczurze nory. Tu i ówdzie między kamieniami stały kałuże brudnej wody. Przez ciemne bramy i wąskie boczne uliczki, które rozchodziły się w obie strony, przelewały się zdumiewająco liczne tłumy ludzi: dziewczyny w pełni rozkwitu, z ordynarnie umalowanym ustami, chłopcy, którzy się za nimi uganiali, rozdęte, człapiące jak kaczki kobiety — żywy obraz, jak te dziewczęta będą wyglądały za dziesięć lat — stare, przygarbione istoty powłóczące nogami i obdarte, bose dzieci, które bawiły się w kałużach i rozbiegały na gniewne krzyki matek. Chyba jedna czwarta okien była bez szyb i zabita deskami. Większość tych ludzi nie zwracała na niego uwagi; zaledwie kilkoro spojrzało ze skrywaną ciekawością. Przed jednym z wejść rozmawiały dwie monstrualnych rozmiarów kobiety ze złożonymi na fartuchach czerwonymi jak cegła rękami.

Gdy się zbliżył, dotarły do niego strzępy rozmowy.

— Ta, mówię do niej, jest jak jest, mówię. Ale jakby ty była na moim miejscu, to by zrobiła tak samo. Łatwo pouczać, mówię, ale ty nie masz takich kłopotów jak ja.

— Ano tak — powiedziała druga — tak to jest. Tak właśnie jest.

Ostre głosy nagle ucichły. Kobiety przyglądały mu się we wrogim milczeniu, kiedy je mijał. Ale właściwie nie była to wrogość, tylko czujność, chwilowe zesztywnienie, jakby obok nich przechodziło jakieś nieznane zwierzę. Granatowy partyjny kombinezon nie mógł być pospolitym widokiem na takiej ulicy. Prawdę mówiąc, niemądrze było pokazywać się w takich miejscach, jeśli nie miało się tam do załatwienia jakiejś konkretnej sprawy. Gdybyś natknął się na patrol, mogliby cię zatrzymać. „Pokażcie papiery, towarzyszu. Co tu robicie? O której wyszliście z pracy? Tędy zwykle wracacie do domu?” — i tak dalej, i tak dalej. Nie żeby był zakaz wracania do domu inną niż zwykle drogą, ale wystarczało to, żeby zwrócić na siebie uwagę Policji Myśli, jeśli dotarła do niej wieść o tym.

Nagle na ulicy powstało poruszenie. Ze wszystkich stron dobiegały ostrzegawcze okrzyki. Ludzie zmykali do bram jak króliki. Z jednej, tuż przed Winstonem, wyskoczyła młoda kobieta. Chwyciła małe dziecko taplające się w kałuży, owinęła je fartuchem i wskoczyła z powrotem, wszystko jednym płynnym ruchem. W tej samej chwili podbiegł do Winstona mężczyzna w czarnym, pomarszczonym jak harmonia garniturze, który wyłonił się z bocznej uliczki, wskazując z przejęciem na niebo.

— Parowar! — krzyknął. — Uważaj, szefie! Padnij, no już!

Parowarem prole z jakiegoś powodu ochrzcili pociski rakietowe. Winston natychmiast rzucił się twarzą na ziemię. Prole niemal nigdy się nie mylili, gdy rzucali takie ostrzeżenie. Zdawali się wyczuwać nadlatującą rakietę szóstym zmysłem, chociaż podobno rakiety poruszały się z prędkością ponaddźwiękową. Zasłonił głowę rękami. Rozległ się huk, od którego zdawał się drżeć chodnik, na plecy Winstona spadł grad drobnych przedmiotów. Kiedy wstał, zorientował się, że jest obsypany odłamkami szkła z najbliższego okna.

Ruszył dalej. Rakieta zburzyła kilka domów dwieście metrów dalej. Na niebie wisiał czarny pióropusz dymu, a pod nim kłębiła się chmura pyłu z rozkruszonego tynku, w której wokół ruin zaczął się już gromadzić tłum. Na chodniku przed Winstonem leżała sterta gruzu, pośrodku której dostrzegł jasnoczerwoną plamę. Gdy się do niej zbliżył, zobaczył, że jest to oderwana dłoń. Kikut krwawił, ale reszta była tak biała, że przypominała odłupany gipsowy odlew.

Odrzucił ją kopnięciem w rynsztok, a potem, by uniknąć tłumu, skręcił w boczną uliczkę po prawej. Po trzech czy czterech minutach był już poza strefą wybuchu. Ulice tętniły życiem, jakby nic się nie stało. Dochodziła dwudziesta i pijalnie, do których chodzili prole (nazywali je „pubami”), pękały w szwach. Z ich brudnych, wiecznie otwierających się i zamykających drzwi zalatywało moczem, trocinami i kwaśnym piwem. W kącie utworzonym przez wychodzącą na chodnik fasadę domu stało blisko siebie trzech mężczyzn. Środkowy trzymał rozłożoną gazetę, którą studiowali, zaglądając mu przez ramię, pozostali dwaj. Jeszcze zanim znalazł się na

tyle blisko, by zobaczyć ich miny, zauważył w ich ruchach napięcie. Widocznie była to jakaś ważna wiadomość. Dzieliło go od nich kilka kroków, gdy nagle grupa się rozpadła i dwóch mężczyzn wdało się w gwałtowny spór. Przez chwilę wydawało się, że skoczą sobie do gardeł.

— Czego, do cholery, nie słuchasz, co mówie? Ile razy mam ci powtarzać, że od czternastu miesięcy nie wygrał żaden numer z końcówko siedem!

— A właśnie, że tak!

— Akurat! Od dwóch lat zapisuje na kartce wszystkie wyniki. Regularnie jak w zegarku. I mówie ci, że żadna liczba, co się kończy na siedem…

— Aha, kiedyś wygrała! Mogę ci podać cały ten cholerny numer! Miała końcówkę cztery zero siedem. To było w lutym — w drugim tygodniu lutego.

— W lutym, chyba za twojej babki! Mam to czarno na białym. I mówie ci, żaden numer…

— Och, zamknijcie się już! — powiedział trzeci mężczyzna.

Rozmawiali o loterii. Po przejściu trzydziestu metrów Winston się obejrzał. Wciąż się kłócili z wypiekami na twarzach. Loteria, w której co tydzień wypłacano ogromne wygrane, była jedynym publicznym wydarzeniem, na które prole zwracali baczną uwagę. Prawdopodobnie tylko ona podtrzymywała przy życiu kilka ich milionów. Była dla nich radością, szaleństwem, balsamem na wszelkie rany, podnietą umysłową. Tam, gdzie chodziło o loterię, nawet ludzie, którzy ledwie potrafili czytać i pisać, zdawali się zdolni do zawiłych obliczeń i zdumiewających wyczynów pamięciowych. Istniała cała grupa ludzi, którzy utrzymywali się wyłączenie ze sprzedaży systemów, prognoz i przynoszących szczęście amuletów. Winston nie miał nic wspólnego z prowadzeniem loterii, która podlegała Ministerstwu Obfitości, ale zdawał sobie sprawę (w istocie zdawali sobie z tego sprawę wszyscy członkowie Partii), że wygrane były w większości wyssane z palca. W rzeczywistości wypłacano tylko drobne sumy, zdobywcy wysokich nagród byli osobami fikcyjnymi. Przy braku prawdziwej komunikacji między poszczególnymi częściami Oceanii nietrudno było to zorganizować.

Jeśli można było mieć nadzieję, to trzeba ją było pokładać w prolach. Tego trzeba się było trzymać. Gdy ujęło się to w słowa, brzmiało rozsądnie; dopiero gdy się człowiek przyjrzał istotom mijającym go na chodniku, stawało się aktem wiary.

Ulica, w którą skręcił, biegła w dół. Miał wrażenie, że już kiedyś był w tej okolicy i że niedaleko jest główna arteria. Gdzieś z przodu dobiegł gwar podniesionych głosów. Ulica ostro skręcała i kończyła się schodami, które prowadziły w zapadły zaułek, gdzie kilku straganiarzy sprzedawało zwiędłe warzywa. Nagle Winston uświadomił sobie, gdzie jest. Zaułek wychodził na główną ulicę, a za następnym zakrętem, nie dalej niż o pięć minut drogi, znajdował się sklep z rupieciami, gdzie kupił czysty zeszyt, który teraz był jego pamiętnikiem. A w papierniczym nieco dalej obsadkę i kałamarz z atramentem.

Na szczycie schodów zatrzymał się na chwilę. Po przeciwnej stronie uliczki znajdował się obskurny mały pub, którego okna wyglądały na oszronione, a w rzeczywistości były tylko pokryte kurzem. Bardzo stary mężczyzna, zgięty, ale żwawy, o siwych wąsach sterczących do przodu jak u krewetki, pchnął wahadłowe drzwi i wszedł do środka. Kiedy Winston mu się przyglądał, przyszło mu do głowy, że staruszek, który musiał mieć co najmniej osiemdziesiąt lat, był już w wieku dojrzałym, gdy wybuchła Rewolucja. On i garstka jego równolatków byli ostatnimi łącznikami z przebrzmiałym światem kapitalizmu. W samej Partii nie było wielu ludzi, których poglądy ukształtowały się przed Rewolucją. Starsze pokolenie zostało w większości zlikwidowane podczas wielkich czystek w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a nielicznych, którzy ocaleli, tak sterroryzowano, że siedzieli jak myszy pod miotłą. Jeśli żył jeszcze ktoś, kto mógłby mu opowiedzieć, jakie warunki naprawdę panowały na początku wieku, to mógł to być tylko prol. Nagle Winstonowi stanął przed oczami jak żywy fragment podręcznika historii, który przepisał do pamiętnika, i owładnęła nim szaleńcza myśl. Wejdzie do pubu, zawrze znajomość z tym staruszkiem i wypyta go. Zagadnie: „Opowiedzcie mi, jak wyglądało życie za waszych chłopięcych lat. Jak wtedy było? Lepiej niż teraz czy gorzej?”.

Pospiesznie, by nie obleciał go strach, zbiegł ze schodów i przeszedł przez wąską uliczkę. Wprawdzie nie istniał oficjalny zakaz rozmawiania z prolami i uczęszczania do ich pubów, ale jego zachowanie było zbyt niezwykłe, aby mogło ujść uwagi. Gdyby pojawił się patrol, mógłby udać, że zasłabł, było jednak mało prawdopodobne, by mu uwierzono. Pchnął drzwi i w twarz buchnął mu wstrętny, kwaśny odór podłego piwa. Kiedy wszedł, gwar rozmów przycichł. Czuł na plecach, że wszyscy gapią się na jego granatowy kombinezon. Gra w strzałki na drugim końcu sali ustała na dobrych trzydzieści sekund. Staruszek, za którym przyszedł, stał przy barze, sprzeczając się o coś z barmanem, potężnym, tęgim młodym mężczyzną o haczykowatym nosie i ogromnych przedramionach. Przyglądał się temu wianuszek innych z kuflami w dłoniach.

— Spytał żem grzecznie, nie? — powiedział staruszek, prostując się wojowniczo w ramionach. — Mówisz, że w tej mordowni nie ma pintowego kufla?

— A co, do diabła, za nazwa, ta pinta? — odparł barman, pochylając się do przodu i opierając się koniuszkami palców o kontuar.

— Słuchajta go! Niby barman, a nie wie, co to pinta! No jak to, pinta to pół kwarty, a cztery kwarty to galon. Mam cie uczyć abecadła?

— Nigdy żem o tym nie słyszał — rzekł krótko barman. — Litr i pół litra — tylko w takich podajemy. Kufle stojo na półce przed tobą.

— Ja chce pinte — upierał się stary. — Mógbyś mi nalać pinte jak nic. Za moich młodych lat nie było tych cholernych litrów.

— Za twoich młodych lat my wszyscy żyli na drzewach — powiedział barman, zerkając na pozostałych klientów.

Rozległ się śmiech i zdawało się, że skrępowanie spowodowane wejściem Winstona minęło. Twarz staruszka spąsowiała pod kilkudniową siwą szczeciną. Odwrócił się, mrucząc pod nosem, i wpadł na Winstona, który podtrzymał go delikatnie za ramię i zapytał:

— Mogę wam postawić piwo?

— Równy z was gość — powiedział stary, znowu prostując się w ramionach. Zdawał się nie zauważać granatowego kombinezonu Winstona.

— Pinta! — rzucił ze złością do barmana. — Pinta browara.

Barman nalał ciemnobrązowego piwa do dwóch półlitrowych szklanic z grubego szkła, które opłukał w wiadrze pod kontuarem. Piwo było jedynym napitkiem, który można było kupić w pubach dla proli. Nie powinni pić dżinu, chociaż w praktyce łatwo było go dostać. Gra w strzałki znowu się rozkręciła, a wianuszek mężczyzn przy barze zaczął rozmawiać o kuponach loterii. Na chwilę zapomniano o obecności Winstona. Pod oknem był drewniany stolik, gdzie mógł porozmawiać ze staruszkiem bez obawy, że ktoś go podsłucha. Było to strasznie niebezpieczne, ale przynajmniej w pomieszczeniu nie było teleekranu, o czym upewnił się zaraz po wejściu.

— Móg mnie nalać pinte — gderał staruszek, sadowiąc się za kuflem. — Pół litra nie starczy. To za mało. A cały liter to trochę za dużo. Zaczyna przeć na pęcherz. Nie mówiąc o cenie.

— Od młodości musieliście widzieć wielkie zmiany — zaczął niepewnie Winston.

Spojrzenie wyblakłych niebieskich oczy starego przeniosło się z tarczy ze strzałkami na bar, a z baru na drzwi toalety dla mężczyzn, jakby się spodziewał, że to w pubie zaszły te zmiany.

— Piwo było lepsze — powiedział w końcu. — I tańsze! Kiedy byłem młody, pinta jasnego piwa — browara, jak je nazywalim — kosztowała cztery pensy. Oczywiście to było przed wojną.

— Przed którą? — zapytał Winston.

— Wszystkie są takie same — odparł z roztargnieniem staruszek. Podniósł kufel, a jego ramiona znowu się wyprostowały. — Na zdrowie.

Grdyka sterczącа na jego chudej szyi wykonała zadziwiająco szybki ruch w górę i w dół i piwo zniknęło. Winston poszedł do baru i wrócił z kolejnymi półlitrowymi kuflami. Wydawało się, że staruszek zapomniał o uprzedzeniu do wypicia całego litra.

— Jesteście dużo starsi ode mnie — powiedział Winston. — Musieliście być już mężczyzną, zanim się urodziłem. Może pamiętacie, jak było przed Rewolucją. Ludzie w moim wieku tak naprawdę nic nie wiedzą o tamtych czasach. Możemy tylko poczytać o nich w książkach, a to, co jest w książ-

kach, może nie być zgodne z prawdą. Chciałbym poznać wasze zdanie. Podręczniki historii mówią, że przed Rewolucją żyło się zupełnie inaczej niż teraz. Panowały straszliwy ucisk, niesprawiedliwość, bieda — było tak źle, że nawet nie możemy sobie tego wyobrazić. Tutaj, w Londynie, mnóstwo ludzi nie mogło od narodzin do śmierci najeść się do syta. Połowa z nich nie miała nawet butów. Pracowali po dwanaście godzin na dobę, szkołę kończyli w wieku dziewięciu lat, spali po dziesięć osób w jednej izbie. A jednocześnie była garstka ludzi, tylko kilka tysięcy — nazywano ich kapitalistami — bogatych i potężnych. Posiadali wszystko, co można posiadać. Mieszkali w wielkich, wspaniałych domach i mieli po trzydziestu służących, jeździli samochodami i czterokonnymi powozami, pili szampana i nosili cylindry…

Staruszek nagle się rozpromienił.

— Cylindry! — powiedział. — Zabawne, że o nich wspomniałeś. To samo przyszło mi do głowy nie dalej jak wczoraj, nie wiem dlaczego. Tak tylko sobie pomyślałem, że od lat nie widziałem cylindra. Wyszły z użycia. Ostatnim razem miałem taki na głowie na pogrzebie mojej bratowej. A było to… nie podam ci daty, ale musiało być z pięćdziesiąt lat temu. Oczywiście, no wiesz, tylko go wypożyczyłem na tę okazję.

— Cylindry nie są takie ważne — powiedział cierpliwie Winston. — Chodzi o to, że ci kapitaliści — oni i garstka prawników, duchownych i tak dalej — byli panami świata. Wszystko istniało dla ich korzyści. Wy — zwykli ludzie, robotnicy — byliście ich niewolnikami. Mogli z wami zrobić, co chcieli. Mogli wysłać was jak bydło do Kanady. Mogli sypiać z waszymi córkami, jeśli przyszła im na to ochota. Mogli kazać wychłostać was tak zwanym kańczugiem. Kiedy ich mijaliście, musieliście zdejmować czapki z głów. Każdy kapitalista miał bandę lokajów, którzy…

Staruszek znowu się rozpromienił.

— O, to, to. Lokaje! — powiedział. — Tego słowa żem nie słyszał od lat. Lokaje! Jakbym wrócił do tamtych czasów, mówie prawde. Przypominam sobie, że czasami — o, kupe lat temu — chodziłem w niedziele po południu do Hyde Parku posłuchać facetów wygłaszających mowy. Armia

Zbawienia, katolicy, Żydzi, Hindusi — do wyboru, do koloru. I był tam taki jeden — nie podam ci nazwiska, ale ten to gadał jak najęty. Nic im nie popuścił! „Lokaje, powiada, lokaje burżuazji! Pachołki klasy rządzącej!” Albo inne słowo: pasożyty. I hieny, na mur mówił o nich hieny. Oczywiście to sie odnosiło do Partii Pracy.

Winston miał wrażenie, że mówią o zupełnie innych rzeczach.

— Tak naprawdę chciałem się tylko dowiedzieć, czy uważacie, że dzisiaj mamy więcej swobód niż w waszych czasach? — powiedział. — Jesteście lepiej traktowani? Dawniej bogacze, ci na samej górze…

— Izba Lordów — wtrącił staruszek z rozrzewnieniem.

— Niech będzie Izba Lordów. Pytam o to, czy ci ludzie traktowali was jak gorszy gatunek, po prostu dlatego, że byli bogaci, a wy biedni? Czy na przykład faktycznie musieliście się zwracać do nich „Jaśnie Panie” i zdejmować czapki, gdy koło nich przechodziliście?

Stary zamyślił się głęboko. Zanim odpowiedział, wypił prawie jedną czwartą kufla.

— Tak — rzekł w końcu. — Lubili, jak sie przykładało palce do czapki, coby okazać im uszanowanie. Osobiście to mi się nie podobało, ale całkiem często to robiłem. Musiałem, można powiedzieć.

— A czy było na porządku dziennym — tylko cytuję to, co przeczytałem w książkach historycznych — czy było na porządku dziennym, że ci ludzie i ich słudzy spychali was z chodników do rynsztoków?

— Jeden kiedyś mnie zepchnoł. Pamiętam, jakby to było wczoraj. To było wieczorem w dniu regat wioślarskich na Tamizie, wtedy robili się strasznie zaczepni, a ja wpadłem na takiego faceta na Shaftsbury Road. Szczaw jeszcze, ale panisko jak sie patrzy: koszula frakowa, cylinder, czarny płaszcz. Szedł jakoś zygzakiem po chodniku i niechcący go potrąciłem. Mówi: „Patrz, gdzie leziesz”. A ja: „Myślisz, że ten cały cholerny chodnik jest twój?”. On do mnie: „Ukręce ci ten parszywy łeb, jak bedziesz pyskował”. „Schlałeś się jak świnia. Zara zawołam gliny i cie zwino”, ja na to. I wiesz, co on wtedy? Przykłada mi ręke do piersi i jak mnie popchnie!

O mało żem nie wpadł pod autobus. Byłem wtedy młody i chciałem mu przywalić, tylko że…

Winstona opadła bezradność. Pamięć starego była jak sterta rupieci. Można by go było pytać przez cały dzień i nie uzyskać żadnych istotnych informacji. Może jednak partyjne podręczniki historii były w części, a nawet całkowicie prawdziwe. Podjął ostatnią próbę.

— Może nie wyraziłem się jasno — rzekł. — Spróbuję jeszcze raz wyjaśnić, o co mi chodzi. Otóż żyjecie już bardzo długo; połowa waszego życia to czasy przed Rewolucją. Na przykład w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym byliście już w sile wieku. Na podstawie tego, co pamiętacie, powiedzielibyście, że w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym było lepiej niż teraz czy gorzej? Gdybyście mogli wybierać, wolelibyście żyć wtedy czy teraz?

Staruszek popatrzył w zamyśleniu na tarczę do strzałek. Dopił swoje piwo, wolniej niż przedtem. Gdy się odezwał, w jego głosie brzmiała dobroduszna, refleksyjna nuta, jakby piwo złagodziło jego nastrój.

— Wiem, czego ode mnie chcesz — powiedział. — Chcesz, cobym powiedział, że wolałbym być znowu młody. Większość tak mówi. Kiedy jesteś młody, masz zdrowie i siłe. Jak bedziesz miał moje lata, nigdy nie będziesz czuł się dobrze. Strzyka mnie w nogach, a z pęcherzem to już tragedia. Sześć, siedem razy w nocy wygania mnie z łóżka. Z drugiej strony starość ma spore zalety. Pozbywasz się dawnych zmartwień. Żadnych figli z kobietami, a to duża sprawa. Dasz wiarę, że prawie od trzydziestu lat nie miałem kobiety? Ba, nie miałem na to ochoty.

Winston oparł się plecami o parapet. Nie było sensu ciągnąć tego dalej. Miał już kupić jeszcze po jednym piwie, gdy staruszek nagle się poderwał i szybko poczłapał do śmierdzącego pisuaru z boku sali. Dodatkowe pół litra już na niego podziałało. Winston siedział jeszcze przez chwilę, gapiąc się na pusty kufel, a potem nogi same poniosły go z powrotem na ulicę. Pomyślał, że najdalej za dwadzieścia lat nikt nie będzie potrafił odpowiedzieć na ważne, ale proste pytanie: „Czy przed Rewolucją żyło się lepiej niż teraz?”. Ale w gruncie rzeczy już teraz nie było na nie odpowiedzi, bo nie-

liczne, rozrzucone po całym kraju niedobitki dawnego świata nie potrafiły porównać jednej epoki z drugą. Pamiętały miliony bezużytecznych rzeczy, jakąś kłótnię z kolegą z pracy, poszukiwanie zgubionej pompki do roweru, wyraz twarzy dawno zmarłej siostry, kurz wirujący w wietrzny poranek siedemdziesiąt lat temu, ale wszystkie istotne fakty umknęły im z pola widzenia. Były jak mrówki, które widzą małe przedmioty, a dużych nie zauważają. Gdy zaś zginie pamięć, a źródła pisane zostaną sfałszowane — kiedy do tego dojdzie, trzeba będzie przyjąć za dobrą monetę twierdzenie Partii, że warunki bytowe się polepszyły, ponieważ nie będzie istniało i już nigdy nie będzie istnieć żadne kryterium, według którego można by je mierzyć.

Tok jego myśli raptownie się urwał. Zatrzymał się i podniósł wzrok. Był w wąskiej uliczce, z kilkoma ciemnymi sklepikami wciśniętymi między kamienice. Tuż nad jego głową kołysały się trzy wyblakłe metalowe kule, które wyglądały, jakby kiedyś były pozłacane. To miejsce wydawało mu się znajome. Oczywiście! Stał przed sklepem z rupieciami, w którym kupił pamiętnik.

Przeszedł go dreszcz strachu. Samo kupno tego zeszytu było aktem tak szaleńczej brawury, że poprzysiągł sobie, iż jego stopa nigdy więcej tam nie postanie. A mimo to, gdy pozwolił swoim myślom błądzić, nogi same go tam poniosły. Zaczął prowadzić pamiętnik właśnie po to, by się bronić przed takimi samobójczymi odruchami. Zauważył też, że chociaż dochodziła dwudziesta pierwsza, sklep wciąż był otwarty. Wszedł do niego z poczuciem, że będzie się w nim mniej rzucał w oczy niż na chodniku. Gdyby go zapytano, co tam robi, mógłby użyć wiarygodnej wymówki, że szuka żyletek.

Właściciel akurat zapalił wiszącą pod sufitem lampę naftową, od której niósł się nieczysty, lecz przyjazny zapach. Był mężczyzną chyba pod sześćdziesiątkę, wątłym i przygarbionym, o długim, nadającym mu dobrotliwy wygląd nosie i łagodnych oczach nieco zniekształconych przez grube szkła. Włosy miał niemal siwe, ale brwi wciąż czarne i krzaczaste. Jego okulary, spokojne, nieco niezborne ruchy i stara, znoszona marynarka z czarnego aksamitu spowijały go w aurę intelektualisty, jakby był literatem albo

muzykiem. Miał miękki, jakby stłumiony głos i znacznie mniej niechlujną wymowę niż większość proli.

— Poznałem pana od razu, jak tylko stanął pan przed sklepem — powiedział od razu. — Pan jest tym dżentelmenem, który kupił sztambuch młodej damy. To był piękny papier. Żeberkowany, jak się kiedyś mówiło. Takiego nie produkuje się… och, chyba już od pół wieku. — Zerknął na Winstona znad okularów. — Ma pan jakieś specjalne życzenie czy chciał się pan tylko rozejrzeć?

— Przechodziłem tędy — odparł wymijająco Winston. — Po prostu zajrzałem. Nie szukam niczego konkretnego.

— To i dobrze — rzekł tamten — bo nie sądzę, żebym mógł pana zadowolić. — Wykonał przepraszający gest delikatną dłonią. — Sam pan widzi, sklep jest, można powiedzieć, pusty. Mówiąc między nami, handel starociami prawie się skończył. Nie ma już popytu, a i towaru. Meble, porcelana, szkło — wszystko stopniowo się kruszy. A przedmioty metalowe zostały oczywiście w większości przetopione. Od lat nie widziałem mosiężnego świecznika.

W rzeczywistości sklep był wręcz zagracony, ale nic nie miało najmniejszej wartości. Trudno było się ruszyć, bo przestrzeń ograniczały ustawione pod wszystkimi ścianami zakurzone ramy obrazów. W oknie stały tace ze śrubkami i nakrętkami, zużytymi dłutkami, scyzorykami o połamanych ostrzach, zaśniedziałymi zegarkami, które nawet nie udawały, że chodzą, i przeróżnymi innymi rupieciami. Tylko na małym stoliku w kącie leżały w nieładzie drobiazgi — emaliowane tabakierki, agatowe broszki i tym podobne rzeczy — które wyglądały, jakby można było znaleźć wśród nich coś ciekawego. Gdy Winston podszedł do stolika, jego wzrok przyciągnął mały gładki przedmiot, który połyskiwał łagodnie w świetle lampy. Podniósł go.

Był to ciężka bryłka szkła, z jednej strony wypukła, z drugiej płaska, tak że tworzyła niemal półkulę. Zarówno jej kolor, jak i struktura odznaczały się dziwną miękkością, jak woda deszczowa. W środku znajdował się,

powiększony przez wypukłą powierzchnię, dziwny skręcony różowy obiekt, który przypominał różę albo ukwiał.

— Co to jest? — spytał zafascynowany Winston.

— To koral — odparł staruszek. — Musi pochodzić z Oceanu Indyjskiego. Osadzano je w szkle. Ten na pewno ma nie mniej niż sto lat. A może więcej, sądząc z wyglądu.

— Piękna rzecz — stwierdził Winston.

— Piękna — rzekł sklepikarz z uznaniem. — Ale kto by dzisiaj tak powiedział. — Zakasłał. — Gdyby pan przypadkiem zechciał to kupić, kosztowałoby to pana cztery dolary. Pamiętam czasy, kiedy taką rzecz można było sprzedać za osiem funtów — a osiem funtów… cóż, nie przeliczę teraz, ale to była kupa pieniędzy. Lecz kogo obecnie obchodzą autentyczne antyki — nawet te nieliczne, które jeszcze zostały?

Winston natychmiast zapłacił te cztery dolary i schował upragniony przedmiot do kieszeni. Urzekło go nie tyle jego piękno, ile aura przynależności do epoki zupełnie odmiennej od obecnej. Miękkie jak woda deszczowa szkło było niepodobne do żadnego, które dotąd widział. Przedmiot był podwójnie atrakcyjny z powodu swej pozornej bezużyteczności, chociaż Winston domyślał się, że kiedyś musiał służyć za przycisk do papieru. Ciążył mu w kieszeni, ale na szczęście niezbyt ją wypychał. Posiadanie czegoś takiego przez członka Partii było dziwne, nawet kompromitujące. Wszystko, co stare albo choćby piękne, było zawsze bardzo podejrzane.

Gdy właściciel sklepu otrzymał cztery dolary, wyraźnie poprawił mu się humor. Winston uświadomił sobie, że zadowoliłby się trzema, a nawet dwoma.

— Na górze jest jeszcze jedno pomieszczenie, które może zechciałby pan obejrzeć — powiedział staruszek. — Niewiele tam jest. Zaledwie parę rzeczy. Jeśli chce pan tam pójść, przyda się nam lampa.

Zapalił drugą lampę i przygarbiony poprowadził powoli Winstona po stromych wydeptanych schodach i przez wąski korytarz do pokoju, którego okno nie wychodziło na ulicę, lecz na wybrukowane kocimi łbami podwórko i las kominów. Winston zauważył, że meble są ustawione tak,

jakby ktoś wciąż tam mieszkał. Na podłodze leżał dywanik, na ścianach wisiały ze dwa obrazy, a do kominka, na którego gzymsie tykał staroświecki zegar z dwunastogodzinnym cyferblatem, podciągnięty był głęboki wytarty fotel. Pod oknem stało zajmujące prawie ćwierć pokoju ogromne łoże z materacem.

— Mieszkaliśmy tu do śmierci mojej żony — powiedział na poły przepraszająco staruszek. — Po trochu wyprzedaję meble. O, tutaj jest mahoniowe łoże. Wspaniałe, a przynajmniej mogłoby takie być, gdyby udało się usunąć z niego pluskwy. Ale przypuszczam, że panu może się wydać nieco nieustawne.

Trzymał lampę wysoko, żeby oświetlić cały pokój, i w jej ciepłym, mdłym blasku to miejsce wyglądało dziwnie kusząco. Winstonowi przemknęło przez myśl, że pewnie łatwo byłoby go wynająć za parę dolarów tygodniowo, gdyby się odważył podjąć takie ryzyko. Był to szalony, absurdalny pomysł, który powinien porzucić, gdy tylko przyszedł mu do głowy, ale ten pokój wzbudził w nim nostalgię, jakąś dziedziczną pamięć. Wydawało mu się, że dokładnie wie, jak się człowiek czuje, siedząc w takim pokoju, w fotelu przed otwartym kominkiem, ze stopami na osłonie paleniska i czajnikiem na kuchni — zupełnie samotny, czując się całkowicie bezpiecznie, przez nikogo nie obserwowany, nie ścigany przez żaden głos, w ciszy, w której słychać tylko perkotanie czajnika i przyjazne tykanie zegara.

— Nie ma tu teleekranu! — mruknął Winston mimo woli.

— Ano tak — powiedział staruszek — i nigdy nie było czegoś takiego. To dla mnie za drogie. I jakoś nigdy nie czułem potrzeby, żeby to mieć. A tam, w rogu, jest ładny rozkładany stół. Ale gdyby chciał pan korzystać z podnoszonych płyt, musiałby pan założyć nowe zawiasy.

W drugim rogu stał mały regał na książki i Winstona już do niego ciągnęło. Nie było na nim nic prócz śmieci. W dzielnicach proli polowanie na książki i ich niszczenie przeprowadzono równie dokładnie jak wszędzie indziej. Było nieprawdopodobne, by w jakimkolwiek miejscu Oceanii zachował się choć jeden egzemplarz książki wydanej przed rokiem tysiąc

dziewięćset sześćdziesiątym. Staruszek, wciąż trzymając lampę w górze, stanął przed obrazem w ramie z palisandru, który wisiał po drugiej stronie kominka, naprzeciw łóżka.

— Gdyby przypadkiem interesowały pana stare obrazy… — zaczął ostrożnie.

Winston podszedł, by się przyjrzeć obrazowi. Był to staloryt przedstawiający owalny gmach z prostokątnymi oknami i małą wieżyczką z przodu. Wokół budynku biegło ogrodzenie, a z tyłu znajdowało się coś, co wyglądało na posąg. Przez chwilę mu się przyglądał. Budynek wydawał się Winstonowi dziwnie znajomy, ale nie przypominał sobie, żeby stał tam jakiś posąg.

— Rama jest przyśrubowana do ściany — rzekł staruszek — ale mogę ją dla pana odkręcić.

— Znam ten gmach — stwierdził w końcu Winston. — Teraz to ruina. Stoi pośrodku ulicy, naprzeciw Pałacu Sprawiedliwości.

— Zgadza się. Naprzeciw Pałacu Sprawiedliwości. Został zbombardowany… och, wiele lat temu. Kiedyś był to kościół. Kościół Świętego Klemensa Duńczyka. — Uśmiechnął się przepraszająco, jakby zdał sobie sprawę, że powiedział coś śmiesznego, i dodał: — „«Pomarańcza czy cytryna?», pytają dzwony Świętego Klemensa”.

— Co to znaczy? — zapytał Winston.

— Ha, „«Pomarańcza czy cytryna?», pytają dzwony Świętego Klemensa” było popularną rymowanką w moich latach chłopięcych. Wyleciało mi z głowy, jak to idzie dalej, ale pamiętam, jak się kończyło: „To świeca, co do łóżka wskaże ci ścieżynę, A to topór, który utnie ci łepetynę”. To była taka zabawa. Dzieci podnosiły złączone ręce, żebyś pod nimi przeszedł, a kiedy dochodziły do „A to topór, który utnie ci łepetynę”, opuszczały je i cię łapały. Były tam nazwy wszystkich londyńskich kościołów, to znaczy wszystkich najważniejszych.

Winston zastanawiał się, z którego stulecia jest ten kościół. Trudno było określić wiek londyńskich budynków. Wzniesienie wszystkich, które były wielkie i imponujące, jeśli tylko sprawiały wrażenie względnie nowych,

Partia automatycznie przypisywała sobie, natomiast te, których wygląd wyraźnie wskazywał na to, że powstały przed Rewolucją, pochodziły według niej z jakiejś mrocznej epoki zwanej średniowieczem. Zdaniem Partii kapitalizm nie stworzył przez wieki nic wartościowego. Z architektury można się było dowiedzieć o historii niewiele więcej niż z książek. Systematycznie zmieniano wszystko, co mogło rzucić choć trochę światła na przeszłość — pomniki, inskrypcje, kamienie pamiątkowe, nazwy ulic.

— Nie wiedziałem, że to był kościół — powiedział.

— Zostało ich całkiem dużo, ale przeznaczono je do innego użytku. Zaraz, jak szła ta rymowanka? O, mam!

„Pomarańcza czy cytryna?”, pytają dzwony Świętego Klemensa,
„Jesteś mi winien ćwierć pensa!”, krzyczą dzwony Świętego Marcina…

— Tyle sobie przypominam. Ćwierć pensa było drobną miedzianą monetą, podobną do centa.

— Gdzie znajdował się Święty Marcin?

— Święty Marcin? Wciąż stoi. Na placu Zwycięstwa, w pobliżu galerii malarstwa. Budynek z trójkątnym frontonem wieńczącym portyk i wielkimi schodami.

Winston dobrze znał to miejsce. Mieściło się tam muzeum, w którym urządzano różne propagandowe wystawy — modeli pocisków rakietowych i pływających fortec, figur woskowych przedstawiających sceny okrucieństwa, których dopuszczał się wróg, i tym podobnych.

— Nazywał się Święty Marcin Wśród Pól — dodał staruszek — chociaż nie przypominam sobie, żeby gdzieś w okolicy były pola.

Winston nie kupił stalorytu. Byłby to jeszcze dziwniejszy przedmiot w jego posiadaniu niż szklany przycisk do papieru, a poza tym nie mógłby go zabrać do domu, chyba żeby wyjęli go z ram. Ale jeszcze kilka minut zwlekał z odejściem, rozmawiając ze staruszkiem, który — jak odkrył — nie nazywał się Weeks, jak można by wnioskować z napisu na szyldzie nad wejściem do sklepu, lecz Charrington. Pan Charrington był, jak się okazało,

sześćdziesięciotrzyletnim wdowcem i mieszkał w tym lokalu od trzydziestu lat. Przez cały ten czas nosił się z zamiarem zmiany nazwiska na szyldzie, ale jakoś nigdy się do tego nie zabrał. Podczas rozmowy Winstonowi bez końca rozbrzmiewały w głowie słowa na pół zapomnianej rymowanki. „«Pomarańcza czy cytryna?», pytają dzwony Świętego Klemensa, «Jesteś mi winien pół pensa!», krzyczą dzwony Świętego Marcina”! Miał dziwne wrażenie, że naprawdę słyszy bicie dzwonów, dzwonów Londynu, które — zakamuflowane lub zapomniane — wciąż gdzieś istniały. Ich dźwięk zdawał się dobiegać z jakichś widmowych wież. A przecież, o ile pamiętał, nigdy w życiu nie słyszał kościelnych dzwonów.

Zostawił pana Charringtona i zszedł na dół, by staruszek nie zobaczył, jak przepatruje ulicę przed wyjściem. Postanowił już, że po odpowiednio długiej przerwie — powiedzmy za miesiąc — zaryzykuje i ponownie wstąpi do sklepu. Może nie groziły za to większe konsekwencje niż za opuszczenie wieczornego spotkania w świetlicy. Głupotą było przede wszystkim to, że przyszedł tu po tym, jak kupił pamiętnik, mimo że nie wiedział, czy może zaufać właścicielowi, ale skoro już to zrobił…!

Tak, pomyślał, wrócę. Wróci i kupi jeszcze parę ładnych rupieci. Kupi staloryt przedstawiający kościół Świętego Klemensa Duńskiego, wyjmie go z ram i zaniesie do domu pod kombinezonem. Wydobędzie z pamięci pana Charringtona resztę tego wierszyka. Przemknął mu nawet znów przez głowę szalony pomysł wynajęcia pokoju na górze. Tych kilka sekund uniesienia sprawiło, że stał się nieostrożny i wyszedł na ulicę, nie zerknąwszy przez okno. Zaczął nawet nucić pod nosem na improwizowaną nutę:

„Pomarańcza czy cytryna?”, pytają dzwony Świętego Klemensa,
„Jesteś mi winien pół pensa!”, krzyczą dzwony Świętego Marcina…

Nagle zamarło mu serce, a żołądek podszedł do gardła. W jego stronę zmierzała postać w granatowym kombinezonie, dzieliło go od niej najwyżej dziesięć metrów. Była to ta dziewczyna z Departamentu Literatury, ta ciem-

nowłosa. Zmierzchało, ale poznał ją bez trudu. Spojrzała mu prosto w twarz, a potem szybko poszła dalej, jakby go nie widziała.

Przez kilka sekund Winston stał jak sparaliżowany. Potem skręcił w prawo i ruszył ciężkim krokiem przed siebie, nawet nie zauważając, że idzie w złym kierunku. W każdym razie jedno stało się jasne. Teraz nie miał już wątpliwości, że dziewczyna go szpieguje. Musiała iść za nim aż tutaj, gdyż było nieprawdopodobne, by czystym przypadkiem znalazła się tego samego wieczoru na tej samej mrocznej uliczce co on, o kilometry od którejkolwiek dzielnicy zamieszkiwanej przez członków Partii. Byłby to zbyt wielki zbieg okoliczności. To, czy rzeczywiście była agentką Policji Myśli, czy nadgorliwym szpiegiem amatorem, nie miało znaczenia. Pewnie widziała też, jak wchodził do pubu.

Szedł, ledwie powłócząc nogami. Szklany przycisk w kieszeni obijał mu się przy każdym kroku o udo i Winston był bliski tego, by go wyrzucić. Najgorszy był ból brzucha. Przez kilka minut miał uczucie, że jeśli nie dojdzie szybko do ubikacji, umrze. Ale w takiej dzielnicy nie było publicznych toalet. Potem skurcz minął i został tylko tępy ból.

Uliczka była ślepym zaułkiem. Winston się zatrzymał, przez kilka sekund zastanawiał się, co robić, po czym zawrócił i ruszył z powrotem tą samą drogą. Wtedy przyszło mu do głowy, że dziewczyna minęła go zaledwie przed trzema minutami, więc gdyby puścił się pędem, zapewne by ją dogonił. Mógłby za nią iść, dopóki nie znaleźliby się w jakimś ustronnym miejscu, i tam roztrzaskać jej głowę kamieniem wyrwanym z bruku. Nadawałaby się do tego nawet szklana bryłka, którą miał w kieszeni, bo była wystarczająco ciężka. Jednak natychmiast porzucił ten pomysł, gdyż sama myśl o wysiłku fizycznym była nie do zniesienia. Nie był w stanie pobiec, nie mógłby zadać jej ciosu. Poza tym dziewczyna była młoda i silna, więc na pewno by się broniła. Przyszło mu też do głowy, żeby pójść szybko do świetlicy i zostać tam do jej zamknięcia, by zapewnić sobie choć częściowe alibi na ten wieczór. Ale i to było niemożliwe. Ogarnęło go śmiertelne znużenie. Chciał tylko jak najszybciej znaleźć się w domu, paść na krzesło i siedzieć bez ruchu.

Gdy wrócił do mieszkania, było już po dwudziestej trzeciej. O dwudziestej trzeciej trzydzieści wyłączą światło. Ruszył prosto do kuchni i łyknął prawie cały kubek Dżinu Zwycięstwa, po czym przeszedł do pokoju, siadł za stolikiem we wnęce i wyjął pamiętnik. Ale nie od razu go otworzył. Metaliczny kobiecy głos wywrzaskiwał z teleekranu patriotyczną pieśń. Siedział, gapiąc się na marmurkową okładkę pamiętnika i bezskutecznie starając się wyprzeć ten wrzask ze świadomości.

Przychodzili po ludzi w nocy, zawsze w nocy. Najlepiej było się zabić, nim człowieka dopadną. Niewątpliwie robiło tak wiele osób. Wiele zniknięć było w rzeczywistości samobójstwami. Ale zabicie się w świecie, gdzie broń palna czy szybko i niezawodnie działająca trucizna były absolutnie nie do zdobycia, wymagało straceńczej odwagi. Pomyślał ze zdumieniem o biologicznej bezcelowości bólu i strachu, o zdradliwości ludzkiego ciała, które zawsze, gdy potrzebny jest wzmożony wysiłek, ogarnia bezwład. Mógł uciszyć tę ciemnowłosą dziewczynę, gdyby szybko wcielił ten pomysł w czyn, ale właśnie z powodu niezwykłego zagrożenia stracił zdolność działania. Uderzyło go, że w krytycznym momencie nigdy nie walczy się z wrogiem zewnętrznym, lecz z własnym ciałem. Jeszcze teraz, mimo wypitego dżinu, tępy ból w brzuchu uniemożliwiał mu logiczne myślenie. I tak samo jest, teraz to dostrzegł, we wszystkich pozornie heroicznych zmaganiach i tragicznych sytuacjach. Na polu bitwy, w izbie tortur, na tonącym statku zawsze zapomina się o sprawach, o które się walczy, bo przesłania je ciało, które puchnie i w końcu wypełnia cały wszechświat, i nawet gdy nie jesteś sparaliżowany strachem ani nie wyjesz z bólu, życie zmienia się z chwili na chwilę w zmaganie się z głodem, chłodem czy bezsennością, z rozstrojem żołądka albo z bolącym zębem.

Otworzył pamiętnik. Ważne było, by coś w nim napisać. Kobieta na teleekranie zaczęła nową pieśń. Jej głos zdawał się wbijać w jego mózg jak ostre odłamki szkła. Starał się myśleć o O’Brienie, dla którego albo do którego pisał ten pamiętnik, ale zamiast o nim, zaczął myśleć o tym, co się z nim stanie, kiedy zabierze go Policja Myśli. Gdyby zabili od razu, nie warto byłoby zaprzątać sobie tym głowy, bo że zabiją, nie podlegało kwe-

stii. Ale przed śmiercią (nikt nie mówił o takich rzeczach, lecz wszyscy o nich wiedzieli) trzeba było przejść procedurę przesłuchania: zwijanie się na podłodze i skamlanie o litość, trzask łamanych kości, wybite zęby i włosy zlepione krwią. Dlaczego trzeba było to znosić, skoro koniec był zawsze taki sam? Dlaczego nie można było zakończyć życia kilka dni czy tygodni wcześniej? Nikomu nie udało się uniknąć wykrycia i nigdy się nie zdarzyło, by ktoś się nie przyznał do winy. Jeśli dopuścił się myślozbrodni, w wyznaczonym czasie musiał ponieść śmierć. Po co zatem był ten koszmar, który niczego nie zmieniał?

Znowu spróbował, tym razem z większym powodzeniem, przywołać obraz O’Briena. „Spotkamy się w miejscu, gdzie nie panuje mrok”, powiedział mu tamten. Winston wiedział albo wydawało mu się, że wie, co to znaczy. Miejscem, gdzie nie panuje mrok, była przyszłość, której się nie ujrzy, ale w której można się mistycznie połączyć. Jednak natrętny, wdzierający się w uszy głos z teleekranu pozwalał mu się skupić na tej myśli. Włożył do ust papierosa. Natychmiast wysypała mu się na język połowa tytoniu, gorzkiego pyłu, który trudno było wypluć. Twarz O’Briena się zatarła i na jej miejsce napłynęła twarz Wielkiego Brata. Tak jak kilka dni wcześniej wyjął z kieszeni monetę i przyjrzał się jej. Spoglądało stamtąd na niego to oblicze — surowe, spokojne, opiekuńcze, ale jaki uśmiech krył się pod czarnym wąsem? Ponownie jak żałobne bicie dzwonu zadudniły mu w głowie słowa:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
NIEWIEDZA TO SIŁA.

CZĘŚĆ II

I

W połowie poranka Winston wyszedł ze swego boksu i udał się do toalety.

Z drugiego końca długiego, jasno oświetlonego korytarza szła w jego stronę samotna postać. Była to ta ciemnowłosa dziewczyna. Od wieczoru, kiedy wpadł na nią przed sklepem z rupieciami, minęły cztery dni. Gdy się zbliżyła, zobaczył, że prawą rękę ma na temblaku, niewidocznym z daleka, ponieważ był tego samego koloru co kombinezon. Pewnie zraniła się, przesuwając jeden z tych wielkich kalejdoskopów, na których „szkicowano" akcje powieści. W Departamencie Literatury takie wypadki były nagminne.

Dzieliły ich może cztery metry, gdy dziewczyna potknęła się i padła jak długa. Z jej ust wydobył się przeszywający krzyk bólu. Musiała się przewrócić na chorą rękę. Winston zatrzymał się w pół kroku. Dziewczyna podniosła się na kolana. Jej twarz przybrała popielatą barwę, na tle której usta rysowały się jaskrawą czerwienią. Utkwiła w niego błagalne spojrzenie, w którym malował się raczej strach niż ból.

Sercem Winstona targały sprzeczne emocje. Był przed nim wróg, który próbował go zniszczyć, ale także cierpiąca ludzka istota, być może ze złamaną kością. Instynktownie ruszył jej na pomoc. Gdy zobaczył, jak pada na obandażowaną rękę, poczuł się tak, jakby jego własne ciało przeszył ból.

— Coś wam się stało? — zapytał.

— To drobiazg. Ręka. Zaraz mi przejdzie.

Powiedziała to takim głosem, jakby trzepotało jej serce. Z pewnością bardzo pobladła.

— Nic sobie nie złamaliście?

— Nie. Nic mi nie jest. Tylko przez chwilę bolało.

Wyciągnęła do niego zdrową rękę i pomógł jej wstać. Odzyskała nieco rumieńca i wyglądała dużo lepiej.

— To drobiazg — powtórzyła krótko. — Tylko uderzyłam się w nadgarstek. Dziękuję, towarzyszu!

I z tymi słowami ruszyła dalej w kierunku, w którym szła przed upadkiem, tak żwawym krokiem, jakby naprawdę nic się nie stało. Całe zdarzenie trwało nie dłużej niż pół minuty. Nieokazywanie uczuć wyrazem twarzy było nawykiem, który z czasem przeradzał się w instynkt, a poza tym stali na wprost teleekranu. Mimo to z trudem ukrył chwilowe zaskoczenie, bo kiedy pomagał jej wstać, dziewczyna wsunęła mu coś w dłoń, bez wątpienia celowo. Było to coś małego i płaskiego. Przechodząc przez drzwi toalety, przełożył to do kieszeni i pomacał koniuszkami palców. Był to złożony w kwadracik kawałek papieru.

Gdy stał przy pisuarze, wciąż z ręką w kieszeni, nie bez trudu udało mu się rozprostować karteczkę. Musiała być na niej jakaś wiadomość. Przez chwilę kusiło go, by wejść do jednej z kabin i przeczytać ją od razu, ale dobrze wiedział, że byłoby to szczytem głupoty. W żadnym innym miejscu nie można było mieć większej pewności, że jest się pod ciągłą obserwacją.

Wrócił do swojego boksu, usiadł, rzucił niedbale wiadomość pomiędzy inne papiery na biurku, włożył okulary i przysunął do siebie mowopis. „Pięć minut — powiedział sobie — muszę odczekać co najmniej pięć minut!” Przeraźliwie głośno waliło mu serce. Na szczęście zadanie, które teraz wykonywał, korekta długiej listy liczb, było czysto rutynowe i nie wymagało wzmożonej uwagi.

Cokolwiek było napisane na tym papierku, musiało mieć jakieś znaczenie polityczne. Widział tylko dwie możliwości. Jedna, bardziej prawdopodobna, że dziewczyna jest, jak się obawiał, agentką Policji Myśli. Nie miał pojęcia, dlaczego wybrali akurat taki sposób przekazania mu wiadomości, ale pewnie mieli swoje powody. Na papierku mogła być groźba, wezwanie, rozkaz, by popełnił samobójstwo, jakiegoś rodzaju pułapka. Ale była też druga, absurdalna możliwość, którą na próżno starał się wyrzucić z głowy. Być może ta wiadomość wcale nie pochodziła od Policji Myśli, lecz od

jakiejś organizacji podziemnej. Może jednak Bractwo naprawdę istniało! Może należała do niego ta dziewczyna! Był to bez wątpienia szalony pomysł, ale pojawił się już w chwili, gdy poczuł ten kawałek papieru w dłoni. Dopiero kilka minut później przyszło mu do głowy inne, bardziej prawdopodobne wyjaśnienie. I nawet teraz, gdy rozum mu mówił, że ta wiadomość prawdopodobnie oznacza śmierć, nie chciał w to uwierzyć i wciąż żywił niedorzeczną nadzieję. Serce waliło mu jak młot i dyktując do mowopisu liczby, z trudem starał się powstrzymać drżenie głosu.

Zwinął ukończony plik papierów w rulon i wsunął do rury pneumatycznej. Minęło osiem minut. Poprawił okulary na nosie, westchnął i przyciągnął do siebie następną partię dokumentów, z karteczką od dziewczyny na wierzchu. Rozprostował ją. Było na niej napisane dużymi, niezgrabnymi literami:

Kocham cię.

Przez kilka sekund był zbyt oszołomiony, by wrzucić ten obciążający papierek do dziury pamięci. Zanim to w końcu zrobił, choć bardzo dobrze wiedział, że nadmierne zainteresowanie jest niebezpieczne, nie mógł się oprzeć pokusie, by przeczytać to jeszcze raz, tylko po to, by się upewnić, że te słowa naprawdę tam są.

Przez resztę ranka praca szła mu jak po grudzie. Jeszcze gorsza niż konieczność skupienia się na nudnych zadaniach była potrzeba ukrycia podniecenia przed teleekranem. Miał wrażenie, że w jego brzuchu płonie ogień. Obiad w dusznej, zatłoczonej, hałaśliwej stołówce był torturą. Miał nadzieję, że podczas przerwy obiadowej będzie choć przez chwilę sam, ale jak na złość usiadł koło niego ten kretyn Parsons, którego ostra woń potu niemal zdusiła metaliczny zapach gulaszu, i gadał jak nakręcony o przygotowaniach do Tygodnia Nienawiści. Ze szczególnym entuzjazmem opowiadał o szerokim na dwa metry modelu głowy Wielkiego Brata, który robił na tę okazję z papier mâché zastęp Wywiadowców jego córki. Najbardziej irytujące było to, że w zgiełku głosów Winston ledwie słyszał, co Parsons

mówi, i stale musiał go prosić o powtórzenie jakiejś głupoty. Tylko raz mignęła mu przed oczami ta dziewczyna, przy stoliku z dwiema innymi na drugim końcu sali. Wydawało się, że go nie zauważyła, a on nie spojrzał ponownie w jej stronę.

Popołudnie było znośniejsze. Zaraz po obiedzie otrzymał delikatne i trudne zadanie, którego wykonanie wymagało kilku godzin pracy i odłożenia wszystkiego innego na bok. Polegało na sfałszowaniu serii sprawozdań produkcyjnych sprzed dwóch lat w taki sposób, by zdyskredytować prominentnego członka Partii, nad którym zebrały się chmury. Winston był dobry w takich rzeczach i zabrał się do tego tak sumiennie, że na ponad dwie godziny udało mu się zupełnie zapomnieć o dziewczynie. Potem znowu powrócił obraz jej twarzy, a wraz z nim nieznośne pragnienie samotności. Dopóki nie znajdzie się sam, nie będzie mógł przemyśleć rozwoju wydarzeń. Dzisiejszy wieczór musiał spędzić w osiedlowej świetlicy. Pochłonął w stołówce następny posiłek bez smaku, pośpieszył do świetlicy, wziął udział w napuszonej błazenadzie „grupy dyskusyjnej”, rozegrał dwie partie ping-ponga, łyknął kilka szklaneczek dżinu i przesiedział pół godziny na wykładzie zatytułowanym „Angsoc a szachy”. Zwijał się z nudów, ale przynajmniej raz nie odczuwał pokusy opuszczenia spotkania w świetlicy. Na widok słów „Kocham cię” wezbrało w nim pragnienie zachowania życia i podejmowanie niepotrzebnego ryzyka wydało mu się nagle głupie. Dopiero o dwudziestej trzeciej, kiedy znalazł się w domu i w łóżku — w ciemności, która dawała schronienie nawet przed teleekranem, dopóki zachowywało się milczenie — mógł swobodnie pomyśleć.

Musiał rozwiązać trudny problem: jak nawiązać z dziewczyną bezpośredni kontakt i umówić się na spotkanie. Nie zaprzątał już sobie głowy przypuszczeniami, że może chce go zwabić w pułapkę. Wiedział, że to nie wchodzi w rachubę, bo jej zdenerwowanie, gdy wkładała mu w dłoń liścik, nie było udawane. Widać było, że jest śmiertelnie przerażona, i trudno było się temu dziwić. Nawet przez myśl mu nie przeszło, by odrzucić jej zaloty. Zaledwie pięć wieczorów temu zastanawiał się, czy nie roztrzaskać jej głowy kamieniem, ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Wyobrażał

sobie jej nagie młode ciało, takie jak widział we śnie. Przedtem sądził, że jest głupia jak cała reszta, ma głowę napchaną kłamstwami i nienawiścią, a brzuch zimny jak lód. Na myśl o tym, że mógłby ją stracić, że to młode białe ciało może mu się wymknąć, dostał dreszczy. Najbardziej bał się tego, że jeśli się z nią szybko nie skontaktuje, dziewczyna może się rozmyślić. Ale spotkanie się z nią było niemal fizycznie niemożliwe. Było czymś takim jak próba wykonania ruchu, gdy dostało się mata. Gdziekolwiek się zwróciłeś, patrzył na ciebie teleekran. Prawdę mówiąc, wszystkie możliwe sposoby skontaktowania się z nią przyszły mu do głowy już w ciągu pięciu minut od przeczytania liściku, ale teraz, kiedy miał czas je przeanalizować, sprawdzał jeden po drugim, jakby wybierał najlepszy z rozłożonego na stole rzędu instrumentów.

Oczywiście takie spotkanie jak to poranne na korytarzu nie mogło się powtórzyć. Gdyby pracowała w Departamencie Archiwów, można by je zaaranżować względnie prosto, ale Winston miał tylko blade pojęcie, gdzie znajduje się Departament Literatury, i żadnego pretekstu, by tam pójść. Gdyby wiedział, gdzie mieszka i kiedy kończy pracę, mógłby coś wymyślić, żeby spotkać się z nią w drodze do domu, ale wystawanie pod ministerstwem w oczekiwaniu na jej wyjście byłoby zbyt niebezpieczne, bo na pewno zostałoby zauważone. Wysłanie do niej listu pocztą nie wchodziło w rachubę — było tajemnicą poliszynela, że wszystkie rutynowo otwierano. Właściwie prawie nikt już ich nie pisał. Jeśli trzeba było wysłać jakąś niecierpiącą zwłoki wiadomość, korzystano z kartek pocztowych z wydrukowanymi długimi kolumnami zwrotów, wykreślając te, które nie miały zastosowania w danej sytuacji. Zresztą nie znał nazwiska dziewczyny, nie mówiąc już o adresie. W końcu doszedł do wniosku, że najbezpieczniejszym miejscem jest stołówka. Gdyby udało mu się ją zastać samą przy stoliku pośrodku sali, niezbyt blisko teleekranu, a dookoła panowałby wystarczająco głośny gwar rozmów — gdyby takie warunki utrzymały się, powiedzmy, pół minuty, mógłby zamienić z nią kilka słów.

Przez cały następny tydzień jego życie było jak niespokojny sen. Nazajutrz po przekazaniu mu wiadomości pojawiła się w stołówce, dopiero gdy

wychodził i było już po gwizdku. Przypuszczalnie przeniesiono ją na późniejszą zmianę. Minęli się, nawet nie spojrzawszy na siebie. Kolejnego dnia była w stołówce o zwykłej porze, ale z trzema innymi dziewczynami i tuż przed teleekranem. Potem przez trzy straszne dni w ogóle się nie pojawiała. Cały umysł i ciało Winstona stały się nieznośnie wrażliwe, jakby przeczulone, co sprawiało, że każdy ruch, każdy dźwięk, każdy kontakt, każde słowo, które musiał wypowiedzieć albo którego musiał wysłuchać, były męczarnią. Nawet we śnie nie mógł się całkowicie uwolnić od jej obrazu. Przez te dni nie tknął pamiętnika. Jeśli coś przynosiło mu ulgę, to tylko praca, w której czasami znajdował zapomnienie nawet na dziesięć minut. Nie miał pojęcia, co się z nią stało. Nie mógł nikogo o to spytać. Mogła zostać poddana ewaporacji, mogła popełnić samobójstwo, mogła zostać przeniesiona na drugi koniec Oceanii lub, co było najgorsze i najbardziej prawdopodobne, mogła się rozmyślić i zacząć go unikać.

Dzień potem pojawiła się ponownie. Nie miała już temblaka, a jedynie plaster na nadgarstku. Jej widok sprawił mu taką ulgę, że przez kilka sekund nie mógł oderwać od niej wzroku. Następnego dnia niewiele brakowało, by udało mu się z nią porozmawiać. Kiedy wszedł do stołówki, siedziała przy stoliku dość daleko od ściany, zupełnie sama. Było wcześnie i sala jeszcze się nie zapełniła. Kolejka posuwała się do przodu i Winston znalazł się prawie przy kontuarze, ale utknął tam na dwie minuty, ponieważ ktoś z przodu zaczął biadolić, że nie dostał pastylki sacharyny. Ale gdy Winstonowi napełniono wreszcie tacę i ruszył w stronę jej stolika, wciąż była sama. Szedł ku niej jakby od niechcenia, szukając wzrokiem miejsca przy jakimś stoliku obok. Była może trzy metry od niego. Jeszcze chwila i znalazłby się w jej pobliżu. Wtedy jakiś głos za jego plecami zawołał: „Smith!”. Udał, że nie słyszy. „Smith!”, rozległo się ponownie, tym razem głośniej. Nie miał wyjścia. Odwrócił się. Młody blondyn o głupawej twarzy, nazwiskiem Wilsher, którego ledwie znał, zapraszał go z uśmiechem na wolne miejsce przy swoim stoliku. Byłoby niebezpiecznie mu odmówić. Skoro został rozpoznany, nie mógł usiąść przy stoliku z samotną dziewczyną. Za bardzo rzucałoby się to w oczy. Z przyjaznym uśmiechem sko-

rzystał z zaproszenia. Głupawa twarz blondyna promieniała radością. Winston wyobraził sobie, że w sam jej środek wbija kilof. Parę minut później wszystkie miejsca przy stoliku dziewczyny były już zajęte.

Ale musiała widzieć, że szedł ku niej, i może zrozumiała, jaki miał zamiar. Następnego dnia postarał się przyjść wcześniej. Faktycznie, siedziała mniej więcej w tym samym miejscu — i znowu sama. Tuż przed nim stał w kolejce niski, podrygujący, podobny do żuka mężczyzna o płaskiej twarzy i małych, podejrzliwych oczkach. Gdy Winston odwrócił się z tacą od kontuaru, zobaczył, że tamten kieruje się prosto do stolika dziewczyny. Nadzieja znowu prysła. Było wolne miejsce przy stoliku nieco dalej, ale coś w zachowaniu tego mężczyzny podpowiadało, że dbając o swą wygodę, wybierze taki, przy którym będzie najpuściej. Winston ruszył za nim ze ściśniętym sercem. Jeśli nie znajdzie się z dziewczyną sam na sam, nic z tego nie będzie. W tej chwili rozległ się wielki łoskot. Człowieczek leżał jak długi, taca wyleciała mu z rąk, na podłogę wylewały się dwa strumienie — zupy i kawy. Podniósł się na nogi, patrząc ze złością na Winstona, którego ewidentnie podejrzewał o podstawienie mu nogi. Ale dobrze się stało. Pięć sekund później Winston siedział z walącym sercem przy stoliku dziewczyny.

Nie spojrzał na nią. Zestawił dania z tacy i od razu zaczął jeść. Było sprawą najwyższej wagi, żeby się natychmiast do niej odezwał, nim przysiądzie się ktoś jeszcze, ale naraz chwycił go przemożny strach. Minął tydzień, odkąd do niego podeszła. Mogła się rozmyślić, na pewno się rozmyśliła! Niemożliwe, żeby ten romans zakończył się pomyślnie, w prawdziwym życiu takie rzeczy się nie zdarzały. Może w ogóle nie otworzyłby ust, gdyby w tej samej chwili nie zobaczył Amplefortha, poety ze sterczącymi z uszu kłaczkami, wlokącego się niemrawo po sali i rozglądającego się za wolnym miejscem. Ampleforth darzył Winstona jakąś nieokreśloną sympatią, jeśli więc go zauważy, na pewno usiądzie przy jego stoliku. Winston miał może minutę na działanie. I on, i dziewczyna jedli, nie patrząc na siebie. To, co jedli, było rzadką potrawką, a właściwie zupą, z fasoli. Winston zaczął mówić cichym szeptem. Żadne z nich nie podniosło głowy;

miarowo wkładali do ust łyżki wodnistej zupy, a pomiędzy jedną a drugą wymienili ściszonymi beznamiętnymi głosami kilka niezbędnych słów.

— O której wychodzisz z pracy?

— O osiemnastej trzydzieści.

— Gdzie możemy się spotkać?

— Na placu Zwycięstwa, koło pomnika.

— Jest tam pełno teleekranów.

— W tłumie to nie szkodzi.

— Jakiś znak?

— Nie. Nie podchodź do mnie, dopóki nie znajdę się w tłumie. I nie patrz na mnie. Tylko bądź w pobliżu.

— O której?

— O dziewiętnastej.

— Dobrze.

Ampleforth nie zauważył Winstona i usiadł przy innym stoliku. Więcej już nie rozmawiali i na ile było to możliwe w wypadku dwóch osób siedzących naprzeciw siebie, starali się unikać swych spojrzeń. Dziewczyna szybko skończyła obiad i odeszła, a Winston został na papierosa.

Był na placu Zwycięstwa przed czasem. Obszedł wolno cokół ogromnej kolumny, ze szczytu której posąg Wielkiego Brata patrzył na niebo na południu, gdzie pokonał eurazjatyckie samoloty (kilka lat wcześniej były to samoloty wschodnioazjatyckie) w Bitwie o Pas Startowy Jeden. Na ulicy naprzeciw stał pomnik mężczyzny na koniu, który rzekomo przedstawiał Olivera Cromwella. Pięć minut po umówionej godzinie dziewczyny wciąż nie było. Winstona znów obleciał potworny strach. Nie przyjdzie, rozmyśliła się! Ruszył powoli na północną stronę placu i poczuł słabe zadowolenie, gdy rozpoznał kościół Świętego Marcina, którego dzwony, gdy jeszcze tam były, wybijały: „Oddaj mi pół pensa”. I wtedy zobaczył dziewczynę. Stała przed kolumną i czytała albo udawała, że czyta plakat owinięty spiralnie wokół kolumny. Nie byłoby bezpiecznie podejść do niej, dopóki nie zbierze się więcej ludzi. Cokół otaczały ze wszystkich stron teleekrany. Ale w tej samej chwili z lewej dobiegły krzyki i warkot ciężkich pojazdów.

Winston odniósł wrażenie, że nagle wszyscy puścili się pędem przez plac. Dziewczyna zwinnie ominęła lwy przed cokołem pomnika i dołączyła do pędzących. Winston ruszył za nią. W biegu zorientował się z okrzyków, że przejeżdża konwój eurazjatyckich jeńców.

Południową część placu wypełniała już gęsta masa ludzi. Winston, który zwykle starał się trzymać na uboczu każdego zbiegowiska, zaczął się przepychać do środka tłumu. Wkrótce znalazł się na wyciągnięcie ręki od dziewczyny, ale drogę blokował mu potężny prol i niemal tak samo potężna kobieta, przypuszczalnie jego żona, którzy zdawali się tworzyć nieprzebyty, żywy mur. Winston okręcił się bokiem i nagłym pchnięciem udało mu się wcisnąć między nich barkiem. Przez chwilę miał wrażenie, że muskularne biodra z obu stron zgniotą mu wnętrzności na miazgę, ale w końcu, lekko spocony, przedarł się na drugą stronę. Był obok dziewczyny. Stali, zetknięci ramionami, ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

Ulicą wolno przeciągał długi sznur ciężarówek ze stojącymi w rogach skrzyń ładunkowych uzbrojonymi w pistolety maszynowe strażnikami o kamiennych twarzach. Na pakach siedzieli w kucki stłoczeni mali żółci ludzie w sfatygowanych zielonkawych mundurach. Ich smutne mongolskie oczy patrzyły obojętnie nad burtami ciężarówek. Od czasu do czasu, gdy samochodami zarzucało na wybojach, rozlegał się szczęk metalu — wszyscy jeńcy mieli na nogach kajdany. Ciężarówka za ciężarówką smutnych żółtych twarzy. Winston wiedział, że tam są, ale prawie ich nie widział. Ramię i łokieć dziewczyny były przyciśnięte do jego ręki. Jej policzek był tak blisko, że czuł jego ciepło. Natychmiast przejęła inicjatywę, jak wcześniej w stołówce. Zaczęła mówić tym samym beznamiętnym głosem, ledwie poruszając ustami, szeptem, który roztapiał się w gwarze gawiedzi i łoskocie ciężarówek.

— Słyszysz mnie?

— Tak.

— Możesz wyjść w niedzielę po południu?

— Tak.

— Więc słuchaj uważnie. Musisz to zapamiętać. Idź na stację Paddington…

Z niemal wojskową precyzją, która go zdumiała, wytyczyła mu marszrutę. Pół godziny koleją, za stacją w lewo, dwa kilometry szosą, brama bez poprzeczki, polna droga, porośnięty trawą dukt, ścieżka między krzakami, a na niej powalone, omszałe drzewo. Zupełnie jakby miała w głowie mapę.

— Zapamiętasz wszystko? — mruknęła na koniec.

— Tak.

— Skręcasz w lewo, potem w prawo i znowu w lewo. A w bramie nie ma poprzeczki.

— Tak. O której?

— Około piętnastej. Może będziesz musiał poczekać. Ja dostanę się tam inną drogą. Na pewno wszystko pamiętasz?

— Tak.

— No to jak najszybciej odsuń się ode mnie.

Nie musiała mu tego mówić. Ale przez chwilę nie mogli wydostać się z tłumu. Wciąż sunęły ciężarówki, ludzie wciąż zachłannie się na nie gapili. Na początku rozległo się buczenie i gwizdy, ale wydawali je tylko obecni w ciżbie członkowie Partii i szybko przestali. Przeważała zwykła ciekawość. Obcokrajowcy, czy to z Eurazji, czy Wschodoazji, byli czymś w rodzaju dziwnych zwierząt. Dosłownie nikt nie widział ich nigdy w innej roli niż jeńców, a i wtedy tylko przelotnie. Nikt też nie wiedział, co się z nimi potem działo, bo oprócz nielicznych, których wieszano jako zbrodniarzy wojennych, reszta po prostu znikała, przypuszczalnie w obozach pracy przymusowej. Okrągłe mongolskie twarze ustąpiły miejsca obliczom o rysach bardziej europejskich, brudnym, zarośniętym i wycieńczonym. Znad szczeciniastych policzków spoglądały na Winstona oczy, czasami dziwnie natarczywie, i ponownie się odwracały. Konwój zbliżał się do końca. W ostatniej ciężarówce Winston zobaczył starego mężczyznę z gęstą siwą brodą, stojącego prosto, ze skrępowanymi z przodu rękami, jakby przywykł do tego, że ma je związane. Była najwyższa pora rozstać się

z dziewczyną. Ale w ostatniej chwili, gdy wciąż otaczał ich tłum, jej ręka poszukała jego dłoni i przelotnie ją uścisnęła.

Nie trwało to może nawet dziesięciu sekund, a mimo to odniósł wrażenie, że ich ręce były długo złączone. Miał dość czasu, by poznać każdy szczegół jej dłoni. Długie palce, kształtne paznokcie, stwardniałe od pracy, pokryte odciskami poduszki dłoni, gładkie ciało pod nadgarstkiem. Chociaż je tylko wyczuł dotykiem, poznałby, gdyby je zobaczył. W tej samej chwili dotarło do niego, że nie wie, jakiego koloru są jej oczy. Chyba były brązowe, ale ciemnowłosi mają niekiedy oczy niebieskie. Odwrócić głowę i spojrzeć na nią byłoby niewyobrażalnym szaleństwem. Trzymając się za ręce, niewidoczni pośród naciskających zewsząd ciał, patrzyli prosto przed siebie i zamiast oczu dziewczyny spośród zmierzwionych włosów spoglądały żałośnie na Winstona oczy starego jeńca.

II

Winston szedł cienistym duktem nakrapianym cętkami słońca, które przebijało się przez zwarte listowie, a w miejscach, gdzie gałęzie się rozstępowały, tworzyło kałuże złota. Pod drzewami po lewej ziemia była bladoniebieska od dzwonków. Powietrze zdawało się całować skórę. Był drugi maja. Skądś z głębi lasu dobiegało gruchanie grzywaczy.

Przybył trochę za wcześnie. Podróż przebiegła bez przeszkód, a dziewczyna sprawiła na nim wrażenie tak doświadczonej w tych sprawach, że bał się mniej niż zazwyczaj. Chyba można było ufać, że znajdzie bezpieczne miejsce. Generalnie nie należało zakładać, że na wsi jest dużo bezpieczniej niż w Londynie. Oczywiście nie było tu teleekranów, ale zawsze istniała groźba, że przez ukryte mikrofony ktoś zapisze i rozpozna twój głos; poza tym niełatwo było wybrać się samotnie w podróż, nie zwracając na siebie uwagi. Wprawdzie wyjazd na odległość mniejszą niż sto kilometrów od miejsca zameldowania nie wymagał pieczątki w paszporcie, ale wokół stacji kolejowych krążyły patrole, które sprawdzały dokumenty wszystkich napotkanych członków Partii i zadawały kłopotliwe pytania. Jednak tu nie pojawił się żaden patrol, a w drodze ze stacji, co pewien czas zerkając ostrożnie za siebie, Winston upewnił się, że nikt go nie śledzi. Pociąg był pełen proli w odświętnych nastrojach, w które wprawiała ich letnia pogoda. Wagon z drewnianymi siedzeniami, w którym przyjechał, ledwie mieścił jedną wielką rodzinę, od bezzębnej prababki po miesięczne niemowlę, jadącą na wieś, by spędzić popołudnie z „teściami”, a także — co bez skrępowania wyjaśnili Winstonowi — kupić trochę czarnorynkowego masła.

Dukt się rozszerzył i po chwili Winston dotarł do ścieżki, o której mówiła dziewczyna, właściwie wijącego się wśród krzaków przesmyku wydeptanego przez zwierzęta. Nie miał zegarka, ale nie mogło być jeszcze piętnastej. Pod stopami było tak gęsto od dzwonków, że nie sposób było iść, nie miażdżąc ich. Przyklęknął i zaczął je zrywać, częściowo dla zabicia czasu, ale także dlatego, że nasunęły mu pomysł, by dać dziewczynie bukiecik. Miał już sporą naręcz kwiatów i czuł ich nieco mdły zapach, gdy nagle zmroził go dźwięk z tyłu, charakterystyczny trzask gałązki pękającej pod stopą. Najlepszą rzeczą, jaką mógł zrobić w tej sytuacji, było nadal zbierać kwiaty, jak gdyby nigdy nic. Być może była to dziewczyna, ale równie dobrze ktoś mógł go jednak śledzić. Gdyby się obejrzał, byłoby to równoznaczne z przyznaniem się do winy. Zerwał jeszcze jeden, potem kolejny. Poczuł na ramieniu lekkie dotknięcie dłoni.

Podniósł wzrok. To była ona. Potrząsnęła głową, co było oczywistym ostrzeżeniem, że musi zachować milczenie, a potem rozsunęła krzaki i szybko poprowadziła go wąską ścieżką w las. Najwyraźniej była tu nie po raz pierwszy, gdyż omijała grząskie zagłębienia, jakby do tego przywykła. Winston szedł za nią, wciąż ściskając w ręku bukiet. Najpierw poczuł ulgę, ale gdy patrzył na poruszające się przed nim silne, szczupłe ciało, przepasane tak ściśle szkarłatną szarfą, że uwydatniało to krągłość jej bioder, owładnęło nim poczucie niższości. Wydawało mu się całkiem prawdopodobne, że jeśli dziewczyna się odwróci i mu przyjrzy, jednak się wycofa. Oszałamiały go wonne powietrze i zieleń liści. Już w drodze ze stacji majowe słońce sprawiło, że poczuł się brudną i wątłą, nigdy nie wychylającą nosa poza miejskie mury istotą, z wżartymi w pory skóry londyńskimi sadzami i kurzem. Przyszło mu do głowy, że aż dotąd dziewczyna pewnie nigdy nie widziała go w pełnym świetle dnia. Dotarli do powalonego drzewa, o którym wcześniej mówiła. Przeskoczyła przez nie i rozsunęła krzaki, w których na pozór nie było żadnej luki. Ruszył za nią i stwierdził, że znajdują się na polance, na niewielkim, porośniętym trawą pagórku otoczonym ze wszystkich stron tworzącym szczelną zasłonę wysokim młodnikiem. Dziewczyna zatrzymała się i odwróciła.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała.

Stał kilka kroków od niej. Na razie nie śmiał zrobić ani kroku dalej.

— Nie chciałam nic mówić na ścieżce — ciągnęła — na wypadek gdyby był tam gdzieś ukryty mikrofon. Nie przypuszczam, żeby był, ale mógłby. Zawsze trzeba się liczyć z tym, że któraś z tych świń rozpozna twój głos. Tutaj nic nam nie grozi.

Wciąż nie miał odwagi podejść bliżej.

— Tutaj nic nam nie grozi? — powtórzył idiotycznie.

— Nie. Spójrz na te drzewa. — Były to młode jesiony, nie grubsze od ręki, które wyrosły z pędów wypuszczonych przez pnie pozostałe na dawnym zrębie i utworzyły zbity gąszcz. — Nic nie jest tu wystarczająco duże, by ukryć mikrofon. Zresztą już tu byłam.

Prowadzili rozmowę, jakby tylko po to przyszli w to ustronne miejsce. Wreszcie Winston zdobył się na odwagę i przysunął się bliżej. Stała przed nim wyprostowana, z lekko ironicznym uśmiechem, jakby się dziwiła, dlaczego idzie mu to tak ślamazarnie. Dzwonki posypały się na ziemię. Wydawało się, że wypadły same z siebie. Ujął jej dłoń.

— Uwierzyłabyś, że aż do tej chwili nie wiedziałem, jakiego koloru masz oczy? — zapytał. Spostrzegł, że są brązowe, raczej piwne, okolone ciemnymi rzęsami. — Czy teraz, kiedy zobaczyłaś, jak naprawdę wyglądam, nie odstręcza cię mój widok?

— Nie, skądże.

— Mam trzydzieści dziewięć lat i żonę, której nie mogę się pozbyć. Żylaki. Pięć sztucznych zębów.

— Nic mnie to nie obchodzi — odparła.

Chwilę potem — trudno powiedzieć, które z nich wskutek czyjego działania — znalazła się w jego ramionach. Z początku nie czuł nic, bo nie dowierzał, że to się dzieje naprawdę. Przyciskało się do niego młode ciało, masa ciemnych włosów muskała mu twarz i — tak! — uniosła twarz i całował jej pełne, czerwone usta. Zarzuciła mu ręce na szyję i mówiła, że jest drogi, cudowny, ukochany. Pociągnął ją na ziemię. Nie stawiała najmniejszego oporu, mógł z nią zrobić, co chciał. Lecz cóż z tego, skoro kontakt

z jej ciałem nie rozbudził w nim zmysłów. Czuł jedynie niedowierzanie i dumę. Cieszył się, że to się dzieje, lecz nie odczuwał pożądania. Jaki był tego powód — czy było na to za wcześnie, czy onieśmielały go jej młodość i uroda, czy za bardzo przywykł do życia bez kobiety — nie wiedział. Dziewczyna podźwignęła się i wyjęła z włosów dzwonek. Usiadła naprzeciw niego i jedną ręką objęła go w pasie.

— Nie przejmuj się, kochany. Nie ma pośpiechu. Przed nami całe popołudnie. Czy to nie wspaniała kryjówka? Znalazłam ją, gdy zgubiłam się na zbiorowej wycieczce. Gdyby ktoś tu szedł, usłyszałbyś go ze stu metrów.

— Jak masz na imię? — zapytał.

— Julia. Znam twoje. Winston — Winston Smith.

— Jak się tego dowiedziałaś?

— Myślę, że jestem lepsza od ciebie w odkrywaniu różnych rzeczy, kochany. Powiedz mi, co o mnie myślałeś, zanim dałam ci ten liścik?

Nie czuł najmniejszej pokusy, by ją okłamywać. Przyznanie się na początku do najgorszego było nawet czymś w rodzaju wyznania miłości.

— Na sam twój widok czułem nienawiść — powiedział. — Chciałem cię zgwałcić, a potem zamordować. Dwa tygodnie temu poważnie się zastanawiałem, czy nie roztrzaskać ci głowy kamieniem. Skoro naprawdę chcesz wiedzieć, myślałem, że masz coś wspólnego z Policją Myśli.

Dziewczyna roześmiała się z zachwytem, najwyraźniej biorąc to za wyraz szacunku dla jej umiejętności maskowania się.

— Tylko nie Policja Myśli! Chyba nie myślałeś tak poważnie?

— No, może nie całkiem. Ale wnioskując z całego twojego wyglądu — no wiesz, po prostu z tego, że jesteś młoda, świeża i zdrowa — doszedłem do przekonania, że prawdopodobnie…

— Myślałeś, że jestem wzorową członkinią Partii. Czystą w słowach i uczynkach. Transparenty, pochody, hasła, gry, zbiorowe wycieczki — cały ten syf. I sądziłeś, że gdybym miała choć cień podejrzenia, zadenuncjowałabym cię jako myślozbrodniarza i doprowadziła do twojej śmierci?

— Tak, coś w tym rodzaju. No wiesz, jest mnóstwo takich dziewczyn.

— To przez tę przeklętą szmatę — powiedziała, zdzierając szkarłatną szarfę Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej, i rzuciła ją na gałąź. Potem, jakby dotknąwszy swej talii, o czymś sobie przypomniała, pogrzebała w kieszeni i wyjęła małą tabliczkę czekolady. Przełamała ją na pół i jedną część dała Winstonowi. Jeszcze zanim ją wziął, zorientował się po zapachu, że to bardzo niezwykła czekolada. Była ciemna i lśniąca, do tego owinięta srebrnym papierkiem. Normalnie czekolada była ciemnobrązowym, kruchym paskudztwem, którego smak — chyba był to najwierniejszy opis — kojarzył się z cuchnącym dymem palonych śmieci. Ale kiedyś próbował już takiej jak ta, którą mu dała. Jej aromat obudził w nim wspomnienie czegoś, czego nie potrafił sprecyzować, ale było to silne i niepokojące.

— Skąd to masz? — zapytał.

— Z czarnego rynku — odparła obojętnie. — Prawdę mówiąc, na pierwszy rzut oka jestem właśnie taka, jak myślałeś. Dobra w różnych grach. Byłam zastępową w Wywiadowcach. Trzy wieczory w tygodniu pracuję jako wolontariuszka w Młodzieżowej Lidze Antyseksualnej. Poświęciłam wiele godzin na rozklejanie tych ich bredni po całym Londynie. W pochodach zawsze niosę jeden drążek transparentu. Zawsze mam radosną minę i nigdy od niczego się nie wymiguję. Zawsze krzycz z tłumem, to moja zasada. Tylko dzięki temu możesz się czuć bezpiecznie.

Pierwszy kawałek czekolady rozpłynął się na języku Winstona. Miała wspaniały smak. Mimo to na obrzeżach jego świadomości wciąż kołatało się tamto wspomnienie, czegoś, co silnie wyczuwał, ale co nie miało wyraźnego kształtu, jak przedmiot widziany kątem oka. Odepchnął je od siebie, uświadomiwszy sobie tylko, że jest to wspomnienie jakiegoś uczynku, który chciałby cofnąć, ale to już nie było możliwe.

— Jesteś bardzo młoda — powiedział — dziesięć albo nawet piętnaście lat młodsza ode mnie. Co atrakcyjnego mogłaś zobaczyć w kimś takim jak ja?

— To było coś w wyrazie twojej twarzy. Postanowiłam zaryzykować. Umiem rozpoznać ludzi niedostosowanych. Gdy tylko cię zobaczyłam, wiedziałam, że jesteś przeciw *nim*.

Wyglądało na to, że „nim” odnosiło się do członków Partii, przede wszystkim Partii Wewnętrznej, o których mówiła z takim szyderstwem i nienawiścią, że Winston poczuł się nieswojo, chociaż wiedział, że jeśli gdziekolwiek mogą się czuć bezpiecznie, to właśnie tu. Najbardziej zdumiewał Winstona jej ordynarny język. Członkowie Partii nie powinni przeklinać i on sam klął bardzo rzadko, przynajmniej głośno. Jednak wyglądało na to, że Julia nie potrafi mówić o Partii, zwłaszcza o Partii Wewnętrznej, nie używając słów, które widywało się wypisane kredą w nędznych zaułkach. Nie żeby mu się to nie podobało. Był to po prostu jeden z przejawów jej buntu przeciw Partii oraz wszystkim jej zwyczajom, który wydawał się tak naturalny i zdrowy jak parskanie konia czującego woń zgniłego siana.

Opuścili polanę i powędrowali przez szachownicę światła i cienia, obejmując się, ilekroć ścieżka poszerzała się na tyle, że mogli iść obok siebie. Winston stwierdził, że bez szarfy jej talia jest dużo miększa. Nie podnosili głosu powyżej szeptu. Julia powiedziała, że poza polaną lepiej zachowywać się cicho. W końcu dotarli na skraj lasku. Zatrzymała go.

— Nie wychodź na otwartą przestrzeń. Ktoś może cię dostrzec. Dopóki będziemy się trzymali za gałęziami, nic nam nie grozi.

Stali w cieniu krzaków leszczyny. Słońce przenikające przez gęste listowie wciąż grzało ich twarze. Winston spojrzał na rozciągający się przed nimi teren i ze zdumieniem stwierdził, że poznaje to miejsce. Znał ten widok. Stare pastwisko, z nisko wygryzioną trawą, wijącą się przez nie ścieżką i rozsianymi tu i ówdzie kretowiskami. W nierównym pasie drzew po drugiej stronie łąki w podmuchach słabego wiatru ledwie zauważalnie kołysały się gałęzie wiązów, a ich liście falowały jak kobiece włosy. Na pewno gdzieś w pobliżu, choć poza zasięgiem wzroku, musiał być strumyk z zielonymi rozlewiskami, w których pływały klenie.

— Czy nie ma tu gdzieś strumienia? — zapytał półgłosem.

— Tak, jest. Na skraju następnej łąki. Są w nim ryby, bardzo duże. Widać, jak stoją nieruchomo w wodzie pod wierzbami, poruszając tylko ogonami.

— To Złota Kraina — wyszeptał. — Prawie.

— Złota Kraina?

— A, nic takiego. Krajobraz, który czasami widywałem w snach.

— Popatrz! — powiedziała niemal bezgłośnie Julia.

Na gałęzi nie dalej niż pięć metrów od nich, prawie na wysokości ich twarzy, siadł drozd. Może ich nie zauważył, bo był w słońcu, a oni w cieniu. Rozpostarł skrzydła, ponownie starannie je złożył, pochylił na chwilę łepek, jakby składał ukłon słońcu, a potem rozpoczął pieśń. W popołudniowej ciszy wartkie jak potok dźwięki brzmiały zadziwiająco głośno. Winston i Julia przylgnęli do siebie i słuchali oczarowani. Mijały minuty, a muzyka wciąż płynęła, ze zdumiewającymi wariacjami, nigdy się nie powtarzając, zupełnie jakby ptak celowo popisywał się swą wirtuozerią. Czasami przerywał na kilka sekund, rozpościerał i składał skrzydła, a później wypinał plamiastą pierś i znowu rozpoczynał trel. Winston przyglądał mu się z nieokreślonym szacunkiem. Dla kogo i po co śpiewał ten ptak? Nie przypatrywała mu się żadna partnerka, żaden rywal. Co go skłaniało do tego, by siedząc samotnie na skraju lasu, słać pieśń w pustkę? Winston zaczął się zastanawiać, czy jednak gdzieś w pobliżu nie ma ukrytego mikrofonu. On i Julia rozmawiali tylko po cichu, szeptem, więc urządzenie nie wychwyciłoby tego, co mówili, lecz bez wątpienia zarejestrowałoby głos drozda. Być może po drugiej stronie linii siedział jakiś mały, żukowaty człowieczek i uważnie słuchał — słuchał *tego*. Stopniowo jednak kaskada muzyki wyparła z umysłu Winstona wszystkie spekulacje. Miał wrażenie, że zalewa go jakaś ciekła substancja i miesza się z sączącym się przez liście światłem słonecznym. Przestał myśleć i tylko czuł. Kibić dziewczyny w zgięciu jego ramienia była miękka i ciepła. Obrócił ją do siebie i przyciągnął tak mocno, że stykali się piersiami; jej ciało zdawało się w niego wtapiać. Gdziekolwiek przesunął rękę, poddawało się ulegle jak woda. Ich usta się zwarły; było to zupełnie odmienne od surowych pocałunków, które wymienili przedtem. Gdy odsunęli twarze, oboje głęboko westchnęli. Ptak się spłoszył i odleciał z trzepotem skrzydeł.

Winston przysunął usta do jej ucha.

— *Teraz* — szepnął.

— Nie tutaj — odszepnęła. — Wracajmy do kryjówki. Tam jest bezpieczniej.

Szybko, przy sporadycznych trzaśnięciach gałązek, przedarli się przez gąszcz z powrotem na polankę. Gdy znaleźli się w kręgu młodych drzew, Julia odwróciła się do niego. Oboje mieli przyspieszone oddechy, ale w kącikach jej ust ponownie pojawił się uśmiech. Przez chwilę stała, patrząc na niego, po czym sięgnęła do zamka swego kombinezonu. I — tak! — wyglądało to niemal jak w jego marzeniach. Prawie tak szybko, jak to sobie wyobrażał, zdarła z siebie ubranie i odrzuciła je tak wspaniałym gestem, jakby unicestwiała całą cywilizację. W słońcu lśniła biel jej ciała. Ale nie od razu na nie spojrzał — utkwił wzrok w jej piegowatej twarzy, na której igrał szelmowski uśmiech. Ukląkł przed nią i ujął jej dłonie.

— Robiłaś to już wcześniej?

— Oczywiście. Setki — no, przynajmniej dziesiątki razy.

— Z członkami Partii?

— Tak, zawsze z nimi.

— Z członkami Partii Wewnętrznej?

— O nie, nie z tymi wieprzami. Ale wielu z nich *zrobiłoby* to z ochotą, gdyby mieli choć cień szansy. Nie są tacy święci, jakich udają.

Serce zabiło mu mocniej. Robiła to dziesiątki razy; szkoda, że nie setki — tysiące. Wszystko, co trąciło zepsuciem, zawsze napawało go szaloną nadzieją. Kto wie, może Partię toczy pod spodem zgnilizna, a szerzony przez nią kult trudów i wyrzeczeń jest tylko powłoką skrywającą rozpustę. Gdyby mógł zarazić ich wszystkich trądem lub syfilisem, zrobiłby to z radością! Zrobiłby cokolwiek, byle tylko zepsuć, osłabić, podkopać! Pociągnął Julię w dół, by klęknęła naprzeciw niego.

— Posłuchaj. Im więcej miałaś mężczyzn, tym bardziej cię kocham. Rozumiesz?

— Doskonale.

— Nienawidzę czystości, nienawidzę dobroci! Nie chcę, by gdziekolwiek istniała jakakolwiek cnota. Chcę, by wszyscy byli zepsuci do szpiku kości.

— A zatem powinnam ci odpowiadać, kochany. Jestem zepsuta do szpiku kości.

— Lubisz to robić? Nie mam na myśli tylko siebie: chodzi mi o tę rzecz samą w sobie.

— Uwielbiam.

To właśnie nade wszystko chciał usłyszeć. Nie była ważna miłość do jednej osoby, lecz zwierzęcy instynkt, nieokiełznane pożądanie każdego, kto się akurat nawinął — bo była to siła, która mogła rozbić Partię w pył. Pchnął ją na trawę, między rozsypane dzwonki. Tym razem nie miał żadnych oporów. Wznoszenie się i opadanie ich piersi wróciło do normalnego rytmu i rozłączyli się w błogiej niemocy. Wydawało się, że słońce zaczęło przygrzewać mocniej. Oboje ogarnęła senność. Winston sięgnął po odrzucony kombinezon i częściowo przykrył nim Julię. Niemal natychmiast zapadli w sen i spali około pół godziny.

Winston obudził się pierwszy. Usiadł i patrzył na piegowatą twarz Julii, wciąż spokojnie śpiącej, z policzkiem wspartym na dłoni jak na poduszce. Poza ustami nie było w niej nic pięknego. Przyjrzawszy się uważniej, dostrzegł wokół jej oczu kilka zmarszczek. Krótkie ciemne włosy były niezwykle gęste i miękkie. Uświadomił sobie, że wciąż nie zna jej nazwiska i nie wie, gdzie mieszka.

Młode, silne ciało, teraz bezbronne we śnie, wzbudziło w nim opiekuńcze uczucie. Ale nie była to już bezmyślna czułość, która opadła go pod krzakiem leszczyny, gdy śpiewał drozd. Ta minęła bezpowrotnie. Zsunął z niej kombinezon i począł studiować jej gładki, biały bok. W dawnych czasach, pomyślał, mężczyzna spojrzał na ciało dziewczyny, zapragnął jej i to kończyło sprawę. Ale obecnie nie było czystej miłości ani czystego pożądania. Żadne uczucie nie było czyste, bo wszystko było skażone strachem i nienawiścią. Ich uściski były bitwą, orgazm — zwycięstwem. Był to cios zadany Partii, akcja polityczna.

III

Możemy tu jeszcze kiedyś przyjechać — powiedziała Julia. — Z reguły z każdej kryjówki można bezpiecznie korzystać dwa razy. Ale oczywiście nie wcześniej niż za miesiąc, dwa.

Gdy tylko się obudziła, jej zachowanie się zmieniło. Stała się czujna i rzeczowa, włożyła ubranie, obwiązała się w talii szkarłatną szarfą i zaczęła planować szczegóły podróży powrotnej. Winston zostawił to jej, bo wydawało mu się to naturalne. Miała oczywisty zmysł praktyczny, którego jemu brakowało, a poza tym doskonałą znajomość okolic Londynu, wyniesioną z niezliczonych zbiorowych wycieczek. Trasa, którą mu podała, była zupełnie inna od tej, którą przyjechał, i miał wysiąść na innym dworcu.

— Nigdy nie wracaj tą samą drogą, którą przyjechałeś — powiedziała takim tonem, jakby obwieszczała ważną zasadę ogólną.

Oznajmiła, że pójdzie pierwsza i że Winston ma odczekać pół godziny, nim za nią ruszy.

Podała nazwę miejsca, w którym mieli się spotkać za cztery dni, wieczorem, po pracy. Była to ulica w jednej z uboższych dzielnic. Znajdował się przy niej plac targowy, gdzie przeważnie było tłoczno i gwarno. Julia będzie się kręciła między straganami i udawała, że szuka sznurowadeł albo nici do szycia. Jeśli oceni, że teren jest czysty, wytrze nos, gdy Winston się do niej zbliży, w przeciwnym razie ma przejść obok, jakby jej nie znał. Przy odrobinie szczęścia będą mogli przez kwadrans bezpiecznie porozmawiać w tłumie i umówić się na następne spotkanie.

— No, to czas na mnie — powiedziała, gdy zapamiętał instrukcje. — O dziewiętnastej trzydzieści mam być z powrotem. Muszę odbębnić

dwie godziny w Młodzieżowej Lidze Antyseksualnej, rozdając ulotki albo coś w tym rodzaju. Czy to nie parszywe? Otrzep mnie, dobrze? Nie mam we włosach liści ani źdźbeł trawy? Na pewno? W takim razie żegnaj, kochany!

Padła mu w ramiona, pocałowała go niemal gwałtownie, a chwilę potem prawie że bezszelestnie prześlizgnęła się przez jesionowy młodnik i zniknęła w lesie. Wciąż nie znał jej nazwiska ani adresu. Nie robiło to jednak żadnej różnicy, bo było nie do pomyślenia, że mogliby się spotykać w mieszkaniu lub pisać do siebie.

Tak się złożyło, że już nigdy nie wrócili na tę leśną polanę. Przez cały maj tylko jeszcze raz mieli okazję się kochać. Stało się to w innej znanej Julii kryjówce, na dzwonnicy zrujnowanego kościoła w niemal wyludnionej okolicy, gdzie przed trzydziestu laty spadła bomba atomowa. Kryjówka była znakomita, ale dotarcie do niej — bardzo niebezpieczne. Poza tym mogli się spotykać tylko na ulicach, każdego wieczoru w innym miejscu i nigdy na dłużej niż na pół godziny. Na ulicy zwykle mogli jako tako porozmawiać. Sunąc zatłoczonym chodnikiem, nigdy ramię w ramię i nie patrząc na siebie, prowadzili konwersację przerywaną jak rozbłyski latarni morskiej, milknąc nagle w środku zdania na widok partyjnego uniformu albo w pobliżu teleekranu, podejmując ją po kilku minutach, raptownie ucinając, gdy się rozstawali w umówionym miejscu, i niemal bez żadnego wstępu kontynuując następnego dnia. Okazało się, że Julia miała niezłą wprawę w takim prowadzeniu rozmów. Nazywała to „rozmowami na raty”. Zadziwiająco sprawnie szło jej też mówienie bez poruszania ustami. Tylko raz w ciągu prawie miesiąca wieczornych spotkań udało się im wymienić pocałunki. Szli w milczeniu boczną ulicą (Julia nigdy się nie odzywała, jeśli byli poza głównymi ulicami), gdy nagle rozległ się ogłuszający huk, chodnik zatrząsł im się pod stopami, niebo pociemniało i Winston, potłuczony i przerażony, znalazł się na ziemi. Gdzieś w pobliżu musiał uderzyć pocisk rakietowy. Nagle ujrzał twarz Julii, zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy, trupio bladą, białą jak kreda. Była martwa! Przycisnął ją do siebie i zorientował się, że całuje ciepłą twarz żywej osoby. Ale na jego wargach

osiadło jakieś sproszkowane świństwo. Oboje mieli twarze pokryte grubą warstwą pyłu z rozkruszonego tynku.

Bywały wieczory, że dotarli na miejsce randki, ale musieli się minąć bez żadnego gestu, gdyż zza rogu wyłonił się patrol albo nad ich głowami zawisł śmigłowiec. Nawet gdyby było to mniej niebezpieczne, trudno by im było znaleźć czas na spotkanie. Winston pracował sześćdziesiąt godzin tygodniowo, a Julia jeszcze dłużej, a ich wolne dni zależały od nawału pracy i nie zawsze się pokrywały. W każdym razie Julia rzadko miała całkowicie wolny wieczór. Zdumiewająco wiele czasu pochłaniały jej odczyty, pogadanki i demonstracje, rozprowadzanie literatury Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej, przygotowywanie transparentów na Tydzień Nienawiści, prowadzenie zbiórek w ramach kampanii oszczędzania i tym podobne zajęcia. Twierdziła, że to się opłaca, że to kamuflaż. Jeśli przestrzegałeś mniej ważnych zasad, mogłeś łamać główne. Namówiła nawet Winstona, by poświęcił jeszcze jeden wieczór i wzorem innych członków Partii zgłosił się do ochotniczej pracy w fabryce amunicji. Tak więc raz w tygodniu przez cztery wieczorne godziny Winston czuł obezwładniającą nudę, skręcając kawałki metalu, które prawdopodobnie były częściami zapalników bomb, w pełnej przeciągów, źle oświetlonej hali, w której stukot młotków mieszał się ponuro z muzyką z teleekranów.

Gdy się spotkali w kościelnej wieży, mogli wreszcie wypełnić luki w swoich fragmentarycznych rozmowach. Było upalne popołudnie. W małym, kwadratowym pomieszczeniu nad dzwonami stało nieruchomo rozgrzane powietrze i unosił się smród gołębich odchodów. Siedzieli przez kilka godzin na pokrytej kurzem, zaśmieconej gałązkami podłodze i rozmawiali. Od czasu do czasu jedno z nich wstawało, by rzucić okiem przez otwór strzelniczy i upewnić się, że nikt nie nadchodzi.

Julia miała dwadzieścia sześć lat. Mieszkała w hotelu robotniczym z trzydziestoma innymi dziewczynami („Zawsze w smrodzie kobiet! Jak ja ich nienawidzę!”, powiedziała nawiasem), a pracowała, jak się domyślił, przy maszynie do pisania powieści w Departamencie Literatury. Lubiła swoją pracę, która polegała głównie na obsłudze i konserwacji potężnego,

ale skomplikowanego silnika elektrycznego. Powiedziała, że nie jest „zbyt bystra”, ale uzdolniona manualnie i w hali maszyn czuje się jak u siebie. Potrafiła opisać cały proces komponowania powieści, od dyrektywy wydanej przez Komisję Planowania aż po ostateczne poprawki wprowadzane przez zespół redakcyjny. Jednak produkt końcowy jej nie interesował. „Czytanie to nie dla mnie”, powiedziała. Książki były tylko artykułem konsumpcyjnym, który trzeba było wytworzyć, takim samym jak dżem czy sznurowadła.

Nie pamiętała niczego sprzed wczesnych lat sześćdziesiątych, a jedyną znaną jej osobą, która często mówiła o czasach sprzed Rewolucji, był jej dziadek, który zniknął, gdy miała osiem lat. W szkole była kapitanem drużyny hokejowej i przez dwa lata z rzędu zdobywała puchary w gimnastyce. Przed wstąpieniem do Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej była zastępową w Wywiadowcach i sekretarką oddziału Ligi Młodzieży. Zawsze we wszystkim przodowała. Została nawet wybrana (co było nieomylnym świadectwem dobrej reputacji) do pracy w Pornoseku, podsekcji Departamentu Literatury, która odgrzebywała tanią pornografię rozprowadzaną wśród proli. Napomknęła, że ci, którzy w niej pracowali, nazywali ją Wytwórnią Szmiry. Pozostała tam rok, pomagając przy produkcji zafoliowanych książeczek o takich tytułach jak *Opowieści o klapsach* czy *Noc w szkole dla dziewcząt*, kupowanych ukradkiem przez chłopaków z proletariatu, przekonanych, że to rzeczy nielegalne.

— Jakie są te książki? — spytał zaciekawiony Winston.

— Och, to koszmarne bzdury. Są nudne, naprawdę. Kręcą się wokół sześciu przerabianych na okrągło wątków. Oczywiście ja tylko obsługiwałam maszynę. Nigdy nie należałam do zespołu redakcyjnego. Nie mam talentu literackiego, kochanie, nawet do takich rzeczy.

Dowiedział się ze zdumieniem, że w Pornoseku, oprócz szefa, pracowały same dziewczyny. Według przyjętej przez Partię teorii mężczyźni, którzy słabiej panowali nad popędem płciowym, byli bardziej narażeni na zepsucie przez plugastwa, które tam tworzono.

— Nie chcą tam nawet kobiet zamężnych — dodała. — Podobno dziewczyny są cnotliwe. A oto dziewczyna, która taka nie jest.

Pierwszy romans miała w wieku szesnastu lat, z sześćdziesięcioletnim członkiem Partii, który potem popełnił samobójstwo, by uniknąć aresztowania.

— I dobrze się stało — powiedziała Julia — bo w śledztwie wydusiliby z niego moje nazwisko.

Od tamtej pory miała wiele innych. Według niej życie było bardzo proste. Chciałeś się bawić, „oni”, to znaczy Partia, chcieli ci to uniemożliwić, a ty robiłeś, co mogłeś, by nie dać się złapać. Zdawała się myśleć, że to, iż chcą cię ograbić z przyjemności, jest równie naturalne jak to, że chcesz uniknąć przyłapania. Nienawidziła Partii i mówiła o niej w najbardziej ordynarnych słowach, ale nie wygłaszała żadnych ogólnych uwag krytycznych pod jej adresem. Doktryna partyjna jej nie interesowała, dopóki nie wkraczała w jej życie. Winston zauważył, że nigdy nie używa nowomowy, oprócz słów, które weszły do powszechnego użytku. Nigdy nie słyszała o Bractwie i nie chciała uwierzyć w jego istnienie. Jakikolwiek zorganizowany bunt przeciw Partii, nieuchronnie skazany na klęskę, uznawała za skrajną głupotę. Mądry człowiek łamał reguły i starał się przy tym zachować życie. Zastanawiał się, ile podobnie myślących osób jest w młodszym pokoleniu, wśród ludzi, którzy wychowali się w świecie po Rewolucji, nie znali innego, traktowali Partię jako coś tak niezmiennego jak niebo, nie buntowali się przeciw jej władzy, lecz po prostu umykali przed nią jak króliki przed psami.

Nie rozważali możliwości zawarcia małżeństwa. Było to tak abstrakcyjne, że nie warto było zaprzątać sobie tym głowy. Żaden wyobrażalny komitet nigdy nie zatwierdziłby takiego związku, nawet gdyby Winstonowi udało się w jakiś sposób pozbyć Katharine, jego żony. Nie można było nawet o tym marzyć.

— Jaka ona była, ta twoja żona? — spytała Julia.

— Była… znasz takie słowo z nowomowy: „dobromyśląca”? To znaczy z natury ortodoksyjna, niezdolna do tego, by pomyśleć coś złego?

— Nie, tego słowa nie znałam, ale znam ten typ, i to dość dobrze.

Zaczął opowiadać historię swojego małżeństwa, ale — o dziwo — wyglądało na to, że Julia już zna jego istotne elementy. Opisała mu prawie tak, jakby to widziała czy sama czuła, sztywnienie ciała Katharine, gdy tylko go dotknął, sposób, w jaki wciąż zdawała się odpychać go z całej siły, nawet gdy ciasno oplatała go ramionami. Rozmawiał o tym z Julią bez żadnego wewnętrznego oporu; zresztą życie z Katharine już dawno przestało być bolesnym i stało się tylko niesmacznym wspomnieniem.

— Mógłbym to znieść, gdyby nie jedna rzecz — wyznał. Opowiedział jej o oziębłym rytuale, do którego Katharine zmuszała go raz na tydzień o tej samej porze. — Nie cierpiała tego, ale nic nie mogło jej przed tym powstrzymać. Nazywała to… nigdy nie zgadniesz jak.

— Naszym obowiązkiem wobec Partii — odparła natychmiast Julia.

— Skąd wiedziałaś?

— Ja też chodziłam do szkoły, kochany. Raz w miesiącu pogadanki o seksie dla młodzieży, która ukończyła szesnaście lat. I w Ruchu Młodych. Wpajają ci to latami. Mogę śmiało powiedzieć, że w wielu wypadkach daje to rezultaty. Ale oczywiście trudno powiedzieć, jak jest naprawdę — ludzie to tacy hipokryci.

Zaczęła rozwijać temat. U Julii wszystko sprowadzało się do jej seksualności. Gdy w jakikolwiek sposób dotknięto tej sprawy, umiała się zdobyć na wyjątkową przenikliwość. W przeciwieństwie do Winstona rozumiała, dlaczego seksualny purytanizm jest tak ważny dla Partii. Nie chodziło tylko o to, że popęd płciowy tworzył własny świat, który był całkowicie poza kontrolą Partii, a więc trzeba było go w miarę możliwości niszczyć. Ważniejsze było to, że wstrzemięźliwość seksualna wywoływała histerię, która była pożądana, bo można ją było przekształcić w gorączkę wojenną lub kult przywódcy. Ujęła to tak:

— Kiedy się kochasz, zużywasz energię, a potem czujesz się szczęśliwy i masz wszystko w nosie. Partia nie znosi takiego zachowania. Chcą, żebyś cały czas tryskał energią. Te wszystkie pochody, skandowanie haseł i wymachiwanie flagami mają po prostu dać ujście niezaspokojeniu seksu-

alnemu. Jeśli czujesz się zaspokojony, to dlaczego miałbyś się podniecać Wielkim Bratem, Dwoma Minutami Nienawiści, planem trzyletnim i całą resztą tych pieprzonych bzdur?

W duchu przyznał jej rację. Między czystością i polityczną ortodoksją istniał bezpośredni, ścisły związek. Bo jak inaczej można by było utrzymać natężenie tego strachu, nienawiści i obłąkańczego posłuszeństwa, których wymagała Partia od swoich członków, jeśli nie poprzez tłumienie jakiegoś potężnego popędu i dawanie mu ujścia w pożądanym przez nią kierunku w chwili, gdy grozi wybuchem? Popęd płciowy był dla Partii niebezpieczny, obróciła go zatem na swoją korzyść. Tę samą sztuczkę stosowała wobec instynktu rodzicielskiego. Rodziny nie dało się zlikwidować, więc nawet zachęcano ludzi, by płodzili potomstwo i zajmowali się nim niemal tak jak w dawnych czasach. Natomiast dzieci systematycznie nastawiano przeciw rodzicom, uczono szpiegowania ich i donoszenia o odstępstwach od obowiązujących reguł. Wskutek tego rodzina stała się w istocie przedłużeniem Policji Myśli. Środkiem, za pomocą którego można było każdego otaczać dzień i noc znającymi go od podszewki inwigilatorami.

Nagle wrócił myślami do Katharine. Bez wątpienia doniosłaby na niego Policji Myśli, gdyby nie to, że była za głupia, by odkryć, że jego opinie są niezgodne z partyjną ortodoksją. Ale tym, co naprawdę przypomniało mu o niej w tej chwili, była popołudniowa duchota, od której na jego czole wystąpił pot. Zaczął opowiadać Julii o czymś, co się zdarzyło, a raczej co się nie zdarzyło, innego upalnego popołudnia przed jedenastu laty.

Było to trzy albo cztery miesiące po ślubie. Zgubili się podczas jakiejś zbiorowej wycieczki gdzieś w Kencie. Przez kilka minut tylko szli za resztą, ale skręcili w złą stronę i znaleźli się na skraju starego kamieniołomu. Było to dziesięciometrowe urwisko usiane na dnie głazami. Nie było nikogo, kogo mogliby spytać o drogę. Gdy tylko Katharine uświadomiła sobie, że się zgubili, wpadła w popłoch. Oderwanie się choćby na moment od hałaśliwego tłumu wycieczkowiczów napełniało ją poczuciem winy. Chciała jak najszybciej wrócić drogą, którą przyszli, i zacząć szukać grupy w innym kierunku. Ale akurat wtedy Winston dostrzegł rosnące w szczeli-

nach urwiska pod nimi kępki tojeści. Jedna z nich była dwubarwna, purpurowa i ceglano czerwona, chociaż widać było, że wyrasta z tych samych korzeni. Nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego, więc krzyknął do Katharine, żeby podeszła i spojrzała na nią.

— Katharine, popatrz! Popatrz na te kwiaty! Na tę kępkę blisko dna. Widzisz, że są to dwa różne kolory?

Odwróciła się już, by odejść, ale — choć raczej bojaźliwie — na chwilę wróciła. Nawet przechyliła się nad krawędzią urwiska, by spojrzeć w miejsce, które wskazywał. Stał tuż za nią i objął ją w pasie ręką, by ją przytrzymać. I wtedy nagle dotarło do niego, że są zupełnie sami. W pobliżu nie było nikogo, nie poruszył się nawet liść, nie obudził się żaden ptak. Groźba, że w takim miejscu znajduje się ukryty mikrofon, była znikoma, a zresztą nawet gdyby gdzieś tam był, wychwyciłby tylko dźwięki. Była najgorętsza, najbardziej usypiająca godzina popołudnia. Prażyło słońce, po ich twarzach spływał pot. I wtedy naszła go myśl…

— Dlaczego jej nie zepchnąłeś? — zapytała Julia. — Ja bym tak zrobiła.

— Tak, kochanie, ty byś tak zrobiła. Ja też, gdybym był wtedy tym, kim jestem teraz. A może bym to zrobił nawet taki, jaki wtedy byłem — sam nie wiem.

— Nie żałujesz, że nie zrobiłeś?

— Tak. Szczerze mówiąc, żałuję.

Siedzieli obok siebie na pokrytej kurzem podłodze. Przyciągnął Julię bliżej. Jej głowa spoczywała na jego ramieniu, przyjemny zapach jej włosów przezwyciężał smród gołębich odchodów. Jest bardzo młoda, pomyślał, wciąż jeszcze oczekuje czegoś od życia, nie rozumie, że zepchnięcie kogoś z urwiska nie rozwiązuje sprawy.

— W gruncie rzeczy niczego by to nie zmieniło — powiedział.

— No to dlaczego żałujesz, że tego nie zrobiłeś?

— Tylko dlatego, że wolę plusy od minusów. W grze, którą prowadzimy, nie możemy wygrać. Niektóre porażki są lepsze od innych, to wszystko.

Po drgnięciu jej ramion poznał, że się z nim nie zgadza. Zawsze się sprzeciwiała, kiedy mówił coś w tym rodzaju. Nie przyjęłaby argumentu, że

zgodnie z prawem natury jednostka zawsze przegrywa. Na swój sposób zdawała sobie sprawę, że sama jest z góry skazana na klęskę, że wcześniej czy później złapie ją i zabije Policja Myśli, ale jakąś cząstką umysłu wierzyła w to, że można stworzyć sekretny świat i żyć w nim tak, jak się chce. Trzeba było tylko mieć szczęście, spryt i odwagę. Nie pojmowała, że nie ma czegoś takiego jak szczęście, że zwycięstwo możliwe jest jedynie w odległej przyszłości, gdy oboje będą już od dawna martwi, że od chwili, gdy wypowiedziało się wojnę Partii, lepiej uważać się za trupa.

— Jesteśmy już martwi — powiedział.

— Jeszcze nie — sprzeciwiła się Julia.

— Owszem, fizycznie nie. Przypuszczalnie pożyjemy jeszcze pół roku, rok… może pięć lat. Boję się śmierci. Jesteś młoda, więc pewnie boisz się jej bardziej niż ja. Oczywiście możemy ją odwlekać jak długo się da. Ale to niewiele zmienia. Dopóki ludzie są ludźmi, śmierć i życie są jednym i tym samym.

— Och, co za brednie! Z kim wolałbyś się przespać: ze mną czy ze szkieletem? Nie cieszysz się, że żyjesz? Nie lubisz tego uczucia: to ja, to moja ręka, a to moja noga, jestem, żyję? Nie podoba ci się to?

Obróciła się do niego i przywarła do jego ciała. Czuł przez kombinezon napór jej piersi, dojrzałych, ale jędrnych. Jej ciało zdawało się wlewać w niego część swej młodości i wigoru.

— Tak, lubię — przyznał.

— Więc przestań gadać o śmierci. A teraz, kochany, posłuchaj: musimy ustalić, kiedy i gdzie się znowu spotkamy. Możemy wrócić do tego miejsca w lesie. Długo na nas czekało. Ale tym razem musisz tam dotrzeć inną drogą. Wszystko już zaplanowałam. Wsiądziesz do pociągu… ale spójrz, narysuję ci tę trasę.

I, jak zwykle praktycznie, zgarnęła na kupkę kurz na kawałku podłogi i wyjętą z gołębiego gniazda gałązką zaczęła na niej kreślić mapę.

IV

Winston rozejrzał się po niechlujnym pokoiku nad sklepem pana Charringtona. Na ogromnym łożu pod oknem leżały postrzępione koce i poduszka bez powłoczki. Na kominku tykał staroświecki zegar z dwunastogodzinną tarczą. W rogu, na rozsuwanym stoliku, lśnił łagodnie w półmroku szklany przycisk do papieru, który kupił podczas poprzedniej wizyty.

W osłonie kominka stały poobijana blaszana kuchenka naftowa, rondelek i dwa kubki dostarczone przez pana Charringtona. Winston włączył palnik i nastawił w garnku wodę. Przyniósł ze sobą pełną kopertę Kawy Zwycięstwa i kilka pastylek sacharyny. Wskazówki zegara wskazywały siódmą dwadzieścia; w rzeczywistości była dziewiętnasta dwadzieścia.

Szaleństwo, szaleństwo, mówiło mu serce: świadome, niepotrzebne, samobójcze szaleństwo. Ze wszystkich zbrodni, które mógł popełnić członek Partii, tę najtrudniej było ukryć. Właściwie najpierw pomysł ten przyszedł Winstonowi do głowy w postaci wizji szklanego przycisku do papieru odbijającego się w lśniącym blacie rozsuwanego stolika. Jak przewidywał, pan Charrington nie miał żadnego oporu przed wynajęciem pokoju. Był wyraźnie zadowolony, że wpadnie mu za to do kieszeni parę dolarów. Nie wyglądał też na wstrząśniętego ani nie spojrzał znacząco, kiedy stało się jasne, że Winston chce ten pokój w celu romansowym. Patrzył w dal nad jego głową i mówił ogólnikami, a do tego tak delikatnie, jakby chciał stworzyć wrażenie, że właściwie go tam nie ma. Poczucie prywatności, powiedział, jest bardzo cenne. Każdy chce znaleźć miejsce, w którym od czasu do czasu może być sam. A gdy już je ma, zwykła grzeczność wymaga, by

wszyscy, którzy o tym wiedzą, zatrzymali tę wiedzę dla siebie. Dodał nawet, starając się przy tym niemal zniknąć z widoku, że dom ma dwa wejścia, jedno od podwórka, przez które można się dostać na tylną uliczkę.

Pod oknem ktoś śpiewał. Winston, bezpieczny za muślinową firanką, wyjrzał. Czerwcowe słońce było jeszcze wysoko na niebie i na zalanym jego blaskiem podwórku monstrualne babsko, wielkie jak normański filar, o krzepkich czerwonych rękach, przepasane fartuchem z worka, człapało tam i z powrotem między balią i sznurem do suszenia prania, rozwieszając białe kwadratowe szmatki, w których Winston rozpoznał pieluchy. Gdy klamerki nie zatykały jej ust, śpiewała potężnym kontraltem:

To były tylko rojenia,
Przeminęły jak kwietniowy dzień,
Lecz spojrzenie, słowo i marzenia
Obudziły nadziei cień!

Ta melodia od tygodni rozbrzmiewała w całym Londynie. Była jedną z niezliczonych podobnych piosenek nagrywanych przez sekcję Departamentu Muzyki na użytek proli. Ich teksty układał bez żadnego udziału człowieka mechanizm zwany wersyfikatorem. Ale ta kobieta śpiewała tak melodyjnie, że nawet tę koszmarną chałę zamieniała w niemal przyjemne tony. Winston słyszał ten śpiew i szuranie jej butów na kamiennych płytach, krzyki dzieci na ulicy i dobiegający gdzieś z oddali stłumiony odgłos ruchu drogowego, a mimo to — dzięki temu, że nie było tam teleekranu — pokój wydawał się dziwnie cichy.

Szaleństwo, szaleństwo, czyste szaleństwo!, pomyślał znowu. Trudno było uwierzyć, że bywali w tym miejscu od dobrych kilku tygodni i dotąd ich nie przyłapano. Ale pokusa posiadania kryjówki, która była naprawdę ich własna, znajdowała się pod dachem i w zasięgu ręki, była dla nich obojga zbyt silna. Przez pewien czas po wyprawie na kościelną dzwonnicę nie mogli się umówić na żadne spotkanie. Przed zbliżającym się Tygodniem Nienawiści bardzo wydłużono czas pracy. Wprawdzie miał się on odbyć

dopiero za ponad miesiąc, ale wymagał tak intensywnych i złożonych przygotowań, że wszystkim narzucano dodatkowe zajęcia. W końcu obojgu udało się wygospodarować wolne popołudnie tego samego dnia. Uzgodnili, że wrócą na tę leśną polanę. W przededniu wyjazdu spotkali się na krótko na ulicy. Jak zwykle Winston ledwie spojrzał na Julię, gdy płynęli z tłumem ku sobie, ale wystarczył ten rzut oka, by zauważył, że jest bledsza niż zazwyczaj.

— Nic z tego — mruknęła, gdy tylko oceniła, że może się bezpiecznie odezwać. — To znaczy z jutrzejszej wyprawy.

— Co?

— Jutro nie mogę.

— Dlaczego?

— Zwykła przypadłość. Tym razem zaczęło się wcześniej.

Przez chwilę był wściekły. W ciągu miesiąca znajomości zmienił się charakter pożądania, które czuł do niej. Na początku w ich związku było niewiele prawdziwej zmysłowości. Pierwszy stosunek był po prostu aktem woli. Ale po drugim było inaczej. Zapach jej włosów, smak jej ust, dotyk jej skóry zdawały się przenikać jego ciało albo przepełniać otaczające go powietrze. Kontakt z nią stał się potrzebą fizyczną, czymś, czego nie tylko pragnął, ale również uważał, że ma do tego prawo. Gdy powiedziała, że nie przyjdzie, poczuł się, jakby go oszukiwała. Ale akurat w tej chwili tłum pchnął ich ku sobie i ich dłonie przypadkowo się zetknęły. Ścisnęła szybko koniuszki jego palców w sposób, który nie wzbudził w nim pożądania, lecz czułość. Zdał sobie sprawę, że gdy się żyło z kobietą, takie rozczarowanie musiało być czymś częstym i normalnym, chlebem powszednim, i nagle ogarnęła go głęboka tkliwość, jaką nie darzył jej wcześniej. Pragnął, żeby byli małżeństwem z dziesięcioletnim stażem. Pragnął móc chodzić z nią ulicami tak jak teraz, ale otwarcie i bez strachu, rozmawiając o błahostkach i kupując drobiazgi do domu. A nade wszystko pragnął, by mieli jakieś miejsce, gdzie mogliby być sami, bez poczucia, że muszą się kochać za każdym razem, gdy się spotkają. Ale to nie w tamtej chwili, lecz następnego dnia przyszedł mu do głowy pomysł, by wynająć pokój od pana Charring-

tona. Gdy zasugerował to Julii, zgodziła się niespodziewanie skwapliwie. Oboje wiedzieli, że to obłęd, zupełnie jakby z pełną świadomością zdecydowali się na krok, który przybliżał ich do grobu. Kiedy siedział na brzegu łóżka, czekając na nią, znowu pomyślał o kazamatach Ministerstwa Miłości. Dziwne, jak ten koszmar pojawiał się i znikał ze świadomości. Był ich przeznaczeniem, czekał ich w przyszłości, poprzedzając śmierć tak samo pewnie jak 99 poprzedza 100. Nie można było go uniknąć, ale być może odsunąć w czasie, a mimo to co i rusz świadomie, z własnej woli, skracali dzielący ich od niego dystans.

W tej samej chwili usłyszał na schodach szybki tupot. Do pokoju wpadła Julia. W ręku miała torbę z narzędziami z grubego brązowego brezentu, z jaką często widywał ją chodzącą tam i z powrotem po korytarzach ministerstwa. Ruszył ku niej i wziął ją w ramiona, ale szybko się wyswobodziła, po części dlatego, że wciąż trzymała torbę.

— Pół sekundy — powiedziała. — Tylko pokażę ci, co tu mam. Przyniosłeś tę ohydną Kawę Zwycięstwa? Tak myślałam. Możesz ją wyrzucić, tak jak poprzednim razem, bo nie będzie nam potrzebna. Popatrz!

Uklękła, otworzyła torbę i wysypała z niej klucze do nakrętek i śrubokręt, które leżały na wierzchu. Pod spodem znajdowały się zgrabne papierowe pakieciki. Pierwszy, który podała Winstonowi, miał dziwny, ale znajomy skądś zapach. Wypełniała go jakiś ciężka, miękka jak piasek substancja, która ustępowała pod naciśnięciem palca.

— Czyżby to cukier? — zapytał.

— Najprawdziwszy cukier. Nie sacharyna, ale cukier. A oto bochenek chleba — prawdziwego białego chleba, nie tego cholernego świństwa, którym nas karmią, i słoiczek dżemu. A tu puszka mleka… ale spójrz na to! Z tego jestem naprawdę dumna. Musiałam to trochę owinąć, bo…

Ale nie musiała mu mówić, dlaczego to zrobiła. Pokój już wypełniał silny, bogaty aromat, który wydawał się emanacją z wczesnego dzieciństwa Winstona, ale jeszcze teraz od czasu do czasu docierał do niego z jakiegoś korytarza, nim zatrzaśnięto drzwi, albo unosił się tajemniczo po zatłoczonej ulicy i niknął, ledwie go poczuł.

— Kawa — szepnął — prawdziwa kawa.

— To kawa dla członków Partii Wewnętrznej. Jest tu cały kilogram — powiedziała.

— Jak udało ci się zdobyć to wszystko?

— To z zasobów Partii Wewnętrznej. Tym świniom nie brakuje niczego, naprawdę niczego. Ale kelnerzy, obsługa i inni zawsze uszczkną coś dla siebie, więc… spójrz, mam też paczuszkę herbaty.

Winston przykucnął obok niej. Rozerwał róg paczuszki.

— Prawdziwa herbata. To nie liście jeżyn.

— Ostatnio jest jej dużo. Zajęli Indie czy coś — powiedziała nieuważnie. — Ale posłuchaj, kochany. Chcę, żebyś na trzy minuty odwrócił się ode mnie. Usiądź po drugiej stronie łóżka. Nie za blisko okna. I nie oglądaj się, dopóki nie powiem.

Winston patrzył z roztargnieniem przez muślinową firankę. Czerwonoręka kobieta wciąż krążyła między balią i sznurem do prania. Wyjęła z ust dwie następne klamerki i zaśpiewała z uczuciem:

Mówią, że czas goi rany,
Że zapomnisz o każdej rozterce,
Lecz uśmiechy i łzy sprzed lat
Wciąż poruszają me serce!

Wydawało się, że kobieta zna tę idiotyczną piosenkę na pamięć. Jej głos, bardzo melodyjny, z nutą jakiejś słodkiej melancholii, płynął w górę w miłym letnim powietrzu. Można by odnieść wrażenie, że byłaby w pełni zadowolona, gdyby ten czerwcowy wieczór trwał wiecznie, a stos upranych rzeczy był niewyczerpany, i mogłaby przez tysiąc lat wieszać pieluszki i wyśpiewywać te bzdurne kawałki. Uderzyło go, że dziwnym trafem nigdy nie słyszał, by jakiś członek Partii podśpiewywał spontanicznie, w samotności. Mogłoby się to nawet wydawać odchyleniem od linii Partii, groźną ekscentrycznością, tak jak mówienie do siebie. Być może ludzie mieli o czym śpiewać, dopiero gdy w oczy zaczynał im zaglądać głód.

— Możesz się już odwrócić — oznajmiła Julia.

Spojrzał na nią i ledwie ją poznał. Spodziewał się ujrzeć ją nagą. Ale nie była naga. Zaszła w niej dużo bardziej zdumiewająca przemiana. Julia umalowała twarz.

Musiała się wśliznąć ukradkiem do jakiegoś sklepu w dzielnicy proletariackiej i kupić sobie kompletny zestaw do makijażu. Usta miała pociągnięte ciemnoczerwoną szminką, policzki różem, a nos przypudrowany; nawet pod oczami nałożyła coś, dzięki czemu stały się jaśniejsze. Zrobiła to niezbyt umiejętnie, ale Winston nie miał w tych sprawach rozeznania. Nigdy wcześniej nie widział, ani nawet nie mógł sobie wyobrazić, członkini Partii z twarzą upiększoną kosmetykami. Julia wyglądała wręcz oszałamiająco. Odrobina kolorów w odpowiednich miejscach sprawiła, że nie tylko stała się dużo ładniejsza, ale przede wszystkim bardziej kobieca. Krótkie włosy i chłopięcy kombinezon tylko potęgowały to wrażenie. Gdy wziął ją w ramiona, uderzyła go fala syntetycznego zapachu fiołków. Przypomniało mu to półmrok piwnicznej kuchni i ziejącą otchłań bezzębnych ust tamtej kobiety. Używała takich samych perfum, lecz w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia.

— I jeszcze perfumy! — powiedział.

— Tak, kochany, jeszcze perfumy. Wiesz, co mam zamiar zrobić następnym razem? Wytrzasnę skądś prawdziwą sukienkę i włożę ją zamiast tego przeklętego kombinezonu. Będę miała pończochy i buty na wysokich obcasach! W tym pokoju będę kobietą, nie towarzyszką partyjną.

Zrzucili ubrania i weszli do wielkiego mahoniowego łoża. Po raz pierwszy rozebrał się do naga w jej obecności. Do tej pory za bardzo się wstydził swego bladego i wątłego ciała, z żylakami napęczniałymi na łydkach i odbarwioną skórą nad kostką. Nie było prześcieradła, ale koc, na którym leżeli, był wytarty i gładki, a rozmiary i sprężystość łóżka zdumiały ich oboje.

— Na pewno jest tu pełno pluskiew, ale kto by się tym przejmował — stwierdziła Julia.

W obecnych czasach nie widywało się podwójnych łóżek, chyba że w mieszkaniach proli. W dzieciństwie Winston czasami w takim sypiał, ale Julia, jak daleko sięgała pamięcią, nigdy wcześniej w takim nie leżała.

Zaraz potem na krótko się zdrzemnęli. Gdy Winston się obudził, wskazówki zegara doszły prawie do dziewiątej. Nie poruszył się, bo Julia spała z głową w zgięciu jego ramienia. Jej makijaż wtarł się prawie w całości w jego twarz i w poduszkę, ale lekka plama różu wciąż podkreślała piękno jej kości policzkowej. Złoty promień zachodzącego słońca padł na nogi łóżka i rozświetlił kominek, gdzie w rondelku wrzała woda. Kobieta na podwórku przestała śpiewać, ale z ulicy wciąż dobiegały stłumione krzyki dzieci. Winston zastanawiał się leniwie, czy w zlikwidowanej przeszłości wylegiwanie się w łóżku w chłodzie letniego wieczoru było czymś normalnym, czy mężczyzna i kobieta mogli leżeć obok siebie nago, kochać się, gdy przyszła im na to ochota, rozmawiać, o czym zechcieli, nie czuć żadnego przymusu, by wstać, lecz po prostu leżeć i słuchać napływających z zewnątrz spokojnych dźwięków. Chyba w żadnych czasach nie wydawało się to normalne.

Julia się przebudziła, potarła oczy, uniosła się na łokciu i spojrzała na kuchenkę naftową.

— Połowa wody się wygotowała — powiedziała. — Zaraz wstanę i zaparzę nam kawy. Mamy godzinę. O której gaszą światło w twoim bloku?

— O dwudziestej trzeciej.

— Tak samo w hotelu robotniczym. Ale trzeba przyjść wcześniej, bo… Och, ty wstrętny gadzie!

Nagle przekręciła się na łóżku, chwyciła but z podłogi i chłopięcym wymachem ręki, jakim tamtego ranka, podczas Tygodnia Nienawiści, rzuciła słownikiem w twarz Goldsteina na ekranie, cisnęła nim w róg pokoju.

— Co to było? — spytał zaskoczony.

— Szczur. Zauważyłam, jak wysuwa wstrętny nos zza boazerii. Pewnie jest tam dziura. W każdym razie przepłoszyłam go.

— Szczury! — szepnął Winston! — W tym pokoju!

— Są wszędzie — powiedziała Julia obojętnym tonem, z powrotem się kładąc. — Mamy je nawet w naszej hotelowej kuchni. W niektórych częściach Londynu aż się od nich roi. Wiedziałeś, że atakują dzieci? Tak, tak. Na niektórych ulicach kobieta boi się zostawić niemowlę samo nawet na dwie minuty. Robią to te duże, brunatne. A najgorsze, że te bestie zawsze…

— *Przestań*! — powiedział Winston, mocno zaciskając powieki.

— Najdroższy! Cały zbladłeś. O co chodzi? Robi ci się niedobrze na ich widok?

— Szczur to najgorszy koszmar na świecie!

Przytuliła go do siebie i zamknęła w ramionach, jakby chciała dodać mu otuchy ciepłem swego ciała. Nie od razu otworzył oczy. Przez kilka chwil miał wrażenie, że znowu znalazł się w koszmarnym śnie, który przez całe życie co pewien czas powracał. Zawsze wyglądało to tak samo. Stał przed ścianą ciemności, a po jej drugiej stronie czaiło się coś ohydnego, zbyt przerażającego, by spojrzeć mu w oczy. W tym śnie zawsze czuł w głębi duszy, że sam się oszukuje, bo w istocie wiedział, co się kryje za tą mroczną ścianą. Mógłby to nawet wyciągnąć na światło dzienne, ale z tak potwornym trudem, jakby wyrywał sobie kawałek mózgu. Zawsze budził się, zanim zdołał odkryć, co to jest, ale miało to jakiś związek z tym, co mówiła Julia, gdy jej przerwał.

— Przepraszam — powiedział. — Nic się nie stało. Nie znoszę szczurów, to wszystko.

— Nie martw się, kochany, pozbędziemy się stąd tych paskudnych gadzin. Zanim wyjdę, zatkam dziurę kawałkiem worka. A następnym razem przyniosę trochę cementu i zalepię ją jak należy.

Już prawie zapomniał o czarnej chwili paniki. Czując się lekko zawstydzony, usiadł i oparł się o wezgłowie łóżka. Julia wstała, włożyła kombinezon i zaparzyła kawę. Zapach, który unosił się z rondelka, był tak silny i podniecający, że zamknęli okno, by nie poczuł go ktoś z zewnątrz i nie zaczął dociekać, skąd dochodzi. Jeszcze lepsza niż smak kawy był jedwabista konsystencja, którą nadawał jej cukier, coś, o czym po latach używania sacharyny Winston niemal zapomniał. Julia przechadzała się po pokoju

z jedną ręką w kieszeni i kromką chleba z dżemem w drugiej. Zerknęła obojętnie na regał na książki, powiedziała, jak najlepiej można naprawić rozkładany stół, opadła na podniszczony fotel, by sprawdzić, czy jest wygodny, i z pewnym tolerancyjnym rozbawieniem przyjrzała się absurdalnemu zegarowi z dwunastogodzinną tarczą. Przyniosła do łóżka szklany przycisk do papieru, by obejrzeć go w lepszym świetle. Wyjął go jej z ręki, jak zawsze zafascynowany miękkim jak woda wyglądem szkła.

— Jak myślisz, do czego to służy? — zapytała.

— Myślę, że do niczego… to znaczy nie sądzę, żeby go kiedykolwiek do czegoś użyto. To właśnie najbardziej mi się w nim podoba. To kawałek historii, który zapomnieli zmienić. Przesłanie sprzed stu lat, gdyby ktoś wiedział, jak je odczytać.

— A ten obraz — wskazała rycinę na przeciwległej ścianie — też ma sto lat?

— Więcej. Śmiem twierdzić, że dwieście. Trudno powiedzieć. Obecnie nie sposób określić wieku żadnego przedmiotu.

Podeszła bliżej, by mu się przyjrzeć.

— O, to stąd wytknęła nos ta gadzina — powiedziała, kopiąc w boazerię wprost pod ryciną. — Co to za budynek? Gdzieś już go widziałam.

— Kościół, a przynajmniej kiedyś nim był. Nosił nazwę Świętego Klemensa Duńskiego. — Powrócił fragment rymowanki, której nauczył go pan Charrington, i dodał z pewną nostalgią: „«Pomarańcza czy cytryna?», pytają dzwony Świętego Klemensa!”.

Ku jego zaskoczeniu dokończyła wierszyk:

„Jesteś mi winien ćwierć pensa!”, krzyczą dzwony Świętego Marcina,
„Że oddasz, słaba nadzieja”, łka dzwon Starego Baileya…

— Nie pamiętam, jak to idzie dalej. Ale wiem, jak się kończy: „To świeca, która do łóżka wskaże ci ścieżynę, A to topór, który utnie ci łepetynę!”.

Zabrzmiało to jak hasło i odzew. Ale po „łka dzwon Starego Baileya” musi być jeszcze jeden wers. Może za odpowiednią zachętą pan Charrington wygrzebałby to z pamięci.

— Kto cię tego nauczył? — zapytał Winston.

— Dziadek. Powtarzał mi to w dzieciństwie. Gdy miałam osiem lat, został ewaporowany, w każdym razie zniknął. Zastanawiam się, co to jest cytryna — dodała ni z tego, ni z owego. — Pomarańcze widziałam. To okrągłe żółte owoce o grubej skórce.

— Ja pamiętam cytryny — rzekł Winston. — Były w powszechnej sprzedaży w latach pięćdziesiątych, ale tak kwaśne, że od samego ich zapachu cierpły zęby.

— Założę się, że za tym obrazem są pluskwy — powiedziała Julia, zmieniając temat. — Pewnego dnia zdejmę go i dokładnie oczyszczę. Chyba czas już na nas. Muszę zmyć ten makijaż. Co za utrapienie! Potem zetrę szminkę z twojej twarzy.

Jeszcze przez kilka minut Winston nie wstawał. W pokoju się ściemniało. Odwrócił się w stronę światła i leżał, wpatrując się w szklany przycisk. Niezmiernie interesujący nie był kawałek koralu, lecz wnętrze samego szkła. Była w nim niezmierzona głębia, mimo to było prawie tak przejrzyste jak powietrze. Zupełnie jakby jego powierzchnia była sklepieniem nieba zamykającym maleńki świat z własną atmosferą. Miał wrażenie, że mógłby do niego przeniknąć i że właściwie już tam jest razem z mahoniowym łóżkiem, rozkładanym stołem, zegarem, stalorytem i samym przyciskiem. Przycisk był pokojem, w którym się znajdował, a koral życiem jego i Julii, umieszczonym jakby na wieczność w sercu kryształu.

V

Syme zniknął. Pewnego ranka nie przyszedł do pracy; kilka bezmyślnych osób skomentowało jego nieobecność. Nazajutrz nikt już o nim nie wspomniał. Trzeciego dnia Winston wszedł do holu Departamentu Archiwów i spojrzał na tablicę z ogłoszeniami. Wśród nich wisiała wydrukowana lista członków Komitetu Szachowego, do którego należał Syme. Wyglądała prawie tak jak przedtem — nic nie zostało wykreślone — ale była krótsza o jedno nazwisko. To wystarczyło. Syme przestał istnieć; nigdy nie istniał.

Panowała spiekota. W labiryncie pozbawionych okien klimatyzowanych pomieszczeń ministerstwa utrzymywała się normalna temperatura, ale na zewnątrz chodniki parzyły stopy, a w godzinach szczytu w metrze unosił się koszmarny smród. Przygotowania do Tygodnia Nienawiści szły pełną parą, a personel ministerstw pracował po godzinach. Trzeba było zorganizować pochody, wiece, parady wojskowe, odczyty, wystawy figur woskowych, pokazy filmowe, programy teleekranów, wznieść trybuny, ustawić kukły wrogów, ułożyć hasła, napisać pieśni, rozpuścić pogłoski, sfabrykować zdjęcia. Zespół Julii w Departamencie Literatury został oderwany od produkcji powieści i w błyskawicznym tempie przygotowywał serię broszur o bestialstwach wroga. Winston poza swą normalną pracą spędzał codziennie długie godziny na wertowaniu starych wydań „Timesa” oraz zmienianiu i upiększaniu nowych wiadomości, które miały być cytowane podczas przemówień. Późnymi wieczorami, gdy ulicami przelewały się hałaśliwe tłumy proli, w mieście panowała gorączkowa atmosfera. Pociski rakietowe spadały częściej niż zwykle, a czasami skądś z oddali dobiegał huk potężnych

wybuchów, których przyczyny nikt nie potrafił wyjaśnić i o których krążyły niesamowite plotki.

Skomponowano już melodię nowej pieśni, która miała być motywem przewodnim Tygodnia Nienawiści (nazwano ją Pieśnią Nienawiści) i bez końca rozbrzmiewała z teleekranów. Miała dziki rytm, który niezupełnie można by nazwać muzyką, ale który przypominał grzmot bębnów. Ryczana setkami głosów w takt dudniących kroków maszerujących oddziałów robiła przerażające wrażenie. Spodobała się prolom i nocami konkurowała z wciąż popularnym kawałkiem *To były tylko rojenia*. Dzieci Parsonsów wygrywały ją o różnych porach dnia i nocy na grzebieniu oraz kawałku papieru toaletowego. Winston nie mógł tego znieść, tym bardziej że wieczory miał tak zajęte jak nigdy dotąd. Zorganizowane przez Parsonsa ekipy ochotników przygotowywały ulicę do Tygodnia Nienawiści, rozwieszając transparenty, malując plakaty, stawiając na dachach maszty flagowe i ryzykownie rozciągając w poprzek jezdni druty do zawieszenia serpentyn. Parsons chwalił się, że sam Blok Zwycięstwa zużyje na dekoracje czterysta metrów materiału flagowego. Był w swoim żywiole, radosny jak skowronek. Upał i praca fizyczna dały mu nawet pretekst do chodzenia wieczorami w szortach i rozpiętej do pasa koszuli. Wszędzie było go pełno — pchał, ciągnął, piłował, wbijał gwoździe, improwizował, nawoływał wszystkich kumplowskimi pokrzykiwaniami do wzmożonego wysiłku i wydzielał z każdej fałdy ciała ostry zapach potu, którego zdawał się mieć niewyczerpane zasoby.

Nagle w całym Londynie pojawił się nowy plakat. Nie miał żadnych napisów i przedstawiał tylko olbrzymią, wysoką na trzy lub cztery metry postać eurazjatyckiego żołnierza o mongolskiej twarzy bez wyrazu, w ogromnych buciorach, maszerującego ze skierowanym do przodu pistoletem maszynowym u biodra. Obojętnie pod jakim kątem patrzyło się na plakat, wylot lufy, powiększony przez skrót perspektywiczny, wydawał się skierowany wprost na widza. Plakaty rozlepiono na wszystkich murach, wykorzystując każde wolne miejsce, było ich nawet więcej niż tych z Wielkim Bratem. W ten sposób wywoływano u proli, którzy normalnie trakto-

wali wojnę obojętnie, przypływ ogarniającego ich co jakiś czas szaleńczego patriotyzmu. Pociski rakietowe, jakby dostrajając się do powszechnego nastroju, zabijały więcej osób niż zwykle. Jeden spadł na zapełnione po brzegi kino w Stepney, grzebiąc w gruzach setki ofiar. W ciągnącym ulicami dzielnicy, trwającym wiele godzin pogrzebie, który przerodził się w manifestację oburzenia, wzięła udział cała jej ludność. Inny pocisk runął na pusty teren, który służył za plac zabaw, i rozerwał na strzępy kilkadziesiąt dzieci. Zorganizowano kolejne gniewne manifestacje, spalono kukłę Goldsteina, podarto i wrzucono w płomienie setki plakatów z eurazjatyckim żołnierzem, w ogólnym zamieszaniu splądrowano kilka sklepów, a potem rozniosła się plotka, że pociskami kierowali radiowo szpiedzy, i podłożono ogień pod dom pary staruszków, których podejrzewano o cudzoziemskie pochodzenie. Udusili się dymem.

Julia i Winston spędzali cały wolny czas, jaki udało im się wygospodarować, w pokoju nad sklepem pana Charringtona, leżąc nago przy otwartym dla ochłody oknie na pozbawionym pościeli łóżku. Szczur już się więcej nie pokazał, za to w upale strasznie się rozmnożyły pluskwy. Jednak im zdawało się to nie przeszkadzać. Pokój, czysty czy brudny, był dla nich rajem. Zaraz po przyjściu posypywali wszystko kupionym na czarnym rynku pieprzem, zrzucali ubrania i kochali się, mimo że oboje byli zlani potem, po czym zasypiali, a gdy się budzili, stwierdzali, że pluskwy gromadziły siły do zmasowanego kontrataku.

W czerwcu spotkali się cztery, pięć, sześć — siedem razy. Winston porzucił zwyczaj popijania dżinu o każdej porze. Wydawało się, że nie czuje już takiej potrzeby. Przytył, wrzód nad kostką się zagoił — pozostała po nim tylko brązowa plama na skórze — ustąpiły codzienne poranne napady kaszlu. Życie przestało być nieznośne, nie korciło go już, by robić miny do teleekranu ani przeklinać na cały głos. Teraz, gdy mieli bezpieczną kryjówkę, niemal własny dom, nawet to, że mogli się spotykać rzadko i zaledwie na kilka godzin, nie było wielkim utrapieniem. Liczyło się tylko to, że pokój nad sklepem z rupieciami wciąż istnieje. Świadomość, że na nich czeka w nienaruszonym stanie, była równie przyjemna jak przebywa-

nie w nim. Ten pokój był osobnym światem, żywym reliktem przeszłości, w którym mogły się swobodnie poruszać wymarłe wszędzie indziej zwierzęta. Winston uważał pana Charringtona za osobnika należącego do takiego wymarłego gatunku. Zwykle w drodze na górę zatrzymywał się, by z nim chwilę pogawędzić. Staruszek chyba nigdy nie wychodził ze sklepu albo robił to rzadko, a z drugiej strony nie miał prawie żadnych klientów. Snuł się jak duch między małym ciemnym sklepem i jeszcze mniejszą kuchnią na tyłach domu, gdzie przyrządzał sobie posiłki i gdzie znajdował się między innymi niewiarygodnie stary gramofon z wielką tubą. Zdawał się cieszyć z każdej okazji do rozmowy. Przechadzając się pośród swych bezwartościowych staroci, w grubych szkłach na długim nosie i welwetowej marynarce na przygarbionych ramionach, sprawiał wrażenie raczej kolekcjonera niż handlarza. Z przygaszonym entuzjazmem pieścił palcami raz taki, raz inny rupieć — porcelanowy korek do butelki, malowane wieczko pękniętej tabakierki, tombakowy medalion z pasemkiem włosów dawno zmarłego dziecka — nie zachęcając Winstona do kupna, oczekując od niego jedynie podziwu dla tej czy innej rzeczy. Słuchało się go jak zdartej pozytywki. Wydobył z zakamarków pamięci jeszcze trochę urywków zapomnianych rymowanek. Jedna była o dwudziestu czterech kosach, inna o krowie ze skrzywionym rogiem, jeszcze inna o śmierci nieszczęsnego rudzika.

— Przyszło mi do głowy, że może to pana zainteresować — mówił z cichym, bagatelizującym śmiechem, ilekroć recytował nowy fragment. Ale nigdy nie zdołał sobie przypomnieć więcej niż kilka linijek żadnego wierszyka.

I Winston, i Julia wiedzieli — w pewnym sensie ta myśl nigdy ich nie opuszczała — że to, co się dzieje, nie może potrwać długo. Zdarzało się, że nieuchronnie zbliżająca się śmierć wydawała się czymś równie namacalnym jak łóżko, na którym leżeli. Wtedy przywierali do siebie z rozpaczliwą namiętnością, niczym potępiona dusza rzucająca się na resztki rozkoszy pięć minut przed wybiciem jej ostatniej godziny. Ale bywały też chwile, gdy mieli złudzenie, że nie tylko są bezpieczni, ale że będzie tak wiecznie.

Wydawało się im, że dopóki są w tym pokoju, nie może im się stać żadna krzywda. Dotarcie tam było trudne i niebezpieczne, ale sam pokój był azylem. Było zupełnie jak wtedy, gdy Winston patrzył na przycisk do papieru z poczuciem, że gdyby udało mu się przeniknąć do tego szklanego świata, mógłby zatrzymać czas. Często oddawali się marzeniom o ucieczce. Nigdy nie opuści ich szczęście i będą razem przez resztę życia, aż do naturalnej śmierci. Albo Katharine umrze i dzięki subtelnym zabiegom Winstonowi i Julii uda się wziąć ślub. Albo razem popełnią samobójstwo. Albo znikną, zmienią się nie do poznania, nauczą się mówić z proletariackim akcentem, dostaną pracę w fabryce i — niewykryci — będą żyć w jakimś zaułku. Oboje wiedzieli, że to niedorzeczne. W rzeczywistości nie było żadnej możliwości ucieczki. Nawet jedynego wykonalnego planu — popełnienia samobójstwa — nie mieli zamiaru wprowadzić w czyn. Trwanie z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, w teraźniejszości, bez żadnej przyszłości, nakazywał im nieprzezwyciężony instynkt, taki jak ten, który dopóki do płuc dociera powietrze, zmusza je do oddychania.

Czasami rozmawiali też o tym, by się przyłączyć do otwartego buntu przeciw Partii, ale nie mieli pojęcia, jak zrobić pierwszy krok. Nawet gdyby mityczne Bractwo naprawdę istniało, trudno było znaleźć do niego dojście. Winston opowiedział Julii o dziwnej zażyłości, która istniała albo zdawała się istnieć między nim i O’Brienem, i o tym, że chwilami coś go pchało do tego, by po prostu podejść do niego, oświadczyć, że jest wrogiem Partii, i zażądać pomocy. O dziwo, nie potraktowała tego jako przejawu skrajnej bezmyślności. Przywykła oceniać ludzi na podstawie wyrazu twarzy i wydawało się jej naturalne, że Winston mógł uznać O’Briena za osobę godną zaufania dzięki jednemu błyskowi, który pojawił się w jego oczach. Poza tym uważała za pewnik, że wszyscy, albo prawie wszyscy, w głębi ducha nienawidzą Partii i złamaliby jej zasady, gdyby uznali, że nic im za to nie grozi. Ale nie wierzyła w istnienie żadnej szerokiej, zorganizowanej opozycji. Twierdziła, że opowieści o Goldsteinie i jego podziemnej armii są zwykłą bzdurą wymyśloną przez Partię dla jej własnych potrzeb i trzeba tylko udawać, że się w nią wierzy. Nie potrafiła zliczyć, ile razy na zwoła-

nych przez Partię wiecach i spontanicznych demonstracjach krzyczała ile sił w płucach, domagając się egzekucji osób, których nazwisk nigdy wcześniej nie słyszała i w których rzekome zbrodnie nie wierzyła za grosz. Podczas gdy odbywały się procesy publiczne, stała w szeregach Ligi Młodych, które od rana do wieczora otaczały sądy i skandowały: „Śmierć zdrajcom!”. Podczas Dwóch Minut Nienawiści prześcigała wszystkich innych w miotaniu obelg na Goldsteina, chociaż nie miała najmniejszego pojęcia, kim on jest ani jakie rzekomo głosi poglądy. Wychowała się po Rewolucji i była zbyt młoda, by pamiętać ideologiczne walki z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Coś takiego jak niezależny ruch polityczny nie mieściło jej się w głowie; w każdym razie Partia była niezwyciężona. Będzie istniała zawsze i zawsze będzie taka sama. Można się było przeciw niej buntować tylko skrywanym nieposłuszeństwem, co najwyżej odosobnionymi aktami przemocy w rodzaju zabicia kogoś albo wysadzenia czegoś w powietrze.

Pod pewnymi względami była bystrzejsza od Winstona i o wiele mniej podatna na partyjną propagandę. Gdy pewnego razu w nawiązaniu do czegoś wspomniał o wojnie z Eurazją, zaskoczyła go, mówiąc mimochodem, że jej zdaniem nie ma żadnej wojny. Pociski rakietowe, które codziennie spadają na Londyn, są prawdopodobnie wystrzeliwane przez władze Oceanii, by „podtrzymywać w ludziach strach”. Nigdy nie przyszło mu to do głowy. Wzbudziła też w nim pewną zazdrość, mówiąc, że podczas Dwóch Minut Nienawiści z trudem się powstrzymuje, by nie wybuchnąć śmiechem. Ale kwestionowała nauki Partii tylko tam, gdzie w jakiś sposób wkraczały w jej życie. Często gotowa była przyjąć oficjalną mitologię po prostu dlatego, że różnica między prawdą i fałszem nie wydawała się jej ważna. Wierzyła na przykład, bo nauczono ją tego w szkole, że to Partia wynalazła samoloty (Winston pamiętał, że w jego czasach szkolnych, w latach pięćdziesiątych, Partia twierdziła tylko, że wynalazła śmigłowiec; dziesięć lat później, kiedy Julia poszła do szkoły, przypisywała już sobie wynalezienie samolotu, a następnemu pokoleniu będzie wmawiać, że jej dziełem jest też maszyna parowa). A gdy powiedział jej, że samoloty istniały już przed jego urodzeniem i na długo przed Rewolucją, uznała to za

zupełnie nieinteresujące. Jakie to w końcu miało znaczenie, kto wynalazł samolot? Było dla niego niemałym wstrząsem, gdy wskutek jakiejś jej luźnej uwagi odkrył, że Julia nie pamięta, iż przed czterema laty Oceania prowadziła wojnę ze Wschodoazją, a z Eurazją miała stosunki pokojowe. Wprawdzie uważała, że cała ta wojna to oszustwo, ale najwyraźniej nie zauważyła, że zmieniła się nazwa wroga.

— Myślałam, że od zawsze walczymy z Eurazją — powiedziała wymijająco.

Trochę go to przeraziło. Samolot wynaleziono na długo przed jej narodzinami, ale do zmiany wroga doszło zaledwie przed czterema laty, gdy już od dawna była dorosła. Sprzeczał się z nią o to przez dobry kwadrans. W końcu udało mu się ją zmusić, by wysiliła pamięć, i przypomniała sobie niewyraźnie, że kiedyś faktycznie wrogiem była Wschodoazja, nie Eurazja. Ale wciąż uważała, że to nieważne.

— A kogo to obchodzi? — zniecierpliwiła się. — Zawsze jest jakiś wróg i cholerna wojna jak nie z jednym, to z drugim, a poza tym wiadomo, że wszystkie doniesienia o walkach to kłamstwa.

Niekiedy opowiadał jej o Departamencie Archiwów i bezczelnych fałszerstwach, których tam dokonywał. Tego rodzaju rzeczy nie przepełniały jej grozą. Na myśl o tym, że kłamstwa stają się prawdami, nie miała wrażenia, że pod jej stopami otwiera się otchłań. Sprawa Jonesa, Aaronsona i Rutherforda oraz skrawek gazety, który kiedyś trafił w jego ręce, nie zrobiły na niej wielkiego wrażenia. Prawdę mówiąc, początkowo nie pojęła, co z tego wynika.

— Byli twoimi przyjaciółmi? — zapytała.

— Nawet nie poznałem ich osobiście. Należeli do Partii Wewnętrznej. Poza tym byli dużo starsi ode mnie. Byli reliktami dawnych czasów, sprzed Rewolucji. Widziałem ich raz w życiu.

— No to jaki miałeś powód do zmartwienia? Stale się kogoś zabija, prawda?

Starał się jej to wyjaśnić:

— To był wyjątkowy przypadek. Nie chodziło tylko o to, że kogoś zabito. Zdajesz sobie sprawę, że w rzeczywistości kasuje się przeszłość, poczynając od dnia wczorajszego? Jeśli cokolwiek gdzieś z niej przetrwało, to jedynie w nielicznych przedmiotach, z którymi nie łączą się żadne słowa, tak jak w tej bryłce szkła. Już teraz nie wiemy prawie nic o Rewolucji i latach przed jej wybuchem. Każdy dokument został zniszczony albo sfałszowany, każda książka napisana na nowo, każdy obraz przemalowany, każdy pomnik, ulica i budynek przemianowane, każda data zmieniona. I ten proces trwa w każdej minucie, każdego dnia. Historia się skończyła. Nie istnieje nic oprócz nieskończonej teraźniejszości, w której zawsze Partia ma rację. Oczywiście wiem, że przeszłość się fałszuje, ale nigdy nie byłbym w stanie tego udowodnić, nawet jeśli to ja dokonałem części z tych fałszerstw. Nie zostaje po tym żaden ślad. Jedyny dowód zachował się w mojej pamięci i nie mam pewności, czy ktoś inny jeszcze pamięta, jak naprawdę było. W całym życiu tylko ten jeden raz miałem w ręku konkretny dowód, już po tym wydarzeniu — wiele lat po nim.

— No i co ci z tego przyszło?

— Nic, bo kilka minut później go wyrzuciłem. Ale gdyby zdarzyło się to teraz, zatrzymałbym go.

— A ja nie! — powiedziała Julia. — Jestem gotowa ryzykować, ale tylko dla czegoś, co jest tego warte, nie dla kawałka starej gazety. Co byś z nim zrobił, nawet gdybyś go zatrzymał?

— Być może niewiele. Ale to był dowód. Mógłby tu i ówdzie zasiać jakieś wątpliwości, gdybym ośmielił się go komukolwiek pokazać. Nie sądzę, byśmy za naszego życia zdołali coś zmienić. Ale mogę sobie wyobrazić, że tu i tam powstają małe gniazda oporu — łączące się i stopniowo rozrastające grupki ludzi, które może nawet zostawią jakieś świadectwa, by przyszłe pokolenie mogło kontynuować ich dzieło od miejsca, w którym je przerwali.

— Przyszłe pokolenie mnie nie obchodzi, kochany. Obchodzi mnie, co będzie z nami.

— Jesteś buntowniczką od pasa w dół — powiedział.

Uznała, że to bardzo dowcipna uwaga, i z zachwytem zarzuciła mu ramiona na szyję.

Nie przejawiała najmniejszego zainteresowania implikacjami partyjnej doktryny. Za każdym razem, gdy Winston zaczynał jej wyjaśniać zasady angsocu, dwumyślenie, zmienność przeszłości i negowanie obiektywnej rzeczywistości, używając przy tym nowomowy, mówiła, że jest to zbyt zagmatwane i śmiertelnie nudne i nigdy nie poświęca takim sprawom uwagi. Każdy wiedział, że to wierutne bzdury, więc po co zaprzątać sobie tym głowę? Wiedziała, kiedy ma wiwatować, a kiedy krzyczeć z oburzeniem, i to jej wystarczało. Nie potrzebowała niczego więcej. Jeśli uparcie drążył któryś z tych tematów, po pewnym czasie zaczynały się jej kleić oczy, co go irytowało. Należała do osób, które mogą zasnąć o każdej porze i w każdej pozycji. Prowadząc z nią takie rozmowy, uświadomił sobie, jak łatwo było stwarzać pozory trzymania się ortodoksji, nie mając o niej najmniejszego pojęcia. W pewnym sensie Partia najskuteczniej narzucała swój światopogląd ludziom, którzy nie byli zdolni go zrozumieć. Można było ich tak urobić, że godzili się z najbardziej jaskrawym wypaczaniem rzeczywistości, bo nigdy nie pojmowali w pełni potworności tego, czego od nich wymagano, i nie interesowali się wydarzeniami publicznymi na tyle, by zauważyć, co się naprawdę dzieje. Dzięki ignorancji pozostawali przy zdrowych zmysłach. Łykali wszystko, co im wmawiano, i zupełnie im to nie szkodziło, ponieważ nie pozostawały po tym żadne resztki, jak po ziarnie zboża, które przechodzi niestrawione przez układ pokarmowy ptaka.

VI

W końcu stało się. Przyszedł oczekiwany sygnał. Winstonowi się wydawało, że czekał na to przez całe życie.

Szedł długim korytarzem ministerstwa i był już prawie tam, gdzie Julia wsunęła mu do ręki kartkę, gdy się zorientował, że tuż za nim idzie ktoś postawniejszy od niego. Ten ktoś, ktokolwiek to był, lekko zakasłał, co było wyraźnym wstępem do rozmowy. Winston natychmiast zatrzymał się i odwrócił. Był to O'Brien.

Nareszcie znaleźli się twarzą w twarz, ale w pierwszym odruchu Winston chciał się rzucić do ucieczki. Gwałtownie waliło mu serce. Nie mógł wydusić ani słowa. Jednak O'Brien nie zwolnił kroku, ale ujmując przyjaźnie Winstona za ramię, zachęcił go tym gestem, by do niego dołączył. Idąc obok niego, zaczął mówić z tą swoją szczególną, poważną kurtuazją, która odróżniała go od większości członków Partii Wewnętrznej.

— Miałem nadzieję, że nadarzy się okazja, by z wami porozmawiać — powiedział. — Niedawno czytałem w „Timesie" jeden z waszych artykułów w nowomowie. Interesujecie się nowomową naukowo, jak mniemam?

Winston częściowo odzyskał panowanie nad sobą.

— Daleko temu do naukowości — odparł. — Zajmuję się tym tylko amatorsko. To nie moja dziedzina. Nigdy nie miałem nic wspólnego z tworzeniem języka.

— Ale posługujecie się nowomową bardzo sprawnie. To nie tylko moja opinia. Podobnego zdania jest wasz przyjaciel, niekwestionowany ekspert w tych sprawach, z którym niedawno rozmawiałem. Jego nazwisko chwilowo wyleciało mi z pamięci.

Serce Winstona znowu zadrżało. Niemożliwe, żeby mówił o kimś innym niż Syme. Ale Syme nie tylko już nie żył, ale wymazano wszelkie ślady jego istnienia, stał się „nieosobą”. Jakakolwiek wzmianka o nim stwarzała śmiertelne zagrożenie, a zatem uwaga O’Briena musiała być wyraźnym sygnałem, czymś w rodzaju hasła. Dzieląc się nią z Winstonem, czynił z niego swojego wspólnika w tej drobnej myślozbrodni. Nadal szli powoli korytarzem, ale teraz to O’Brien się zatrzymał. Z dziwną, rozbrajającą życzliwością, z jaką zawsze wykonywał ten gest, poprawił okulary na nosie i mówił dalej:

— Tak naprawdę chciałem powiedzieć, że zauważyłem w waszym artykule dwa słowa, które wyszły z użycia. Ale stało się to całkiem niedawno. Widzieliście dziesiąte wydanie *Słownika nowomowy*?

— Nie — odparł Winston. — Nie myślałem, że się już ukazało. W Departamencie Archiwów wciąż korzystamy z dziewiątego.

— Sądzę, że dziesiąte pojawi się nie wcześniej niż za kilka miesięcy. Ale jest już w obiegu kilka egzemplarzy sygnalnych. Mam taki. Może chcielibyście go obejrzeć?

— Z największą chęcią — odparł Winston, natychmiast domyślając się, do czego zmierza ta rozmowa.

— Niektóre nowe ulepszenia są bardzo pomysłowe. Zmniejszenie liczby czasowników — myślę, że to wam się najbardziej spodoba. Zaraz, zaraz, niech no się zastanowię… Może prześlę wam ten słownik przez posłańca? Tylko że, niestety, stale zapominam o takich rzeczach. A może wpadlibyście do mnie i sami go odebrali w dogodnym dla was czasie? Chwileczkę. Dam wam mój adres.

Stali przed teleekranem. O’Brien pomacał się z roztargnieniem po kieszeniach i wyjął mały notes w skórzanej oprawie i złoty ołówek kopiowy. Bezpośrednio pod teleekranem, ustawiwszy się do niego pod takim kątem, że każdy, kto obserwował to po drugiej stronie urządzenia, mógł przeczytać, co pisze, zapisał swój adres, wyrwał kartkę i wręczył ją Winstonowi.

— Wieczorami jestem zazwyczaj w domu — powiedział. — Jeśli mnie nie będzie, słownik da wam mój służący.

Odszedł, zostawiając Winstona z kawałkiem papieru, którego tym razem nie musiał on ukrywać. Mimo to dokładnie zapamiętał, co było na nim zapisane, i kilka godzin później wrzucił go ze stertą innych papierów do dziury pamięci.

Rozmawiali najwyżej kilka minut. Ten epizod mógł znaczyć tylko jedno: został zaaranżowany przez O’Briena po to, by Winston poznał jego adres. Było to konieczne, ponieważ nigdy nie można było się dowiedzieć, gdzie ktoś mieszka, jeśli nie zapytało się go wprost. Nie było żadnych książek adresowych. „Jeśli będziesz kiedyś chciał się ze mną zobaczyć, wiesz, gdzie mnie znaleźć” — oto, co powiedział mu O’Brien. Może nawet gdzieś w słowniku będzie ukryta jakaś wiadomość. W każdym razie jedno było pewne: zakonspirowana organizacja, o której marzył, naprawdę istniała, a jemu udało się dotrzeć do jej forpoczty.

Wiedział, że wcześniej czy później posłucha wezwania O’Briena. Może jutro, a może po długiej zwłoce — nie był tego pewien. To, co się działo, było tylko zwieńczeniem procesu, który zaczął się przed laty. Pierwszym krokiem na tej drodze była skryta, mimowolna myśl, drugim — rozpoczęcie prowadzenia pamiętnika. Od myśli przeszedł do słów, a teraz od słów do czynów. Ostatnim aktem będzie coś, co się zdarzy w Ministerstwie Miłości. Pogodził się z tym. Koniec zawierał się w początku. Ale mimo to czuł strach, a dokładniej przedsmak śmierci, jakby po trochu rozstawał się z życiem. Jeszcze podczas tej rozmowy, gdy do Winstona dotarło, co naprawdę znaczą słowa O’Briena, jego ciałem wstrząsnął zimny dreszcz. Miał wrażenie, jakby osuwał się w wilgoć grobu, i niewiele pomagało mu to, że zawsze wiedział, iż ten grób już na niego czeka.

VII

Winston obudził się z oczami pełnymi łez. Julia przekręciła się sennie w jego stronę i wymamrotała coś, co zabrzmiało:

— Co się stało?

— Miałem sen o… — zaczął i urwał. Było to zbyt skomplikowane, aby dało się wyrazić słowami. Bo nie chodziło tylko o sam sen, ale również o związane z nim wspomnienie, które napłynęło kilka sekund po przebudzeniu.

Wyciągnął się na łóżku i zamknął powieki, wciąż pogrążony w atmosferze snu. W tym długim, przepięknym śnie rozciągało się przed nim jak krajobraz po deszczu w letni wieczór całe jego życie. To wszystko działo się wewnątrz szklanego przycisku do papieru, którego powierzchnia tworzyła sklepienie nieba, a wszystko wokół było przesycone jasnym, łagodnym światłem, w którym Winston sięgał wzrokiem w nieskończoną dal. Ten sen zawierał się również — a w pewnym sensie składał się z tego — w geście ręki jego matki, takim samym, jaki trzydzieści lat później uczyniła Żydówka pokazana w kronice filmowej, starając się osłonić małego chłopca przed kulami, zanim śmigłowiec zrzucił bombę, która rozerwała ich oboje na strzępy.

— Wiesz — powiedział — że aż do teraz byłem przekonany, że zamordowałem moją matkę?

— Dlaczego ją zamordowałeś? — zapytała Julia, na pół drzemiąc.

— Nie zamordowałem. Nie dosłownie.

We śnie przypomniał sobie, jak widział matkę po raz ostatni, i w ciągu kilku minut po przebudzeniu powróciły wspomnienia ciągu otaczających to

drobnych zdarzeń. Musiał przez wiele lat celowo wypierać je ze świadomości. Nie był pewien daty, ale gdy to wszystko się działo, nie mógł mieć więcej niż dziesięć, najwyżej dwanaście lat.

Jakiś czas wcześniej zniknął jego ojciec; nie pamiętał, o ile wcześniej. Zachował natomiast w pamięci trudne warunki panujące w tamtym czasie: wybuchającą co pewien czas panikę wywoływaną nalotami i chronienie się przed nimi w tunelach metra, zwały zalegających wszędzie gruzów, niezrozumiałe proklamacje rozlepiane na rogach ulic, bandy młokosów w koszulach tego samego koloru, ogromne kolejki pod piekarniami, dobiegający z oddali, przerywany terkot karabinów maszynowych, a przede wszystkim to, że nigdy nie było dość jedzenia. Pamiętał, jak popołudniami przez długie godziny przeszukiwał z innymi chłopcami pojemniki na odpadki i sterty śmieci, wygrzebując głąby kapusty, ziemniaczane obierki, czasami nawet kawałki czerstwego chleba, które dokładnie oczyszczali z popiołu, a także czekając na ciężarówki, które przejeżdżały stale tą samą trasą, wożąc paszę dla bydła, i z których, gdy podskakiwały na wybojach, wysypywały się niekiedy kawałki wytłoków roślin pastewnych.

Gdy ojciec zniknął, matka nie okazywała najmniejszego zdziwienia ani nie odchodziła z żalu od zmysłów, ale nagle całkowicie się zmieniła. Stała się apatyczna. Nawet dla Winstona było oczywiste, że czeka na coś, co w jej mniemaniu musi się zdarzyć. Robiła wszystko, co trzeba: gotowała, prała, łatała i cerowała odzież, ścieliła łóżko, zamiatała podłogę, ścierała kurz z gzymsu kominka — zawsze bardzo powoli i bez żadnego zbędnego ruchu, jak automat. Potem jej duże, kształtne ciało zdawało się popadać w naturalny bezwład. Całymi godzinami siedziała bez ruchu na łóżku, trzymając w ramionach jego młodszą siostrę, drobne, chore, bardzo ciche, dwuczy trzyletnie dziecko, o tak wychudłej, że niemal małpiej twarzy. Czasami, chociaż bardzo rzadko, obejmowała Winstona i długo tuliła go bez słowa do siebie. Mimo młodego wieku i egoizmu Winston wyczuwał, że wiąże się to jakoś z tym, co ma się zdarzyć, choć nigdy nie napomknęła o tym ani słowem.

Pamiętał pokój, w którym mieszkali — ciemne, duszne pomieszczenie, którego niemal połowę zajmowało łóżko z białą narzutą. W kominku znajdował się palnik gazowy, była też półka na żywność, a na półpiętrze, na klatce schodowej, brunatny, ceramiczny, wspólny dla kilku mieszkań zlew. Pamiętał posągowe ciało matki pochylonej nad palnikiem i mieszającej coś w rondlu. A przede wszystkim pamiętał ustawiczny głód i zawzięte, podłe walki w porach posiłków. W kółko zadręczał matkę pytaniami, dlaczego nie ma więcej jedzenia, krzyczał i pieklił się na nią (pamiętał nawet ton swego głosu, który zaczął przedwcześnie przechodzić mutację i czasami osobliwie grzmiał) albo biadolił, starając się wyżebrać więcej, niż na niego przypadało. Matka zawsze chętnie dawała mu większą część. Uważała, że on, „chłopiec”, powinien dostać największą porcję, ale bez względu na to, ile mu dała, zawsze domagał się więcej. Przy każdym posiłku prosiła go, by nie był samolubny i pamiętał, że jego mała siostrzyczka jest chora i też musi jeść, ale nie odnosiło to żadnego skutku. Wrzeszczał z wściekłością, gdy przestawała mu nakładać jedzenie, starał się wyrwać jej z rąk łyżkę i rondel, podbierał kawałki z talerza siostry. Wiedział, że przez to obie przymierają głodem, ale nie mógł na to nic poradzić, a nawet uważał, że ma do tego prawo. Zdawało się go usprawiedliwiać uporczywe burczenie w brzuchu. Między posiłkami, jeśli matka nie stała na straży, stale coś podkradał z mizernych zapasów na półce.

Pewnego dnia, po raz pierwszy od tygodni czy nawet miesięcy, wydano racje czekolady. Bardzo wyraźnie pamiętał ten przysmak. Była to dwuuncjowa tabliczka (w tamtych czasach wciąż jeszcze ważono towar w uncjach) na ich troje. Było oczywiste, że należało ją podzielić na trzy równe części. Nagle Winston usłyszał, mając wrażenie, że wydobywa się to z ust kogoś innego, jak domaga się grzmiącym głosem całej tabliczki dla siebie. Matka powiedziała mu, żeby nie był zachłanny. Wywiązała się między nimi długa, dokuczliwa sprzeczka, pełna krzyków, jęków, łez, skarg, targów. Jego malutka siostrzyczka przywarła obiema rączkami do pleców matki, zupełnie jak małpka, i ponad jej ramieniem spoglądała na niego dużymi, żałosnymi oczami. W końcu matka odłamała trzy czwarte tabliczki

i dała je Winstonowi, a ćwiartkę jego siostrze. Dziewczynka trzymała czekoladę w dłoni i patrzyła na nią tępym wzrokiem, pewnie nie wiedząc, co to jest. Winston przez chwilę stał i przypatrywał się temu. Potem nagłym skokiem znalazł się przy niej, wyrwał jej z ręki czekoladę i rzucił się do drzwi.

— Winston! — krzyknęła za nim matka. — Winston, wróć! Oddaj siostrze czekoladę!

Zatrzymał się, ale nie wrócił. Zatrwożone oczy matki były utkwione w jego twarzy. Jeszcze teraz, gdy o tym myślał, nie wiedział, co się mogło lada chwila zdarzyć. Jego siostra, uświadomiwszy sobie, że ją z czegoś obrabowano, zaczęła cicho kwilić. Matka otoczyła ją ramieniem i przycisnęła jej twarzyczkę do piersi. Coś w tym geście powiedziało mu, że jego siostra umiera. Odwrócił się i zbiegł po schodach z lepiącą się do dłoni czekoladą.

Nigdy więcej nie zobaczył matki. Gdy pożarł całą czekoladę, zrobiło mu się trochę wstyd, więc przez wiele godzin włóczył się po ulicach, dopóki głód nie zapędził go do domu. Kiedy wrócił, matki nie było. W owym czasie stawało się to już normalne. Oprócz matki i siostry z pokoju nic nie zniknęło. Nie wzięły żadnych ubrań, został nawet płaszcz matki. Do dziś nie miał pewności, czy matka nie żyje. Być może została po prostu wywieziona do obozu pracy przymusowej. Siostrę może umieszczono, podobnie jak Winstona, w jednej z kolonii dla bezdomnych dzieci (nazywano je Ośrodkami Resocjalizacji), które powstały w wyniku wojny domowej, a może zesłano z matką do obozu pracy bądź po prostu pozostawiono gdzieś, by umarła.

Wciąż miał przed oczami ten sen, zwłaszcza opiekuńczy, obronny gest matki, w którym zdawało się zawierać jego całe znaczenie. I wtedy przypomniał mu się inny sen, sprzed dwóch miesięcy. Matka siedziała w tonącym statku z wtulonym w jej piersi dzieckiem w dokładnie takiej pozie jak na brudnym, okrytym białą kapą łóżku, głęboko pod nim, z każdą minutą pogrążając się coraz bardziej, ale wciąż patrząc na niego przez ciemniejącą wodę.

Opowiedział Julii o zniknięciu matki. Nie otwierając oczu, przekręciła się i ułożyła w wygodniejszej pozycji.

— Moim zdaniem byłeś wtedy małą, wredną świnią — powiedziała niewyraźnie. — Wszystkie dzieci to świnie.

— Racja, ale tak naprawdę w tej historii chodzi o to…

Po jej oddechu zorientował się, że znowu zapadła w sen. Chciałby jej opowiedzieć o matce. Z tego, co pamiętał, wnosił, że nie była niezwykłą ani szczególnie inteligentną kobietą, a mimo to cechowała ją jakaś szlachetność, czystość, po prostu dlatego, że trzymała się swoich zasad. Jej uczucia były jej własnością i nie mogło ich zmienić nic z zewnątrz. Nie przyszłoby jej do głowy, że uczynek, który okazuje się nieskuteczny, staje się tym samym bezsensowny. Jeśli kogoś kochasz, to po prostu go kochasz, a gdy nie możesz mu dać nic innego, wciąż darzysz go miłością. Gdy przepadł ostatni kawałek czekolady, matka nadal tuliła dziecko w ramionach. Nic to nie dało, niczego nie zmieniło, nie sprawiło, że pojawiło się więcej czekolady, nie zapobiegło śmierci dziecka ani jej, ale dla niej było naturalnym odruchem. Ta uchodźczyni w łodzi też zamknęła chłopca w ramionach, co było nie lepszą osłoną przed kulami niż papier. Najstraszniejszą rzeczą, której dokonała Partia, było wmówienie ludziom, że zwykłe odruchy, zwykłe uczucia nic nie znaczą, i jednoczesne pozbawienie ich wpływu na świat materialny. Gdy znalazłeś się w szponach Partii, to, co czułeś albo czego nie czułeś, co zrobiłeś albo przed zrobieniem czego się powstrzymałeś, nie robiło żadnej różnicy. Bez względu na to, co się stało, znikałeś i już nigdy nikt nie usłyszał ani o tobie, ani o twoich czynach. Usuwano cię bez śladu ze strumienia dziejów. A jednak ludziom żyjącym zaledwie dwa pokolenia wcześniej nie wydałoby się to bardzo ważne, bo nie próbowali zmieniać historii. Kierowali się zasadą lojalności wobec bliskich, co do której nigdy nie mieli wątpliwości. Dla nich ważne były związki między ludźmi, a zupełnie bezradny gest, uścisk, łza, słowo powiedziane umierającemu miały wartość same w sobie. Winstonowi nagle zaświtało w głowie, że ten stan rzeczy utrzymał się wśród proli. Nie byli wierni partii, krajowi ani idei — byli wierni samym sobie. Po raz pierwszy w życiu nimi nie gardził i nie

uważał ich jedynie za bierną i bezwolną masę, która pewnego dnia się obudzi, uświadomi sobie swoją siłę i odnowi świat. Prole pozostali ludźmi. Ich serca nie stwardniały. Ulegali pierwotnym emocjom, których on sam musiał świadomym wysiłkiem uczyć się od nowa. A rozmyślając o tym, przypomniał sobie, pozornie bez żadnego związku, jak przed kilkoma tygodniami zobaczył na chodniku oderwaną ludzką dłoń i kopnął ją do rynsztoka, jakby była głąbem kapusty.

— Prole są ludźmi — powiedział na głos. — My nie.

— Dlaczego? — zapytała Julia, która znów się ocknęła.

Przez długą chwilę się zastanawiał.

— Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy — zapytał — że byłoby dla nas najlepiej po prostu odejść stąd, nim będzie za późno, i nigdy już się nie spotkać?

— Tak, kochany, myślałam o tym, i to wiele razy. Ale mimo wszystko nie zamierzam tego zrobić.

— Na razie dopisuje nam szczęście — ciągnął — ale to nie będzie trwało wiecznie. Jesteś młoda. Wyglądasz normalnie i niewinnie. Jeśli będziesz się trzymała z dala od takich jak ja, możesz pożyć jeszcze pięćdziesiąt lat.

— Nie. Wszystko już przemyślałam. Będę robiła to, co ty. I nie martw się za bardzo. Potrafię zadbać o swoje życie. Jestem w tym całkiem dobra.

— Może będziemy razem jeszcze pół roku, może rok — nie wiadomo. Ale w końcu nas rozdzielą. Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo samotni wtedy będziemy? Gdy wreszcie nas dopadną, żadne z nas nie będzie mogło zrobić nic, dosłownie nic, dla drugiego. Jeśli złożę zeznania, rozstrzelają cię, a jeśli odmówię zeznań, i tak cię rozstrzelają. Bez względu na to, co zrobię albo powiem czy przed powiedzeniem czego będę mógł się powstrzymać, nie odwlekę twojej śmierci nawet o pięć minut. Żadne z nas nie będzie nawet wiedziało, czy drugie żyje, czy zginęło. Będziemy zupełnie bezsilni. Ważne jest jedynie to, byśmy się nawzajem nie zdradzili, ale nawet to nie jest żadną pociechą.

— Jeśli masz na myśli przyznanie się — powiedziała — to na pewno to zrobimy. Każdy się w końcu przyznaje. Nie ma wyjścia. Wszystkich torturują.

— Nie o to mi chodzi. Przyznanie się to nie zdrada. To, co mówisz czy robisz, nie jest ważne: ważne są tylko uczucia. Prawdziwa zdrada byłaby wtedy, gdyby zmusili mnie do tego, bym przestał cię kochać.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

— Tego nie potrafią — powiedziała w końcu. — To jedyne, czego nie są w stanie zrobić. Mogą cię zmusić, byś powiedział wszystko — *wszystko* — ale nie mogą cię zmusić, byś w to uwierzył. Nie mogą wejść w ciebie.

— Tak — przyznał z nieco większą nadzieją — tak, to prawda. Nie mogą wejść w ciebie. Jeśli uważasz, że warto pozostać człowiekiem, nawet gdy to nic nie daje, to ich pokonałeś.

Pomyślał o teleekranie i jego nigdy niezasypiającym uchu. Mogli cię śledzić dzień i noc, ale jeśli miałeś głowę na karku, mogłeś ich przechytrzyć. Przy całym swoim sprycie nigdy nie odkryli sekretu poznawania, co myśli inny człowiek. Może wyglądało to trochę inaczej, gdy znalazłeś się w ich łapach. Nikt nie wiedział, co się dzieje w Ministerstwie Miłości, ale nietrudno się było domyślić: tortury, narkotyki, czułe instrumenty rejestrujące reakcje twojego układu nerwowego, stopniowa degradacja przez pozbawianie snu, izolację i nieustanne przesłuchiwanie. W każdym razie faktów nie sposób było ukryć. Można było do nich dotrzeć, prowadząc dochodzenie, można je było wydobyć torturami. Ale jeśli przesłuchiwanemu nie chodziło o zachowanie życia, lecz jedynie człowieczeństwa, to jaką w końcu robiło to różnicę? Nie mogli zmienić twoich uczuć, ba, nawet sam nie mogłeś ich zmienić, choćbyś bardzo chciał. Mogli odsłonić w najdrobniejszych szczegółach wszystko, co zrobiłeś albo pomyślałeś, ale twoje serce, którego działanie było tajemnicą nawet dla ciebie, pozostawało nieprzeniknione.

VIII

No i zrobili to, wreszcie to zrobili!

Pokój, w którym stali, był podłużny i łagodnie oświetlony. Ściszony teleekran ledwie słyszalnie mruczał, a ciemnoniebieski dywan był tak miękki, że mieli wrażenie, jakby stąpali po aksamicie. Na drugim końcu pokoju siedział za biurkiem, przy lampie z zielonym abażurem, O'Brien ze stertami papierów piętrzących się z obu jego stron. Nawet nie podniósł głowy, gdy służący wprowadził Julię i Winstona.

Winstonowi tak waliło serce, że wątpił, czy zdoła wydukać choćby jedno słowo. Zrobili to, w końcu to zrobili — tylko to kołatało mu w głowie. Już samo przyjście tutaj było nierozważne, a to, że przybyli razem, stanowiło czyste szaleństwo, choć trzeba przyznać, że każde dotarło tu inną drogą i spotkali się dopiero na progu O'Briena. Ale nawet wejście do takiego domu wymagało mocnych nerwów. Zwykli ludzie nader rzadko odwiedzali członków Partii Wewnętrznej w ich mieszkaniach czy choćby pojawiali się w zamieszkanej przez nich dzielnicy. Cała atmosfera ogromnego bloku, bogactwo wystroju i przestronność wnętrza, nieznane zapachy wykwintnego jedzenia i wonnego tytoniu, niewiarygodnie szybkie windy mknące cicho w górę i w dół, sunący pospiesznie tu i tam służący w białych kurtkach — wszystko tu onieśmielało. Chociaż Winston miał dobry pretekst, by się tu znaleźć, przy każdym kroku cierpła mu skóra na myśl, że nagle wyłoni się zza rogu strażnik w czarnym mundurze, zażąda od niego dowodu tożsamości i każe mu się stąd wynieść. Jednak służący O'Briena wpuścił ich bez oporu. Był to drobny ciemnowłosy mężczyzna w białej kurtce, o szczupłej, trójkątnej, jakby chińskiej, twarzy bez wyrazu. Kory-

tarz, którym ich poprowadził, wyłożony był miękkim dywanem, ściany wyklejono kremową tapetą obramowaną białymi listwami przy podłodze i suficie, wszystko było nienagannie czyste. To też onieśmielało. Winston nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej widział korytarz o ścianach niepokrytych brudem ocierających się o nie ciał.

O’Brien trzymał kartkę papieru i uważnie ją studiował. Jego twarz o grubo ciosanych rysach, pochylona tak, że widać było linię nosa, miała zarówno groźny, jak i inteligentny wyraz. Chyba przez dwadzieścia sekund siedział bez ruchu. Potem przysunął sobie mowopis i podyktował wiadomość w zwięzłym żargonie używanym w ministerstwach:

> Punkty jeden przecinek pięć przecinek siedem zatwierdzone w pełni stop propozycja punkt szósty dwakroćplus niedorzeczna bliska myślozbrodni skreślić stop bezrealizować prace do przedwykonu pluspełnego kosztorysu maszynerii stop koniec wiadomości.

Podniósł się niespiesznie i ruszył ku nim po tłumiącym kroki dywanie. Wydawało się, że ze słowami nowomowy ulotniła się otaczająca go biurokratyczna atmosfera, ale minę miał bardziej ponurą niż zwykle, jakby był niezadowolony, że mu się przeszkadza. Do przerażenia, które już czuł Winston, wkradła się nagle nuta zwykłego zakłopotania. Było przecież zupełnie możliwe, że popełnił głupi błąd. Bo czy miał jakiś rzetelny dowód na to, że O’Brien jest politycznym spiskowcem? Nie świadczyło o tym nic oprócz błysku zrozumienia w jego oku i jednej dwuznacznej uwagi, a resztę stanowiły tylko przypuszczenia oparte na marzeniach. Nie mógł nawet udawać, że przyszedł pożyczyć słownik, bo jak w takim wypadku miałby wytłumaczyć obecność Julii? Gdy O’Brien mijał teleekran, nagle jakby coś przyszło mu do głowy. Zatrzymał się, odwrócił i przytknął wyłącznik na ścianie. Rozległ się ostry trzask. Teleekran ucichł.

Z ust Julii wyrwał się pisk zaskoczenia. Mimo paraliżującego strachu Winston też był zbyt zdumiony, by utrzymać język na wodzy.

— Możecie to wyłączyć!

— Tak — odparł O’Brien — możemy. Mamy ten przywilej.

Teraz stał naprzeciw nich. Jego potężna postać górowała nad nimi, a wyraz jego twarzy wciąż był nieprzenikniony. Mierząc Winstona surowym wzrokiem, czekał, aż gość przemówi, ale co niby miał powiedzieć? Nie można było wykluczyć, że chociaż O’Brien do nich podszedł, był po prostu bardzo zajętym człowiekiem i zastanawiał się zirytowany, dlaczego oderwano go od pracy. Nikt się nie odzywał. Po wyłączeniu teleekranu w pokoju zaległa martwa cisza. Mijały sekundy, które zdawały się trwać wieki. Winston z trudem wytrzymywał wzrok O’Briena. Ale nagle surowe oblicze członka Partii Wewnętrznej się rozluźniło, jakby pojawiła się na nim zapowiedź uśmiechu. Charakterystycznym gestem poprawił okulary.

— Ja mam mówić czy wy? — zapytał.

— Ja — odparł szybko Winston. — To urządzenie jest naprawdę wyłączone?

— Tak, wszystko jest wyłączone. Nie mamy niepożądanego towarzystwa.

— Przyszliśmy, bo…

Przerwał, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, jak niejasne są jego pobudki. Nie wiedział, jakiej właściwie pomocy oczekuje od O’Briena, niełatwo więc było mu wyjaśnić, po co do niego przyszedł. Postawił jednak wszystko na jedną kartę i ciągnął dalej, świadom, że jego słowa muszą brzmieć niezbyt przekonująco i pretensjonalnie:

— Uważamy, że istnieje jakaś siatka konspiracyjna, jakaś tajna organizacja, której celem jest obalenie Partii, i że jesteście z nią związani. Chcemy się do was przyłączyć i działać na rzecz tego. Jesteśmy wrogami Partii. Nie wierzymy w zasady angsocu. Jesteśmy myślozbrodniarzami. A także cudzołożnikami. Mówię o tym, bo chcemy się zdać na waszą łaskę. Jeśli chcecie, byśmy obciążyli się jeszcze bardziej, jesteśmy na to gotowi.

Przerwał i spojrzał przez ramię na drzwi, bo odniósł wrażenie, że się otworzyły. I faktycznie do pokoju wszedł bez pukania ten niewielki mężczyzna o żółtej twarzy. Niósł tacę z karafką i kieliszkami.

— Martin jest jednym z nas — powiedział beznamiętnie O’Brien. — Postaw tacę na okrągłym stole, Martin. Mamy dość krzeseł? Możemy zatem usiąść wygodnie i porozmawiać. Ty też weź sobie krzesło, Martin. Sprawa jest poważna. Na dziesięć minut możesz przestać być służącym.

Drobny mężczyzna usiadł wprawdzie bez skrępowania, jednak jego zachowanie wciąż wskazywało, że jest służącym, który dostąpił wielkiego zaszczytu. Winston przyglądał mu się kątem oka. Przyszło mu do głowy, że ten człowiek przez całe życie gra jakąś rolę i uważa, iż nawet chwilowe wyjście z tej roli może się dla niego źle skończyć. O’Brien ujął karafkę za szyjkę i nalał do kieliszków ciemnoczerwonego płynu. Obudziło to w Winstonie niewyraźne wspomnienie czegoś widzianego dawno temu na murze albo na płocie — ogromnej butli utworzonej z lampek elektrycznych, które na zmianę zapalając się i gasnąc, stwarzały złudzenie, że jej zawartość leje się do równie wielkiego kielicha. Z góry płyn wydawał się niemal czarny, ale w karafce lśnił jak rubin. Smak miał kwaśnosłodki. Zobaczył, że Julia podnosi swój kieliszek i wącha jego zawartość z nieskrywaną ciekawością.

— Ten napój to wino — wyjaśnił O’Brien z lekkim uśmiechem. — Niewątpliwie znacie je z książek. Niestety, niewiele tego trunku trafia do Partii Zewnętrznej. — Jego twarz znowu przybrała poważny wyraz. Uniósł kieliszek do góry. — Myślę, że powinniśmy zacząć od toastu. Za zdrowie naszego przywódcy, Emmanuela Goldsteina!

Winston ochoczo podniósł kieliszek. Czytał i marzył o winie. Podobnie jak szklany przycisk do papieru i na wpół zapamiętane przez pana Charringtona rymowanki należało do dawno minionych, romantycznych czasów, wspaniałej przeszłości, jak nazywał to w skrytości ducha. Z jakiegoś powodu zawsze wyobrażał sobie, że ma intensywnie słodki smak, jak dżem jagodowy, i natychmiastowe działanie odurzające. Kiedy jednak przełknął łyk, przeżył rozczarowanie. Smutna prawda była taka, że po latach picia dżinu prawie nie poczuł smaku. Odstawił pusty kieliszek.

— A zatem Goldstein to postać realna? Ktoś taki naprawdę istnieje?

— Owszem, istnieje i ma się dobrze. Ale gdzie się ukrywa, nie mam pojęcia.

— A ta konspiracja, ta tajna organizacja? Też istnieje? Czy może jest tylko fikcją stworzoną przez Policję Myśli?

— Nie, rzeczywiście istnieje. Nazywamy ją Bractwem. Nigdy nie dowiecie się o niej nic ponadto, że istnieje i że do niej należycie. Zaraz do tego wrócę. — Spojrzał na zegarek. — Nawet dla członków Partii Wewnętrznej byłoby niemądrze wyłączać teleekran na dłużej niż pół godziny. Nie powinniście byli przychodzić tu razem i będziecie musieli wyjść osobno. Wy, towarzyszko — kiwnął głową do Julii — wyjdziecie pierwsza. Mamy około dwudziestu minut. Chyba rozumiecie, że muszę zacząć od zadania wam kilku pytań. Mówiąc najogólniej, co jesteście gotowi zrobić?

— Wszystko, co w naszej mocy — odparł Winston.

O’Brien obrócił się nieco na krześle, tak że siedział zwrócony twarzą do Winstona. Niemal ignorował Julię, jakby uznał za oczywiste, że Winston będzie mówił również w jej imieniu. Na chwilę przymknął oczy, po czym zaczął zadawać pytania cichym, bezbarwnym głosem, jakby była to dla niego czynność rutynowa, coś w rodzaju spowiedzi, i znał większość odpowiedzi.

— Jesteście gotowi oddać za to życie?

— Tak.

— Jesteście gotowi popełnić morderstwo?

— Tak.

— Dokonywać aktów sabotażu, które mogą spowodować śmierć setek niewinnych ludzi?

— Tak.

— Zdradzić kraj na rzecz obcych mocarstw?

— Tak.

— Jesteście gotowi oszukiwać, dokonywać fałszerstw, szantażować, deprawować dzieci, rozprowadzać uzależniające narkotyki, zachęcać do prostytucji, szerzyć choroby weneryczne, robić wszystko, co może doprowadzić do demoralizacji Partii i osłabienia jej władzy?

— Tak.

— Gdyby na przykład dla dobra naszej sprawy trzeba było oblać twarz dziecka kwasem siarkowym — jesteście gotowi to zrobić?

— Tak.

— Jesteście gotowi zmienić tożsamość i pracować przez resztę życia jako kelner czy doker?

— Tak.

— Jesteście gotowi popełnić samobójstwo, jeśli i kiedy nakażemy wam to zrobić?

— Tak.

— Jesteście gotowi się rozstać i nigdy więcej się nie spotkać?

— Nie! — wtrąciła się Julia.

Winstonowi wydawało się, że minęło wiele czasu, zanim sam odpowiedział na to pytanie. Przez chwilę miał nawet wrażenie, że stracił mowę. Jego usta poruszały się bezgłośnie, wielokrotnie tworząc początkową sylabę jednego, a potem innego słowa. Dopóki go nie wymówił, nie wiedział nawet, które z nich to będzie. W końcu rzekł:

— Nie.

— Dobrze, że mi powiedzieliście — skomentował to O’Brien. — Musimy wiedzieć wszystko. To konieczne.

Odwrócił się do Julii i dodał trochę bardziej wyrazistym głosem:

— Zdajecie sobie sprawę, że nawet jeśli on przeżyje, to może wyglądać zupełnie inaczej? Może będziemy musieli dać mu nową tożsamość. Wtedy jego twarz, ruchy, kształt dłoni, kolor włosów, nawet głos, byłyby inne. Wy sami też możecie się stać inną osobą. Nasi chirurdzy potrafią zmieniać ludzi nie do poznania. Czasami jest to konieczne. Niekiedy amputujemy nawet którąś kończynę.

Winston nie mógł się powstrzymać przed ponownym zerknięciem z ukosa na mongolską twarz Martina. Nie dostrzegł na niej żadnych blizn. Julia nieco zbladła, tak że uwidoczniły się jej piegi, ale patrzyła na O’Briena śmiało. Mruknęła coś, co zabrzmiało jak wyraz zgody.

— Dobrze. Więc sprawa jest załatwiona.

Na stole stało srebrne pudełko z papierosami. O’Brien podsunął je im z roztargnieniem, sam też wziął papierosa, po czym wstał i zaczął się przechadzać tam i z powrotem, jakby dzięki temu mógł myśleć jaśniej. Papierosy były dobre, bardzo grube, porządnie nabite tytoniem, w nieznanej im jedwabistej bibułce. O’Brien ponownie zerknął na zegarek.

— Lepiej wróć do swojej służbówki, Martin — powiedział. — Za kwadrans włączę teleekran. Zanim wyjdziesz, dobrze się przyjrzyj twarzom tych towarzyszy. Jeszcze się z nimi spotkasz. Ja może już nie.

Dokładnie tak jak w drzwiach wejściowych spojrzenie ciemnych oczu drobnego mężczyzny przesunęło się po ich twarzach. W jego wzroku nie było ani odrobiny życzliwości. Zapamiętywał ich wygląd, ale czynił to bez najmniejszego zainteresowania ich osobami, a może po prostu go nie okazywał. Winstonowi przemknęło przez myśl, że sztuczna twarz może być niezdolna do zmiany wyrazu. Martin wyszedł bez słowa i żadnego gestu pożegnania, cicho zamykając drzwi za sobą. O’Brien wciąż przechadzał się po pokoju, z jedną ręką w kieszeni czarnego kombinezonu, w drugiej trzymając papierosa.

— Musicie zrozumieć — powiedział — że będziecie walczyć w ciemno. Zawsze będziecie działać w ciemno. Będziecie otrzymywać i wykonywać rozkazy, nie wiedząc, dlaczego je wydano. Później prześlę wam pewną książkę. Poznacie z niej prawdziwy charakter społeczeństwa, w którym żyjemy, i strategię, dzięki której je zniszczymy. Po lekturze tego dzieła zostaniecie pełnoprawnymi członkami Bractwa. Ale nigdy się nie dowiecie, jaki związek mają bieżące zadania z celami ogólnymi, o które walczymy. Mówię wam, że Bractwo istnieje, ale nie mogę powiedzieć, czy liczy stu czy dziesięć milionów członków. Na podstawie waszej wiedzy nigdy nie zdołacie stwierdzić, czy jest ich choćby dziesięciu. Będziecie mieli kontakt z trzema czy czterema osobami, który co pewien czas, gdy tamte znikną, będzie odnawiany. Ponieważ pierwszy kontakt nawiązaliście ze mną, zostanie utrzymany. Gdy otrzymacie rozkazy, wyjdą one ode mnie. Jeśli zaistnieje konieczność skomunikowania się z wami, odbędzie się to za pośrednictwem Martina. Kiedy zostaniecie w końcu aresztowani, przyznacie się

do wszystkiego. Tego nie można uniknąć. Ale poza przyznaniem się do własnych czynów będziecie mieli bardzo mało do powiedzenia. Nie będziecie mogli zdradzić nikogo oprócz garstki niewiele znaczących osób. Prawdopodobnie nie wydacie nawet mnie, bo wtedy albo nie będę już żył, albo stanę się inną osobą, z inną twarzą.

Wciąż chodził w tę i z powrotem po miękkim dywanie. Pomimo zwalistego ciała poruszał się z zadziwiającą gracją. Była ona widoczna nawet w geście, którym wkładał rękę do kieszeni, albo w tym, jak zaciągał się dymem z papierosa. Nawet bardziej niż siłą emanował pewnością siebie i zabarwioną ironią wyrozumiałością. Chociaż mówił o poważnych sprawach, nie było w nim nic z zażartości fanatyka. Nawet o morderstwie, samobójstwie, chorobach wenerycznych, amputacji kończyn i zmienianiu twarzy opowiadał z wyczuwalną drwiną w głosie. „To nieuniknione — zdawał się mówić — musimy to robić i nie może nam przy tym zadrżeć ręka”. Winstona zalała fala podziwu, niemal uwielbienia. Na chwilę zapomniał o mgławicowej postaci Goldsteina. Patrząc na potężne bary O’Briena i jego grubo ciosane rysy, tak brzydkie, ale zarazem tak kulturalne, nie sposób było uwierzyć, że ten człowiek może zostać pokonany. Nie było podstępu, którego by nie zwietrzył, zagrożenia, którego nie mógłby przewidzieć. Nawet na Julii zdawał się robić wrażenie. Słuchała z takim skupieniem, że nawet nie zauważyła, iż zgasł jej papieros. A O’Brien mówił dalej:

— Musieliście słyszeć pogłoski o istnieniu Bractwa. Niewątpliwie stworzyliście sobie jego obraz. Pewnie wyobrażaliście sobie ogromną organizację działającą w podziemiu, spiskowców spotykających się potajemnie w piwnicach, wypisujących przesłania do narodu na murach, rozpoznających się po ustalonych hasłach albo szczególnych gestach rąk. Nic takiego nie istnieje. Jeden członek Bractwa nie może w żaden sposób rozpoznać innego i żaden nie zna tożsamości więcej niż kilku osób. Nawet sam Goldstein, gdyby wpadł w ręce Policji Myśli, nie mógłby im wydać pełnej listy członków ani udzielić jakichkolwiek informacji, które doprowadziłyby ich do stworzenia takiej listy. Taka lista nie istnieje. Bractwa nie można zlikwidować, bo nie jest ono organizacją w zwykłym sensie tego słowa. Jego

członków nie spaja nic poza ideą, która jest niezniszczalna. Oprócz tej idei nigdy nie będziecie mieli niczego, co was podtrzyma na duchu. Nie dostaniecie żadnego bratniego wsparcia ani słowa otuchy. Kiedy was w końcu aresztują, znikąd nie otrzymacie pomocy. Nigdy nie pomagamy naszym członkom. Co najwyżej, gdy koniecznie trzeba zamknąć komuś usta, udaje się nam czasami przemycić do celi żyletkę. Musicie przywyknąć do życia bez wyników i bez nadziei. Przez pewien czas będziecie działać, potem wpadniecie, złożycie zeznania i na koniec was zabiją. To jedyne rezultaty, jakie kiedykolwiek zobaczycie. Niemożliwe, żeby za naszego życia zaszły jakieś dostrzegalne zmiany. Jesteśmy martwi. Prawdziwe życie czeka nas dopiero w przyszłości. Będziemy w nim uczestniczyć jako garstki prochu i odłamki kości. Ale nie wiadomo, jak odległa jest ta przyszłość. Może o tysiąc lat. W tej chwili możliwe jest jedynie poszerzanie po trochu obszarów zdrowego rozsądku. Nie możemy działać zbiorowo. Możemy tylko przekazywać naszą wiedzę z ust do ust, z pokolenia na pokolenie. Wobec zagrożenia ze strony Policji Myśli nie ma innego sposobu.

Zatrzymał się i po raz trzeci spojrzał na zegarek.

— Już prawie pora, byście wyszli, towarzyszko — rzekł do Julii. — Zaczekajcie. Karafka jest jeszcze w połowie pełna.

Napełnił kieliszki i ujął swój za nóżkę.

— Za co wypijemy tym razem? — zapytał, wciąż z lekką nutą ironii. — Za zdezorientowanie Policji Myśli? Za śmierć Wielkiego Brata? Za ludzkość? Za przyszłość?

— Za przeszłość — powiedział Winston.

— Przeszłość jest ważniejsza — zgodził się z powagą O’Brien.

Opróżnili kieliszki, a chwilę potem Julia wstała, by wyjść. O’Brien zdjął z szafki małe pudełko, wyjął z niego płaską białą tabletkę, dał jej i powiedział, by umieściła ją na języku. Wyjaśnił, że nie należy wychodzić, pachnąc winem, bo windziarze są bardzo spostrzegawczy. Wydawało się, że gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, zapomniał o jej istnieniu. Zrobił jeszcze kilka kroków w tę i z powrotem i zatrzymał się.

— Pozostało jeszcze do uzgodnienia parę szczegółów — powiedział. — Macie jakąś kryjówkę, jak mniemam?

Winston opowiedział o pokoju nad sklepem pana Charringtona.

— To na razie wystarczy. Później załatwimy wam coś innego. Kryjówki należy często zmieniać. Tymczasem postaram się przesłać wam jak najszybciej egzemplarz TEJ KSIĄŻKI — nawet O'Brien, jak zauważył Winston, zdawał się wymawiać te słowa, jakby były napisane wielkimi literami — no wiecie, książki Goldsteina. Jej zdobycie może mi zająć kilka dni. Jak się zapewne domyślacie, nie ma zbyt wielu egzemplarzy. Policja Myśli tropi je i niszczy prawie tak szybko, jak je drukujemy. Ale to niewiele zmienia. Książka Goldsteina jest niezniszczalna. Nawet gdyby przechwycili ostatni egzemplarz, moglibyśmy ją odtworzyć prawie słowo w słowo. Chodzicie do pracy z teczką? — dodał.

— Z reguły tak.

— Jak ona wygląda?

— Czarna, bardzo podniszczona. Z dwoma paskami.

— Czarna, dwa paski, bardzo podniszczona… dobrze. Pewnego dnia w niedalekiej przyszłości — nie mogę podać wam daty — w jednej spośród przydzielonych wam rano wiadomości znajdzie się błędnie wydrukowane słowo, będziecie więc musieli poprosić o jego powtórzenie. Nazajutrz przyjdziecie do pracy bez teczki. Jakiś czas potem, tego samego dnia, na ulicy trąci was w ramię mężczyzna i powie: „Chyba upuściliście teczkę". W tej, którą wam da, będzie egzemplarz książki Goldsteina. Zwrócicie go w ciągu dwóch tygodni.

Przez chwilę obaj milczeli.

— Za kilka minut będziecie musieli iść — rzekł O'Brien. — Spotkamy się ponownie — jeśli do tego dojdzie…

Winston spojrzał na niego.

— W miejscu, gdzie nie panuje mrok? — powiedział niepewnie.

O'Brien kiwnął głową bez cienia zdziwienia.

— W miejscu, gdzie nie panuje mrok — powtórzył, jakby zrozumiał aluzję. — A tymczasem może chcielibyście jeszcze coś powiedzieć przed wyj-

ściem? Coś mi przekazać? O coś zapytać?

Winston zastanawiał się chwilę. Nie nasuwały mu się żadne dodatkowe pytania, a nie chciał wygłaszać górnolotnych banałów. Zamiast czegoś, co miało bezpośredni związek z O’Brienem czy z Bractwem, w jego umyśle pojawiły się zmieszane ze sobą obrazy ciemnej sypialni, w której jego matka spędziła swe ostatnie dni, pokoiku nad sklepem pana Charringtona, szklanego przycisku do papieru i stalorytu w palisandrowej ramie. Ni z tego, ni z owego zapytał:

— Czy zdarzyło się wam słyszeć starą dziecięcą rymowankę, która zaczyna się od słów: „«Pomarańcza czy cytryna?», pytają dzwony Świętego Klemensa”?

O’Brien ponownie skinął głową i z powagą dokończył zwrotkę:

„Pomarańcza czy cytryna?”, pytają dzwony Świętego Klemensa,
„Jesteś mi winien ćwierć pensa!”, krzyczą dzwony Świętego Marcina,
„Że oddasz, słaba nadzieja”, łka dzwon Starego Baileya,
„Oddam, gdy sprzedam sandwicza”, odpowiada mu dzwon Shoreditcha.

— Znacie ostatni wers! — powiedział zaskoczony Winston.

— Istotnie. Ale obawiam się, że teraz musicie już iść. Zaraz, zaczekajcie chwilę. Lepiej wam też dam tabletkę.

Gdy Winston wstał, O’Brien wyciągnął do niego rękę. Jego potężny uścisk niemal zgruchotał Winstonowi kości dłoni. W drzwiach Winston obejrzał się za siebie, ale wyglądało na to, że O’Brien już przestaje o nim myśleć. Czekał z dłonią na przycisku sterującym teleekranem. Za nim widać było biurko z lampą ocienioną zielonym abażurem, mowopisem i drucianymi koszykami pełnymi papierów. Wydarzenie dobiegło końca. Dotarło do niego, że nim minie trzydzieści sekund, O’Brien wróci do swej przerwanej, ważnej pracy na rzecz Partii.

IX

Winston był galaretowaty ze zmęczenia. Galaretowaty było właściwym określeniem. Przyszło mu do głowy samo z siebie. Jego ciało zdawało się nie tylko miękkie jak galareta, ale również jak ona przezroczyste. Miał wrażenie, że gdyby przesłonił dłonią oczy, ujrzałby przenikające przez nią światło. Mordercza praca wyssała z jego ciała całą krew i limfę, zostawiając wrak człowieka — nerwy, kości i skórę. Wszystkie doznania wydawały się spotęgowane. Kombinezon go uwierał, chodniki drażniły stopy, nawet otwarcie i zamknięcie dłoni było wysiłkiem, od którego trzeszczały jego stawy.

W ciągu pięciu dni przepracował ponad dziewięćdziesiąt godzin. Tak samo wszyscy inni w ministerstwie. Teraz to się skończyło i nie miał dosłownie nic do roboty, żadnych zadań zleconych przez Partię, aż do jutrzejszego ranka. Mógł spędzić sześć godzin w kryjówce i jeszcze dziewięć w swoim łóżku. Szedł powoli w łagodnym popołudniowym słońcu brudną ulicą w stronę sklepu pana Charringtona, wypatrując policyjnych patroli, ale z irracjonalnym przekonaniem, że tego popołudnia nic mu nie zagrozi. Przy każdym kroku obijała mu się o kolano ciężka teczka, wywołując mrowienie skóry całej nogi. W teczce była TA KSIĄŻKA, którą miał już od sześciu dni, ale jeszcze ani razu jej nie otworzył ani nawet się jej nie przyjrzał.

Szóstego dnia Tygodnia Nienawiści, po pochodach, przemówieniach, śpiewach, transparentach, plakatach, filmach, wystawach figur woskowych, dudnieniu bębnów i pisku trąbek, tupocie maszerujących stóp, zgrzycie gąsienic czołgów, ryku mas samolotów, huku dział — po sześciu dniach

tego, gdy wielki orgazm zbliżał się do apogeum i powszechna nienawiść do Eurazji przerodziła się w takie delirium, że gdyby tłum dostał w swoje ręce dwa tysiące eurazjatyckich zbrodniarzy wojennych, którzy mieli zostać publicznie powieszeni ostatniego dnia obchodów, bez wątpienia rozerwałby ich na strzępy — akurat w tym momencie ogłoszono, że Oceania jednak nigdy nie prowadziła wojny z Eurazją. Prowadziła wojnę ze Wschodoazją. Eurazja była sojusznikiem.

Oczywiście Partia nie przyznała, że zaszła jakakolwiek zmiana. Po prostu nagle i wszędzie jednocześnie oznajmiono, że wrogiem jest Wschodoazja, nie Eurazja. Akurat w chwili, kiedy się to stało, Winston brał udział w demonstracji na jednym z głównych londyńskich placów. Była noc i białe twarze oraz szkarłatne transparenty były spowite upiornym blaskiem. Plac wypełniało kilka tysięcy ludzi, w tym zwarty blok około tysiąca uczniów w mundurkach Wywiadowców. Z udrapowanej w szkarłat trybuny mówca Partii Wewnętrznej, mały, chudy człowieczek o nieproporcjonalnie długich rękach i dużej łysej głowie, na której wiło się kilka strąków włosów, pouczał tłum. Karłowata postać o twarzy wykrzywionej nienawiścią ściskała w jednej dłoni szyjkę mikrofonu, a drugą, wielką na końcu kościstej ręki, szarpała groźnie powietrze nad głową. Grzmiącym głosem o metalicznym dzięki wzmacniaczom podźwięku wykrzykiwał nieskończony katalog potworności, masakr, deportacji, grabieży, gwałtów, torturowania jeńców, bombardowania cywili, kłamliwej propagandy, niesprawiedliwej agresji, zrywania traktatów, których dopuszczał się wróg. Słuchając tego, trudno było nie dać mu wiary, a potem nie wpaść we wściekłość. Co kilka chwil tłum wrzał z furii i głos mówcy niknął w dzikim, zwierzęcym wyciu, które wydobywało się spazmatycznie z tysięcy gardeł. Najdziksze wrzaski dochodziły ze strony uczniów. Przemówienie ciągnęło się chyba od dwudziestu minut, gdy na trybunę wpadł goniec i wsunął mówcy w dłoń zwitek papieru. Ten rozwinął go i przeczytał, nie przerywając oracji. Nic się nie zmieniło w jego głosie, zachowaniu ani treści tego, co mówił, ale nagle nazwy stały się inne. Mimo że nie powiedziano o tym ani słowa, przez tłum przepłynęła fala zrozumienia. Oceania była w stanie wojny z Wschodoazją.

Chwilę potem zrobiło się wielkie zamieszanie. Wszystkie transparenty i plakaty, którymi udekorowano plac, były błędne! Na połowie z nich umieszczone były twarze niewłaściwych osób. To był sabotaż! Dzieło agentów Goldsteina! W burzliwym interludium zaczęto zdzierać z murów plakaty, rozrywać na strzępy i deptać transparenty. Wywiadowcy dokonywali cudów zręczności, wdrapując się na dachy i odcinając od kominów trzepoczące serpentyny. Ale w ciągu dwóch–trzech minut było po wszystkim. Mówca, wciąż ściskając szyjkę mikrofonu, z wysuniętymi do przodu ramionami, groźnie wymachując wolną ręką, wrócił jakby nigdy nic do swej oracji. Po chwili z ciżby znowu buchnęły wściekłe okrzyki. Festiwal nienawiści trwał dalej dokładnie tak jak przedtem, tyle że zmienił się jej obiekt.

Kiedy później Winston wrócił do tego myślami, największe wrażenie zrobiło na nim to, że mówca przeszedł z jednej skrajności w drugą dosłownie w środku zdania, nie tylko nie przerywając choćby na sekundę, ale nawet nie łamiąc składni. Jednak w tamtej chwili był zajęty innymi sprawami, ponieważ akurat w momencie zamieszania, gdy zrywano plakaty, jakiś mężczyzna, którego twarzy nie widział, trącił go w ramię i powiedział: „Przepraszam, zdaje się, że upuściliście teczkę”. Przyjął od niego teczkę z roztargnieniem, bez słowa. Wiedział, że minie kilka dni, nim będzie miał okazję do niej zajrzeć. Po demonstracji poszedł prosto do Ministerstwa Prawdy, mimo że była już prawie dwudziesta trzecia. Podobnie postąpił cały personel ministerstwa. Polecenia dobiegające już z teleekranów były właściwie niepotrzebne.

Oceania prowadziła wojnę ze Wschodoazją; zawsze z nią walczyła. Duża część literatury politycznej z pięciu lat stała się zupełnie nieaktualna. Różnego rodzaju doniesienia i zapiski, gazety, książki, broszury, filmy, ścieżki dźwiękowe, zdjęcia — to wszystko trzeba było skorygować z szybkością błyskawicy. Chociaż nie wydano żadnego polecenia, było wiadomo, że szef departamentu chciał, by nim minie tydzień, nigdzie nie pozostała jakakolwiek wzmianka o wojnie z Eurazją i sojuszu ze Wschodoazją. Była to przytłaczająca praca, tym bardziej że czynności, które się na nią składały, nie można było określać ich prawdziwymi nazwami. Wszyscy w Departa-

mencie Archiwów pracowali osiemnaście godzin na dobę, z dwiema trzygodzinnymi przerwami na sen. Z piwnic ministerstwa przyniesiono i rozłożono na korytarzach materace, posługacze ze stołówki rozwozili na wózkach posiłki składające się z kanapek i Kawy Zwycięstwa. Za każdym razem przed krótką przerwą na sen Winston starał się uprzątnąć z biurka wszystkie dokumenty i za każdym razem, gdy się z powrotem do niego przywlókł z klejącymi się i bolącymi oczami, stwierdzał, że pokrywa je i piętrzy się na nim niczym zaspa nowy opad papierowych cylindrów, zakrywa do połowy mowopis i wysypuje się na podłogę, tak że pierwszym zadaniem było zawsze ułożenie ich w porządny stos, by mieć miejsce do pracy. Najgorsze było to, że ta praca nie była w żadnym razie czysto mechaniczna. Często wystarczyło po prostu zastąpić jedną nazwę inną, ale każdy szczegółowy opis wydarzeń wymagał skupienia i wyobraźni. Trzeba się było wykazać nawet dobrą znajomością geografii, niezbędną do przeniesienia wojny z jednej części świata w inną.

Trzeciego dnia nieznośnie piekły go oczy i co kilka minut musiał przecierać okulary. Przypominało to zmaganie się z przerastającym siły zadaniem fizycznym, którego miał prawo odmówić, ale mimo to odczuwał neurotyczny przymus jego wykonania. Jak daleko sięgał pamięcią, nigdy nie miał wyrzutów sumienia z powodu tego, że każde słowo, które wymruczał do mowopisu, każde pociągnięcie ołówkiem tuszowym było świadomym kłamstwem. Tak jak wszystkim pozostałym zatrudnionym w departamencie zależało mu na tym, by fałszerstwo było idealne. Rankiem szóstego dnia skapywanie cylindrów z rury spowolniło. Przez pół godziny nie wyleciało z niej nic, potem jeszcze jeden cylinder i więcej nic. Mniej więcej w tym samym czasie praca wszędzie zelżała. W całym departamencie rozległo się głębokie, ale jakby skrywane westchnienie ulgi. Dokonano wielkiego dzieła, o którym nikt nigdy nie wspomni. Teraz było już niemożliwe, by ktokolwiek dowiódł na podstawie jakiegoś dokumentu, że Oceania kiedykolwiek prowadziła wojnę z Eurazją. O dwunastej zero zero nagle oznajmiono, że wszyscy pracownicy ministerstwa mają wolne do następnego ranka. Winston wziął teczkę z TĄ KSIĄŻKĄ, którą przy biurku cały czas

trzymał między stopami, a gdy spał, pod głową, poszedł do domu, ogolił się i o mało nie zasnął w wannie, chociaż woda była zaledwie letnia.

Z niemal lubieżnym skrzypieniem stawów wdrapał się po schodach nad sklep pana Charringtona. Był zmęczony, ale już nie senny. Otworzył okno, zapalił brudną kuchenkę naftową i wstawił wodę na kawę. Niedługo przyjdzie Julia, a tymczasem miał tę książkę. Usiadł w sfatygowanym fotelu i rozpiął paski teczki.

Ciężki, czarny tom w amatorskiej oprawie, bez nazwiska autora i tytułu na okładce. Również druk był nieco nierówny. Strony miały wytarte brzegi i łatwo wypadały, jakby książka przeszła przez wiele rąk. Napis na stronie tytułowej głosił:

Emmanuel Goldstein

TEORIA I PRAKTYKA OLIGARCHICZNEGO KOLEKTYWIZMU

Winston zaczął czytać:

Rozdział I

Niewiedza to siła

Od początku czasów historycznych, a prawdopodobnie już od końca neolitu, na świecie istnieją trzy klasy ludzi: wyższa, średnia i niższa. Dzielono je na wiele sposobów i nadawano im przeróżne, niezliczone nazwy, a ich względna liczebność oraz wzajemne stosunki zmieniały się z epoki na epokę, ale podstawowa struktura społeczeństwa pozostawała niezmienna. Nawet po niezwykłych wstrząsach i pozornie nieodwracalnych zmianach zawsze powracał ten sam schemat, zupełnie jak żyroskop, który bez względu na to, jak daleko zostanie wychylony w tę czy inną stronę, zawsze wraca do równowagi.

Cele tych trzech grup są całkowicie rozbieżne i niemożliwe do pogodzenia…

Winston przerwał lekturę, głównie po to, by upajać się faktem, że *czyta*, do tego w wygodnych i bezpiecznych warunkach. Był sam: żadnego teleekranu, żadnego ucha przy dziurce od klucza, żadnego impulsu, by zerknąć przez ramię albo zakryć dłonią stronę. Miłe letnie powietrze muskało mu policzek. Skądś z daleka napływały słabe krzyki dzieci; w samym pokoju panowała cisza, przerywana tylko owadzim tykaniem zegara. Usadowił się głębiej w fotelu i położył nogi na osłonie kominka. To była rozkosz, wieczność. Nagle, jak to czasami robi się z książką, o której się wie, że w końcu się przeczyta, i to nie raz, każde jej słowo, otworzył ją w innym miejscu i trafił na rozdział trzeci. Ponownie zaczął czytać:

Rozdział III

Wojna to pokój

Rozpad świata na trzy wielkie supermocarstwa był wydarzeniem, które można było przewidzieć, i rzeczywiście przewidziano, już w pierwszej połowie wieku dwudziestego. Po wchłonięciu Europy przez Rosję i Imperium Brytyjskiego przez Stany Zjednoczone powstały już faktycznie dwa z istniejących obecnie mocarstw, Eurazja i Oceania. Trzecie, Wschodoazja, wyłoniło się jako odrębny byt dopiero po kolejnej dekadzie chaotycznych walk. Granice między trzema supermocarstwami są w pewnych miejscach umowne, w innych zaś płynne, w zależności od zmiennych kolei wojny, ale na ogół przebiegają wzdłuż naturalnych linii geograficznych. Eurazja obejmuje całą północną część kontynentu eurazjatyckiego, od Portugalii po Cieśninę Beringa. Oceania składa się z obu Ameryk, wysp atlantyckich, włącznie z Wyspami Brytyjskimi, Australazji i południowej części Afryki. Wschodoazja, mniejsza od poprzednich dwóch i o mniej wyraźnej granicy zachodniej, składa się z Chin i krajów leżących na południe od nich, Wysp Japońskich i dużych, lecz o zmiennej powierzchni części Mandżurii, Mongolii i Tybetu.

Te trzy supermocarstwa, raz w takim, raz w innym układzie, toczą ze sobą permanentną wojnę i dzieje się tak od dwudziestu pięciu lat. Jednak ta wojna nie jest już takimi rozpaczliwymi, wyniszczającymi zmaganiami jak w pierwszych dziesięcioleciach dwudziestego wieku. Jej cele są ograniczone, gdyż przeciwnicy nie są w stanie się pokonać, nie mają żadnych istotnych powodów, by ze sobą walczyć, i nie dzielą

ich żadne autentyczne różnice ideologiczne. Nie znaczy to bynajmniej, że sposób prowadzenia wojny i powszechne nastawienie do niej stały się mniej krwiożercze albo bardziej rycerskie. Przeciwnie, we wszystkich uczestniczących w niej krajach stale trwa wojenna histeria, a takie czyny jak gwałty, grabieże, zabijanie dzieci, sprowadzanie całej ludności zdobytych terytoriów do roli niewolników oraz znęcanie się nad jeńcami, które przybiera nawet tak okrutne formy jak gotowanie i zakopywanie żywcem, uważa się za normalne, a gdy nie dopuszczają się ich siły wroga, lecz własne, za wręcz chwalebne. W sensie fizycznym współczesna wojna angażuje jednak bardzo małą liczbę ludzi, głównie świetnie wyszkolonych specjalistów, i pochłania stosunkowo mało ofiar. Walki, jeśli w ogóle do nich dochodzi, toczą się tylko gdzieś na kresach, o których położeniu przeciętny człowiek ma niewielkie pojęcie, albo wokół pływających fortec, które strzegą strategicznych miejsc na morskich szlakach. W głównych ośrodkach cywilizacji wojna oznacza jedynie stały niedobór dóbr konsumpcyjnych i sporadyczne uderzenia pocisków rakietowych, które mogą spowodować śmierć kilkudziesięciu osób. W gruncie rzeczy zmienił się charakter wojny. Ujmując to dokładniej, zmieniła się skala ważności powodów, z których się ją prowadzi. Na pierwsze miejsce wysunęły się względy, które były w niewielkiej mierze obecne już w wielkich wojnach z początku dwudziestego wieku, ale teraz zaczęto je wyraźnie dostrzegać i świadomie się nimi kierować.

Żeby zrozumieć charakter współczesnej wojny — bo pomimo zmieniających się co kilka lat sojuszy jest to stale ta sama wojna — trzeba sobie po pierwsze uświadomić, że nigdy nie zakończy się ona zdecydowanym zwycięstwem którejkolwiek strony. Żadne z trzech supermocarstw nie może zostać definitywnie pokonane nawet przez sprzymierzone ze sobą dwa pozostałe. Mają one zbyt wyrównane siły, a ukształtowanie ich terenów stwarza zbyt trudne do sforsowania naturalne linie obronne. Eurazję chronią jej ogromne przestrzenie lądowe, Oceanię szerokość Atlantyku i Pacyfiku, Wschodoazję płodność i pracowitość jej mieszkańców. Po drugie, w sensie materialnym, nie ma już o co walczyć. Wraz z powstaniem gospodarek samowystarczalnych, w których produkcja jest ściśle powiązana z konsumpcją, zdobywanie rynków, główna przyczyna poprzednich wojen, dobiegło końca, a rywalizacja o surowce przestała być sprawą życia i śmierci. W każdym razie każde z trzech supermocarstw jest tak rozległe, że może pozyskiwać prawie wszystkie potrzebne mu surowce wewnątrz własnych granic. Jeśli obecna wojna ma jakiś bezpośredni cel ekonomiczny, to jest nim walka o siłę roboczą. Pomiędzy supermocarstwami leży nieregularny czworobok o kątach w Tangerze, Brazzaville, Darwin i Hongkongu,

zamieszkany przez jedną piątą ludności Ziemi, który nigdy nie był w trwałym posiadaniu żadnego z nich. To właśnie o przejęcie tych gęsto zaludnionych rejonów oraz północnej polarnej czapy lodowej bez przerwy walczą te mocarstwa. Poszczególne części tych obszarów stale przechodzą z rąk do rąk, i to zyskanie szansy na przechwycenie tego czy innego ich fragmentu poprzez nagłe, zdradzieckie uderzenie jest powodem nieustannych zmian sojuszy.

Na wszystkich tych spornych terytoriach znajdują się złoża cennych minerałów, a część z nich dostarcza również ważnych produktów roślinnych, takich jak kauczuk, które w chłodniejszym klimacie trzeba wytwarzać syntetycznie stosunkowo kosztownymi metodami. Ale przede wszystkim są one niewyczerpanym źródłem taniej siły roboczej. Mocarstwo, które panuje nad Afryką równikową, krajami Bliskiego Wschodu, Indiami Południowymi czy archipelagiem indonezyjskim, dysponuje również dziesiątkami czy setkami milionów źle opłacanych i ciężko pracujących kulisów. Mieszkańcy tych regionów, sprowadzani mniej lub bardziej otwarcie do roli niewolników, nieustannie przechodzą z rąk do rąk kolejnych najeźdźców i są traktowani jak surowiec, zużywany podobnie jak węgiel i ropa naftowa w wyścigu o to, kto wyprodukuje więcej broni, zdobędzie więcej terytoriów, pozyska więcej siły roboczej, wyprodukuje jeszcze więcej broni, podbije jeszcze więcej terytoriów — i tak w nieskończoność. Należy zauważyć, że walki właściwie nigdy nie przenoszą się poza sporne tereny. Granica Eurazji przesuwa się w tę i z powrotem pomiędzy dorzeczem Konga i północnym wybrzeżem Morza Śródziemnego; wyspy na Oceanie Indyjskim i Pacyfiku są na przemian zdobywane i tracone przez Oceanię i Wschodoazję; w Mongolii linia graniczna między Eurazją i Wschodoazją nie jest nigdy stała; trzy supermocarstwa roszczą sobie prawo do ogromnych obszarów wokół bieguna północnego, w większości niezamieszkanych i niezbadanych, ale utrzymuje się między nimi względna równowaga sił, a terytoria, które leżą w centrum każdego z nich, pozostają nietknięte. Poza tym praca wyzyskiwanych ludów w okolicach równika nie jest w rzeczywistości niezbędna dla gospodarki światowej. Nie wzbogacają one w żaden sposób światowego bogactwa, ponieważ wszystko, co wyprodukują, idzie na potrzeby wojny, której celem zawsze jest uzyskanie lepszej pozycji do prowadzenia dalszych działań wojennych. Praca zniewolonych ludów umożliwia jedynie ciągłe przyspieszanie tempa ustawicznej wojny. Ale gdyby ludy te nie istniały, struktura społeczna świata i procesy, dzięki którym się utrzymuje, nie byłyby zasadniczo inne.

Podstawowym celem współczesnej wojny (zgodnie z zasadami dwumyślenia równocześnie uznawanym i nieuznawanym przez kierownicze mózgi Partii Wewnętrz-

nej) jest zużywanie maszynowo wytwarzanych towarów bez podnoszenia stopy życiowej ludności. Od końca dziewiętnastego wieku kraje uprzemysłowione musiały sobie radzić ze skrywanym problemem, co robić z nadwyżką produkcji towarów konsumpcyjnych. Obecnie, gdy nawet żywność jest dostępna w dostatecznej ilości tylko nielicznym, nie jest to już problem palący i może by zniknął, nawet gdyby przestano stosować sztuczne procesy niszczenia nadwyżek. Dzisiejszy świat jest w porównaniu z tym, który istniał przed rokiem 1914, a jeszcze bardziej z wyobrażeniami ówcześnie żyjących ludzi o przyszłości, walącą się ruderą, której mieszkańcy chodzą w łachmanach i przymierają głodem. Na początku dwudziestego wieku wizja przyszłości, w której niewiarygodnie bogate, zdyscyplinowane, wydajnie pracujące, a zarazem mające mnóstwo wolnego czasu społeczeństwo żyć będzie w lśniącym, antyseptycznym świecie ze szkła, stali i śnieżnobiałego betonu, była częścią świadomości prawie wszystkich osób wykształconych. Nauka i technika rozwijały się w oszałamiającym tempie i wydawało się naturalne, że tak będzie dalej. Tak się jednak nie stało, po części z powodu ogólnego zubożenia spowodowanego przez długi ciąg wojen i rewolucji, a po części dlatego, że postęp naukowy i techniczny opiera się na myśleniu empirycznym, które nie może przetrwać w społeczeństwach o ustroju autorytarnym. Ogólnie biorąc, świat jest dzisiaj bardziej prymitywny niż pięćdziesiąt lat temu. Owszem, rozwinęły się pewne zacofane wcześniej obszary i stworzono różne nowe urządzenia, w każdym wypadku w jakiś sposób związane z wojną i szpiegowaniem, ale w badaniach eksperymentalnych i wynalazczości nastąpił prawie zupełny zastój i nigdy całkowicie nie naprawiono zniszczeń po wojnie jądrowej z lat pięćdziesiątych. Mimo to wciąż istnieją zagrożenia spowodowane mechanizacją. Od pojawienia się pierwszych maszyn dla wszystkich myślących ludzi było jasne, że zniknęła konieczność ciężkiej harówki, a zatem w dużej mierze również przyczyna nierówności społecznych. Gdyby maszyn używano rozmyślnie w tym celu, w ciągu kilku pokoleń wyeliminowano by głód, pracę ponad siły, brud, analfabetyzm i choroby. I w istocie, chociaż bynajmniej nie kierowano się tymi względami, niejako automatycznie — wytwarzając dobra, których czasami po prostu nie można było nie rozprowadzić wśród ogółu ludności — mechanizacja pracy przyczyniła się w okresie pięćdziesięciu lat na przełomie wieku dziewiętnastego i dwudziestego do ogromnego wzrostu przeciętnej stopy życiowej.

Ale było równie oczywiste, że powszechny wzrost zamożności zagraża istnieniu społeczeństwa hierarchicznego, a w pewnym sensie już je niszczy. W świecie, w którym każdy pracuje krótko, ma dość jedzenia, mieszka w domu z łazienką i lodówką

i posiada samochód, a nawet samolot, zniknęłaby najbardziej oczywista i być może najważniejsza forma nierówności, czyli bogactwo. Gdyby stało się udziałem wszystkich, przestałoby być czynnikiem wyróżniającym. Można by sobie bez wątpienia wyobrazić społeczeństwo, w którym *bogactwo*, w sensie osobistego dobytku i wygód, byłoby równo rozdzielone, natomiast władza pozostawałaby w rękach nielicznej kasty uprzywilejowanych. Jednak w praktyce takie społeczeństwo niedługo byłoby stabilne, bo gdyby wszyscy mieli zapewniony dobrobyt i tyle samo wolnego czasu, ogromna masa ludzi normalnie ogłupionych biedą zdobyłaby wiedzę i nauczyła się samodzielnie myśleć, a wówczas wcześniej czy później uświadomiłaby sobie, że uprzywilejowana mniejszość nie ma żadnej racji bytu, i odsunęłaby ją od władzy. W dłuższej perspektywie społeczeństwo hierarchiczne może istnieć tylko dzięki nędzy i ciemnocie. Powrót do rolniczej gospodarki z przeszłości, o czym marzyli na początku dwudziestego wieku niektórzy myśliciele, nie wchodzi w rachubę. Byłby on sprzeczny z dążeniem do mechanizacji, które niemal na całym świecie stało się prawie instynktowne, a poza tym każde państwo, które pozostałoby technologicznie zacofane, byłoby pod względem militarnym zupełnie bezradne i skazane na bezpośrednie lub pośrednie zdominowanie przez rywali z bardziej rozwiniętym przemysłem.

Również utrzymywanie mas w nędzy poprzez ograniczenie produkcji towarów nie było zadowalającym rozwiązaniem. Tak się właśnie w znacznej mierze stało w końcowej fazie kapitalizmu, mniej więcej pomiędzy rokiem 1920 i 1940. W wielu krajach pozwolono gospodarce popaść w stagnację, przestano uprawiać ziemię, nie zwiększano inwestycji w środki produkcji, wielkie rzesze ludzi zostały pozbawione pracy i ledwie utrzymywały się przy życiu dzięki głodowym zasiłkom z kasy państwowej. Ale i to pociągnęło za sobą osłabienie potencjału militarnego, a ponieważ było widać gołym okiem, że spowodowane przez te działania zubożenie społeczeństwa nie wynika z konieczności, nieuchronnie doprowadziło do oporu i protestów. Problem polegał na tym, jak sprawić, by przemysł nadal działał bez zwiększania dobrobytu na świecie. Trzeba było produkować towary, ale nie można było ich szeroko udostępniać. W praktyce można to było osiągnąć jedynie dzięki ciągłym działaniom wojennym.

Istotą wojny jest niszczenie, niekoniecznie ludzi, ale wytworów ich rąk. Wojna jest sposobem na to, by rozbić w pył, wyrzucić w stratosferę albo zatopić w głębinach morskich materiały, które w przeciwnym razie mogłyby zostać wykorzystane do nadmiernej poprawy warunków życiowych mas, a w konsekwencji, w dłuższej

perspektywie, do nadmiernego podniesienia się poziomu ich inteligencji. Nawet gdy sprzęt wojskowy nie ulega zużyciu, jego dalsza produkcja jest dogodnym sposobem użytkowania siły roboczej bez wytwarzania jakichkolwiek towarów konsumpcyjnych. Na przykład pływająca forteca wymaga nakładu pracy, który wystarczyłby do zbudowania kilkuset statków handlowych. Na koniec, nie przyniósłszy nikomu żadnego materialnego pożytku, zostaje zezłomowana jako przestarzała i ogromnym nakładem sił buduje się kolejną. Zbrojenia są z zasady zawsze tak planowane, by pochłonęły całą nadwyżkę środków, która mogłaby pozostać po zaspokojeniu podstawowych potrzeb ludności. W praktyce te potrzeby są zawsze niedoszacowane, czego rezultatem jest chroniczny niedobór połowy niezbędnych artykułów, ale taki stan uważa się za korzystny. Celowo prowadzi się politykę utrzymywania nawet faworyzowanych grup na granicy biedy, gdyż powszechny niedostatek zwiększa znaczenie niewielkich przywilejów, a tym samym pogłębia przepaść między poszczególnymi grupami. Według kryteriów z początku dwudziestego wieku nawet członek Partii Wewnętrznej prowadzi ascetyczne, wypełnione pracą życie. Mimo to nieliczne luksusy, jakimi się cieszy — duże, porządnie urządzone mieszkanie, lepsza gatunkowo odzież, żywność, napoje i tytoń lepszej jakości, dwóch lub trzech służących, prywatny samochód albo śmigłowiec — sytuują go w innym świecie niż ten, w którym żyje członek Partii Zewnętrznej, a z kolei członkowie tej partii mają podobną przewagę nad uciemiężonymi masami zwanymi „prolami”. W całym społeczeństwie panuje atmosfera jak w oblężonym mieście, gdzie posiadanie ochłapu koniny wyznacza różnicę między dostatkiem a nędzą. Jednocześnie świadomość trwającej wojny, a zatem ciągłego zagrożenia, sprawia, że przekazanie całej władzy nielicznej kaście wydaje się naturalnym, koniecznym warunkiem przeżycia.

Wojna, jak się okaże w dalszej części niniejszych rozważań, nie tylko dokonuje zniszczeń, ale robi to w psychologicznie możliwy do zaakceptowania sposób. Teoretycznie można by dość prosto zmarnotrawić nadmiar światowych sił wytwórczych poprzez wznoszenie świątyń i piramid, wykopywanie, a następnie zasypywanie dołów lub produkowanie ogromnych ilości towarów i ich palenie. Jednak stwarzałoby to jedynie gospodarczą, a nie emocjonalną podstawę istnienia społeczeństwa hierarchicznego. Nie chodzi tu o morale mas, których nastawienie nie jest ważne, dopóki wykonują swoją pracę, lecz morale samej Partii. Także od najniżej stojącego w hierarchii członka Partii oczekuje się fachowości, pracowitości, a nawet ograniczonej inteligencji, ale jest też niezbędne, aby był on łatwowiernym i fanatycznym ignorantem, którego przeważającymi uczuciami są strach, nienawiść, uwielbienie

i orgiastyczny tryumf. Innymi słowy, powinien on koniecznie mieć mentalność odpowiednią dla potrzeb wojny. Nie jest ważne, czy rzeczywiście toczy się wojna, nie jest też ważne — skoro zdecydowane zwycięstwo jest niemożliwe — jak układają się jej losy. Trzeba tylko, by tkwił w przekonaniu, że wojna stale trwa. Rozszczepienie świadomości, którego Partia wymaga od swoich członków, a do którego najłatwiej doprowadzić w atmosferze wojny, jest obecnie niemal powszechne, ale im wyższą ktoś piastuje funkcję, tym bardziej jest ono widoczne. Wojenna histeria i nienawiść do wroga są najsilniejsze właśnie w Partii Wewnętrznej. Ze względu na ich kierowniczą rolę członkowie Partii Wewnętrznej muszą często wiedzieć, że to czy inne doniesienie z frontu jest nieprawdziwe, a nawet często mogą sobie zdawać sprawę z tego, że cała opowieść o wojnie jest kłamstwem i albo w ogóle się ona nie toczy, albo w zupełnie innych celach, niż się to oficjalnie przedstawia, ale taką wiedzę łatwo zneutralizować dzięki technice „dwumyślenia”. Tak więc każdy członek Partii Wewnętrznej trwa niezachwianie w mistycznym wręcz przekonaniu, że wojna jest faktem i zakończy się zwycięstwem Oceanii, która zapanuje nad całym światem.

Wszyscy członkowie Partii Wewnętrznej traktują to przyszłe zwycięstwo jak artykuł wiary. Zostanie ono osiągnięte albo poprzez stopniowy podbój kolejnych terytoriów i zyskiwanie w ten sposób coraz większej przewagi, albo dzięki wynalezieniu jakiejś nowej broni, której wróg nie zdoła się oprzeć. Poszukiwanie nowej broni trwa nieprzerwanie i jest jedną z niewielu istniejących jeszcze dziedzin, w których może znaleźć ujście odkrywczy albo dociekliwy umysł. Obecnie w Oceanii nauka w dawnym sensie niemal zupełnie już nie istnieje. W nowomowie nie ma żadnego słowa odpowiadającego temu słowu. Myślenie empiryczne, na którym opierały się wszystkie osiągnięcia naukowe minionych czasów, sprzeczne jest z rudymentarnymi zasadami angsocu. Nawet postęp technologiczny dokonuje się tylko w tych dziedzinach, których wytwory można w jakiś sposób wykorzystać do ograniczenia ludzkiej wolności. We wszystkich sztukach użytecznych świat stoi w miejscu albo wręcz się cofa. Pola orze się pługami konnymi, a książki piszą maszyny. Ale w kwestiach najwyższej wagi — czyli związanych z wojną i policyjną inwigilacją — wciąż się zachęca do podejścia empirycznego, a przynajmniej się je toleruje. Partia ma dwa główne cele: podbój całej Ziemi i wyplenienie raz na zawsze niezależnego myślenia. Żeby je osiągnąć, musi rozwiązać dwa wielkie problemy. Po pierwsze, jak wbrew woli człowieka odkryć, co myśli, a po drugie — jak w ciągu kilku sekund zabić bez ostrzeżenia kilkaset milionów ludzi. Tylko to jest tematem badań naukowych. Współczesny naukowiec jest albo połączeniem psychologa i śledczego, studiującym niezwykle

szczegółowo znaczenie wyrazu twarzy, gestów i tonu głosu oraz wypróbowującym wpływ narkotyków, terapii wstrząsowej, hipnozy i tortur fizycznych na wydobywanie prawdy z osób przesłuchiwanych, albo chemikiem, fizykiem czy biologiem zajmującym się tylko tymi gałęziami swojej dziedziny, które mogą służyć odbieraniu życia. W ogromnych laboratoriach Ministerstwa Pokoju i w stacjach badawczych ukrytych w brazylijskich puszczach, na australijskich pustyniach albo na wyspach zagubionych w Antarktyce trwa niezmordowana praca zespołów specjalistów. Niektórzy skupiają się po prostu na logistyce przyszłych wojen, inni na projektowaniu coraz większych pocisków rakietowych, coraz silniejszych materiałów wybuchowych, coraz bardziej odpornego na ciosy opancerzenia, jeszcze inni na wymyślaniu nowych i bardziej zabójczych gazów, rozpuszczalnych trucizn, które można by produkować w ilościach wystarczających do zniszczenia roślinności całych kontynentów, albo szczepów zarazków odpornych na wszelkie możliwe przeciwciała, inni starają się stworzyć pojazd, który będzie się poruszał pod ziemią jak okręt podwodny w głębinach morskich, albo samolot równie niezależny od bazy jak statek, inni badają nawet najmniej prawdopodobne możliwości, takie jak skupianie promieni słonecznych przez soczewki umieszczone w przestrzeni kosmicznej tysiące kilometrów nad Ziemią czy sztuczne wywoływanie trzęsień ziemi i fal pływowych dzięki wykorzystaniu wysokiej temperatury panującej w jądrze Ziemi.

Jednak żaden z tych projektów nigdy nie zbliżył się nawet na krok do fazy realizacji i żadne z trzech supermocarstw nigdy nie wyprzedza w tych sprawach pozostałych. Najbardziej zadziwiające jest to, że wszystkie te mocarstwa posiadają już broń znacznie potężniejszą od wszelkiej innej, jaką mogą wynaleźć ich naukowcy, a mianowicie bombę atomową. Aczkolwiek Partia zgodnie ze swoim zwyczajem przypisuje jej wynalezienie sobie, bomby atomowe pojawiły się już w latach czterdziestych, a na dużą skalę zostały po raz pierwszy użyte dziesięć lat później. Zrzucono wtedy kilkaset bomb na ośrodki przemysłowe, głównie we wschodniej Rosji, Europie Zachodniej i Ameryce Północnej. Skutek był taki, że ekipy rządzące we wszystkich państwach doszły do wniosku, iż jeszcze kilka bomb będzie oznaczało koniec zorganizowanego społeczeństwa, a więc również ich władzy.

Potem, chociaż nie zawarto ani nawet nie zasugerowano żadnego porozumienia, nie spadła już ani jedna bomba. Trzy supermocarstwa wciąż rozwijają swoje arsenały jądrowe, czekając na stosowny moment do ostatecznej rozprawy, który zdaniem ich wszystkich wcześniej czy później nadejdzie. A tymczasem sztuka wojenna od trzydziestu czy czterdziestu lat stoi niemal w miejscu. Śmigłowców używa się częściej

niż dawniej, bombowce zostały w dużej mierze zastąpione przez pociski samonaprowadzające, a miejsce ruchliwych, ale wrażliwych na uderzenia krążowników zajęły prawie niezatapialne pływające fortece, lecz poza tym postęp jest niewielki. Wciąż używa się czołgów, okrętów podwodnych, karabinów maszynowych, pozostają w użyciu nawet karabiny i granaty ręczne. I wbrew doniesieniom prasy oraz teleekranów o niekończących się rzeziach, nigdy już nie powtórzyły się zacięte bitwy znane z wcześniejszych wojen, w których często w kilka tygodni ginęły setki tysięcy, a nawet miliony ludzi.

Żadne z trzech supermocarstw nigdy nie podejmuje działań, które wiążą się z ryzykiem poważnej porażki. Jeśli przeprowadza się operację na dużą skalę, jest to zazwyczaj niespodziewany atak na dotychczasowego sojusznika. Wszystkie mocarstwa stosują — a raczej udają, że stosują — identyczną strategię. Plan polega na tym, by drogą działań zbrojnych, układów i zdrady w odpowiednim momencie otoczyć całkowicie jednego czy drugiego rywala pierścieniem baz, a potem podpisać z nim układ o przyjaźni i pozostawać w dobrych stosunkach dopóty, dopóki nie uśpi się jego czujności. Przez ten czas można zgromadzić we wszystkich punktach strategicznych rakiety z głowicami jądrowymi, a potem wystrzelić je wszystkie równocześnie i zadać mu tak ciężkie straty, by nie był zdolny do odwetu. Wtedy nadejdzie czas, by podpisać pakt o przyjaźni z drugą potęgą światową i zacząć przygotowania do następnego ataku. Nie trzeba wyjaśniać, że jest to tylko niemożliwe do zrealizowania marzenie. Poza tym nie dochodzi do walk na żadnych terenach oprócz obszarów spornych koło równika i bieguna północnego; nigdy też nie dokonuje się inwazji na terytorium wroga. Wyjaśnia to, dlaczego w pewnych miejscach granice między supermocarstwami są umowne. Na przykład Eurazja mogłaby z łatwością podbić Wyspy Brytyjskie, które geograficznie są częścią Europy, natomiast Oceania mogłaby przesunąć swe granice aż po Ren, a nawet Wisłę. Jednak byłoby to pogwałceniem respektowanej przez wszystkie strony, choć nigdy oficjalnie nie sformułowanej zasady integralności kulturowej. Gdyby Oceania podbiła tereny noszące niegdyś nazwy Francji i Niemiec, musiałaby albo dokonać eksterminacji ich mieszkańców, co byłoby fizycznie bardzo trudne, albo zasymilować około stu milionów ludzi, którzy w sprawach techniki są mniej więcej na tym samym poziomie rozwoju. Ten sam problem mają pozostałe dwa supermocarstwa. Brak jakichkolwiek kontaktów z cudzoziemcami, z wyjątkiem, i to w ograniczonym zakresie, jeńców wojennych i kolorowych niewolników, jest absolutnie niezbędnym warunkiem utrzymania spójności ich struktury. Nawet aktualnego sojusznika traktuje się zawsze z największą podejrzli-

wością. Pomijając jeńców wojennych, przeciętny obywatel Oceanii nigdy nie ujrzy ani obywatela Eurazji, ani Wschodoazji i ma całkowity zakaz nauki języków obcych. Gdyby pozwolono mu na kontakty z cudzoziemcami, odkryłby, że są oni takimi ludźmi jak on i że większość z tego, co mu o nich mówiono, to kłamstwa. Pękłaby skorupa zamkniętego świata, w którym żyje, i strach, nienawiść oraz przekonanie o własnej wyjątkowości, na których opiera się jego morale, mogłyby się ulotnić. Dlatego wszystkie strony zdają sobie sprawę, że aczkolwiek Persja, Egipt, Jawa czy Cejlon mogą przechodzić z rąk do rąk, głównych granic nie może przekraczać nikt i nic oprócz pocisków rakietowych.

Wynika to z tego, o czym nigdy głośno się nie mówi, a nawet nie napomyka półgębkiem, ale wiedzą o tym wszystkie strony — a mianowicie, że warunki życia we wszystkich trzech supermocarstwach są bardzo podobne. Ideologię dominującą w Oceanii nazywa się angsocem, tę, która panuje w Eurazji, neobolszewizmem, we Wschodoazji zaś nosi ona chińską nazwę, zwykle tłumaczoną jako „kult śmierci”, ale znaczenie tego terminu lepiej chyba oddaje „unicestwienie jaźni”. Obywatelom Oceanii nie pozwala się zdobyć żadnej wiedzy o dogmatach pozostałych dwóch ideologii, ale uczy się ich gardzić nimi jako barbarzyńskimi ekscesami, które są obrazą moralności i zdrowego rozsądku. W rzeczywistości te trzy ideologie prawie nie różnią się od siebie, a między opierającymi się na nich ustrojami społecznymi nie ma absolutnie żadnych różnic. Wszędzie istnieje ta sama hierarchiczna struktura, ten sam kult półboskiego przywódcy, ta sama gospodarka utrzymująca się dzięki ciągłej wojnie i służąca jej potrzebom. Wynika stąd, że żadne z trzech supermocarstw nie tylko nie może pokonać pozostałych, ale nie odniosłoby z tego żadnych korzyści. Przeciwnie, dopóki są ze sobą w konflikcie, wspierają się niczym trzy snopki zboża. I jak zwykle grupy rządzące wszystkimi trzema mocarstwami są zarazem świadome i nieświadome tego, co czynią. Każde z nich dąży do podboju całego świata, ale wie, że dla jego własnego dobra wojna powinna trwać wiecznie, a nie zakończyć się jego zwycięstwem. Tymczasem to, że nie zagraża im widmo klęski, umożliwia negowanie rzeczywistości, co jest szczególną cechą angsocu i konkurencyjnych wobec niego systemów myślowych. W tym miejscu należy powtórzyć to, co powiedziano wcześniej, a mianowicie, że przeistaczając się w ciągłe zmagania, wojna całkowicie zmieniła swój charakter.

W dawnych wiekach wojna niemal na mocy definicji musiała się wcześniej czy później skończyć, zwykle oczywistym zwycięstwem lub klęską. W przeszłości była ona również jednym z głównych narzędzi służącym temu, by społeczeństwo nie stra-

ciło całkowicie kontaktu z rzeczywistością. Wszyscy władcy we wszystkich epokach starali się narzucić swoim poddanym fałszywy obraz świata, ale nie mogli roztaczać przed nimi żadnych iluzji, które osłabiałyby ich skuteczność militarną. Dopóki klęska oznaczała utratę niepodległości albo miała jakieś inne niepożądane następstwa, trzeba było stosować poważne środki, by się przed nią zabezpieczyć. Nie można było ignorować faktów. W filozofii, religii, etyce czy polityce można było twierdzić, że dwa i dwa to pięć, ale gdy opracowywano projekt działa czy samolotu, ich suma musiała wynosić cztery. Narody, które sobie z tym nie radziły, zawsze wcześniej czy później były podbijane, dążenie do skuteczności było więc wrogiem iluzji. Co więcej, żeby działać skutecznie, trzeba było wyciągać nauki z przeszłości, czyli mieć o niej dość rzetelną wiedzę. Oczywiście gazety i podręczniki historii zawsze ubarwiały przeszłość i przedstawiały ją tendencyjnie, ale takie fałszowanie, z jakim mamy do czynienia obecnie, było niemożliwe. Wojna była skutecznym zabezpieczeniem przed utratą zdrowego rozsądku, a w klasach rządzących prawdopodobnie najważniejszym. Kiedy wojnę można było wygrać albo przegrać, żadna klasa rządząca nie mogła być całkowicie nieodpowiedzialna.

Ale gdy wojna staje się w dosłownym sensie tego słowa ciągła, przestaje być groźna. Kiedy przechodzi w stan permanentny, znika konieczność pokonania wroga za pomocą wszelkich dostępnych środków. Wskutek tego może się skończyć postęp techniczny, a najbardziej oczywiste fakty można negować lub ignorować. Jak widzieliśmy, dla potrzeb wojny wciąż prowadzi się badania, które można by nazwać naukowymi, ale są one w istocie bujaniem w świecie fantazji, a to, że nie przynoszą żadnych widocznych rezultatów, staje się nieważne. Sprawność, nawet wojskowa, nie jest już potrzebna. W Oceanii nic oprócz Policji Myśli nie działa sprawnie. Skoro każde z trzech supermocarstw jest niepokonane, każde jest osobnym wszechświatem, w którym można bezkarnie zrealizować niemal każdy obłąkańczy pomysł. Rzeczywistość daje o sobie znać tylko przez podstawowe potrzeby życiowe — potrzebę zaspokojenia głodu i pragnienia, posiadania dachu nad głową i ubrania, unikania spożycia trucizny, wypadnięcia z okna na wysokim piętrze i tym podobnych rzeczy. Owszem, wciąż istnieje różnica między życiem a śmiercią, przyjemnością a bólem, ale to wszystko. Odcięty od kontaktu ze światem zewnętrznym i przeszłością obywatel Oceanii jest jak człowiek zawieszony w przestrzeni międzygwiezdnej, który w żaden sposób nie może się zorientować, gdzie jest góra, a gdzie dół. Ci, którzy sprawują rządy w takim państwie, posiadają władzę absolutną, o jakiej nie mogli marzyć faraonowie ani cesarze rzymscy. Muszą dbać o to, by zbyt duże rzesze ich poddanych nie

umierały z głodu, i o to, by technika wojskowa była na takim samym, niskim zresztą, poziomie jak u ich rywali, ale gdy spełniają te minimalne wymogi, mogą wypaczać rzeczywistość i nadawać jej kształt, jaki zechcą.

A zatem współczesna wojna, jeśli oceniamy ją wedle miary dawnych wojen, jest zwykłą mistyfikacją. Jest podobna do walk między pewnymi gatunkami przeżuwaczy, których rogi wyrastają pod takim kątem, że nie mogą wyrządzić sobie krzywdy. Ale choć jest fikcyjna, nie znaczy to, że nie ma sensu. Pochłania nadwyżkę dóbr, które można by skonsumować, i pomaga wytworzyć szczególną atmosferę umysłową, niezbędną do istnienia społeczeństwa hierarchicznego. Wojna, jak to dalej wykażemy, jest obecnie sprawą czysto wewnętrzną. W przeszłości grupy rządzące we wszystkich krajach, chociaż mogły zdawać sobie sprawę, że w ich wspólnym interesie leży ograniczanie zniszczeń, jednak walczyły ze sobą, a zwycięzca zawsze łupił pokonanego. W naszych czasach te grupy w ogóle nie walczą ze sobą. Każda z nich toczy wojnę ze swoimi poddanymi, a jej celem nie jest zagarnięcie terytorium wroga albo zapobieżenie przejęciu przez niego własnego, lecz utrzymywanie struktury społeczeństwa w nienaruszonej formie. A zatem samo słowo „wojna” stało się mylące. Prawdopodobnie trafniejsze byłoby stwierdzenie, że gdy stała się ciągła, wojna przestała istnieć. Szczególna presja, jaką wywierała na ludzi od neolitu po początek dwudziestego wieku, zniknęła i została zastąpiona czymś zupełnie innym. Gdyby trzy supermocarstwa, zamiast ze sobą walczyć, zgodziły się zawrzeć wieczny pokój i zagwarantować sobie wzajemnie nienaruszalność granic, skutek byłby prawie taki sam, ponieważ w takim wypadku każde pozostałoby samowystarczalnym wszechświatem, wolnym po wsze czasy od otrzeźwiającego wpływu zagrożenia zewnętrznego. Naprawdę trwały pokój byłby tym samym co permanentna wojna. Takie właśnie jest ukryte znaczenie — chociaż ogromna większość członków Partii pojmuje je tylko w najpłytszym sensie — hasła „Wojna to pokój”.

Winston na chwilę przerwał lekturę. Gdzieś daleko rozległ się grzmot pocisku rakietowego. Winstona nie opuszczał błogi nastrój, w który wprawiało go to, że jest sam, z zakazaną książką, w pokoju bez teleekranu. Samotność i poczucie bezpieczeństwa były doznaniami fizycznymi, łączącymi się jakoś ze znużeniem ciała, miękkością fotela, łagodnym muskaniem policzka przez powiew powietrza od okna. Książka go fascynowała, a ściślej, utwierdzała w domysłach, gdyż w gruncie rzeczy nie dowiadywał się

z niej niczego nowego, co jednak częściowo stanowiło o jej atrakcyjności. Mówiła to, co sam by powiedział, gdyby potrafił uporządkować swoje bezładne myśli. Była wytworem podobnego umysłu, ale znacznie potężniejszego, bardziej systematycznego, mniej przepełnionego strachem. Doszedł do wniosku, że najlepsze są książki, które mówią to, co sami już wiemy. Właśnie wrócił do rozdziału pierwszego, gdy usłyszał na schodach kroki Julii. Poderwał się z fotela, żeby ją powitać. Julia upuściła na podłogę swoją brązową torbę z narzędziami i rzuciła mu się na szyję. Nie widzieli się od ponad tygodnia.

— Mam TĘ KSIĄŻKĘ — powiedział, gdy tylko wypuścił ją z ramion.

— O, masz ją? To dobrze — odparła bez większego zainteresowania i niemal od razu przyklękła przy kuchence naftowej, by zaparzyć kawę.

Powrócili do tego tematu, dopiero gdy spędzili pół godziny w łóżku. Wieczorem się ochłodziło, przykryli się więc narzutą. Z dołu dochodziły znajome dźwięki: śpiew i szuranie butów po kamieniach. Krzepka kobieta o czerwonych rękach, którą Winston zobaczył podczas pierwszej wizyty, była niemal stałym elementem podwórka. Można było odnieść wrażenie, że o każdej godzinie dnia krąży między balią i sznurem, na przemian zatykając sobie usta klamerkami do wieszania prania i śpiewając na cały głos. Julia ułożyła się na boku i wydawało się, że za chwilę zaśnie. Winston sięgnął po TĘ KSIĄŻKĘ, która leżała na podłodze, i usiadł wsparty o wezgłowie łóżka.

— Musimy ją przeczytać — powiedział. — Ty też. Muszą ją znać wszyscy członkowie Bractwa.

— Ty czytaj — odparła z zamkniętymi oczami. — Głośno. Tak będzie najlepiej, bo będziesz mógł mi objaśnić to, czego nie zrozumiem.

Wskazówki zegara wskazywały szóstą, czyli osiemnastą. Mieli przed sobą trzy czy cztery godziny. Oparł książkę na kolanach i zaczął czytać:

Rozdział I

Niewiedza to siła

Od początku czasów historycznych, a prawdopodobnie już od końca neolitu, na świecie istnieją trzy klasy ludzi: wyższa, średnia i niższa. Dzielono je na wiele sposobów i nadawano im przeróżne, niezliczone nazwy, a ich względna liczebność oraz wzajemne stosunki zmieniały się z epoki na epokę, ale podstawowa struktura społeczeństwa pozostawała niezmienna. Nawet po niezwykłych wstrząsach i pozornie nieodwracalnych zmianach wciąż powracał ten sam schemat, zupełnie jak żyroskop, który bez względu na to, jak daleko zostanie wychylony w tę czy inną stronę, zawsze wraca do równowagi.

— Julio, nie śpisz? — zapytał Winston.
— Nie, kochany, słucham. Czytaj dalej. To wspaniałe.
A więc czytał:

Cele tych trzech grup są całkowicie rozbieżne i niemożliwe do pogodzenia. Klasa wyższa chce zachować swoją pozycję. Średnia pragnie zamienić się z nią miejscami. Celem klasy niższej, gdy jej członkowie mają jakiś cel — gdyż ich charakterystyczną cechą jest takie wycieńczenie nieustanną harówką, że rzadko zaprzątają sobie głowy innymi sprawami niż zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych — jest zniesienie wszystkich różnic klasowych i stworzenie społeczeństwa, w którym wszyscy ludzie będą równi. Tak więc od początku dziejów trwa walka, która w ogólnych zarysach jest cały czas taka sama. Bywają długie okresy, w których władza klasy wyższej wydaje się niezagrożona, jednak wcześniej czy później nadchodzi moment, kiedy albo traci ona wiarę w siebie bądź zdolność sprawnego rządzenia, albo jedno i drugie. Wtedy obala ją klasa średnia, która przeciąga na swoją stronę klasę niższą, udając przed nią, że walczy o wolność i sprawiedliwość, ale gdy tylko osiągnie swój cel, spycha ją z powrotem do dawnej, służebnej roli, a sama staje się wyższą. Po pewnym czasie z jednej z pozostałych klas albo z obu wyłania się nowa klasa średnia i walka zaczyna się od początku. Z tych trzech klas tylko niższej nie udaje się nawet na krótko zrealizować swoich celów. Byłoby grubą przesadą twierdzić, że w ciągu dziejów nie dokonał się żaden postęp materialny. Nawet dzisiaj, w okresie upadku, przeciętnemu człowiekowi powodzi się lepiej niż kilkaset lat temu. Ale ani wzrost zamożności, ani złagodzenie obyczajów, ani żadna reforma czy rewolucja nie przybliżyły nas nawet o milimetr do urzeczywistnienia ideału równości. Z punktu widze-

nia klasy niższej żadna historyczna zmiana nie doprowadziła do niczego poza zmianą nazwy jej panów.

Pod koniec dziewiętnastego wieku stałe powtarzanie się tego schematu dostrzegło wielu badaczy. Powstały wówczas szkoły myślicieli, którzy uważali, że historia jest procesem cyklicznym, i twierdzili, że potrafią wykazać, iż nierówność jest niezmiennym prawem ludzkiej natury. Oczywiście ten pogląd zawsze miał zwolenników, ale teraz w sposobie jego przedstawiania dokonała się istotna zmiana. W przeszłości konieczność istnienia hierarchicznej formy społeczeństwa była doktryną klasy wyższej. Głosili ją królowie i arystokraci oraz kapłani, prawnicy i im podobni, którzy pasożytowali na tych pierwszych, a łagodzili ją na ogół obietnicą rekompensaty w wyimaginowanym świecie po śmierci. Klasa średnia, dopóki walczyła o władzę, szermowała hasłami wolności, sprawiedliwości i braterstwa. Jednak teraz ideę ludzkiego braterstwa zaczęli atakować ci, którzy nie byli jeszcze u władzy, a jedynie mieli nadzieję niebawem ją zdobyć. Wcześniej klasa średnia dokonywała rewolucji pod sztandarem równości, a gdy obaliła starą tyranię, natychmiast ustanawiała własną. Nowe wcielenie klasy średniej z góry zapowiadało wprowadzenie tyranii. Socjalizm, teoria, która pojawiła się na początku dziewiętnastego wieku i stanowiła ostatnie ogniwo w łańcuchu myśli sięgającym powstań niewolników w starożytności, był jeszcze głęboko przesiąknięty utopizmem poprzednich wieków. Ale we wszystkich wersjach socjalizmu, które zaczęły się pojawiać od około 1900 roku, coraz otwarciej odchodzono od haseł wprowadzenia wolności i równości. Nowe jego odmiany, które powstały w połowie naszego wieku, angsoc w Oceanii, neobolszewizm w Eurazji, kult śmierci, jak się to powszechnie określa, we Wschodoazji miały ten sam cel: świadome utrwalanie niewolności i nierówności. Oczywiście te nowe ruchy wyrosły z socjalizmu i z reguły zachowały tę nazwę oraz odwoływały się do jego ideologii, ale były to tylko puste słowa, które miały zamydlić oczy opinii publicznej. Ich rzeczywistym celem było zahamowanie w dogodnym momencie postępu i biegu historii. Wahadło miało się poruszyć jeszcze raz, a potem zatrzymać. Jak zwykle, klasę wyższą miała obalić i zastąpić średnia, ale tym razem, dzięki świadomie obranej strategii, zachować tę pozycję na zawsze.

Te nowe doktryny powstały w wyniku nagromadzenia wiedzy historycznej oraz ukształtowania się świadomości historycznej, która przed dziewiętnastym stuleciem niemal nie istniała. Cykliczny bieg historii stał się zrozumiały, a przynajmniej tak się wydawało, a skoro był zrozumiały, można go było zmienić. Ale główną przyczyną było to, że już na początku dwudziestego wieku urzeczywistnienie idei równości

stało się technicznie możliwe. Wprawdzie ludzie wciąż nie byli równi pod względem wrodzonych zdolności, od których zależało, jakie pełnili funkcje, co siłą rzeczy wyróżniało pewne jednostki i dawało im przewagę nad innymi, ale znikła potrzeba utrzymywania podziałów klasowych i wielkiego zróżnicowania majątkowego. We wcześniejszych epokach podziały klasowe były nie tylko nieuchronne, ale i pożądane. Nierówność była ceną postępu cywilizacyjnego. Jednak wraz z uprzemysłowieniem sytuacja się zmieniła. Nawet gdyby ludzie musieli nadal wykonywać różne rodzaje pracy, nie musieli się już różnić pod względem pozycji materialnej i społecznej. Dlatego z punktu widzenia nowych grup, które były o krok od przejęcia władzy, równość wszystkich przestała być ideałem, do którego należało dążyć, lecz stała się zagrożeniem, którego trzeba było uniknąć. W bardziej prymitywnych epokach, kiedy stworzenie sprawiedliwego społeczeństwa pokojowo nastawionych do siebie ludzi było faktycznie niemożliwe, łatwo było w to uwierzyć. Obraz ziemskiego raju, gdzie wszyscy żyją jak bracia, bez potrzeby stanowienia prawa i konieczności wykonywania ciężkiej pracy, przez tysiące lat pojawiał się w ludzkiej wyobraźni. Wizji tej ulegały nawet grupy, które zyskiwały na każdej historycznej zmianie. Spadkobiercy rewolucji francuskiej, angielskiej i amerykańskiej częściowo wierzyli w swoje własne deklaracje o prawach człowieka, wolności słowa, równości wobec prawa i tym podobne szczytne ideały, a nawet pozwalali, by w pewnej mierze wpływały one na ich postępowanie. Ale już w czwartym dziesięcioleciu dwudziestego wieku przedstawiciele wszystkich głównych prądów myśli politycznej opowiadali się za wprowadzeniem władzy autorytarnej. Marzenia o ziemskim raju rozwiały się w chwili, kiedy można je było urzeczywistnić. Każda nowa teoria polityczna, bez względu na to, jaką sama nadawała sobie nazwę, głosiła potrzebę przywrócenia hierarchii i rządów silnej ręki. A ogólna brutalizacja poglądów, która zaczęła się około roku 1930, sprawiła, że powrócono do dawno, w niektórych wypadkach setki lat wcześniej, zarzuconych praktyk — wtrącania do więzień bez procesu, wykorzystywania jeńców wojennych do pracy niewolniczej, publicznych egzekucji, stosowania tortur w celu wymuszenia zeznań, brania zakładników i deportacji całych narodów — które nie tylko stały się chlebem powszednim, ale były tolerowane, a nawet bronione przez osoby uważające się za światłe i postępowe.

Angsoc i rywalizujące z nim ideologie stały się w pełni ukształtowanymi teoriami politycznymi dopiero po dziesięciu latach konfliktów międzynarodowych i wojen domowych, rewolucji i kontrrewolucji we wszystkich częściach świata. Ale ich zapowiedzią były już różne systemy generalnie zwane totalitarnymi, które pojawiły się

wcześniej w tym stuleciu, a ogólne zarysy świata, który miał się wyłonić z tego chaosu, były już od dawna widoczne. Nowa arystokracja składała się w większości z biurokratów, naukowców, techników, przywódców związków zawodowych, ekspertów od reklamy, socjologów, nauczycieli i zawodowych polityków. Ludzi tych, wywodzących się z inteligencji pracującej i wyższych warstw klasy robotniczej, ukształtował i zbliżył bezwzględny świat zmonopolizowanego przemysłu i scentralizowanej władzy. W porównaniu ze swoimi poprzednikami w minionych epokach byli mniej chciwi i mniej podatni na pokusę pławienia się w luksusie, ale bardziej żądni władzy, a przede wszystkim bardziej świadomi tego, co robią, i zdecydowani zmiażdżyć opozycję. Ta ostatnia różnica była kardynalna. W porównaniu z obecną tyranią wszystkie poprzednie były niezdecydowane i niesprawne. Grupy rządzące zawsze były w jakiejś mierze skażone poglądami liberalnymi, pozostawiały rządzonym pewną swobodę w różnych sprawach i interweniowały tylko w razie otwartego buntu, a to, co myślą ich poddani, zupełnie ich nie interesowało. Według obecnych standardów nawet średniowieczny Kościół katolicki był tolerancyjny. Wynikało to po części stąd, że w przeszłości żadna władza nie miała możliwości poddawania obywateli ciągłej inwigilacji. Jednak wynalezienie druku ułatwiło manipulowanie opinią publiczną, a film i radio przyspieszyły ten proces. Wraz z rozwojem telewizji i dokonującym się w niej postępem technicznym, który umożliwił jednoczesne wysyłanie i odbieranie sygnałów na tym samym sprzęcie, skończyło się życie prywatne. Odtąd każdy obywatel, a przynajmniej każdy, kto był na tyle ważny, by warto go było mieć na oku, mógł się znajdować pod obserwacją policji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, zalewany przy tym falą propagandy i pozbawiony dostępu do innych kanałów informacyjnych. Po raz pierwszy zaistniała możliwość nie tylko całkowitego podporządkowania obywateli władzy, ale także narzucenia im pełnej jednomyślności poglądów w każdej sprawie.

Po burzliwym okresie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w społeczeństwie, jak zawsze, doszło do przegrupowania klas wyższej, średniej i niższej. Jednak w odróżnieniu od poprzedników, nowa klasa wyższa nie działała instynktownie, lecz wiedziała, co musi robić, by utrzymać swą pozycję. Już od dawna zdawano sobie sprawę, że jedyną bezpieczną podstawą oligarchii jest kolektywizm. Bogactwa i przywilejów najłatwiej jest bronić wtedy, gdy są własnością zbiorową. Tak zwane zniesienie własności prywatnej, które przeprowadzono w połowie wieku, oznaczało w praktyce koncentrację całego majątku w rękach jeszcze mniejszej garstki, z tą różnicą, że jego nowymi właścicielami stała się grupa, a nie masa poszczególnych jed-

nostek. Indywidualnie żaden członek Partii nie posiada niczego oprócz osobistych drobiazgów. Za to kolektywnie do Partii należy wszystko w Oceanii, bo wszystkim włada i rozdysponowuje produkty według własnego uznania. W latach tuż po Rewolucji udało się jej zdobyć tę władczą pozycję niemal bez oporu, ponieważ cały ten proces przedstawiano jako akt kolektywizacji. Zawsze zakładano, że gdy wywłaszczy się kapitalistów, nastąpi socjalizm, a kapitalistów bez wątpienia właśnie wywłaszczono. Odebrano im wszystko: fabryki, kopalnie, ziemie, domy, środki transportu, a skoro te rzeczy przestały być własnością prywatną, uważano, że stały się własnością publiczną. Angsoc, który wyrósł z wcześniejszego ruchu socjalistycznego i odziedziczył jego frazeologię, faktycznie zrealizował główny punkt programu socjalistycznego, czego — zawczasu przewidzianym i zamierzonym — wynikiem jest utrwalenie nierówności ekonomicznej.

Jednak utrzymanie społeczeństwa hierarchicznego stanowi dużo większy problem. Grupa rządząca może utracić władzę tylko z czterech powodów. Albo zostanie pokonana z zewnątrz, albo rządzi tak nieudolnie, że skłoni to masy do rewolty, albo dopuści do powstania silnej i niezadowolonej klasy średniej, albo straci pewność siebie i ochotę do rządzenia. Żadna z tych przyczyn z osobna nie wystarcza, z reguły dochodzi do tego, gdy pojawiają się w różnym stopniu wszystkie cztery. Klasa rządząca, która zdołałaby się przed nimi wszystkimi zabezpieczyć, mogłaby sprawować władzę wiecznie. Tak więc czynnikiem decydującym jest nastawienie samej władzy.

W drugiej połowie obecnego stulecia pierwsze z tych zagrożeń właściwie zniknęło. Każde z trzech supermocarstw, które podzieliły między siebie świat, jest w rzeczywistości niezwyciężone i mogłoby zostać pokonane tylko dzięki powolnym zmianom demograficznym, którym rządy o wielkiej władzy mogą łatwo zapobiec. Również drugie zagrożenie jest czysto teoretyczne. Masy nigdy nie zbuntują się z własnej woli i nigdy tylko dlatego, że są uciskane. W istocie, dopóki nie pozwala się im mieć żadnej skali porównawczej, nigdy nawet sobie nie uświadomią, że są przedmiotem ucisku. Nie dopuszcza się do powstawania powtarzających się w dawnych czasach, zupełnie niepotrzebnych, kryzysów gospodarczych, a choć mogą się zdarzać i zdarzają się inne, równie duże zaburzenia, nie mają one żadnych konsekwencji politycznych, bo lud w żaden sposób nie może wyrazić swego niezadowolenia. Problem utajonej nadprodukcji, z którym nasze społeczeństwo boryka się od czasów mechanizacji wytwórstwa, rozwiązuje się za pomocą ciągłej wojny (zob. Rozdział III), narzędzia przydatnego również do utrzymywania nastrojów społecznych na niezbędnym poziomie. A zatem z punktu widzenia naszych obecnych władców jedynym istotnym

zagrożeniem jest wyodrębnienie się spośród podległych im mas nowej grupy zdolnych, niezatrudnionych na odpowiadających ich kwalifikacjom stanowiskach, żądnych władzy ludzi oraz szerzenie się liberalnych poglądów i sceptycyzmu w jej szeregach. Jest to, rzec można, problem edukacyjny. Można go rozwiązać, stale odpowiednio kształtując świadomość zarówno grupy kierowniczej, jak i większej grupy wykonawczej, która znajduje się tuż pod nią. Na świadomość mas trzeba wpływać tylko w sposób negatywny.

Nawet jeśli ktoś już wcześniej o tym nie wiedział, mógłby sobie na podstawie tego stworzyć ogólny obraz struktury społeczeństwa Oceanii. Na szczycie piramidy stoi Wielki Brat. Jest on nieomylny i wszechmocny. Każdy sukces, każde osiągnięcie, każde zwycięstwo, każde odkrycie naukowe, cała wiedza, cała mądrość, całe szczęście, każda cnota wynikają z jego przywództwa i inspiracji. Nikt nigdy go nie widział. Jego twarz widnieje na plakatach, jego głos płynie z teleekranów. Możemy być całkiem pewni, że nigdy nie umrze, i nie ma pewności, kiedy się urodził. Wielki Brat jest przebraniem, w którym Partia postanowiła ukazywać się światu. Pełni on funkcję ogniskowej skupiającej miłość, strach i szacunek, emocje, które łatwiej odczuwać wobec jednostki niż organizacji. Pod Wielkim Bratem znajduje się Partia Wewnętrzna, której liczebność ograniczona jest do sześciu milionów, czyli nieco mniej niż dwóch procent ludności Oceanii. Pod Partią Wewnętrzną stoi Partia Zewnętrzna, którą — jeśli tę pierwszą uznać za mózg państwa — można porównać do jego rąk. Poniżej niej znajdują się ciemne masy, które zwyczajowo nazywamy „prolami”, liczące około osiemdziesięciu pięciu procent ludności. Według terminologii przyjętej w naszej wcześniejszej kwalifikacji to oni stanowią klasę niższą, ponieważ niewolnicze ludy terenów w pasie równikowym, które przechodzą z rąk do rąk kolejnych zdobywców, nie są ani stałym, ani koniecznym elementem tej struktury.

W zasadzie przynależność do tych trzech grup nie jest dziedziczna. Dziecko rodziców, którzy należą do Partii Wewnętrznej, nie staje się automatycznie jej członkiem. Przyjęcia do jednej lub drugiej gałęzi Partii dokonuje się w wieku sześciu lat na podstawie egzaminu. Nie ma żadnej dyskryminacji rasowej ani wyraźnej dominacji żadnej prowincji nad pozostałymi. Na najwyższych stanowiskach partyjnych można znaleźć Żydów, Murzynów, czystej krwi Indian z Ameryki Południowej, a administratorów poszczególnych obszarów wybiera się spośród miejscowej ludności. Rodowici mieszkańcy żadnej części Oceanii nie mają poczucia, że jest ona kolonią, którą rządzi odległa stolica. Oceania nie ma bowiem stolicy, a jej tytularny przywódca jest osobą, której miejsca pobytu nie zna nikt. Poza tym, że głównym języ-

kiem, w którym porozumiewają się jej mieszkańcy, jest angielski, a oficjalnym nowomowa, nie ma w niej żadnych przejawów centralizacji. Jej władców nie łączą więzy krwi, lecz ta sama doktryna. Prawdą jest, że nasze społeczeństwo dzieli się, i to według bardzo sztywnych kryteriów, na różne warstwy, do których przynależność wydaje się na pierwszy rzut oka dziedziczna. Przepływy między różnymi warstwami są znacznie mniejsze niż w czasach kapitalizmu, a nawet w epokach preindustrialnych. Owszem, dochodzi do ograniczonych przesunięć między dwiema gałęziami Partii, ale tylko po to, by wykluczyć z Partii Wewnętrznej słabeuszy i unieszkodliwić ambitnych członków Partii Zewnętrznej, umożliwiając im awans. W praktyce nie przyjmuje się do Partii proletariuszy. Najbardziej uzdolnionych spośród nich, którzy mogliby się stać zarodkiem niezadowolenia, po prostu namierza i likwiduje Policja Myśli. Ale ten stan rzeczy niekoniecznie musi trwać wiecznie i nie jest kwestią trzymania się zasad. Partia nie jest klasą w dawnym znaczeniu tego słowa. Nie zamierza przekazywać władzy swoim dzieciom tylko dlatego, że są potomkami jej członków, a jeśli nie mogłaby w żaden inny sposób zatrzymać najzdolniejszych jednostek na szczytach władzy, jest doskonale przygotowana do naboru całej nowej generacji przywódców spośród proletariatu. W latach, kiedy decydował się jej los, to, że nie jest strukturą, w której władza jest dziedziczna, w dużym stopniu przyczyniło się do zneutralizowania opozycji. Socjaliści starej daty, których nauczono walczyć z tak zwanym uprzywilejowaniem klasowym, zakładali, że co nie jest dziedziczne, nie może być trwałe. Nie dostrzegali tego, że ciągłość oligarchii nie musi być sztafetą pokoleń, nie zastanowiło ich nawet to, że dziedziczna arystokracja zawsze miała krótki żywot, podczas gdy organizacje chętnie przyjmujące nowych członków, takie jak Kościół katolicki, przetrwały czasami setki, a nawet tysiące lat. Istotą władzy oligarchicznej nie jest jej przekazywanie z ojca na syna, lecz utrzymywanie się pewnego światopoglądu i pewnego sposobu życia narzuconego żywym przez umarłych. Grupa rządząca jest nią dopóty, dopóki może mianować swoich następców. Partii nie zależy na utrwalaniu władzy rodów jej członków, ale na utrwalaniu swojego istnienia. Dopóki hierarchiczna struktura pozostaje bez zmian, nie jest ważne, *kto* dzierży władzę.

Wszystkie poglądy, obyczaje, gusty, emocje i nastawienia umysłowe charakterystyczne dla naszych czasów są w rzeczywistości kształtowane przez Partię tak, by podtrzymać jej mistykę i nie dopuścić do tego, by ktokolwiek dostrzegł prawdziwy charakter dzisiejszego społeczeństwa. Obecnie nie jest możliwy nie tylko otwarty bunt, ale nawet powstanie jakiegokolwiek ruchu, który mógłby do niego doprowa-

dzić. Ze strony proletariuszy nie ma się czego obawiać. Pozostawieni sami sobie będą trwać w niezmiennym stanie z pokolenia na pokolenie, pracując, płodząc się i umierając, nie mając nie tylko żadnej pobudki do buntu, ale również zdolności wyobrażenia sobie, że świat mógłby być inny, niż jest. Mogliby się stać groźni tylko wtedy, gdyby w wyniku postępu technologicznego w dziedzinie produkcji przemysłowej zaistniała konieczność ich lepszego wykształcenia, ale ponieważ rywalizacja wojskowa i gospodarcza nie jest już ważna, poziom edukacji powszechnej w rzeczywistości stale się obniża. To, jakie zdanie mają czy jakiego nie mają masy, jest dla Partii obojętne. Można im zagwarantować wolność myśli, bo są bezmyślni. Natomiast u członków Partii nie toleruje się najmniejszego odstępstwa od oficjalnego stanowiska nawet w najbardziej błahych sprawach.

Członek Partii od narodzin do śmierci pozostaje pod czujnym okiem Policji Myśli. Nawet gdy jest sam, nie może mieć nigdy całkowitej pewności, że tak jest naprawdę. Bez względu na to, czy śpi, czy nie śpi, gdzie się znajduje — w wannie czy w łóżku — można go w każdej chwili skontrolować bez żadnego ostrzeżenia i bez jego wiedzy. Nic, co robi, nie jest obojętne. Jego przyjaźnie, rozrywki, zachowanie wobec żony i dzieci, wyraz jego twarzy, gdy jest sam, słowa, które mamrocze przez sen, nawet jego charakterystyczne ruchy — wszystko to jest szczegółowo analizowane. Na pewno zostanie dostrzeżone nie tylko każde wykroczenie, ale także najdrobniejsze choćby dziwactwo, każda zmiana zwyczajów, każdy nerwowy gest, który może być przejawem walki wewnętrznej. W żadnej sprawie nie ma wolności wyboru. Z drugiej strony jego postępowania nie regulują żadne normy prawne ani kodeks zachowania. W Oceanii prawo nie istnieje. Oficjalnie nie są zakazane żadne myśli ani czyny, które — jeśli zostaną odkryte — oznaczają pewną śmierć, a niekończące się czystki, aresztowania, tortury, uwięzienia i ewaporacje nie są karami za faktycznie popełnione zbrodnie, lecz po prostu eliminacją osób, które mogłyby kiedyś dopuścić się zbrodni. Od członka Partii wymaga się nie tylko prawidłowych poglądów, ale także prawidłowych odruchów. Wielu z wymaganych od niego przekonań i postaw nigdy się jasno nie określa, gdyż nie można ich określić bez obnażenia wewnętrznych sprzeczności angsocu. Jeśli jest osobą z natury ortodoksyjną (w nowomowie „dobromyślną”), będzie w każdej sytuacji wiedział bez zastanowienia, jaki pogląd jest słuszny, a jaka emocja pożądana. W każdym razie drobiazgowa obróbka umysłowa, koncentrująca się na słowach nowomowy „zbrodniostopowanie”, „czarnobiel” i „dwumyślenie”, czyni z niego człowieka bezwolnego, niezdolnego do głębszej refleksji nad czymkolwiek.

Członek Partii nie powinien mieć żadnych osobistych uczuć, za to musi bez przerwy tryskać entuzjazmem. Powinien pałać nienawiścią do wrogów zewnętrznych i zdrajców, upajać się zwycięstwami i giąć się w pokorze przed potęgą i mądrością Partii. Niezadowolenie z nędznego, jałowego życia, jakie wiedzie, celowo kieruje się na zewnątrz i rozładowuje za pomocą takich środków jak Dwie Minuty Nienawiści, a spekulacjom, które mogłyby go skłonić do przyjęcia sceptycznej czy buntowniczej postawy, zapobiega się, wpajając od najmłodszych lat samodyscyplinę. Pierwszy i najprostszy krok do osiągnięcia tej dyscypliny, którego można nauczyć już małe dzieci, zwany jest w nowomowie zbrodniostopowaniem. Oznacza on zdolność niemal instynktownego powstrzymywania się, gdy tylko pojawi się jakaś groźna myśl, od podążania jej torem. Składają się na nią umiejętność niedostrzegania analogii, niezauważania błędów logicznych, nierozumienia najprostszych argumentów, jeśli są one wrogie wobec angsocu, oraz odczuwania znużenia i odrazy do jakiegokolwiek ciągu myśli, który może prowadzić do herezji. Krótko mówiąc, zbrodniostopowanie oznacza ochronną głupotę. Ale sama głupota nie wystarczy. Przeciwnie, ortodoksja w pełnym wymiarze wymaga tak dokładnej kontroli nad procesami myślowymi, jaką ma człowiek guma nad swoim ciałem. Podstawą ustroju społecznego Oceanii jest wiara w to, że Wielki Brat jest wszechmocny, a Partia nieomylna. Ale ponieważ w rzeczywistości ani Wielki Brat nie jest wszechmocny, ani Partia nieomylna, istnieje nieustanna potrzeba zmieniania z minuty na minutę podejścia do faktów. Tutaj kluczowym słowem jest „czarnobiel”. Podobnie jak wiele innych terminów ze słownika nowomowy, ma ono dwa wzajemnie sprzeczne znaczenia. W odniesieniu do przeciwnika oznacza ono zwyczaj bezczelnego twierdzenia wbrew oczywistym faktom, że czarne to białe. Natomiast w odniesieniu do członka Partii oznacza gotowość do przyznania, że czarne to białe, gdy wymagają tego wierność Partii i podporządkowanie się jej dyscyplinie. Ale oznacza to także zdolność do tego, by *uwierzyć*, że czarne to białe, a co więcej, do tego, by *wiedzieć*, iż naprawdę tak jest, i zapomnieć, że kiedykolwiek sądziło się inaczej. Wymaga to ciągłego zmieniania przeszłości, co umożliwia sposób myślenia obejmujący całą resztę, a który w nowomowie zwany jest dwumyśleniem.

Zmienianie przeszłości jest konieczne z dwóch powodów, z których jeden jest drugorzędny i — by tak rzec — zapobiegawczy. Rzecz w tym, że członek Partii, podobnie jak proletariusz, znosi obecne warunki życia po części dlatego, że nie ma żadnej skali porównawczej. Trzeba go odciąć od przeszłości, tak jak od kontaktów z ludźmi z obcych krajów, bo musi wierzyć, że wiedzie mu się lepiej niż jego przod-

kom oraz że przeciętne materialne warunki bytowe stale się poprawiają i stopa życiowa rośnie. Ale o wiele ważniejszym powodem ustawicznego dopasowywania przeszłości do chwili obecnej jest potrzeba ochrony nieomylności Partii. Nie wystarczy tylko stale dostosowywać przemówień, statystyk i wszelkiego rodzaju zapisów do aktualnej sytuacji, by wykazać, że prognozy Partii we wszystkich sprawach były prawidłowe. Nie można się też przyznawać do jakichkolwiek zmian doktryny ani sojuszy politycznych, zmiana poglądów czy nawet polityki może być bowiem poczytana za przejaw słabości. Jeśli na przykład wrogiem jest dzisiaj Eurazja czy Wschodoazja (bez względu na to, czy jedna, czy druga), to zawsze musiała nim być. A jeśli fakty mówią co innego, trzeba je zmienić. To codzienne fałszowanie przeszłości, którym zajmuje się Ministerstwo Prawdy, jest równie niezbędne dla stabilności reżimu jak represje i nieustanna inwigilacja prowadzone przez Ministerstwo Miłości.

Zmienność przeszłości jest głównym dogmatem angsocu. Utrzymuje się, że minione wydarzenia nie istnieją obiektywnie, lecz jedynie w zapiskach i wspomnieniach. Przeszłość jest tym, co do czego zgadzają się zapisy i ludzka pamięć. A ponieważ Partia ma pełną kontrolę nad wszystkimi zapisami i w pełni panuje nad umysłami swoich członków, przeszłość ma zawsze taki kształt, jaki zdecyduje się jej nadać. Wynika z tego również, że chociaż przeszłość jest zmienna, nie została w żadnym wypadku zmieniona. Albowiem gdy zostaje od nowa stworzona w potrzebnym w danej chwili kształcie, ta nowa wersja *jest* przeszłością i nigdy nie istniała żadna inna przeszłość. Sprawdza się to nawet wtedy, gdy — co się często zdarza — to samo wydarzenie musi być wielokrotnie zmieniane nie do poznania w ciągu jednego roku. Partia zawsze zna prawdę absolutną, a jest oczywiste, że prawda absolutna nigdy nie mogła być inna niż obecnie. Jak zobaczymy, panowanie nad przeszłością polega przede wszystkim na odpowiednim wyćwiczeniu pamięci. Doprowadzenie do tego, by wszystkie zapisy zgadzały się z aktualnie obowiązującą wersją, jest działaniem czysto mechanicznym. Ale ludzie muszą też *pamiętać*, że wydarzenia miały właśnie taki przebieg, jak sobie akurat życzy Partia. A skoro trzeba uporządkować na nowo swoje wspomnienia albo sfałszować zapisy, to trzeba również *zapomnieć*, że się to zrobiło. Tej sztuczki można się nauczyć tak samo jak każdej innej techniki myślowej. Uczy się jej większość członków Partii, a z pewnością wszyscy, którzy są nie tylko wierni jej ortodoksji, ale także inteligentni. W staromowie nazywa się to zupełnie otwarcie „kontrolowaniem rzeczywistości”. W nowomowie stworzono na określenie tego podejścia termin „dwumyślenie”, chociaż ma on dużo szerszy zakres znaczeniowy.

Dwumyślenie oznacza zdolność posiadania dwóch sprzecznych przekonań jednocześnie i trzymania się ich obu bez żadnych wątpliwości czy zastrzeżeń. Partyjny inteligent wie, jak musi ukierunkować swoje wspomnienia, a zatem wie, że tworzy sobie niezgodny z prawdą obraz przeszłości, ale dzięki dwumyśleniu może z czystym sumieniem wmawiać sobie, że nie dokonuje na niej gwałtu. Musi to być proces świadomy, by przebiegał z dostateczną precyzją, ale zarazem nieświadomy, bo w przeciwnym razie wywołałby poczucie dokonania fałszerstwa, a więc poczucie winy. Dwumyślenie jest kwintesencją angsocu, ponieważ działania Partii koncentrują się na świadomym okłamywaniu ludzi z pewnością siebie charakterystyczną dla krystalicznej uczciwości. Opowiadać kłamstwa, szczerze w nie wierząc, zapominać każdy fakt, który jest niewygodny, a potem, gdy znowu staje się to konieczne, wydobywać go z zapomnienia na tak długo, jak trzeba, zaprzeczać istnieniu obiektywnej rzeczywistości, a jednocześnie cały czas brać ją pod uwagę — to wszystko jest niezbędnie konieczne. Nawet używając słowa „dwumyślenie”, trzeba posługiwać się dwumyśleniem, ponieważ jego użycie jest równoznaczne z przyznaniem się do manipulowania faktami, a zastosowanie do tego dwumyślenia wymazuje tę świadomość, i tak w nieskończoność, przy czym kłamstwo zawsze wyprzedza o krok prawdę. To właśnie dzięki dwumyśleniu Partii udaje się i — jak wszystko na to wskazuje — może się udawać jeszcze przez tysiące lat powstrzymywać bieg historii.

Wszystkie dawne oligarchie traciły władzę albo dlatego, że kostniały, albo dlatego, że miękły. Albo stawały się głupie i aroganckie, albo nie dostosowywały się do zmieniających się okoliczności i były obalane; czasami ich podejście stawało się liberalne i tchórzliwe i szły na ustępstwa, podczas gdy powinny były użyć siły, ale i tak je obalano. Upadały, rzec można, dlatego, że albo zyskiwały świadomość, albo ją traciły. Niewątpliwym osiągnięciem Partii jest stworzenie systemu myślenia, w którym oba te stany mogą istnieć równocześnie. Nie mogłaby ona utrwalić swojej dominacji na żadnej innej podstawie umysłowej. Jeśli ktoś chce rządzić, i to ciągle, musi zaburzyć poczucie rzeczywistości, gdyż tajemnica rządzenia polega na połączeniu wiary w swoją nieomylność ze zdolnością uczenia się na błędach popełnianych w przeszłości.

Nie trzeba mówić, że najsubtelniej posługują się dwumyśleniem ci, którzy je wynaleźli i wiedzą, że jest ono wielkim systemem myślowego oszukiwania. W naszym społeczeństwie ci, którzy mają największą wiedzę o tym, co się dzieje, są jednocześnie najbardziej odlegli od postrzegania świata takim, jaki jest w istocie. Ogólnie biorąc, im większe zrozumienie, tym większe złudzenie, im bardziej ktoś

jest inteligentny, tym mniej rozsądny. Dobrym tego przykładem jest fakt, że im wyższą ktoś zajmuje pozycję w hierarchii społecznej, tym bardziej ulega histerii wojennej. Najbardziej racjonalne podejście do wojny mają podbite ludy terenów spornych. Dla nich jest ona po prostu ciągłym pasmem nieszczęść, które to spadają na nich, to przemijają, jak przypływy i odpływy morza. To, która strona akurat zwycięża, jest im zupełnie obojętne. Wiedzą, że zmiana władzy oznacza tylko tyle, że będą musieli wykonywać tę samą pracę, co wcześniej, tyle że dla nowych panów, którzy będą się do nich odnosili tak samo jak poprzedni. Do świadomości nieco lepiej traktowanych robotników, których nazywamy prolami, tylko sporadycznie dociera, że toczy się wojna. Kiedy zaistnieje taka potrzeba, można w nich wzbudzić szał strachu i nienawiści, ale gdy zostawia się ich samym sobie, potrafią na długo zapomnieć o wojnie. Prawdziwy entuzjazm wojenny można znaleźć tylko w szeregach Partii, a zwłaszcza Partii Wewnętrznej. W podbój świata najbardziej niezłomnie wierzą ci, którzy wiedzą, że jest on niemożliwy. To szczególne połączenie przeciwieństw — wiedzy z niewiedzą, cynizmu z fanatyzmem — jest jedną z najbardziej wyróżniających cech społeczeństwa Oceanii. Oficjalna ideologia pełna jest sprzeczności, nawet tam, gdzie nie mają one żadnego praktycznego uzasadnienia. I tak Partia odrzuca i wyszydza wszystkie zasady, którymi pierwotnie kierował się ruch socjalistyczny, ale robi to w imię socjalizmu. Głosi pogardę dla klasy robotniczej, jakiej przykładów próżno szukać w minionych epokach, ale przywdziewa swoich członków w uniformy, jakie niegdyś były ubiorami typowymi dla pracowników fizycznych, i właśnie dlatego zostały przez nią przyjęte. Systematycznie podważa solidarność rodzinną, ale swojego przywódcę nazywa w sposób, który bezpośrednio odwołuje się do sentymentu rodzinnej lojalności. Nawet nazwy czterech ministerstw, które nami rządzą, świadczą o jawnej bezczelności, celowym wypaczaniu faktów. Ministerstwo Pokoju zajmuje się wojną, Ministerstwo Prawdy kłamstwami, Ministerstwo Miłości torturami, a Ministerstwo Obfitości głodzeniem ludzi. Te sprzeczności nie są przypadkowe ani nie wynikają ze zwykłej hipokryzji: są celowymi operacjami dwumyślenia. Bo władzę można utrzymywać stale, jedynie godząc sprzeczności. W żaden inny sposób nie można przerwać odwiecznego cyklu. Jeśli trzeba znieść równość, jeśli klasa wyższa, jak ją nazwaliśmy, ma wiecznie zajmować swoje miejsce, to powszechnym stanem psychicznym musi być kontrolowany obłęd.

Ale jest jeszcze jedno pytanie, które do tej pory niemal ignorowaliśmy. Brzmi ono: Dlaczego trzeba znieść równość? Załóżmy, że mechanizm tego procesu został

właściwie opisany; jaki jest cel tych wielkich starań zatrzymania biegu historii w konkretnym jej momencie?

Tutaj dochodzimy do tajemnicy, która stanowi istotę tego przedsięwzięcia. Jak się przekonaliśmy, mistyka Partii, zwłaszcza Partii Wewnętrznej, zasadza się na dwumyśleniu. Ale jeszcze głębiej znajduje się motyw pierwotny, nigdy niekwestionowany instynkt, który doprowadził do przejęcia władzy, a z czasem powołał do istnienia dwumyślenie, Policję Myśli i inne niezbędne akcesoria oraz dał początek ciągłej wojnie. Motyw ten w rzeczywistości sprowadza się do…

Winston uświadomił sobie, że panuje cisza, jakby dotarł do niego nowy dźwięk. Julia już od pewnego czasu była nieruchoma. Leżała na boku, naga od pasa w górę, z policzkiem na dłoni i ciemnym lokiem zakrywającym oczy. Jej pierś podnosiła się i opadała powoli i regularnie.

— Julia.

Nie odpowiedziała. Spała. Winston zamknął książkę, położył ją ostrożnie na podłodze, wyciągnął się na łóżku i przykrył Julię i siebie narzutą.

Pomyślał, że wciąż nie poznał największego sekretu. Rozumiał *jak*, nie rozumiał *dlaczego*. Zarówno Rozdział I, jak i Rozdział III nie dostarczyły mu właściwie żadnych informacji, których by już nie znał, pomogły mu one tylko usystematyzować posiadaną wiedzę. Ale po ich lekturze wiedział lepiej niż wcześniej, że nie jest wariatem. Bycie w mniejszości, nawet jednoosobowej, nie czyniło z nikogo wariata. Istniały prawda oraz nieprawda i jeśli trzymałeś się prawdy, nawet wbrew całemu światu, nie byłeś wariatem.

Przez okno wpadł na poduszkę złoty promień słońca. Winston zamknął oczy. Słońce na jego twarzy i na dotykającym go gładkim ciele dziewczyny wprawiło go w senny nastrój pewności siebie. Był bezpieczny, wszystko układało się dobrze. Zapadł w sen, mrucząc: „Zdrowie psychiczne nie jest statystyczne”, z przekonaniem, że w tej uwadze kryje się głęboka mądrość.

X

Gdy się obudził, miał wrażenie, że spał bardzo długo, ale rzut oka na starodawny zegar uświadomił mu, że jest dopiero dwudziesta trzydzieści. Jeszcze przez chwilę drzemał, a potem z dołu dobiegł go znajomy śpiew z głębi płuc:

To były tylko rojenia,
Przeminęły jak kwietniowy dzień,
Lecz spojrzenie, słowo i marzenia
Obudziły nadziei cień!

Bzdurna piosenka zdawała się cieszyć niesłabnącą popularnością. Słyszało się ją wszędzie. Przetrwała nawet Dwie Minuty Nienawiści. Julia obudziła się na jej dźwięk, przeciągnęła się rozkosznie i wstała.

— Zgłodniałam — powiedziała. — Zaparzę kawy. Niech to szlag! Kuchenka zgasła i woda jest zimna. — Potrząsnęła nią. — Nie ma nafty.

— Chyba możemy trochę dostać od pana Charringtona.

— Najdziwniejsze jest to, że wcześniej sprawdziłam i zbiorniczek był pełen. Zdaje się, że zrobiło się chłodniej.

Winston też wstał i ubrał się. Niezmordowany głos ciągnął dalej:

Mówią, że czas goi rany,
Że zapomnisz o każdej rozterce,
Lecz uśmiechy i łzy sprzed lat
Wciąż poruszają me serce!

Zapiął pasek kombinezonu i podszedł do okna. Słońce już zaszło za dachy i nie świeciło na podwórze. Kamienie były mokre, jakby je przed chwilą umyto, a i niebo sprawiało takie wrażenie, bo jego błękit między kominami był świeży i czysty. Kobieta kręciła się niezmordowanie między balią i sznurem do bielizny, to wyjmując klamerki z ust, to korkując sobie nimi usta, to śpiewając, to milknąc i wieszając coraz więcej pieluszek, jakby miała ich nieskończony zapas. Zastanawiał się, czy zarabia praniem na życie, czy też jest niewolnicą dwudziestu czy trzydziestu wnucząt. Podeszła Julia i stanęła przy nim; patrzyli z fascynacją na krzepką postać w dole. Gdy spojrzał na jej charakterystyczną postawę, grube ręce sięgające do sznura, zad potężny jak u kobyły, po raz pierwszy pomyślał, że jest piękna. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że ciało pięćdziesięcioletniej kobiety, rozdęte licznymi ciążami do monstrualnych rozmiarów, a potem tak stwardniałe od pracy, że stało się szorstkie jak przejrzała rzepa, mogłoby być piękne. Ale tak było i w końcu, pomyślał, dlaczego nie? Potężne bezkształtne ciało, jak blok granitu, chropowata czerwonawa skóra, miało taki związek z ciałem dziewczyny jak owoc dzikiej róży z jej kwiatem. Dlaczego owoc miałby być gorszy od kwiatu?

— Ona jest piękna — szepnął.

— Ma co najmniej metr w biodrach — powiedziała Julia.

— Taką ma urodę — rzekł Winston.

Jedną ręką łatwo obejmował smukłą kibić Julii. Przywierała do niego biodrem i udem. Z ich ciał nigdy nie narodzą się dzieci. Była to jedyna rzecz, jakiej nigdy nie będą mogli zrobić. Swój sekret będą mogli przekazywać tylko z ust do ust, dzielić się myślami. Ta kobieta w dole była bezmyślna, miała tylko silne ręce, ciepłe serce i płodne łono. Winston zastanawiał się, ile dzieci wydała na świat. Może z piętnaścioro. Na chwilę, może na rok, rozkwitła jak dzika róża, a potem nagle spęczniała jak zapłodniony owoc, stała się twarda, czerwona, szorstka i jej życie przemieniło się w ciągłe pranie, szorowanie, cerowanie, gotowanie, zamiatanie, polerowanie, łatanie, szorowanie, opieranie, najpierw dzieci, potem wnuków, i trwało to nieprzerwanie od trzydziestu lat. I mimo że minęło tyle czasu, ciągle śpie-

wała. Mistyczny szacunek, jaki do niej poczuł, łączył się jakoś z jasnym, bezchmurnym niebem ciągnącym się w niezmierzoną dal za kominami. Dziwnie było pomyśleć, że dla wszystkich było takie samo — w Eurazji, we Wschodoazji i tutaj. I ludzie pod tym niebem byli tacy sami — wszędzie, na całym świecie, setki tysięcy milionów takich samych ludzi, niewiedzących nawzajem o swoim istnieniu, oddzielonych murami nienawiści i kłamstw, a jednak niemal dokładnie takich samych, ludzi, którzy nigdy nie nauczyli się myśleć, ale w których sercach, brzuchach i mięśniach gromadzi się siła, która pewnego dnia odmieni świat. Jeśli istnieje nadzieja, to w prolach! Mimo że nie doczytał TEJ KSIĄŻKI do końca, wiedział, że takie musi być końcowe przesłanie Emmanuela Goldsteina. Przyszłość należy do proli. Ale czy mógł mieć pewność, że gdy nadejdzie ich czas, świat, który stworzą, nie będzie dla niego, Winstona Smitha, równie obcy jak świat Partii? Tak, bo przynajmniej będzie to świat ludzi zdrowego rozsądku. Tam, gdzie jest równość, musi panować także zdrowy rozsądek. Wcześniej czy później do tego dojdzie, siła przemieni się w świadomość. Prole byli nieśmiertelni, nie można było w to wątpić, patrząc na dzielną kobietę na podwórku. Kiedyś nastąpi ich przebudzenie. A zanim się to stanie, może za tysiąc lat, będą żyć wbrew wszelkim przeciwnościom, jak ptaki, przekazując z ciała do ciała witalność, której Partia nie ma i nie może zabić.

— Pamiętasz — zapytał — tego drozda, który śpiewał dla nas pierwszego dnia na skraju lasu?

— On nie śpiewał dla nas — odparła Julia. — Śpiewał dla własnej przyjemności. A nawet nie po to. Po prostu śpiewał.

Śpiewały ptaki, śpiewały prole, Partia nie śpiewała. Na całym świecie, w Londynie i w Nowym Jorku, w Afryce i w Brazylii, na tajemniczych zakazanych ziemiach za granicami, na ulicach Paryża, Berlina, we wsiach na bezkresnych rosyjskich równinach, na chińskich i japońskich bazarach — wszędzie stała ta sama tęga, niepokonana postać, którą praca i rodzenie dzieci uczyniły monstrualną, tyrająca od narodzin do śmierci, i wciąż śpiewała. Pewnego dnia z tych potężnych lędźwi musi się wyłonić rasa świadomych istot. Wy byliście martwi; przyszłość należała do nich. Ale mogłeś

uczestniczyć w tej przyszłości, jeśli dbałeś o to, by twój umysł był żywy, tak jak oni dbali o to, by żywe były ich ciała, i przekazywałeś sekretną wieść, że dwa i dwa to cztery.

— Jesteśmy martwi — powiedział.

— Jesteśmy martwi — posłusznie powtórzyła Julia.

— Jesteście martwi — rzekł żelazny głos za nimi.

Odskoczyli od siebie. Winston odniósł wrażenie, że jego wnętrzności ściął lód. Widział białka wokół źrenic Julii. Jej twarz stała się mlecznożółta. Plamki różu wciąż rozprowadzone na jej policzkach ostro się od nich odcinały, zupełnie jakby nie były połączone ze skórą.

— Jesteście martwi — powtórzył żelazny głos za nimi.

— To zza tego obrazu — szepnęła niemal dosłyszalnie Julia.

— To zza tego obrazu — rzekł głos. — Zostańcie na swoich miejscach. Żadnego ruchu bez rozkazu.

Zaczynało się, w końcu się zaczynało! Nie mogli zrobić nic, tylko stać i patrzeć sobie w oczy. Nawet nie zaświtało im w głowach, by rzucić się do ucieczki i ratować życie, wydostać się z tego domu, nim będzie za późno. Nieposłuszeństwo wobec żelaznego głosu zza ściany było nie do pomyślenia. Rozległ się trzask, jakby podniesiono haczyk, a potem brzęk tłuczonego szkła. Staloryt spadł na podłogę, odsłaniając teleekran.

— Teraz nas widzą — powiedziała Julia.

— Teraz was widzimy — rzekł głos. — Stanąć na środku pokoju, plecami do siebie. Ręce spleść za głowami. Nie dotykać się.

Nie dotykali się, ale zdawało mu się, że Julia drży. A może to on się trząsł. Udało mu się zapanować nad dzwonieniem zębami, ale nie mógł powstrzymać dygotu kolan. Z zewnątrz i z wewnątrz dobiegał tupot butów. Podwórko wydawało się pełne ludzi. Po bruku coś ciągnięto. Śpiew kobiety raptownie ustał. Rozległ się długi, toczący się dźwięk, jakby na bruk rzucono balię, a potem pełne złości krzyki, które zakończył wrzask bólu.

— Dom jest otoczony — stwierdził Winston.

— Dom jest otoczony — powtórzył ten głos.

Usłyszał, jak Julia zgrzytnęła zębami.

— Chyba możemy się pożegnać — powiedziała.

— Chyba możecie się pożegnać — rzekł głos.

A potem zupełnie inny głos, cienki, kulturalny — Winston miał wrażenie, że już kiedyś go słyszał — dodał:

— „To świeczka, co do łóżka wskaże ci ścieżynę, A to topór, który utnie ci łepetynę!”.

Na łóżko za plecami Winstona coś spadło z trzaskiem. Okno przebił szczyt drabiny i wyważył część ramy. Ktoś już przez nie wchodził. Na schodach słychać było ciężki tupot stóp. Po chwili pokój zapełnił się potężnymi mężczyznami w czarnych mundurach i podkutych butach, z pałkami w rękach.

Winston się nie trząsł. Nawet ledwie poruszał oczami. Ważne było jedno: stać nieruchomo, nie ruszać się i nie dać im pretekstu do bicia! Koło niego zatrzymał się policjant o gładkiej szczęce zawodowego boksera, na której usta były cienką szparą. Z namysłem kołysał pałką między kciukiem i palcem wskazującym. Winston napotkał jego wzrok. Uczucie, że jest nagi, z rękami splecionymi za głową, z twarzą i całym ciałem wystawionym na ciosy, było niemal nie do zniesienia. Mężczyzna wysunął koniuszek białego języka, oblizał nim miejsce, gdzie powinny być jego usta, po czym odszedł. Rozległ się kolejny trzask. Ktoś podniósł ze stołu szklany przycisk do papieru i rozbił go o gzyms kominka.

Fragment koralu, pofałdowana drobina różu podobna do cukrowej różyczki na ciastku, potoczył się po dywanie. Jakiż on jest mały, pomyślał Winston, jaki zawsze był mały! Usłyszał za sobą głuche stęknięcie i łomot i ktoś tak silne kopnął go w kostkę, że omal nie stracił równowagi. Jeden z napastników zadał Julii pięścią cios w splot słoneczny, po którym zgięła się wpół. Wiła się na podłodze, starając się złapać oddech. Winston nie śmiał obrócić głowy nawet o milimetr, ale chwilami dostrzegał kątem oka jej śmiertelnie bladą twarz i usta chwytające powietrze jak u ryby wyciągniętej z wody. Chociaż sam był przerażony, odczuwał własnym ciałem jej ból, rozrywający trzewia ból, od którego ważniejsze było jednak odzyskanie tchu. Wiedział, co czuje: straszną, potworną mękę, ale nie można było

jej się poddać, bo przede wszystkim trzeba było złapać dech. Potem dwóch policjantów chwyciło ją za ręce i nogi i wyniosło z pokoju jak worek. Winstonowi mignęła jej twarz, odchylona do tyłu, żółta, wykrzywiona, z zamkniętymi oczami i wciąż ze śladami różu na policzkach, i tyle ją widział.

Stał bez ruchu. Na razie nikt go nie uderzył. Przez głowę same z siebie zaczęły mu przepływać myśli, ale wydawały się zupełnie nieważne. Zastanawiał się, czy aresztowali pana Charringtona. Zastanawiał się też, co zrobili z kobietą na podwórku. Nagle bardzo zachciało mu się sikać, co go lekko zdziwiło, bo zaledwie dwie czy trzy godziny temu korzystał z ubikacji. Spostrzegł, że zegar na kominku wskazuje dziewiątą, czyli dwudziestą pierwszą. Ale było za jasno. Czy o dwudziestej pierwszej w sierpniowy wieczór nie powinno się zmierzchać? A może jednak oboje z Julią popełnili błąd — przespali całą dobę i myśleli, że jest dwudziesta trzydzieści, podczas gdy naprawdę była ósma trzydzieści rano? Ale dłużej się nad tym nie zastanawiał. To nie było ciekawe.

Z korytarza dobiegły inne, lżejsze kroki. Do pokoju wszedł pan Charrington. Mężczyźni w czarnych mundurach nagle spokornieli. W wyglądzie pana Charringtona też się coś zmieniło. Jego wzrok padł na okruchy szklanego przycisku do papieru.

— Podnieść to — rzekł ostro.

Jeden z policjantów się pochylił. Akcent londyńskich proli zniknął; Winston uświadomił sobie nagle, czyj głos słyszał kilka minut wcześniej z teleekranu. Pan Charrington wciąż był w starej aksamitnej marynarce, ale jego włosy, przedtem prawie siwe, stały się czarne. Nie miał też okularów. Spojrzał ostro na Winstona, jakby weryfikował jego tożsamość, a potem nie zwracał już na niego uwagi. Był wciąż rozpoznawalny, ale nie był już tą samą osobą. Jego przygarbione ciało się wyprostowało i wydawało się, że urósł. Na jego twarzy pojawiły się tylko drobne zmiany, ale przeszedł całkowitą transformację. Czarne brwi były mniej krzaczaste, zdawało się, że całkowicie zmieniły się rysy jego twarzy, nawet nos jakby stał się krótszy. Było to czujne, zimne oblicze mężczyzny w wieku około trzydziestu pięciu

lat. Do Winstona dotarło, że po raz pierwszy w życiu patrzy na funkcjonariusza Policji Myśli i wie o tym.

CZĘŚĆ III

I

Nie wiedział, gdzie jest. Zapewne w Ministerstwie Miłości, ale nijak nie mógł się co do tego upewnić.

Znajdował się w wysokiej celi bez okien, o ścianach wyłożonych białą, błyszczącą ceramiką. Zalewało ją zimne światło ukrytych lamp i wypełniał cichy stały szum, który chyba miał coś wspólnego z wentylacją. Wzdłuż ścian pomieszczenia biegła ława czy półka, szeroka akurat na tyle, że można było na niej usiąść, z przerwą tylko na drzwi i muszlą klozetową bez deski naprzeciw nich. Były tam cztery teleekrany, po jednym na każdej ścianie.

Winston czuł w brzuchu tępy ból. Utrzymywał się on, odkąd wrzucili go do furgonetki bez okien i wywieźli. Ale dręczył go także głód, dojmujący głód, od którego skręcały mu się kiszki. Nie jadł może od dwudziestu czterech, a może trzydziestu sześciu godzin. Nie wiedział, pewnie nigdy się nie dowie, czy gdy go aresztowano, był ranek czy wieczór. Od tamtej chwili nie miał nic w ustach.

Siedział na wąskiej ławie z rękoma skrzyżowanymi na kolanie, starając się trwać w bezruchu. Nauczył się już tego. Nawet najdrobniejsza niespodziewana zmiana pozycji wywoływała wrzask z teleekranu. Ale głód coraz bardziej się wzmagał. W tej chwili Winston niczego nie pragnął tak bardzo jak kawałka chleba. Przyszło mu do głowy, że w kieszeni kombinezonu pewnie ma kilka okruchów. Możliwe nawet — pomyślał o tym, gdyż od czasu do czasu coś zdawało się łaskotać go w nogę — że była to spora skórka. W końcu pokusa stała się tak silna, że przezwyciężyła strach; wsunął rękę do kieszeni.

— Smith! — ryknął głos z teleekranu. — 6079 Smith Wu! W celi ręce z dala od kieszeni!

Znowu znieruchomiał z rękami złożonymi na kolanie. Przed przywiezieniem tutaj zabrano go w inne miejsce, które musiało być zwykłym więzieniem albo tymczasowym aresztem policyjnym. Nie wiedział, jak długo tam przebywał; w każdym razie kilka godzin; bez zegara i dopływu światła dziennego trudno było ocenić upływ czasu. Panował tam hałas i smród. Wsadzili go do celi podobnej do tej, w której się teraz znajdował, ale obrzydliwie brudnej i zatłoczonej, gdzie cały czas znajdowało się od dziesięciu do piętnastu osób. Większość z nich stanowili pospolici kryminaliści, ale było też wśród nich kilku więźniów politycznych. Siedział w milczeniu pod ścianą, ściśnięty między brudnymi ciałami, zbyt pochłonięty strachem i bólem w brzuchu, by zainteresować się otoczeniem, ale mimo to zauważył zdumiewającą różnicę w zachowaniu członków Partii i pozostałych więźniów. Ci pierwsi milczeli jak zaklęci i byli przerażeni, natomiast zwykli przestępcy zdawali się niczym nie przejmować. Obrzucali strażników przekleństwami, zaciekle walczyli, gdy konfiskowano ich rzeczy, wypisywali na podłodze plugawe słowa, jedli żywność przemyconą w jakichś tajemniczych schowkach w swoich ubraniach, a nawet krzyczeli na teleekran, gdy starał się przywrócić ich do porządku. Ale niektórzy z nich zdawali się trzymać sztamę ze strażnikami, zwracali się do nich, używając ksywek, i próbowali wyłudzić od nich papierosy przez judasza. Również strażnicy traktowali pospolitych przestępców z pewną pobłażliwością, nawet gdy musieli obchodzić się z nimi brutalnie. Dużo gadano o obozach pracy przymusowej, do których większość aresztowanych spodziewała się trafić. Winston wywnioskował z tych rozmów, że w obozie jest „gites”, jeśli ma się dobre układy i wie się, co jest grane. Panowały tam przekupstwo, kumoterstwo i wszelkie formy wymuszeń, szerzyły się homoseksualizm i prostytucja, pędzono nawet bimber z ziemniaków. Najwyższe funkcje w obozowej społeczności powierzano więźniom kryminalnym, zwłaszcza gangsterom i mordercom, którzy stanowili swego rodzaju arystokrację. Wszystkie brudne prace wykonywali polityczni.

Przez celę stale przewijali się więźniowie wszelkiego pokroju: handlarze narkotyków, złodzieje, bandyci, spekulanci czarnorynkowi, pijacy, prostytutki. Niektórzy pijacy byli tak agresywni, że pozostali osadzeni musieli łączyć siły, by ich uspokoić. Czterech strażników wniosło za ręce i nogi ogromny wrak wierzgającej i wrzeszczącej kobiety około sześćdziesiątki z wielkimi, przelewającymi się piersiami i gęstymi lokami siwych włosów, które rozsypały się podczas szarpaniny. Ściągnęli jej buty, którymi starała się wymierzać im kopniaki, i cisnęli ją Winstonowi na kolana, niemal gruchocząc mu kości udowe. Kobieta się podźwignęła i rzuciła za nimi: „J… skurwysyny!”. Potem, zdawszy sobie sprawę, że siedzi na czymś nierównym, zsunęła się z kolan Winstona na ławę.

— Najmocniej przepraszam, złotko — powiedziała — żem na ciebie usiadła, ale pchnęły mnie te gnoje. Nie wiedzo, jak traktować dame, nie? — Przerwała, poklepała się po piersi i czknęła. — Pardon — powiedziała. — Nie całkiem dobrze się czuje.

Pochyliła się i obficie zwymiotowała na podłogę.

— Tera lepiej — oświadczyła, odchylając się do tyłu z zamkniętymi oczami. — Zawsze mówie: Jak ci zalega na żołądku, nie duś tego w sobie, tylko wyrzuć.

Doszła do siebie, obróciła się, by jeszcze raz spojrzeć na Winstona, i zdawało się, że od razu przypadł jej do gustu. Objęła go potężnym ramieniem i przyciągnęła do siebie, zionąc mu prosto w twarz piwem i wymiocinami.

— Jak się nazywasz, złotko? — zapytała.

— Smith — odparł Winston.

— Smith? A to dopiero. Ja też jestem Smith — odrzekła. — No, no — rozrzewniła się — mogłabym być twojo matko!

Mogłaby, pomyślał Winston. Była mniej więcej w tym samym wieku i podobnej postury, a po dwudziestu latach w obozie pracy przymusowej wygląd mógł się nieco zmienić.

Nikt więcej się do niego nie odezwał. Było zdumiewające, jak bardzo pospolici przestępcy ignorowali aresztowanych członków Partii. Z obojętną

pogardą mówili o nich „politaki”. Oni sami wydawali się zbyt przerażeni, by do kogokolwiek, a zwłaszcza do towarzyszy partyjnych, otworzyć usta. Tylko raz, gdy w ogólnym ścisku dwie członkinie Partii znalazły się na ławie obok siebie, Winston wyłowił z gwaru innych głosów kilka śpiesznie wyszeptanych przez nie słów, w tym coś o „pokoju jeden zero jeden”, czego nie zrozumiał.

Przewieziono go tutaj może przed dwiema albo trzema godzinami. Tępy ból w brzuchu nie ustępował, ale raz się nasilał, raz słabł, i do tego dostosowywały się jego myśli. Kiedy ból się wzmagał, Winston myślał tylko o nim i o tym, żeby coś zjeść. Gdy się zmniejszał, ogarniała go panika. Chwilami widział z tak przerażającą jasnością, co się z nim stanie, że serce biło mu jak szalone i brakowało tchu. Czuł na łokciach uderzenia pałek, a na goleniach kopniaki zadawane podkutymi butami; widział, jak pełza po podłodze, błagając przez powybijane zęby o litość. Prawie nie myślał o Julii. Nie mógł się na niej skupić. Kochał ją i wiedział, że na pewno nigdy jej nie zdradzi, ale była to tylko wiedza, taka jak znajomość zasad arytmetyki, bo w sytuacji, w której się teraz znajdował, nie czuł do niej miłości i nawet się nie zastanawiał, co się z nią dzieje. Częściej myślał, z iskierką nadziei, o O’Brienie. Musiała już do niego dotrzeć wiadomość o aresztowaniu Winstona. Wprawdzie powiedział, że Bractwo nigdy nie stara się ratować swoich członków, ale napomknął też o żyletce — jeśli będą mogli, przemycą mu ją do celi. Będzie miał może pięć sekund, zanim wpadną strażnicy. Żyletka wgryzie się w jego ciało przenikliwym ziąbem i nawet palce, w których będzie ją trzymał, zostaną rozcięte do kości. Wszystko sprowadzało się do jego chorego ciała, które kuliło się z drżeniem pod wpływem najmniejszego bólu. Nie był pewien, czy się zdobędzie na użycie żyletki, nawet jeśli będzie miał taką możliwość. Bardziej naturalne było trwanie z chwili na chwilę, przyjmowanie jako daru losu jeszcze choćby dziesięciu minut życia, nawet gdy miało się pewność, że na koniec czekają człowieka tortury.

Żeby odpędzić te myśli, od czasu do czasu próbował liczyć ceramiczne płytki na ścianach celi. Powinno to być łatwe, ale zawsze w którymś

momencie tracił rachubę. Częściej zastanawiał się, gdzie się znajduje i jaka jest pora dnia. W jednej chwili miał pewność, że na zewnątrz jest jasno, a w następnej nie mniej pewien, że wszystko spowija czarna jak smoła noc. Intuicyjnie czuł, że tutaj nigdy nie gasi się światła. Było to miejsce, gdzie nie panuje mrok; teraz wiedział, dlaczego odniósł wrażenie, że O'Brien w lot pojął tę aluzję. W Ministerstwie Miłości nie było okien. Ta cela mogła się równie dobrze znajdować w samym sercu gmachu, jak przy jego zewnętrznej ścianie, dziesięć kondygnacji pod ziemią albo trzydzieści nad nią. W myślach przenosił się z miejsca na miejsce i na podstawie reakcji swego ciała starał się określić, czy jest zawieszony wysoko w powietrzu, czy pogrzebany głęboko pod ziemią.

Z zewnątrz dobiegł rytmiczny tupot ciężkich butów. Stalowe drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Wszedł przez nie sprężystym krokiem młody oficer o szczupłej sylwetce przyobleczonej w czarny mundur, który zdawał się cały lśnić od wypolerowanej skóry, i bladej, surowej, podobnej do woskowej maski twarzy. Skinął na strażników, by wprowadzili więźnia, którego eskortowali. Do celi, powłócząc nogami, wszedł poeta Ampleforth. Drzwi znowu zatrzasnęły się ze szczękiem.

Ampleforth wykonał jeden czy dwa niepewne ruchy w lewo i w prawo, jakby się spodziewał, że są tam inne drzwi, przez które można wyjść, po czym zaczął chodzić w tę i z powrotem po celi. Jeszcze nie zauważył Winstona. Błądził niespokojnym wzrokiem po ścianie metr nad głową Winstona. Był bez butów; z dziur w skarpetkach wystawały duże, brudne palce. Nie golił się od kilku dni. Twarz pokrywał mu aż po kości policzkowe szczeciniasty zarost, nadając mu wygląd zbója, który dziwnie nie pasował do tyczkowatego ciała i nerwowych ruchów.

Winston ocknął się z letargu. Musiał porozmawiać z Ampleforthem, nawet narażając się na wrzask z teleekranu. Możliwe, że to właśnie on był dostarczycielem żyletki.

— Ampleforth — powiedział.

Z teleekranu nie dobiegł żaden wrzask. Poeta przystanął, nieco zaskoczony. Jego wzrok powoli skupił się na Winstonie.

— A, Smith! — powiedział. — Ty też!

— Za co cię przymknęli?

— Prawdę mówiąc… — Usiadł niezgrabnie na ławie naprzeciw Winstona. — Jest tylko jedna zbrodnia, prawda?

— I ty ją popełniłeś?

— Widocznie tak.

Przyłożył rękę do czoła i przez chwilę uciskał palcami skronie, jakby starał się sobie coś przypomnieć.

— To się zdarza — zaczął ogólnikowo. — Przychodzi mi na myśl tylko jedna sytuacja, w której mogło do tego dojść. Bez wątpienia wykazałem się brakiem rozwagi. Przygotowywaliśmy ostateczne wydanie wierszy Kiplinga. Pozwoliłem, by na końcu jednego wersu zostało słowo „Bóg”. Nie miałem wyboru! — dodał niemal z oburzeniem, podnosząc głowę, by spojrzeć na Winstona. — Tego słowa nie dało się zastąpić żadnym innym, które tworzyłoby rym ze słowem „głóg”, nie zmieniając całego wersu w absurd. Wyobraź sobie, że jest tylko dwanaście wyrazów, które rymują się ze słowem „głóg”. Całymi dniami łamałem sobie nad tym głowę, ale nic nie zdołałem wymyślić. W naszym języku nie ma takiego słowa.

Wyraz jego twarzy się zmienił. Zniknęła z niej irytacja i przez chwilę wyglądał niemal na zadowolonego z siebie. Przez brudną szczecinę przeświecała intelektualna rozkosz, radość pedanta, który odkrył jakiś do niczego nieprzydatny fakt.

— Przyszło ci kiedy do głowy — zapytał — że całą historię angielskiej poezji wyznaczył brak rymów?

Nie, to akurat nigdy nie przyszło Winstonowi do głowy. Zresztą w tych okolicznościach nie wydawało mu się to ani ważne, ani ciekawe.

— Wiesz, jaka jest teraz pora dnia? — zapytał.

Ampleforth ponownie zrobił zaskoczoną minę.

— W ogóle o tym nie myślałem. Aresztowano mnie dwa, może trzy dni temu. — Przesunął wzrokiem po ścianach, jakby się spodziewał, że może jednak jest tam gdzieś okno. — W tym miejscu dzień nie różni się od nocy. Nie wiem, jak można tutaj zorientować się w czasie.

Przez kilka minut prowadzili chaotyczną rozmowę, po czym bez żadnego wyraźnego powodu wrzask z teleekranu kazał im zamilknąć. Winston siedział spokojnie, ze złożonymi rękami. Ampleforth, za duży, by mógł się w miarę wygodnie usadowić na wąskiej ławie, wiercił się, splatając chude dłonie to na jednym, to na drugim kolanie. Teleekran warknął na niego, by się nie kręcił. Czas mijał. Trudno było ocenić, czy upłynęło dwadzieścia minut czy godzina. Z zewnątrz ponownie dobiegł tupot ciężkich butów. Winstonowi skręciły się wnętrzności. Niedługo, bardzo niedługo, może za pięć minut, a może już teraz, ten odgłos będzie oznaczał, że nadeszła jego kolej.

Otworzyły się drzwi. Do celi wszedł ten sam młody oficer o zimnej twarzy. Szorstkim ruchem ręki wskazał Amplefortha.

— Pokój sto jeden — powiedział.

Ampleforth wymaszerował niezdarnie między strażnikami, z lekko zaniepokojoną, ale niczego nierozumiejącą miną.

Winstonowi wydawało się, że upłynęło dużo czasu. Powrócił ból w brzuchu. Jego myśli krążyły wokół kilku spraw, jak kule bilardowe wpadające ciągle w te same otwory. Było ich tylko sześć. Ból w brzuchu, kawałek chleba, krew i krzyk, O’Brien, Julia, żyletka. Znów chwycił go skurcz kiszek — zbliżały się ciężkie kroki. Kiedy otworzyły się drzwi, spowodowany tym powiew powietrza przyniósł ostrą woń zimnego potu. Do celi wszedł Parsons. Był w szortach koloru khaki i koszulce sportowej.

Winston był tak zaskoczony, że zapomniał o swojej sytuacji.

— *Ty* tutaj! — krzyknął.

Parsons rzucił mu spojrzenie, w którym nie było zaciekawienia ani zdziwienia, lecz jedynie cierpienie. Zaczął chodzić nerwowo tam i z powrotem, wyraźnie nie mogąc usiedzieć na miejscu. Za każdym razem, gdy prostował pulchne kolana, widać było, że drżą. Oczy miał rozszerzone, jakby nie potrafił się powstrzymać przed wpatrywaniem się w coś przerażającego w oddali.

— Za co tu trafiłeś? — zapytał Winston.

— Za myślozbrodnię! — odparł Parsons niemal ze szlochem. Ton jego głosu świadczył zarazem o całkowitym przyznaniu się do winy, przerażeniu i niedowierzaniu, że mógł się dopuścić czynu określanego tym słowem. Przystanął przed Winstonem i zaczął mu się gorączkowo zwierzać ze swoich rozterek: — Chyba mnie nie rozstrzelają, co? Jak myślisz, stary? Nie rozstrzelają człowieka, który niczego nie zrobił, tylko naszły go nie wiadomo skąd głupie myśli, prawda? Wiem, że będę miał uczciwy proces! Mam do nich pełne zaufanie. Dowiedzą się, jaką miałem opinię, prawda? Przecież mnie znasz, wiesz, jakim byłem facetem. Nie takim złym. Oczywiście niezbyt bystrym, ale za to gorliwym. Starałem się jak mogłem. Nie szczędziłem sił dla Partii, prawda? Dostanę pięć lat, nie? A niechby nawet dziesięć. Facet taki jak ja może być bardzo pożyteczny w obozie pracy. Chyba mnie nie zastrzelą za to, że jeden jedyny raz zdarzyło mi się zbłądzić?

— Jesteś winny? — zapytał Winston.

— Oczywiście, że jestem! — krzyknął Parsons, rzucając na teleekran wiernopoddańcze spojrzenie. — Chyba nie myślisz, że Partia aresztowałaby niewinnego człowieka? — Jego żabia twarz nieco się uspokoiła, a nawet przybrała świętoszkowaty wyraz. — Myślozbrodnia to straszna rzecz, stary — powiedział moralizatorskim tonem. — Może podstępnie zawładnąć tobą i nawet się nie zorientujesz. Wiesz, jak mnie dopadła? We śnie! Tak było. Żyłem sobie spokojnie, ciągle pracowałem, starałem się robić swoje i nawet nie podejrzewałem, że w mojej głowie lęgnie się coś złego. A potem zacząłem mówić przez sen. Wiesz, co wygadywałem? — Zniżył głos jak ktoś, kto z powodów medycznych musi wymówić sprośne słowo. — „Precz z Wielkim Bratem!” Tak, tak powiedziałem! I to podobno wiele razy. Między nami, stary, cieszę się, że mnie zatrzymano, zanim posunąłem się dalej. Wiesz, co powiem, kiedy stanę przed sądem? „Dziękuję”. Powiem: „Dziękuję, że mnie uratowaliście, zanim byłoby za późno”.

— Kto cię zadenuncjował?

— Moja córeczka — odparł Parsons ze smętną dumą. — Podsłuchiwała przez dziurkę od klucza. Usłyszała, co mówiłem, i następnego dnia doniosła

na mnie patrolowi policji. Smarkula ma dopiero siedem lat, a jaka bystra, co? Nie mam do niej żadnej pretensji. Prawdę mówiąc, jestem z niej dumny. To przynajmniej świadczy, że wychowałem ją we właściwym duchu.

Zrobił jeszcze kilka nerwowych kroków w tę i z powrotem, rzucając tęskne spojrzenia na muszlę klozetową, po czym nagle ściągnął szorty.

— Wybacz, stary — powiedział. — Dłużej nie wytrzymam. To przez to czekanie.

Opadł tłustym zadem na muszlę. Winston zakrył dłońmi oczy i nos.

— Smith! — ryknął głos z teleekranu. — 6079 Smith Wu! Odsłonić twarz. W celi nie wolno zakrywać twarzy.

Winston zrobił, co mu kazano. Parsons wypróżnił się głośno i obficie. Potem okazało się, że odpływ jest zatkany, i w celi przez wiele godzin unosił się straszliwy smród.

Parsonsa zabrano. Wprowadzano i wyprowadzano dokądś coraz to nowe osoby. Jedną z nich, kobietę, kazano zaprowadzić do „Pokoju 101” i Winston zauważył, że gdy usłyszała te słowa, zbladła i jakby skurczyła się w sobie. Po pewnym czasie wydawało mu się, że jeśli przywieziono go tu rankiem, to teraz jest popołudnie, a jeśli po południu, to północ. W celi było sześcioro więźniów, mężczyzn i kobiet. Wszyscy siedzieli nieruchomo. Naprzeciw Winstona znalazł się mężczyzna o podbródku ginącym w fałdach tłuszczu, z wystającymi zębami, do złudzenia podobny do dużego, nieszkodliwego gryzonia. Jego pyzate, pokryte plamami policzki były u dołu tak wydęte, że aż trudno było uwierzyć, iż nie chowa tam zapasów jedzenia. Przemykał bojaźliwie spojrzeniem bladoszarych oczu z twarzy na twarz i szybko je odwracał, gdy napotkał czyjś wzrok.

Otworzyły się drzwi i wepchnięto jeszcze jednego więźnia, którego widok zmroził Winstonowi krew w żyłach. Był to pospolicie wyglądający mężczyzna, może jakiś technik albo inżynier, ale o tak przeraźliwie wychudzonej twarzy, jakby były to tylko obciągnięte skórą kości. Na tym wymizerowanym obliczu usta i oczy wydawały się nieproporcjonalnie duże, a wzrok pałał nieprzejednaną morderczą nienawiścią do kogoś lub czegoś.

Usiadł na ławie nieopodal Winstona, który nie spojrzał już na niego, ale ta umęczona, podobna do trupiej czaszki twarz tak mocno wryła się mu się w pamięć, że widział ją równie wyraźnie, jakby miał ją przed oczami. Nagle uświadomił sobie, co się dzieje z tym człowiekiem. On umierał z głodu. Wydawało się, że dotarło to równocześnie do wszystkich w celi. Na ławie zapanowało lekkie poruszenie. Pucułowaty mężczyzna co rusz kierował spojrzenie na mizeraka, potem odwracał je jakby z poczuciem winy, ale ta twarz przyciągała jego wzrok jak magnes. Zaczął się wiercić na siedzeniu. W końcu wstał, przeszedł kaczkowatym chodem na drugą stronę celi, sięgnął do kieszeni kombinezonu i ze speszoną miną podał tamtemu brudny kawałek chleba.

Z teleekranu rozległ się wściekły, ogłuszający ryk. Pucułowaty aż podskoczył z przerażenia. Ten o trupiej twarzy szybko schował ręce za siebie, jakby chciał pokazać całemu światu, że odmawia przyjęcia daru.

— Bumstead! — ryknął głos. — 2713 Bumstead Jot! Rzuć ten chleb na ziemię!

Pucułowaty upuścił chleb na podłogę.

— Zostań tam, gdzie stoisz — powiedział głos. — Twarzą do drzwi. I żadnego ruchu.

Pucułowaty stał posłusznie. Jego wielkie, wydęte policzki drżały niepowstrzymanie. Drzwi otworzyły się z hukiem. Wszedł młody oficer i usunął się na bok, a zza niego wyłonił się niski, krępy strażnik o potężnych rękach i barach. Stanął naprzeciwko pucułowatego i na znak oficera zadał straszliwy cios, wkładając w to cały ciężar ciała, prosto w usta pucułowatego. Siła uderzenia zmiotła tamtego z podłogi. Przeleciał przez całą celę i padł przy klozecie. Przez chwilę leżał jak ogłuszony, a z ust i nosa ciekła mu ciemna krew. Wydawał, chyba nie zdając sobie z tego sprawy, bardzo cichy ni to jęk, ni to kwilenie. Potem obrócił się na brzuch i chwiejnie uniósł się na czworaki. Z ust ze strumieniem krwi i śliny wysunęła mu się złamana na pół sztuczna szczęka.

Pozostali więźniowie siedzieli nieruchomo, z rękami na kolanach. Pucułowaty przywlókł się z powrotem na swoje miejsce. Na jednej stronie jego

twarzy wykwitał coraz ciemniejszy siniec, usta miał tak spuchnięte, że były bezkształtną masą koloru wiśni z czarną dziurą pośrodku. Co jakiś czas na pierś ściekała mu krew. Wciąż przenosił spojrzenie szarych oczu z twarzy na twarz towarzyszy niedoli, z jeszcze większym poczuciem winy, jakby starał się odkryć, jak bardzo nim gardzą z powodu doznanego upokorzenia.

Drzwi ponownie się otworzyły. Oficer szorstkim gestem wskazał mężczyznę o trupiej twarzy.

— Pokój sto jeden — powiedział.

Obok Winstona rozległ się stłumiony jęk i coś się zakotłowało. Zagłodzony mężczyzna padł na kolana i złożył błagalnie ręce.

— Towarzyszu oficerze! — krzyknął. — Nie musicie mnie tam zabierać! Czy nie powiedziałem wam już wszystkiego? Co jeszcze chcecie wiedzieć? Przyznam się do każdej zbrodni, absolutnie każdej! Powiedzcie tylko, do jakiej, a ja od razu się przyznam. Spiszcie cokolwiek chcecie, a ja to podpiszę! Tylko nie zabierajcie mnie do pokoju sto jeden!

— Pokój sto jeden — powtórzył oficer.

Twarz mężczyzny, i tak już bardzo blada, przybrała taki kolor, że Winston nie uwierzyłby, iż to możliwe. Stała się naprawdę zielona.

— Zróbcie ze mną, co chcecie! — wył tamten. — Od tygodni mnie głodzicie. Zakończcie to i dajcie mi umrzeć. Zastrzelcie mnie. Powieście. Skażcie na dwadzieścia pięć lat. Chcecie, żebym jeszcze kogoś wydał? Tylko powiedzcie kogo, a powiem, co chcecie. Nie obchodzi mnie, kto to będzie i co z nim zrobicie. Mam żonę i trójkę dzieci. Najstarsze nie ma jeszcze sześciu lat. Możecie poderżnąć im wszystkim gardła na moich oczach, a ja będę tylko stał i przyglądał się temu. Ale nie zabierajcie mnie do pokoju sto jeden!

— Pokój sto jeden — powiedział oficer.

Mężczyzna powiódł oszalałym spojrzeniem po pozostałych więźniach, jakby wpadł na pomysł, by podsunąć zamiast siebie inną ofiarę. Jego wzrok spoczął na zmiażdżonej twarzy pucułowatego. Wyciągnął wychudłą rękę w jego stronę.

— To jego powinniście wziąć, nie mnie! — krzyknął. — Nie słyszeliście, co mówił po tym, jak strażnik walnął go w twarz. Zaczekajcie, powtórzę wam to słowo w słowo. To on sprzeciwia się Partii, nie ja. — Strażnicy ruszyli naprzód. Głos mężczyzny wzniósł się do wrzasku. — Nie słyszeliście go! — powtórzył. — Coś się zepsuło w teleekranie. To jego zeznań potrzebujecie. Weźcie jego, nie mnie!

Dwóch krzepkich strażników pochyliło się, by ująć go pod pachy. Ale w tej samej chwili mężczyzna rzucił się na podłogę i uczepił się jednej z żelaznych nóg ławy. Zaczął wyć jak zwierzę. Strażnicy starali się oderwać go od nogi, ale trzymał się jej z zadziwiającą siłą. Ciągnęli go może ze dwadzieścia sekund. Reszta więźniów siedziała nieruchomo, z rękami na kolanach, patrząc prosto przed siebie. Wycie ustało; mężczyźnie brakowało już tchu, ale ciągle kurczowo trzymał się ławy. Potem rozległ się krzyk bólu. Kopniak strażnika złamał mu palce ręki. Postawili go na nogi.

— Pokój sto jeden — powiedział oficer.

Mężczyznę wyprowadzono. Szedł, słaniając się na nogach, ze spuszczoną głową, trzymając zmiażdżoną dłoń drugą ręką. Całkowicie uszła z niego wola walki.

Minęło dużo czasu. Jeśli mężczyznę o trupiej twarzy zabrano o północy, to teraz był ranek, a jeśli rankiem, to popołudnie. Od wielu godzin Winston był sam w celi. Od siedzenia na wąskiej ławie czuł taki ból, że często wstawał i chodził w kółko, niekarcony przez teleekran. Kawałek chleba wciąż leżał tam, gdzie upuścił go pucułowaty mężczyzna. Początkowo niespoglądanie na niego wymagało od Winstona wielkiego wysiłku, ale teraz głód ustąpił miejsca pragnieniu. W sklejonych ustach czuł nieprzyjemny smak. Stały szum i niezmienne białe światło powodowały osłabienie, uczucie pustki w głowie. Wstawał, bo ból w kościach był nie do wytrzymania, ale zaraz niemal natychmiast siadał z powrotem, bo za bardzo kręciło mu się w głowie, by mógł pewnie ustać na nogach. Za każdym razem, gdy udało mu się choć trochę zapanować nad doznaniami fizycznymi, powracało przerażenie. Chwilami myślał z coraz słabszą nadzieją o O’Brienie i żyletce. Możliwe, że żyletka zostanie mu dostarczona w jedzeniu, jeśli je

kiedykolwiek dostanie. Bardziej mętnie myślał o Julii. Ona też gdzieś cierpiała, może dużo bardziej niż on. W tym momencie mogła wrzeszczeć z bólu. Pomyślał: Czy gdybym mógł ją ocalić przez podwojenie mojego bólu, zrobiłbym to? Tak, zrobiłbym. Ale była to czysto intelektualna decyzja, podjęta dlatego, że wiedział, iż powinien ją podjąć, nie pod wpływem uczuć. W tym miejscu nie czuło się nic oprócz bólu i strachu przed czekającym bólem. Poza tym, czy można było, już cierpiąc ból, życzyć sobie z jakiegokolwiek powodu jego zwiększenia? Ale to pytanie pozostawało na razie bez odpowiedzi.

Znowu zbliżał się tupot butów. Otworzyły się drzwi. Do celi wszedł O’Brien.

Winston poderwał się na nogi. Wstrząs wywołany tym widokiem był tak wielki, że wyzbył się wszelkiej ostrożności. Po raz pierwszy w życiu zapomniał o teleekranie.

— Was też mają! — krzyknął.

— Mają mnie od dawna — rzekł O’Brien z lekką, niemal smutną ironią. Usunął się na bok. Zza niego wyłonił się strażnik o atletycznym torsie, z długą, czarną pałką w ręku.

— Wiedziałeś o tym, Winstonie — powiedział O’Brien. — Nie oszukuj się. Wiedziałeś o tym, i to od zawsze.

Tak, teraz widział, że wiedział o tym od zawsze. Ale nie miał czasu o tym myśleć. Patrzył tylko na pałkę w ręku strażnika. Mogła spaść wszędzie: na głowę, na koniuszek ucha, na ramię, na łokieć…

Na łokieć! Osunął się na kolana, niemal sparaliżowany, ściskając się za łokieć drugą ręką. Wszystko eksplodowało w żółtym świetle. Niepojęte, niepojęte, że jeden cios mógł spowodować taki ból! Światło przygasło i Winston widział, jak tych dwóch patrzy na niego. Strażnik śmiał się z jego konwulsji. W każdym razie jedno z pytań doczekało się odpowiedzi. Nigdy, za żadne skarby, nie można było chcieć zwiększenia bólu. Jeśli chodziło o ból, można było pragnąć tylko jednego — żeby ustał. Nic na świecie nie było gorsze od bólu fizycznego. W obliczu bólu nie ma bohaterów, myślał,

zwijając się na podłodze i bezskutecznie trzymając się za unieruchomioną lewą rękę.

II

Leżał na czymś, na czym czuł się jak na łóżku polowym, tyle tylko, że było to wyższe i że był do tego przykuty, tak że nie mógł się ruszyć. Na twarz padało mu światło silniejsze niż dotąd. Z boku stał O’Brien i uważnie mu się przypatrywał. Z drugiej strony stał mężczyzna w białym kitlu, ze strzykawką w ręku.

Chociaż miał otwarte oczy, widok otoczenia docierał do niego bardzo powoli. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że wpłynął do tego pokoju z innej rzeczywistości, z leżącego dużo niżej podwodnego świata. Nie wiedział, jak długo przebywał w tamtym świecie. Odkąd go aresztowano, nie widział ani ciemności, ani światła dziennego. Poza tym miał luki w pamięci. Były chwile, gdy urywała się świadomość, nawet taka, jaką zachowuje się we śnie, i powracała po przerwie, w której ziała pustka. Nie miał pojęcia, czy te przerwy trwały dni, tygodnie czy zaledwie sekundy.

Ten koszmar zaczął się po pierwszym ciosie w łokieć. Dopiero dużo później zdał sobie sprawę, że było to tylko wstępne, rutynowe przesłuchanie, jakiemu poddawano prawie wszystkich więźniów. Była długa lista zbrodni — szpiegostwo, sabotaż i tym podobne — do których każdy musiał się przyznać. Przyznanie się było czystą formalnością, tortury natomiast były jak najbardziej realne. Winston nie pamiętał, ile razy stłuczono go na kwaśne jabłko, jak długo za każdym razem go bito. Zawsze rzucało się na niego równocześnie pięciu czy sześciu oprawców w czarnych mundurach. Czasami używali pięści, czasami pałek, czasami stalowych prętów, a czasami butów. Wił się wtedy po podłodze bezwstydnie jak zwierzę, wykręcając się to w jedną, to w drugą stronę, w daremnych wysiłkach uniknięcia

kopniaków, które tylko prowokowały oprawców do zadawania mu ich jeszcze więcej — w żebra, w brzuch, w łokcie, w kolana, w golenie, w jądra, w podstawę kręgosłupa. Niekiedy ciągnęło się to tak długo, że zdawało mu się, iż najokrutniejsze, najokropniejsze, najbardziej niewybaczalne nie jest to, iż strażnicy wciąż go okładają, lecz że nie może się zmusić do utraty przytomności. Zdarzało się, że nie wytrzymywały mu nerwy i zaczynał błagać o litość, zanim przystąpili do bicia, że wystarczył sam widok uniesionej do ciosu pięści, by przyznał się do rzeczywistych i wydumanych zbrodni. Innymi razy przyrzekał sobie, że do niczego się nie przyzna, i musieli wyduszać z niego każde słowo między jękami bólu, zdarzało się też, że próbował iść na ustępstwa, mówiąc sobie: Przyznam się, ale jeszcze nie teraz. Muszę wytrzymać, dopóki ból nie stanie się nieznośny. Jeszcze trzy kopniaki, jeszcze dwa, a potem powiem im, co chcą. Czasami katowali go tak, że ledwie mógł ustać na nogach, a potem rzucali na kamienną podłogę celi jak worek kartofli, dawali kilka godzin, by doszedł do siebie, ponownie go stamtąd wyciągali i od nowa zaczynali bić. Przeplatało się to z dłuższymi okresami spokoju, kiedy pozwalano mu odzyskać siły. Pamiętał je mgliście, bo wtedy albo spał, albo trwał w odrętwieniu. Pamiętał celę z pryczą z desek, czymś w rodzaju półki sterczącej ze ściany i blaszaną umywalką, gorącą zupę i niekiedy kawę. Pamiętał gburowatego fryzjera, który przyszedł zeskrobać mu zarost i przystrzyc włosy, oraz rzeczowych, nieokazujących ani odrobiny współczucia mężczyzn w białych kitlach, którzy mierzyli mu puls, sprawdzali odruchy mimowolne, podwijali powieki, obmacywali go twardymi palcami, by stwierdzić, czy nie ma połamanych kości, i wstrzykiwali mu w ramię środki nasenne.

Zmniejszyła się częstotliwość bicia, które stało się głównie groźbą, potwornością, której można było go poddać w każdej chwili, jeśli jego odpowiedzi były niezadowalające. Śledztwa nie prowadziły już zbiry w czarnych mundurach, lecz partyjni inteligenci, niscy, krągli mężczyźni w błyszczących okularach i o szybkich ruchach, którzy wałkowali go na zmianę na przesłuchaniach trwających — tak mu się wydawało, ale nie był tego pewien — dziesięć czy dwanaście godzin bez przerwy. Dbali o to, by

stale odczuwał lekki ból, ale nie polegali głównie na bólu. Wprawdzie bili go po twarzy, wykręcali mu uszy, ciągnęli za włosy, kazali stać na jednej nodze, nie pozwalali oddać moczu, ale robili to po prostu po to, by go upokorzyć i odebrać mu zdolność rozumowania i argumentacji. Ich prawdziwą bronią było bezlitosne wypytywanie, które ciągnęło się godzinami, wyłapywanie jego potknięć, zastawianie pułapek, przekręcanie wszystkiego, co mówił, przekonywanie go na każdym kroku, że kłamie i sam sobie zaprzecza, aż zaczynał płakać ze wstydu i wyczerpania nerwowego. Czasami płakał dziesięć razy podczas jednego przesłuchania. Prawie cały czas obrzucali go obelgami, a za każdym razem, gdy się zawahał, grozili, że znowu oddadzą go w łapy strażników, ale niekiedy nagle zmieniali ton, zwracali się do niego „towarzyszu”, apelowali w imię angsocu i Wielkiego Brata, by się przyznał, i pytali ze smutkiem, czy nie zostało mu choć tyle lojalności wobec Partii, by nie pragnął naprawić zła, które wyrządził. Po wielogodzinnym przesłuchaniu miał tak zszarpane nerwy, że nawet te apele doprowadzały go do łez. W końcu ich zadręczające głosy złamały go bardziej niż buty i pięści strażników. Został sprowadzony do roli ust, które mówiły, czego od niego żądano, i ręki, która podpisywała wszystko, co mu podsunięto. Odtąd jego jedynym zmartwieniem było odgadnięcie, jakich zeznań oczekują, i złożenie ich jak najszybciej, nim znęcanie zacznie się od nowa. Przyznał się do zabójstw wybitnych członków Partii, rozprowadzania podżegających do buntu ulotek, sprzeniewierzenia funduszy publicznych, sprzedaży tajemnic wojskowych, różnych aktów sabotażu. Przyznał się, że już od 1968 roku był płatnym szpiegiem wschodoazjatyckim. Przyznał się, że wierzył w Boga, był wielbicielem kapitalizmu i zboczeńcem seksualnym. Przyznał się do zamordowania żony, chociaż wiedział i oni też musieli wiedzieć, że ona wciąż żyje. Przyznał się, że od lat utrzymywał osobisty kontakt z Goldsteinem i był członkiem podziemnej organizacji, do której należeli prawie wszyscy, których znał. Najlepiej było przyznać się do wszystkiego i wszystkich obciążyć. Zresztą w pewnym sensie to wszystko było prawdą. Naprawdę był wrogiem Partii, a w jej oczach nie było różnicy między myślą i czynem.

Miał też innego rodzaju wspomnienia. Nie były ze sobą powiązane i pojawiały się w jego głowie niczym obrazy otoczone zewsząd czernią.

Znajdował się w celi, która równie dobrze mogła być jasna jak ciemna, ponieważ nie widział niczego oprócz pary oczu. Jakiś przyrząd w pobliżu tykał powoli i regularnie. Oczy stawały się coraz większe i coraz bardziej świetliste. Winston wypłynął nagle z siedzenia i zanurzył się w nich, a one go pochłonęły.

Siedział w oślepiającym świetle, przywiązany do krzesła otoczonego tarczami instrumentów pomiarowych. Mężczyzna w białym kitlu odczytywał ich wskazania. Z zewnątrz dobiegł tupot ciężkich butów. Otworzyły się ze zgrzytem drzwi. Wmaszerował ten oficer o woskowej twarzy, a za nim dwóch strażników.

— Pokój sto jeden — powiedział oficer.

Mężczyzna w białym kitlu nawet nie odwrócił głowy. Nie patrzył też na Winstona, tylko na tarcze.

Winston toczył się w dół ogromnym, szerokim na kilometr korytarzem wypełnionym złotym światłem i krzyczał na całe gardło, wyznając swoje winy. Wyznawał wszystko, nawet to, co udało mu się zachować w tajemnicy podczas tortur. Opowiadał całą historię swego życia publiczności, która już ją znała. Byli z nim strażnicy, mężczyźni w białych kitlach, O’Brien, Julia, pan Charrington, a wszyscy turlali się razem na korytarzu, zwijając się ze śmiechu. Coś strasznego, co kryło się w przyszłości, zostało jakoś pominięte i się nie wydarzyło. Wszystko było dobrze, nie odczuwał już żadnego bólu, każdy szczegół jego życia został wyjawiony, zrozumiany, wybaczony.

Podnosił się z pryczy, prawie pewny, że usłyszał głos O’Briena. Przez całe śledztwo, chociaż ani razu go nie zobaczył, miał wrażenie, że przy jego łokciu, tuż za zasięgiem wzroku, stoi O’Brien. To on wszystkim dyrygował. To on napuszczał na niego strażników i to on powstrzymywał ich przed zabiciem go. To on decydował o tym, kiedy Winston ma wyć z bólu, kiedy powinno się dać mu wytchnienie, kiedy nakarmić, kiedy pozwolić spać i kiedy wstrzykiwać leki w ramię. To on zadawał pytania i podsuwał odpo-

wiedzi. Był oprawcą, obrońcą, śledczym, przyjacielem. A raz — Winston nie mógł sobie przypomnieć, czy było to w narkotycznym czy w normalnym śnie, a może nawet na jawie — szepnął mu do ucha: „Nie martw się, Winston, jesteś w mojej pieczy. Czuwam nad tobą od siedmiu lat. Teraz nadszedł moment zwrotny. Uratuję cię, uczynię doskonałym”. Nie miał pewności, czy był to głos O’Briena, ale był to bez cienia wątpliwości ten sam głos, który w tamtym pamiętnym śnie przed siedmioma laty powiedział mu: „Spotkamy się w miejscu, gdzie nie panuje mrok”.

Nie pamiętał końca przesłuchań. Był okres, w którym wszystko spowijała czerń, a potem stopniowo zmaterializowała się ta cela czy pokój, w którym się teraz znajdował. Leżał niemal płasko na plecach i nie mógł się ruszyć. Jego ciało we wszystkich najważniejszych miejscach przytrzymywały więzy. Nawet głowę miał w jakimś uchwycie. Z góry spoglądał na niego poważnie i jakby ze smutkiem O’Brien. Jego twarz, widziana z dołu, była grubo ciosana i zmęczona, z workami pod oczami i bruzdami od nosa do brody. Był starszy, niż wcześniej sądził Winston; miał może czterdzieści osiem albo pięćdziesiąt lat. Jego dłoń spoczywała na dźwigni nad tarczą pomiarową z podziałką liczbową na całym obwodzie.

— Powiedziałem ci — rzekł O’Brien — że jeśli się znowu spotkamy, to tutaj.

— Tak — odparł Winston.

Bez żadnego ostrzeżenia poza drobnym ruchem ręki O’Briena jego ciało zalała fala bólu. Było to przerażające doznanie, bo nie widział, co się dzieje, a czuł się tak, jakby zadawano mu śmiertelną ranę. Nie wiedział, czy to się rzeczywiście dzieje, czy jest to efekt wywołany przez prąd, ale czuł, jak jego ciało się rozciąga i powoli rwą się ścięgna wszystkich stawów. Chociaż z bólu na czoło wystąpił mu pot, najgorszy był strach, że za chwilę pęknie mu kręgosłup. Zacisnął zęby i oddychał ciężko przez nos, starając się jak najdłużej nie wydać najmniejszego jęku.

— Boisz się — rzekł O’Brien, obserwując jego twarz — że zaraz coś ci pęknie. A największym strachem napełnia cię myśl, że będzie to kręgosłup.

W wyobraźni widzisz już rozrywające się kręgi i wyciekający z nich płyn rdzeniowy. O tym myślisz, prawda, Winstonie?

Winston nie odpowiedział. O’Brien przesunął dźwignię w poprzednie położenie. Niemal natychmiast fala bólu się cofnęła.

— To była czterdziestka — powiedział O’Brien. — Jak widzisz, skala dochodzi do setki. Staraj się pamiętać podczas całej rozmowy, że w każdej chwili mogę zadać ci ból o takim nasileniu, jak zechcę. Jeśli będziesz opowiadał mi kłamstwa, próbował w jakikolwiek sposób wykręcić się od odpowiedzi, a nawet udawał, że nie rozumiesz pytania, bo przekracza to poziom twojej inteligencji, natychmiast zawyjesz z bólu. Zrozumiałeś?

— Tak — odparł Winston.

Zachowanie O’Briena stało się mniej surowe. Poprawił w zamyśleniu okulary i przeszedł się parę kroków tam i z powrotem. Gdy się znowu odezwał, jego głos był łagodny i cierpliwy. Mówił jak lekarz, nauczyciel, a nawet kapłan, który woli tłumaczyć niż karać.

— Zadaję sobie trud, żeby cię przekonać, Winstonie, ponieważ jesteś tego wart. Doskonale wiesz, co jest z tobą nie tak. Wiesz to od lat, chociaż starałeś się wyprzeć tę wiedzę. Jesteś obłąkany. Cierpisz na zaburzenia pamięci. Nie jesteś w stanie zapamiętać rzeczywistych wydarzeń i wmawiasz sobie, że pamiętasz inne, które nigdy nie zaistniały. Na szczęście jest to uleczalne. Sam nigdy się z tego nie wyleczyłeś, bo nie chciałeś. Wymagało to tylko drobnego wysiłku woli, na co nie miałeś ochoty. Dobrze wiem, że jeszcze teraz uparcie trwasz w tej chorobie, bo uroiłeś sobie, że jest ona zaletą. Posłużmy się przykładem. Z jakim mocarstwem Oceania prowadzi w tej chwili wojnę?

— Kiedy mnie aresztowano, Oceania prowadziła wojnę ze Wschodoazją.

— Ze Wschodoazją. Dobrze. I zawsze prowadziła z nią wojnę, prawda?

Winston wziął głęboki oddech. Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale nie wymówił ani słowa. Nie mógł oderwać oczu od tarczy.

— Winston, proszę, powiedz mi prawdę. *Swoją* prawdę. Powiedz, co — jak ci się wydaje — pamiętasz.

— Pamiętam, że zaledwie tydzień przed moim aresztowaniem nie toczyliśmy wojny ze Wschodoazją. Byliśmy z nią w sojuszu. Wojnę prowadziliśmy z Eurazją. Trwała cztery lata. Przedtem…

O’Brien powstrzymał go gestem ręki.

— Inny przykład — powiedział. — Kilka lat temu miałeś naprawdę poważne halucynacje. Byłeś przekonany, że trzej ludzie, niegdyś członkowie Partii, o nazwiskach Jones, Aaronson i Rutherford — ludzie straceni za zdradę i sabotaż po złożeniu wyczerpujących zeznań — nie byli winni zbrodni, o które zostali oskarżeni. Byłeś przekonany, że widziałeś dokument, niepodważalny dowód, że ich zeznania były fałszywe. Uroiło ci się, że widziałeś pewne zdjęcie. Byłeś przekonany, że miałeś je w ręku. Była to fotografia nieco podobna do tej.

W palcach O’Briena pojawił się podłużny skrawek gazety. Znajdował się w polu widzenia Winstona może przez pięć sekund, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, co na nim było. Właśnie *to* zdjęcie, zdjęcie Jonesa, Aaronsona i Rutherforda na kongresie Partii w Nowym Jorku, na które natrafił przypadkiem jedenaście lat temu i natychmiast zniszczył. Miał je przed oczami tylko przez chwilę, a potem zniknęło. Ale widział je, bezsprzecznie je widział! Szarpnął się rozpaczliwie, by unieść głowę, ale nic to nie dało. Nie mógł się przesunąć w żadną stronę dalej niż o centymetr. W tej chwili zapomniał nawet o tarczy. Chciał tylko znowu potrzymać to zdjęcie w ręku, a przynajmniej jeszcze raz je ujrzeć.

— Ono istnieje! — krzyknął.

— Nie — rzekł O’Brien.

Przeszedł przez pokój. W przeciwległej ścianie była dziura pamięci. O’Brien podniósł kratkę. Kruchy kawałek papieru pofrunął z prądem ciepłego powietrza i zniknął w błysku płomieni. O’Brien odwrócił się od ściany.

— Popiół — powiedział. — Popiół, z którego nie można nawet nic odczytać. Pył. To zdjęcie nie istnieje. Nigdy nie istniało.

— Przecież naprawdę istniało! Wciąż istnieje. Istnieje w pamięci. Pamiętam je. Wy też je pamiętacie.

— Nie pamiętam — zaprzeczył O’Brien.

Winston upadł na duchu. To było dwumyślenie. Czuł obezwładniającą bezradność. Gdyby mógł mieć pewność, że O’Brien kłamie, nie byłoby sprawy. Ale może on naprawdę zapomniał o zdjęciu. A jeśli tak, to zapomniał też o swoim zaprzeczeniu, że je pamięta, i o samym akcie zapomnienia. Skąd można było mieć pewność, że to zwykłe oszustwo? Może rzeczywiście dało się tak obłąkańczo przeorać pamięć; ta myśl go przybiła.

O’Brien patrzył na niego z namysłem. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem wyglądał jak nauczyciel, który dokłada starań, by przemówić do rozsądku krnąbrnemu, ale obiecującemu uczniowi.

— Jest takie partyjne hasło odnoszące się do przeszłości — powiedział. — Zacytuj je, jeśli łaska.

— „Kto panuje nad przeszłością, ten panuje nad przyszłością, kto panuje nad teraźniejszością, ten panuje nad przeszłością” — posłusznie wyrecytował Winston.

— „Kto panuje nad teraźniejszością, ten panuje nad przeszłością” — powtórzył O’Brien, kiwając z aprobatą głową. — A twoim zdaniem, Winstonie, przeszłość naprawdę istnieje?

Winstona znowu ogarnęło uczucie bezradności. Jego wzrok powędrował ku tarczy. Nie wiedział nie tylko tego, czy przed bólem uchroni go odpowiedź „tak” czy „nie”, ale nawet którą z nich uważa za prawdziwą.

O’Brien uśmiechnął się lekko.

— Żaden z ciebie metafizyk, Winstonie — powiedział. — Do tej pory nigdy się nie zastanawiałeś, jakie znaczenie ma słowo „istnienie”. Ujmę to precyzyjniej. Czy przeszłość istnieje konkretnie, w przestrzeni? Czy jest jakieś miejsce, świat przedmiotów materialnych, gdzie przeszłość wciąż trwa?

— Nie.

— Wobec tego, gdzie — jeśli w ogóle — ona istnieje?

— W archiwach. Jest zapisana.

— W archiwach. I…?

— W ludzkiej pamięci. We wspomnieniach.

— A więc w pamięci. No dobrze. My, Partia, mamy kontrolę nad wszystkimi archiwami, nad wszystkimi wspomnieniami. A zatem panujemy nad przeszłością, prawda?

— Ale jak możecie powstrzymać ludzi przed zapamiętywaniem tego, co widzą?! — krzyknął Winston, ponownie na chwilę zapominając o tarczy. — To jest niezależne od naszej woli. Nie mamy na to wpływu. Jak możecie panować nad pamięcią? Nad moją nie zapanowaliście!

O’Brien znowu przybrał surową minę. Położył dłoń na dźwigni.

— Przeciwnie — powiedział. — To *ty* nad nią nie zapanowałeś. Właśnie to cię tutaj przywiodło. Znalazłeś się tutaj, bo zabrakło ci pokory, samodyscypliny. Nie zdecydowałeś się na podporządkowanie, które jest ceną, jaką trzeba płacić za pozostawanie przy zdrowych zmysłach. Wolałeś być szaleńcem, jednoosobową mniejszością. Rzeczywistość postrzega tylko umysł zdyscyplinowany, Winstonie. Wierzysz, że rzeczywistość jest czymś obiektywnym, zewnętrznym, co istnieje samo w sobie. Wierzysz też, że jest to dla każdego oczywiste. Kiedy ulegasz złudzeniu, że coś widzisz, przyjmujesz, że wszyscy widzą to samo co ty. Ale powiadam ci, Winstonie: rzeczywistość nie jest czymś zewnętrznym. Istnieje tylko w ludzkim umyśle i nigdzie więcej. I to nie w umyśle jednostki, która może się mylić, a zresztą i tak w końcu przemija, lecz jedynie w umyśle Partii, zbiorowym i nieśmiertelnym. Cokolwiek Partia uważa za prawdę, *jest* prawdą. Nie można ujrzeć rzeczywistości inaczej niż oczami Partii. Tak jest i musisz się tego ponownie nauczyć. Wymaga to aktu autodestrukcji, wysiłku woli. Musisz się ukorzyć, by odzyskać zmysły.

Przerwał na kilka minut, jakby po to, by jego słowa zapadły Winstonowi w pamięć.

— Pamiętasz — podjął na nowo — jak napisałeś w swoim pamiętniku: „Wolność to możliwość bezkarnego twierdzenia, że dwa plus dwa równa się cztery”?

— Tak — odparł Winston.

O’Brien wysunął lewą dłoń, skierowaną grzbietem do Winstona, ze schowanym kciukiem i wyprostowanymi czterema palcami.

— Ile widzisz palców, Winstonie?

— Cztery.

— A jeśli Partia powie, że nie cztery, lecz pięć, to ile zobaczysz wtedy?

— Cztery.

Koniec tego słowa zniknął w jęku bólu. Strzałka na tarczy podskoczyła do pięćdziesięciu pięciu. Całe ciało Winstona pokryło się potem. Powietrze wdzierało się do jego płuc i wydobywało się z nich z rzężeniem, którego nie mógł powstrzymać, nawet zaciskając zęby. O'Brien patrzył na niego, wciąż trzymając sztywno wyprostowane cztery palce. Cofnął dźwignię. Tym razem ból tylko trochę zelżał.

— Ile palców, Winstonie?

— Cztery.

Wskazówka przesunęła się na sześćdziesiąt.

— Ile palców, Winstonie?

— Cztery! Cztery! Co innego mogę powiedzieć? Cztery!

Wskazówka musiała przesunąć się dalej, ale nie patrzył już na nią. Całe pole jego widzenia wypełniała grubo ciosana surowa twarz i cztery palce. Te palce wznosiły się przed jego oczami jak ogromne zamazane filary i zdawały się drgać, ale było ich niewątpliwie cztery.

— Ile palców, Winstonie?

— Cztery! Przestańcie, przestańcie! Jak możecie ciągnąć to dalej? Cztery! Cztery!

— Ile palców, Winstonie?

— Pięć! Pięć! Pięć!

— Nie, Winstonie, to nic nie da. Kłamiesz. Wciąż uważasz, że cztery. Ile palców, proszę?

— Cztery! Pięć! Cztery! Ile chcecie. Tylko przerwijcie to, przerwijcie tę mękę!

Nagle zdał sobie sprawę, że siedzi, a O'Brien obejmuje jego plecy ramieniem. Chyba na kilka sekund stracił przytomność. Więzy krepujące jego ciało zostały poluzowane. Było mu bardzo zimno, cały się trząsł, szczękał zębami, a po policzkach ciekły mu łzy. Na moment przytulił się do

O’Briena jak dziecko, czerpiąc dziwną otuchę z tego, że na jego barkach spoczywa ciężkie ramię. Miał wrażenie, że O’Brien jest jego obrońcą, że ból przyszedł z zewnątrz, z jakiegoś innego źródła, i że O’Brien go przed nim ochroni.

— Nauka przychodzi ci z trudem, Winstonie — powiedział łagodnie O’Brien.

— Cóż mogę na to poradzić? — wybełkotał Winston. — Cóż poradzę na to, że widzę to, co mam przed oczami? Dwa plus dwa równa się cztery.

— Czasami, Winstonie. Czasami równa się pięć. Czasami trzy. A czasami cztery, pięć i trzy jednocześnie. Musisz się bardziej starać. Niełatwo odzyskać zmysły.

Położył Winstona z powrotem na łóżku. Znowu zacisnęły się więzy, ale ból odpłynął i ustał dygot, zostały tylko osłabienie i ziąb. O’Brien wskazał go ruchem głowy mężczyźnie w białym kitlu, który podczas całego przesłuchania stał nieruchomo. Tamten pochylił się, zajrzał Winstonowi badawczo w oczy, zmierzył mu puls, przyłożył ucho do piersi, ostukał go tu i ówdzie, a potem kiwnął głową do O’Briena.

— Spróbujemy jeszcze raz — rzekł O’Brien.

Ciało Winstona zalała kolejna fala bólu. Wskazówka musiała być na poziomie siedemdziesięciu–siedemdziesięciu pięciu. Tym razem zamknął oczy. Wiedział, że te palce nadal tam są i że nadal jest ich cztery. Ważne było tylko to, by zachować życie, dotrwać do chwili, gdy minie paroksyzm bólu. Przestało do niego docierać, czy krzyczy, czy nie. Ból nieco się zmniejszył. Winston otworzył oczy.

— Ile palców, Winstonie?

— Cztery. Przypuszczam, że cztery. Zobaczyłbym pięć, gdybym mógł. Staram się widzieć pięć.

— Czego chciałbyś — przekonać mnie, że widzisz pięć, czy naprawdę je zobaczyć?

— Naprawdę je zobaczyć.

— Zaczynamy od początku — powiedział O’Brien.

Wskazówka doszła chyba do osiemdziesięciu albo dziewięćdziesięciu. Winston tylko sporadycznie przypominał sobie, dlaczego tak cierpi. Pod jego zaciśniętymi powiekami zdawał się poruszać jak w upiornym tańcu las palców, które to zbliżały się, to oddalały, znikały jeden za drugim i ponownie się pojawiały. Starał się je policzyć, ale nie pamiętał po co. Wiedział, że to niemożliwe i że ma to jakiś związek z tajemniczą identycznością liczb cztery i pięć. Ból ponownie ustąpił. Gdy Winston otworzył oczy, stwierdził, że wciąż widzi to samo. Wciąż przesuwały się w różne strony, jak poruszające się drzewa, niezliczone palce, to zachodząc na siebie, to się odsłaniając. Znowu zamknął oczy.

— Ile palców trzymam teraz w górze, Winstonie?

— Nie wiem. Nie wiem. Jeśli zrobicie to jeszcze raz, zabijecie mnie. Cztery, pięć, sześć — przysięgam, że nie wiem.

— Lepiej — stwierdził O’Brien.

W ramię Winstona wsunęła się igła. Niemal w tej samej chwili po jego całym ciele rozeszło się błogie, kojące ciepło. Prawie zapomniał już o bólu. Otworzył oczy i z wdzięcznością spojrzał na O’Briena. Widok jego zmęczonej, pobrużdżonej twarzy ujął go za serce. Gdyby mógł się poruszyć, wyciągnąłby rękę i położył na jego ramieniu. Jeszcze nigdy nie kochał go tak mocno jak teraz, i nie tylko dlatego, że powstrzymał ból. Powróciło dawne poczucie, że w gruncie rzeczy to, czy O’Brien jest przyjacielem, czy wrogiem, nie ma znaczenia. O’Brien był osobą, z którą można było porozmawiać. Może człowiek chce nie tyle, by go kochano, ile by go zrozumiano. O’Brien doprowadził go torturami na skraj szaleństwa, a za chwilę — to było pewne — pośle go na śmierć. Niczego to nie zmieniało. W pewnym sensie łączyło ich coś głębszego niż przyjaźń, byli sobie bliscy; chociaż być może nigdy nie zostanie to wyrażone słowami, było gdzieś miejsce, w którym mogli się spotkać i porozmawiać. O’Brien patrzył na niego z wyrazem twarzy, który zdawał się świadczyć, że w jego głowie pojawiła się taka sama myśl. Gdy się odezwał, ton jego głosu był lekki, jakby prowadzili swobodną rozmowę.

— Wiesz, gdzie jesteś, Winstonie?

— Nie wiem. Mogę się tylko domyślać. W Ministerstwie Miłości.

— Wiesz, od jak dawna tu przebywasz?

— Nie wiem. Od wielu dni, tygodni czy miesięcy — myślę, że od miesięcy.

— A jak sądzisz, po co przywozimy tu ludzi?

— Żeby wymusić od nich zeznania.

— Nie, nie po to. Zastanów się.

— Żeby ich ukarać.

— Nie! — wrzasnął O’Brien. Jego głos zupełnie się zmienił, a twarz zapłonęła gniewem, ale przy tym nagle się ożywiła. — Nie! Nie tylko po to, by wydobyć z was zeznania, ani nie po to, by was ukarać. Mam ci powiedzieć, dlaczego cię tu przywieźliśmy? Aby cię wyleczyć. Aby pomóc ci odzyskać zmysły! Czy pojmujesz, Winstonie, że nikt, kogo tu przywozimy, nie wychodzi stąd niewyleczony? Nie interesują nas te głupie zbrodnie, które popełniliście. Partii nie obchodzi jawny czyn — nas interesuje tylko myśl, która się za tym kryje. My nie ograniczamy się do niszczenia naszych wrogów, my ich zmieniamy. Rozumiesz, o czym mówię?

Pochylał się nad Winstonem. Jego twarz wydawała się ogromna, ponieważ była tak blisko, i niesamowicie brzydka, bo widział ją z dołu. A przy tym malowała się na niej egzaltacja, obłąkańcza żarliwość. Winstonowi zamarło serce. Gdyby tylko mógł, skuliłby się i zapadł pod łóżko. Był pewien, że O’Brien bez skrupułów przesunie dźwignię do końca. Jednak w tym momencie O’Brien się odwrócił. Wstał i zrobił kilka kroków tam i z powrotem. Potem ciągnął już nie tak gwałtownie:

— Najpierw musisz zrozumieć, że w tym miejscu nie robimy z ludzi męczenników. Czytałeś o prześladowaniach religijnych w dawnych czasach. W średniowieczu istniała inkwizycja. Nic nie wskórała. Zaczęła od wykorzeniania herezji, a skończyło się na tym, że ją utrwaliła. W miejsce każdego heretyka spalonego na stosie pojawiało się tysiące nowych. Dlaczego tak się działo? Dlatego, że inkwizycja zabijała wrogów na oczach tłumów, i to wtedy, gdy nadal nie okazywali skruchy; prawdę mówiąc, dlatego, że pozostawali nieskruszeni. Ludzie ginęli, ponieważ nie chcieli się

wyzbyć swoich prawdziwych przekonań. Naturalnie cała chwała spływała na ofiarę, a inkwizytor, który posłał ją na stos, okrywał się hańbą. Później, w dwudziestym wieku, powstały tak zwane ustroje totalitarne. Ustanowili je niemieccy naziści i rosyjscy komuniści. Rosjanie traktowali heretyków z jeszcze większym okrucieństwem niż inkwizycja, ale myśleli, że wyciągnęli nauki z błędów przeszłości; w każdym razie wiedzieli, że nie mogą robić z nich męczenników. Zanim wytoczyli ofiarom publiczny proces, celowo niszczyli ich godność. Torturami i izolacją doprowadzali ich do tego, że stawali się bezwolnymi, zastraszonymi nędznikami, którzy podczas składania zeznań mówili wszystko, co wkładano im w usta, wzajemnie się znieważali i oskarżali, kryli się jeden za plecami drugiego i błagali o litość. A mimo to zaledwie po kilku latach historia się powtórzyła. Zgładzeni stali się męczennikami, a o ich poniżeniu zapomniano. I znowu pojawia się pytanie, dlaczego tak się stało. Przede wszystkim dlatego, że składane przez nich zeznania były ewidentnie wymuszone i nieprawdziwe. My nie popełniamy takich błędów. Wszystkie składane tu zeznania są prawdziwe. Sprawiamy, że są prawdziwe. A nade wszystko nie dopuszczamy do tego, by martwi powstali przeciw nam. Musisz przestać się łudzić, Winstonie, że potomność cię zrehabilituje. Potomność nigdy się o tobie nie dowie. Zostaniesz trwale usunięty ze strumienia historii. Przemienimy cię w gaz, który wypuścimy do stratosfery. Nie zostanie po tobie nic — ani nazwisko w archiwach, ani pamięć w mózgu żadnej żyjącej osoby. Zostaniesz unicestwiony w przeszłości i w przyszłości. Będzie tak, jakbyś nigdy nie istniał.

A więc po co zadaje sobie trud, by mnie torturować? — pomyślał z goryczą Winston.

O’Brien zatrzymał się, jakby Winston wypowiedział to na głos. Jego duża, brzydka twarz zbliżyła się do niego ze zwężonymi oczami.

— Zastanawiasz się — powiedział — dlaczego zadajemy sobie tyle trudu i przesłuchujemy cię, skoro i tak zamierzamy cię całkowicie zniszczyć i nic, co powiesz czy zrobisz, w żaden sposób tego nie zmieni. O tym myślałeś, prawda?

— Tak — przyznał Winston.

O’Brien lekko się uśmiechnął.

— Jesteś usterką systemu, Winstonie. Plamą, którą trzeba usunąć. Czyż nie powiedziałem ci przed chwilą, że jesteśmy inni niż dawni prześladowcy? Nie zadowala nas wymuszone posłuszeństwo ani najbardziej pokorne podporządkowanie. Gdy się w końcu poddasz, musisz uczynić to z własnej woli. Nie niszczymy odstępcy dlatego, że się nam opiera; dopóki stawia opór, nigdy go nie niszczymy. Nawracamy go, przejmujemy kontrolę nad jego umysłem i kształtujemy go od nowa. Wypalamy z niego całe zło i wszelkie złudzenia, doprowadzamy do tego, że przechodzi na naszą stronę nie pozornie, lecz szczerze, całym sercem i duszą. Zanim go zabijemy, czynimy go jednym z nas. To, że gdziekolwiek na świecie istnieje błędna myśl, choćby najbardziej skryta i bezsilna, jest dla nas nie do przyjęcia. Nie możemy pozwolić na najmniejsze odstępstwo od naszej linii nawet w chwili śmierci. Dawniej heretyk, idąc na stos, pozostawał heretykiem, głosił swoją herezję, upajał się nią. Nawet ofiara sowieckich czystek, idąc korytarzem i czekając na kulę w potylicę, mogła nieść w głowie myśl o rebelii. Natomiast my czynimy mózg doskonałym, zanim go roztrzaskamy. Przykazanie dawnych despotyzmów brzmiało: „Nie będziesz”. Przykazaniem totalitaryzmów było: „Będziesz”. Naszym jest: „Jesteś”. Nikt, kogo tu przywozimy, nigdy już nie występuje przeciw nam. Jego mózg zostaje całkowicie wyprany. Złamaliśmy w końcu nawet tych trzech żałosnych zdrajców — Jonesa, Aaronsona i Rutherforda — w których niewinność kiedyś wierzyłeś. Brałem udział w ich przesłuchaniach. Widziałem, jak stopniowo słabł ich opór, jak skamlali, czołgali się, płakali, a na koniec nie robili tego z bólu ani ze strachu, a jedynie ze skruchy. Kiedy z nimi skończyliśmy, byli tylko pustymi skorupami. Nie zostało w nich nic oprócz żalu z powodu tego, co zrobili, i miłości do Wielkiego Brata. To było wzruszające, jak bardzo go kochali. Błagali, by rozstrzelać ich jak najszybciej, by mogli zginąć, dopóki ich umysły są czyste.

Jego głos stał się niemal rozmarzony. Na jego twarzy wciąż malowała się egzaltacja, entuzjazm obłąkańca. On nie udaje, pomyślał Winston, nie jest hipokrytą, naprawdę wierzy w każde słowo, które wypowiada. Najbar-

dziej przygnębiała go świadomość własnej intelektualnej niższości. Patrzył na toporną, ale niepozbawioną pewnej gracji postać, przechadzającą się tam i z powrotem, pojawiającą się i znikającą z jego pola widzenia. O'Brien przewyższał go pod każdym względem. Nie było takiej myśli, której by nie poznał, nie przeanalizował i nie odrzucił na długo przedtem, nim przyszła Winstonowi do głowy. Jego umysł *obejmował* umysł Winstona. Ale czy w takim wypadku można było uznać O'Briena za szaleńca? To on, Winston, musiał być wariatem.

O'Brien zatrzymał się i spojrzał na niego. Jego głos znowu przybrał surowy ton.

— Nie wyobrażaj sobie, Winstonie, że ocalisz życie, nawet jeśli całkowicie nam ulegniesz. Nie oszczędzamy nikogo, kto raz zbłądził. I nawet jeśli pozwolimy ci żyć do naturalnej śmierci, nigdy nam nie uciekniesz. To, co się tutaj z tobą stanie, zmieni cię na zawsze. Zrozum to zawczasu. Skruszymy cię tak, że znajdziesz się w punkcie, z którego nie ma odwrotu. Od tego, co ci wpoimy, nie zdołasz się uwolnić, nawet gdybyś żył tysiąc lat. Już nigdy nie będziesz zdolny do zwykłych ludzkich uczuć. Będziesz wewnątrz martwy. Miłość, przyjaźń, radość z życia, śmiech, ciekawość, odwaga i prawość przestaną dla ciebie istnieć. Będziesz pusty. Wydrążymy cię do cna, a potem wypełnimy nami.

Przerwał i skinął na mężczyznę w białym kitlu. Winston zorientował się, że przyciągnięto jakiś ciężki aparat i ustawiono za jego głową. O'Brien usiadł przy łóżku, tak że jego twarz znalazła się prawie na poziomie twarzy Winstona.

— Trzy tysiące — powiedział nad głową Winstona do mężczyzny w białym kitlu.

Na skroniach Winstona znalazły się dwie miękkie, lekko wilgotne poduszki. Zadrżał. Nadchodził ból, nowy rodzaj bólu. O'Brien położył uspokajająco, niemal przyjaźnie, dłoń na jego ręce.

— Tym razem nie będzie bolało — powiedział. — Patrz mi prosto w oczy.

W tym momencie nastąpiła niesamowita eksplozja czy coś, co wydawało się eksplozją, chociaż Winston nie był pewien, czy towarzyszył jej huk. Natomiast bez wątpienia pojawił się oślepiający błysk. Winston nie odniósł żadnych obrażeń, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ta eksplozja go powaliła. Mimo że już wcześniej leżał na plecach, miał dziwne uczucie, że to wskutek niej znalazł się w takiej pozycji. Jej straszliwe, bezbolesne uderzenie rozpłaszczyło go na łóżku. Stało się też coś z jego głową. Kiedy odzyskał zdolność widzenia, pamiętał, kim i gdzie jest, i rozpoznał twarz, która na niego patrzyła, ale gdzieś w mózgu powstała duża luka, pustka, jakby usunięto mu jego część.

— To nie potrwa długo — powiedział O’Brien. — Patrz mi w oczy. Z kim Oceania prowadzi wojnę?

Winston się zastanowił. Wiedział, że jest to nazwa państwa i że jest jego obywatelem. Pamiętał też, że są dwa inne, Eurazja i Wschodoazja, ale nie wiedział, kto z kim prowadzi wojnę. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, że toczy się jakaś wojna.

— Nie pamiętam.

— Oceania prowadzi wojnę ze Wschodoazją. Teraz sobie przypominasz?

— Tak.

— Oceania od zawsze toczy wojnę ze Wschodoazją. Ta wojna, stale ta sama wojna, trwa nieprzerwanie od początku twojego życia, od narodzin Partii, od zarania dziejów. Pamiętasz to?

— Tak.

— Jedenaście lat temu stworzyłeś sobie legendę o trzech ludziach, którzy zostali skazani na śmierć za zdradę. Ubzdurałeś sobie, że widziałeś kawałek papieru, który dowodził ich niewinności. Ten kawałek papieru nigdy nie istniał. Wymyśliłeś tę niestworzoną historię, a potem w nią uwierzyłeś. Przypomnij sobie, kiedy ten głupi pomysł przyszedł ci do głowy. Przypominasz sobie?

— Tak.

— Przed chwilą uniosłem przed tobą dłoń. Widziałeś pięć palców. Pamiętasz?

— Tak.

O’Brien podniósł palce lewej ręki ze schowanym kciukiem.

— Oto pięć palców. Widzisz pięć?

— Tak.

I rzeczywiście widział je przez mgnienie. Widział pięć palców i nie dostrzegał w tym żadnej deformacji. Potem zmieniła się sceneria jego umysłu, wszystko na powrót stało się normalne i powróciły dawny strach, nienawiść i dezorientacja. Ale nim do tego doszło, był taki moment — nie wiedział, jak długo to trwało, może trzydzieści sekund — że tę lukę, tę pustkę wypełniała każda sugestia O’Briena i stawała się prawdą absolutną, że dwa plus dwa mogło dawać w sumie równie dobrze trzy, jak i pięć, jeśli taki wynik był potrzebny. Rozwiało się to, zanim O’Brien opuścił rękę, ale chociaż nie mógł tego z powrotem przywołać, pamiętał to tak samo wyraźnie, jak pamięta się jakiś barwny epizod z wcześniejszego okresu życia, kiedy było się w gruncie rzeczy inną osobą.

— W każdym razie widzisz teraz — rzekł O’Brien — że to możliwe.

— Tak — odparł Winston.

O’Brien wstał z zadowoloną miną. Winston zobaczył, że po jego lewej stronie mężczyzna w białym kitlu odłamuje czubek ampułki i odciąga tłok strzykawki. O’Brien odwrócił się do Winstona z uśmiechem. Niemal takim samym gestem jak dawniej poprawił okulary na nosie.

— Pamiętasz, jak zapisałeś w pamiętniku, że nie jest ważne, czy jestem przyjacielem, czy wrogiem, bo przynajmniej jestem osobą, która cię rozumie i z którą możesz porozmawiać? — zapytał. — Miałeś rację. Lubię z tobą rozmawiać. Podoba mi się twój umysł. Jest podobny do mojego, z tą tylko różnicą, że jesteś obłąkany. Zanim zakończymy tę sesję, możesz — jeśli chcesz — zadać mi kilka pytań.

— Na każdy temat?

— Na każdy temat. — Zobaczył, że wzrok Winstona jest utkwiony w tarczę. — To urządzenie jest wyłączone. Jakie masz pierwsze pytanie?

— Co zrobiliście z Julią?

O’Brien znowu się uśmiechnął.

— Zdradziła cię, Winstonie. Od razu i bez zastrzeżeń. Rzadko zdarza mi się widzieć kogoś, kto tak szybko przechodzi na naszą stronę. Gdybyś ją teraz zobaczył, ledwie byś ją poznał. Cała jej buntowniczość, kłamliwość, szaleństwo, sprośność — wszystko to zostało z niej wypalone. Było to idealne nawrócenie, podręcznikowy przypadek.

— Torturowaliście ją?

O’Brien zostawił to bez odpowiedzi.

— Następne pytanie — powiedział.

— Czy Wielki Brat istnieje?

— Oczywiście, że istnieje. Przecież Partia istnieje, a Wielki Brat jest personifikacją Partii.

— Istnieje tak samo jak ja?

— Ty nie istniejesz.

Winstona ponownie ogarnęło poczucie bezradności. Znał, a przynajmniej mógł sobie wyobrazić, argumenty, które rzekomo dowodziły jego nieistnienia, ale były one nonsensami, tylko grą słów. Czyż stwierdzenie „Ty nie istniejesz” nie było logicznym absurdem? Ale czy był sens o tym mówić? Jego umysł aż się skurczył na myśl o niepodważalnych szalonych argumentach, którymi rozgromiłby go O’Brien.

— Myślę, że istnieję — powiedział znużonym głosem. — Jestem świadom mojej tożsamości. Urodziłem się, umrę. Mam ręce i nogi. Zajmuję określone miejsce w przestrzeni. Nie może go jednocześnie zajmować żaden inny przedmiot materialny. Czy Wielki Brat istnieje w tym samym sensie?

— To nieważne. On istnieje.

— Czy kiedykolwiek umrze?

— Oczywiście, że nie. Jak mógłby umrzeć? Następne pytanie.

— Czy Bractwo istnieje?

— Tego, Winstonie, nigdy się nie dowiesz. Jeśli postanowimy cię wypuścić, gdy z tobą skończymy, i jeśli dożyjesz dziewięćdziesięciu lat, i tak nigdy się nie dowiesz, czy odpowiedź na to pytanie brzmi „tak” czy „nie”. Dopóki będziesz żył, pozostanie to dla ciebie nierozwiązaną zagadką.

Winston leżał w milczeniu. Jego pierś unosiła się i opadała nieco szybciej. Wciąż nie zadał pytania, które pierwsze przyszło mu na myśl. Musiał je zadać, a mimo to jego język nie mógł go wymówić. Na twarzy O’Briena pojawiło się lekkie rozbawienie. Nawet jego okulary zdawały się połyskiwać ironią. On wie, pomyślał nagle Winston, wie, o co chcę zapytać! Na tę myśl słowa same popłynęły z jego ust:

— Co jest w pokoju sto jeden?

Wyraz twarzy O’Briena się nie zmienił. Odpowiedział sucho:

— Wiesz, co jest w pokoju sto jeden, Winstonie. Wszyscy wiedzą, co jest w pokoju sto jeden.

Kiwnął palcem na mężczyznę w białym kitlu. Najwyraźniej sesja dobiegła końca. W ramię Winstona zagłębiła się igła. Niemal natychmiast zapadł w głęboki sen.

III

Proces twojej reintegracji składa się z trzech stadiów — powiedział O’Brien. — Uczenia się, zrozumienia i akceptacji. Pora, żebyś przeszedł do drugiego stadium.

Jak zawsze, Winston leżał płasko na plecach, ale ostatnio poluzowano krępujące go więzy. Wciąż przytrzymywały go na łóżku, ale mógł nieco poruszać kolanami, przekręcać głowę z boku na bok i podnosić ramiona powyżej łokci. Również tarcza pomiarowa nie napełniała go już takim przerażeniem jak wcześniej. Mógł uniknąć bólu, jeśli rozsądnie odpowiedział na pytanie, bo O’Brien przesuwał dźwignię głównie wtedy, kiedy Winston palnął coś głupiego. Czasami cała sesja przebiegała bez jej udziału. Nie pamiętał, ile było tych sesji. Cały ten proces ciągnął od długiego, trudnego do określenia czasu — pewnie od tygodni — a przerwy między sesjami zdawały się trwać czasami kilka dni, a czasami zaledwie godzinę czy dwie.

— Leżąc tu — rzekł O’Brien — często się zastanawiałeś, a nawet zapytałeś mnie o to, dlaczego Ministerstwo Miłości zadaje sobie tyle trudu i traci tyle czasu, by cię przekonać. Nad tym samym w zasadzie pytaniem łamałeś sobie głowę jeszcze przed aresztowaniem. Rozumiałeś mechanizm społeczeństwa, w którym żyłeś, ale nie udało ci się dociec motywów leżących u jego podłoża. Pamiętasz, jak napisałeś w pamiętniku: „Rozumiem *jak*, ale nie rozumiem *dlaczego*”? Właśnie wtedy, gdy zastanawiałeś się „dlaczego”, zwątpiłeś w to, czy jesteś przy zdrowych zmysłach. Przeczytałeś TĘ KSIĄŻKĘ, książkę Goldsteina, a przynajmniej niektóre jej fragmenty. Dowiedziałeś się z niej czegoś, czego byś już wcześniej nie wiedział?

— Wy ją też przeczytaliście? — zapytał zdumiony Winston.

— Ja ją napisałem. To znaczy jestem jej współautorem. Jak wiesz, żadna książka nie jest dziełem jednej osoby.

— Czy jest zgodna z prawdą?

— Owszem, jako opis. Natomiast przedstawiony tam program jest wierutną bzdurą. Potajemne gromadzenie wiedzy, stopniowe szerzenie oświaty, a w końcu bunt proletariatu i obalenie Partii — do tego nigdy nie dojdzie. Zresztą sam przewidziałeś, że ta książka właśnie o tym opowie. To stek nonsensów. Proletariusze nigdy się nie zbuntują, ani za tysiąc, ani za milion lat. Nie są do tego zdolni. Nie muszę ci wyjaśniać, z jakiego powodu, bo już go znasz. Jeśli miałeś jakieś marzenia o gwałtownym przewrocie, musisz je porzucić. Partii nie da się obalić w żaden sposób. Będzie rządzić wiecznie. Uczyń to punktem wyjściowym swojego myślenia.

Podszedł bliżej do łóżka.

— Wiecznie — powtórzył. — A teraz wróćmy do pytania o „jak” i „dlaczego”. Dobrze wiesz, *jak* Partia utrzymuje się u władzy. A teraz powiedz mi, *dlaczego* tak bardzo do niej lgniemy. Co nami kieruje? Dlaczego chcemy mieć władzę?

— No, dalej, mów — dodał po chwili, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Mimo to Winston nie odzywał się jeszcze przez kilka minut. Ogarnęło go znużenie. Twarz O’Briena ponownie promieniała obłąkańczym entuzjazmem. Winston z góry wiedział, co tamten mu powie. Że Partia nie pragnie władzy dla własnej korzyści, lecz jedynie dla dobra większości. Że sięgnęła po nią, ponieważ w sumie ludzie są słabymi, tchórzliwymi istotami, które nie potrafią znieść wolności i stawić czoła prawdzie, więc muszą nimi rządzić i systematycznie ich zwodzić inni, którzy są od nich silniejsi. Że ludzkość musiała wybierać między wolnością a szczęściem i że dla większości ważniejsze było szczęście. Że Partia jest wiecznym opiekunem słabych, oddaną sprawie sektą, która czyni zło po to, by mogło nastać dobro, poświęcając własne szczęście dla szczęścia innych. Najstraszniejsze, pomyślał Winston, najstraszniejsze jest to, że O’Brien wierzy w to, co mówi. Można to było wyczytać z jego twarzy. On wiedział wszystko. Tysiąc razy

lepiej niż Winston wiedział, jaki naprawdę jest świat, w jakim poniżeniu żyją masy ludzi i za pomocą jakich kłamstw i barbarzyństw Partia utrzymuje ich w tym stanie. Zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, wszystko to rozważał i nie miało to dla niego żadnego znaczenia, bo cel uświęca środki. Jak się przeciwstawić szaleńcowi, myślał Winston, który jest od ciebie inteligentniejszy, wysłuchuje twoich argumentów, a mimo to trwa w obłędzie?

— Rządzicie nami dla naszego dobra — rzekł słabym głosem. — Uważacie, że ludzie nie są zdolni sami się rządzić, i dlatego…

Szarpnął się i niemal wrzasnął. Jego ciałem wstrząsnął paroksyzm bólu. O’Brien przesunął dźwignię na trzydzieści pięć.

— Pleciesz głupstwa, Winstonie, głupstwa! — powiedział. — Powinieneś był się zastanowić, zamiast pleść, co ślina na język przyniesie. — Cofnął dźwignię na zero i ciągnął: — Powiem ci, jaka jest odpowiedź na moje pytanie. Oto ona. Partia pragnie władzy dla niej samej. Nie interesuje nas dobro innych, interesuje nas wyłącznie władza. Nie bogactwa, nie luksusy, długie życie czy szczęście, a jedynie władza, czysta władza. Zaraz zrozumiesz, co znaczy władza w czystej postaci. Od dawnych oligarchii różnimy się tym, że wiemy, co robimy. Oni wszyscy, nawet ci do nas podobni, byli tchórzami i hipokrytami. Naziści w Niemczech i bolszewicy w Rosji stosowali metody bardzo zbliżone do naszych, ale nigdy nie mieli odwagi przyznać się do tego, co nimi kieruje. Udawali, może nawet sami w to wierzyli, że przejęli władzę niechętnie i tylko na pewien czas i że tuż za rogiem jest raj, w którym wszyscy ludzie będą wolni i równi. My nie jesteśmy tacy. Wiemy, że nikt nie zdobywa władzy z zamiarem oddania jej innym. Władza nie jest środkiem, lecz celem. Nie ustanawia się dyktatury po to, by chronić zdobycze rewolucji; wywołuje się rewolucję, żeby ustanowić dyktaturę. Celem prześladowań są prześladowania. Celem tortur są tortury. Celem władzy jest władza. Zaczynasz mnie wreszcie rozumieć?

Winstona uderzyło, jak już nie raz wcześniej, zmęczenie widoczne na twarzy O’Briena. Była silna, mięsista i brutalna, emanowała inteligencją i kontrolowaną żarliwością, wobec których czuł się bezsilny, ale była zmę-

czona. Dobitnie świadczyły o tym worki pod oczami i obwisłe policzki. Pochylił się nad Winstonem, celowo zbliżając do niego tę znużoną twarz.

— Myślisz — powiedział — że mam starą i zmęczoną twarz. Myślisz, że mówię o władzy, a nie mogę nawet zapobiec rozkładowi własnego ciała. Czy nie rozumiesz, Winstonie, że jednostka jest tylko komórką? Zmęczenie komórki jest dowodem żywotności organizmu. Umierasz, gdy obcinasz sobie paznokcie?

Odwrócił się od łóżka i z ręką w kieszeni zaczął się przechadzać tam i z powrotem.

— My jesteśmy kapłanami władzy, a władza bogiem — ciągnął. — Ale w tej chwili władza jest dla ciebie tylko słowem. Czas, żebyś wreszcie pojął, co znaczy władza. Po pierwsze, musisz sobie uświadomić, że władzę sprawuje kolektyw. Jednostka ma władzę tylko w takim stopniu, w jakim przestaje być jednostką. Znasz partyjne hasło „Wolność to niewola”. Przyszło ci kiedyś do głowy, że to można odwrócić? Niewola to wolność. Człowiek wolny, ale samotny, zawsze ponosi klęskę. I jest to nieuniknione, bo każdy musi kiedyś umrzeć, co jest największą klęską. Ale jeśli całkowicie, bez reszty, podporządkuje się Partii, jeśli zdoła się pozbyć swej tożsamości i stopi się z nią tak, że sam *jest* Partią, to staje się wszechmocny i nieśmiertelny. Po drugie, musisz sobie uświadomić, że władza to panowanie nad ludźmi. Nad ciałem, owszem, ale nade wszystko nad umysłem. Panowanie nad materią — rzeczywistością zewnętrzną, jak byś to nazwał — nie jest istotne. I tak już mamy nad nią absolutną władzę.

Winston na chwilę przestał zwracać uwagę na tarczę. Wykonał gwałtowny ruch, usiłując się podnieść do pozycji siedzącej, co przyniosło tylko taki skutek, że więzy wpiły mu się boleśnie w ciało.

— Ale jak możecie mieć władzę nad materią?! — wybuchnął. — Nie panujecie nawet nad klimatem ani siłą ciążenia. A przecież są jeszcze choroby, ból, śmierć…

O’Brien uciszył go gestem ręki.

— Panujemy nad materią, ponieważ panujemy nad umysłem. Rzeczywistość istnieje w mózgu. Stopniowo się tego nauczysz, Winstonie. Nie ma

niczego, czego nie moglibyśmy zrobić. Niewidzialność, lewitacja — cokolwiek — to dla nas pestka. Gdybym zechciał, mógłbym się unieść nad podłogę jak bańka mydlana. Ale nie chcę, bo nie chce tego Partia. Musisz się wyzbyć dziewiętnastowiecznych poglądów o prawach natury. To my ustanawiamy prawa natury.

— Ależ nie! Nie jesteście nawet panami tej planety. A Eurazja i Wschodoazja? Jeszcze ich nie podbiliście.

— To nieważne. Podbijemy je, gdy uznamy to za stosowne. A jeśli nawet nie, to jakie ma to znaczenie? Możemy wymazać pamięć o ich istnieniu. Całym światem jest Oceania.

— Ale świat jest tylko pyłkiem kurzu. A człowiek bezsilnym maleństwem! Od jak dawna istnieje? Przez miliony lat Ziemia była niezamieszkana.

— Bzdura. Ziemia ma tyle lat co my, ani trochę więcej. Jak mogłaby być starsza od nas? Nie istnieje nic poza tym, co powstaje dzięki ludzkiej świadomości.

— Przecież w skałach jest pełno kości wymarłych zwierząt, mamutów, mastodontów i gadów, które żyły na długo przed pojawieniem się człowieka.

— Widziałeś te kości na własne oczy, Winstonie? Oczywiście, że nie. To wytwór wyobraźni dziewiętnastowiecznych biologów. Przed człowiekiem nie było nic. Po człowieku, jeśli nadejdzie jego kres, też nie będzie nic. Nie istnieje nic poza człowiekiem.

— Ale istnieje cały niezależny od nas wszechświat. Spójrzcie na gwiazdy! Niektóre znajdują się miliony lat świetlnych od nas. Zawsze będą poza naszym zasięgiem.

— A czym są gwiazdy? — zapytał obojętnym tonem O’Brien. — Drobnymi ognikami o parę kilometrów od nas. Sięgnęlibyśmy do nich, gdybyśmy chcieli. Albo je zasłonili. Środkiem wszechświata jest Ziemia. Słońce i gwiazdy krążą wokół niej.

Winston wykonał jeszcze jeden konwulsyjny ruch. Tym razem nic nie powiedział, ale O’Brien kontynuował, jakby odpowiadał na jego głośno

wyrażony sprzeciw:

— Oczywiście w pewnych sytuacjach, gdy służy to naszym celom, możemy uznać, że to nieprawda. Kiedy wyznaczamy kurs statku na oceanie albo przewidujemy zaćmienie Słońca, często wygodnie jest nam przyjąć, że to Ziemia krąży wokół niego, a gwiazdy są odległe o miliony kilometrów. Ale co z tego? Myślisz, że nie zdołamy stworzyć podwójnego systemu astronomii? Gwiazdy mogą być blisko lub daleko, zależnie od naszych potrzeb. Sądzisz, że nasi matematycy nie poradzą sobie z tym zadaniem? Zapomniałeś o dwumyśleniu?

Winston opadł na łóżko. Cokolwiek powiedział, otrzymywał szybką ripostę, która powalała go jak cios maczugą. A jednak wiedział, *wiedział*, że ma rację. To przekonanie, że nie istnieje nic poza umysłem — na pewno można w jakiś sposób wykazać, że jest fałszywe. Czyż już dawno temu nie dowiedziono, że jest to błędne rozumowanie? Miało to nawet jakąś nazwę, ale jej nie pamiętał. Kąciki ust O’Briena drgnęły i ułożyły się w lekkim uśmiechu. Spojrzał z góry na Winstona.

— Powiedziałem ci, Winstonie — rzekł — że metafizyka nie jest twoją silną stroną. To słowo, które usiłujesz sobie przypomnieć, to solipsyzm. Ale się mylisz. Nasz pogląd na świat nie jest solipsyzmem. Mimo to, jeśli chcesz, możesz go uważać za solipsyzm, tyle że kolektywny. A to coś zupełnie innego, w istocie jego przeciwieństwo. To wszystko tylko dygresja — dodał innym tonem. — Prawdziwa władza, o którą musimy walczyć w dzień i w nocy, nie jest władzą nad rzeczami, lecz nad ludźmi. — Przerwał i na chwilę znowu przybrał minę dyrektora szkoły strofującego zdolnego ucznia. — W jaki sposób jeden człowiek utrzymuje władzę nad innym człowiekiem, Winstonie?

Winston powiedział po namyśle:

— Zadając mu cierpienie.

— No właśnie. Zadając mu cierpienie. Posłuszeństwo nie wystarczy. Jeśli ten drugi nie cierpi, to skąd możesz mieć pewność, że jest posłuszny twojej, a nie swojej woli? Władza polega na zadawaniu bólu i poniżaniu. Władza to rozrywanie umysłu na strzępy i składanie go z nich na nowo

w takim kształcie, jaki uzna się za właściwy. Zaczynasz dostrzegać zarysy świata, jaki tworzymy? Jest on dokładnym przeciwieństwem głupich hedonistycznych utopii, o których roili dawni reformatorzy. Świat strachu, zdrady i cierpienia, świat depczących i deptanych, świat, który będzie nie mniej, lecz *bardziej* bezlitosny, gdy się udoskonali. W naszym świecie postęp będzie postępem zmierzającym do większego bólu. Dawne cywilizacje twierdziły, że opierają się na miłości lub sprawiedliwości. Nasza zasadza się na nienawiści. W naszym świecie nie będzie żadnych emocji oprócz strachu, wściekłości, tryumfu i samoponiżenia. Wszystko inne zniszczymy, wszystko. Już przełamujemy dawne nawyki myślowe, które przetrwały od czasów sprzed Rewolucji. Przecięliśmy więzi między dziećmi i rodzicami, między ludźmi i między mężczyznami i kobietami. Już nikt nie odważa się zaufać żonie, dziecku ani przyjacielowi. Ale w przyszłości nie będzie żon ani przyjaciół. Dzieci będzie się odbierać matkom zaraz po porodzie, jak kurom jajka. Popęd płciowy zostanie wypleniony. Prokreacja stanie się coroczną formalnością, jak odnowienie kartki zaopatrzenia. Usuniemy orgazm. Nasi neurolodzy już nad tym pracują. Zniknie wszelka lojalność oprócz lojalności wobec Partii. Nie będzie miłości oprócz miłości do Wielkiego Brata. Zniknie śmiech oprócz tryumfalnego śmiechu z pokonania wroga. Przestaną istnieć sztuka, literatura i nauka. Gdy staniemy się wszechmocni, nauka nie będzie już nam potrzebna. Nie będzie żadnej różnicy między pięknem i brzydotą. Przestaną istnieć ciekawość i radość życia. Zostaną zniszczone wszystkie rywalizujące ze sobą uciechy. Ale na zawsze — nie zapomnij o tym, Winstonie — na zawsze pozostanie upojenie władzą, stale wzrastające i przybierające coraz subtelniejsze formy. Zawsze też, w każdej chwili, będzie się można oddać rozkoszy zwycięstwa, poczuć przyjemny dreszczyk, tratując bezsilnego wroga. Jeśli chcesz zobaczyć obraz przyszłości, wyobraź sobie but depczący ludzką twarz — wiecznie.

Przerwał, jakby się spodziewał, że Winston coś powie. Ale on ponownie starał się jak najgłębiej zapaść w łóżko. Nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Czuł się, jakby zamarło mu serce. O’Brien podjął wątek:

— I pamiętaj, że tak będzie już zawsze. Deptanie twarzy nigdy się nie skończy. Zawsze będzie istnieć heretyk, wróg społeczeństwa, byśmy mogli go wciąż na nowo pokonywać i upokarzać. Wszystko, co przeszedłeś, odkąd znalazłeś się w naszych rękach, to wszystko nadal będzie trwało i będzie coraz gorsze. Szpiegowanie, zdrady, aresztowania, tortury, egzekucje zniknięcia nigdy się nie skończą. Będzie to w równej mierze świat terroru jak tryumfu. Im silniejsza będzie Partia, tym mniej tolerancyjna, im słabsza opozycja, tym większy despotyzm. Goldstein i jego herezje będą wiecznie żywe. Każdego dnia, w każdej chwili te poglądy będą wraz ze swym twórcą pokonywane, dyskredytowane, wyśmiewane i opluwane, a mimo to przetrwają. Ten spektakl, w którym gram z tobą od siedmiu lat, nigdy nie zejdzie ze sceny, będzie odgrywany w każdym pokoleniu, ale w coraz subtelniejszej formie. Zawsze będzie tu przebywał jakiś heretyk, zdany na naszą łaskę, wrzeszczący z bólu, załamany, godny pogardy, a na koniec całkowicie skruszony, ocalony przed samym sobą, czołgający się z własnej woli u naszych stóp. Taki świat przygotowujemy, Winstonie. Świat nieprzerwanego pasma zwycięstw, tryumfu za tryumfem, nieskończonego naciskania na nerw władzy. Widzę, że zaczynasz sobie uświadamiać, jaki będzie ten świat. W końcu nie tylko go zrozumiesz, ale i zaakceptujesz, powitasz, staniesz się jego częścią.

Winston doszedł do siebie na tyle, że wreszcie mógł przemówić.

— Nie zdołacie! — rzekł słabym głosem.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Winstonie?

— Nie zdołacie stworzyć takiego świata, jaki przez chwilą opisaliście. To marzenie, które nigdy się nie ziści.

— Dlaczego?

— Nie można stworzyć cywilizacji opierającej się na strachu, nienawiści i okrucieństwie. Taka cywilizacja nie przetrwa długo.

— A dlaczego nie?

— Nie będzie w niej witalności. Rozpadnie się. Popełni samobójstwo.

— Bzdura. Sądzisz, że nienawiść jest bardziej wyczerpująca niż miłość. A niby dlaczego? Zresztą nawet gdyby tak było, co to zmienia? Załóżmy, że

masz rację, że zgodzimy się na to, by szybciej tracić siły. Załóżmy, że wskutek naszych działań tempo ludzkiego życia tak przyspieszy, iż po trzydziestce każdy stanie się starcem. Myślisz, że to coś zmieni? Nie rozumiesz, że śmierć jednostki nie jest śmiercią? Partia jest nieśmiertelna.

Jak zwykle ten pewny siebie głos przygniótł Winstona. Czuł się wobec niego bezradny. Poza tym bał się, że jeśli nadal będzie trwał w uporze, O'Brien znowu przesunie dźwignię. Mimo to nie mógł milczeć. Przedstawiony przez O'Briena obraz świata napełniał go tak nieopisaną grozą, że choć nie mógł przeciwstawić mu żadnych argumentów, ponowił atak.

— Nie wiem, nie mam pojęcia, jak do tego dojdzie, ale poniesiecie klęskę. Coś was pokona. Pokona was życie.

— Panujemy nad życiem we wszystkich jego przejawach, Winstonie. Uroiłeś sobie, że jest coś zwanego ludzką naturą, która zapała oburzeniem na nasze działania i zwróci się przeciw nam. Ale to my formujemy ludzką naturę. Ludzie są nieskończenie ulegli. A może powróciłeś do swego dawnego marzenia, że proletariusze czy niewolnicy powstaną przeciw nam i nas obalą? Wybij to sobie z głowy. Oni są bezradni jak zwierzęta. Ludzkość to Partia. Ci, którzy są poza nią, się nie liczą.

— Nie obchodzi mnie to. W końcu was pobiją. Wcześniej czy później zobaczą, jacy jesteście naprawdę, a wtedy rozerwą was na strzępy.

— Widzisz jakieś dowody na to, że tak się dzieje? Albo jakiś powód, by do tego doszło?

— Nie. Ale wierzę w to. *Wiem*, że poniesiecie klęskę. Jest coś we wszechświecie — nie wiem, jakiś duch, jakaś zasada czy moc — której nigdy nie pokonacie.

— Wierzysz w Boga, Winstonie?

— Nie.

— A więc czym jest ta moc, która nas pokona?

— Nie wiem. Duchem człowieka.

— A ty uważasz się za człowieka?

— Tak.

— Jeśli jesteś człowiekiem, Winstonie, to ostatnim. Twój gatunek wymarł; my obejmujemy dziedzictwo po nim. Jeszcze do ciebie nie dotarło, że jesteś *sam*? Historia toczy się już bez ciebie, nie istniejesz. — Jego zachowanie się zmieniło i zapytał bardziej szorstkim tonem: — Uważasz się za lepszego od nas, bo w przeciwieństwie do nas nie kłamiesz i nie jesteś okrutny?

— Tak, uważam, że jestem lepszy.

O'Brien nic nie powiedział. Za to odezwały się dwa inne głosy. Po chwili Winston rozpoznał w jednym z nich swój własny. Było to nagranie rozmowy, którą odbył z O'Brienem tego wieczoru, gdy przystał do Bractwa. Słyszał, jak przyrzeka kłamać, kraść, oszukiwać, mordować, zachęcać do zażywania narkotyków i prostytucji, szerzyć choroby weneryczne, oblać twarz dziecka witriolem. O'Brien wykonał drobny, niecierpliwy ruch ręką, jakby chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że właściwie nie warto zawracać sobie głowy wykazywaniem Winstonowi jego obłudy. Potem przekręcił gałkę i głosy ucichły.

— Wstań z tego łóżka — powiedział.

Więzy opadły. Winston opuścił stopy na podłogę i niepewnie wstał.

— Jesteś ostatnim człowiekiem — rzekł O'Brien. — Strażnikiem ludzkiego ducha. Zobaczysz się w całej krasie. Rozbierz się.

Winston rozsupłał sznurek, który podtrzymywał jego kombinezon. Zamek błyskawiczny został wyrwany już dawno temu. Nie pamiętał, czy od momentu aresztowania choć raz zdjął ubranie. Pod kombinezonem jego ciało spowijały brudne, pożółkłe szmaty, ledwie rozpoznawalne resztki jego bielizny. Gdy zsunął je na ziemię, zobaczył, że na drugim końcu pomieszczenia znajduje się trójskrzydłowe lustro. Podszedł do niego, zatrzymał się. Z jego ust wydobył się mimowolny krzyk.

— Idź dalej — powiedział O'Brien. — Stań między skrzydłami lustra. Zobaczysz się również z boku.

Winston skamieniał ze zgrozy. Szedł ku niemu jakiś zgarbiony kościotrup o szarej skórze. Przerażające było nie tyle to, że wiedział, iż to on jest tą postacią, ile jej widok. Zbliżył się do tafli szkła. Twarz widzianej w niej

istoty zdawała się wysunięta do przodu, być może wskutek zgiętej postawy. Żałosna twarz więźnia, ze zdeformowanym, przechodzącym w łysą czaszkę czołem, przekrzywionym nosem i kościami policzkowymi noszącymi ślady pobicia, znad których łypały czujnie dzikie oczy zaszczutego zwierzęcia. Policzki były pobrużdżone, usta zapadnięte. Na pewno była to jego twarz, ale zdawało mu się, że zmieniła się bardziej niż on wewnątrz. Odcisnęły się na niej emocje inne od tych, które naprawdę przeżywał. Częściowo wyłysiał. W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że także posiwiał, ale gdy się przyjrzał dokładniej, przekonał się, że to nie siwizna, lecz jedynie szary brud. Poza dłońmi i twarzą całe jego ciało pokrywał zastarzały, wżarty w skórę brud. Tu i ówdzie wyzierały spod niego czerwone blizny po ranach, a wrzodziejący żylak koło kostki był zaognionym obrzmieniem, z którego łuszczyła się skóra. Ale najbardziej przerażające było wychudzenie całego ciała. Obręcz żeber była wąska jak u trupa, mięśnie nóg tak się skurczyły, że kolana były grubsze od ud. Zrozumiał teraz, o co chodziło O’Brienowi, gdy powiedział, by przyjrzał się sobie z boku. Kręgosłup miał nieprawdopodobnie wykrzywiony, wskutek czego wąskie ramiona tak bardzo wysunęły się do przodu, że klatka piersiowa się zapadła, a chuda szyja zdawała się zgięta w pałąk pod ciężarem głowy. Tak na oko było to ciało sześćdziesięcioletniego człowieka cierpiącego na jakąś wyniszczającą chorobę.

— Nieraz nachodziła cię myśl — rzekł O’Brien — że moja twarz, twarz członka Partii Wewnętrznej, wygląda na starą i znużoną. A co sądzisz o swojej twarzy?

Chwycił Winstona za ramiona i obrócił do siebie.

— Spójrz, w jakim jesteś stanie! — powiedział. — Popatrz na ten brud pokrywający całe twoje ciało. Popatrz na brud między palcami stóp. Spójrz na tę odrażającą, ropiejącą ranę na nodze. Wiesz, że śmierdzisz jak cap? Pewnie przestałeś to zauważać. Zobacz, jaki jesteś wychudzony. Widzisz? Mógłbym objąć twój biceps kciukiem i palcem wskazującym. Mógłbym złamać ci kark jak marchewkę. Wiesz, że odkąd znalazłeś się w naszych rękach, straciłeś dwadzieścia pięć kilogramów? Nawet włosy wychodzą ci całymi garściami. Popatrz! — Chwycił Winstona za włosy i wyszarpnął ich

cały pęk. — Otwórz usta. Zostało ci dziewięć, dziesięć, jedenaście zębów. A ile ich miałeś, zanim do nas trafiłeś? A tych kilka, które jeszcze masz, też już wypada. Popatrz!

Chwycił potężnym kciukiem i palcem wskazującym jeden z przednich zębów, które jeszcze pozostały Winstonowi. Szczękę Winstona przeszył ostry ból. O’Brien wyrwał obluzowany ząb z korzeniem i rzucił go na podłogę.

— Gnijesz — powiedział — rozpadasz się. Czym ty jesteś? Workiem zgnilizny. Obróć się i jeszcze raz spojrzyj w lustro. Widzisz tę zjawę przed sobą? Tak wygląda ostatni człowiek. Jeśli mienisz się przedstawicielem ludzkości, to tak wygląda ludzkość. Ubierz się.

Winston zaczął powoli, sztywnymi ruchami wkładać ubranie. Do tej pory zdawał się nie zauważać, jaki jest chudy i słaby. W głowie tłukła mu się tylko jedna myśl: że musi być w tym miejscu dłużej, niż sobie wyobrażał. Potem, gdy owijał się tymi nędznymi łachmanami, ogarnął go nagle żal z powodu zniszczonego ciała. Zanim zdał sobie sprawę, co robi, opadł na niski stołek przy łóżku i wybuchnął płaczem. Miał świadomość swojej brzydoty, niezborności, tego, że w ostrym świetle wygląda jak szlochająca kupa kości w brudnej bieliźnie, ale nie mógł powstrzymać łez. O’Brien położył rękę na jego ramieniu niemal przyjaznym gestem.

— To nie będzie trwać wiecznie — powiedział. — W każdej chwili możesz położyć temu kres, jeśli tylko zechcesz. Wszystko zależy od ciebie.

— To wasze dzieło! — załkał Winston. — Wy doprowadziliście mnie do takiego stanu.

— Nie, Winstonie, ty sam się do tego doprowadziłeś. Zgodziłeś się na to, kiedy zdecydowałeś się postawić Partii. Wszystko, co nastąpiło potem, było konsekwencją tego pierwszego aktu sprzeciwu. Nie zdarzyło się nic, czego nie przewidziałeś.

Zamilkł na chwilę, po czym dodał:

— Pokonaliśmy cię, Winstonie. Złamaliśmy. Widziałeś, jak wygląda twoje ciało. Twój umysł jest w takim samym stanie. Nie sądzę, by zostało w tobie wiele dumy. Byłeś kopany, chłostany, obrzucany wyzwiskami,

wyłeś z bólu, tarzałeś się po podłodze we własnej krwi i wymiocinach. Skamlałeś o litość, zdradziłeś wszystkich i wszystko. Przychodzi ci na myśl choćby jedno upokorzenie, którego nie zaznałeś?

Winston przestał płakać, choć po policzkach wciąż ciekły mu łzy. Podniósł wzrok na O’Briena.

— Nie zdradziłem Julii — powiedział.

O’Brien popatrzył ma niego z namysłem.

— Tak — powiedział — to szczera prawda. Nie zdradziłeś Julii.

Serce Winstona ponownie przepełnił osobliwy szacunek dla O’Briena, szacunek, którego — jak się zdawało — nic nie mogło zniszczyć. Jakiż on jest inteligentny, pomyślał, jakiż inteligentny! Nie zdarzyło się ani razu, żeby O’Brien nie zrozumiał, co się do niego mówiło. Każdy inny odparłby z miejsca, że ją zdradził. Bo czy zostało coś, czego nie wydobyli z niego torturami? Opowiedział im wszystko, co o niej wiedział, o jej zwyczajach, charakterze, dawnym życiu, wyznał z najdrobniejszymi szczegółami wszystko, co się działo podczas ich spotkań, wszystko, co jej mówił, a ona jemu, opowiedział o posiłkach przyrządzanych ze składników kupionych na czarnym rynku, o cudzołóstwie, o knuciu nieokreślonych intryg przeciw Partii — o wszystkim. A jednak w tym sensie, w jakim użył tego słowa, nie zdradził jej. Nie przestał jej kochać, wciąż darzył ją takim samym uczuciem. O’Brien zrozumiał, nie potrzebował dodatkowych wyjaśnień.

— Powiedzcie mi — zapytał — jak szybko mnie zastrzelą.

— Może jeszcze długo pożyjesz — odparł O’Brien. — Jesteś trudnym przypadkiem. Ale nie trać nadziei. Wcześniej czy później każdy zostaje wyleczony. W końcu cię zastrzelimy.

IV

Czuł się dużo lepiej. Z każdym dniem — jeśli można było mówić o dniach — przybywało mu ciała i sił.

Białe światło i szum były takie jak przedtem, ale cela była trochę wygodniejsza od tych, w których trzymano go wcześniej. Na drewnianej pryczy leżały materac i poduszka, był tam też stołek, na którym mógł usiąść. Dano mu skorzystać z łaźni i dość często pozwalano umyć się w blaszanej misce. Dostarczano mu w tym celu nawet ciepłą wodę. Dostał czystą bieliznę i czysty kombinezon. Wrzodziejący żylak posmarowano kojącą maścią. Usunięto resztki zębów i założono sztuczne szczęki.

Musiały minąć tygodnie albo miesiące. Mógłby teraz mierzyć upływ czasu, gdyby go to interesowało, ponieważ karmiono go — jak się zdawało — w regularnych odstępach. Oceniał, że dostaje trzy posiłki na dobę; czasami zastanawiał się tylko, czy dostaje je w nocy, czy w dzień. O dziwo, były dobre, co trzeci z mięsem. Raz otrzymał nawet paczkę papierosów. Nie miał zapałek, ale wiecznie milczący strażnik, który przynosił mu jedzenie, podawał mu ogień. Gdy pierwszy raz zaciągnął się dymem, zrobiło mu się niedobrze, ale przetrzymał to i zachował paczkę na długo, wypalając po każdym posiłku pół papierosa.

Dano mu białą tabliczkę z przywiązanym do rogu kawałkiem ołówka. Na początku nie zrobił z niej żadnego użytku. Nawet gdy nie spał, był zupełnie otępiały. Między posiłkami często leżał bez ruchu, to przysypiając, to się budząc, ale z tak ciężkimi powiekami, że otworzenie oczu wymagało zbyt dużo trudu. Już dawno przywykł do zasypiania przy silnym świetle padającym mu na twarz. Wydawało się, że to przyzwyczajenie niczego nie

zmieniło, ale sny stały się bardziej spójne. A miał ich teraz dużo i zawsze były przyjemne. Przebywał w Złotej Krainie albo siedział wśród ogromnych, wspaniałych, oświetlonych słońcem ruin z matką, Julią i O'Brienem — nie robiąc nic, tylko pławiąc się w promieniach słońca, rozmawiając z nimi o pogodnych sprawach. Myśli, które pojawiały się na jawie, odnosiły się głównie do tych snów. Zdawało mu się, że teraz, kiedy nie miał już bodźca, jaki stanowił ból, stracił zdolność do wysiłku umysłowego. Nie nudził się, nie odczuwał pragnienia rozmowy ani rozrywki. To, że jest sam, nikt go nie bije ani nie przesłuchuje, że ma pod dostatkiem jedzenia i jest czysty, całkowicie go zadowalało.

Stopniowo zaczął spędzać coraz mniej czasu we śnie, ale wciąż nie miał najmniejszej ochoty wstawać z łóżka. Chciał tylko spokojnie leżeć i czuć, jak wracają mu siły. Obmacywał się palcami to tu, to tam, by się upewnić, że to nie złudzenie i że jego mięśnie naprawdę coraz bardziej się zaokrąglają, a skóra coraz mocniej je opina. W końcu ustalił ponad wszelką wątpliwość, że nabiera ciała; uda były już zdecydowanie grubsze od kolan. Wtedy, najpierw z lekkim ociąganiem, zaczął regularne ćwiczenia fizyczne. Po niedługim czasie mógł przejść trzy kilometry, odmierzając odległość krokami w celi, a zgarbione ramiona zaczęły się powoli prostować. Spróbował bardziej złożonych ćwiczeń i stwierdził zdumiony i upokorzony, że pewnych rzeczy nie jest w stanie zrobić. Nie mógł przyspieszyć kroku, wyciągnąć stołka na długość ręki, stanąć na jednej nodze tak, by się nie przewrócić. Przysiadł na piętach i ze strasznym bólem w udach i łydkach ledwie podźwignął się do pozycji stojącej. Położył się płasko na brzuchu i starał się unieść na rękach. Było to beznadziejne zadanie — nie podniósł się nawet o centymetr. Ale po kilku dniach i kilku więcej posiłkach udało mu się tego dokonać. Nadszedł czas, gdy mógł to zrobić sześć razy z rzędu. Zaczął odczuwać prawdziwą dumę ze swego ciała, a nawet żywić od czasu do czasu nadzieję, że jego twarz też odzyskuje normalny wygląd. Dopiero gdy przypadkiem położył dłoń na swej łysej czaszce, przypomniał sobie pokiereszowaną, zmaltretowaną twarz, która spoglądała na niego z lustra.

Również jego umysł stał się sprawniejszy. Winston usiadł na pryczy, oparł się plecami o ścianę, położył tabliczkę na kolanach i z pełną świadomością tego, co robi, zabrał się do swojej reedukacji.

Skapitulował, zgoda. Zrozumiał teraz, że w rzeczywistości był gotowy do kapitulacji na długo przed podjęciem tej decyzji. Już w chwili, gdy znalazł się w Ministerstwie Miłości, a nawet, tak, jeszcze wcześniej, podczas tych trzech minut, kiedy stali z Julią bezradnie, a żelazny głos z teleekranu mówił im, co mają robić, pojął, jak lekkomyślna i bezsensowna była jego próba przeciwstawienia się potędze Partii. Teraz wiedział, że Policja Myśli obserwowała go przez siedem lat jak żuka przez szkło powiększające. Nie było żadnego czynu, żadnego głośno wypowiedzianego słowa, które uszłyby ich uwagi, ba, żadnego biegu myśli, którego nie zdołaliby wywnioskować. Odkładali nawet starannie białawy paproch na okładkę pamiętnika. Odtworzyli nagranie jego głosu, pokazali mu zdjęcia. Na niektórych był z Julią. Tak, nawet… Nie mógł już dłużej walczyć z Partią. Poza tym Partia miała rację. Musiała mieć, bo czy wieczny, nieśmiertelny umysł mógł się mylić? Według jakich zewnętrznych kryteriów można było sprawdzać trafność jego sądów? Zdrowy rozsądek to tylko dane statystyczne. Rzecz w tym, by nauczyć się myśleć jak oni. Tylko że…!

Ujął ołówek; kiedy poczuł go w palcach, wydał mu się gruby i nieporęczny. Zaczął zapisywać myśli, które przychodziły mu do głowy. Nagryzmolił wielkimi literami:

WOLNOŚĆ TO NIEWOLA.

Niemal bez zastanowienia napisał pod tym:

DWA I DWA TO PIĘĆ.

Ale później doznał jakiegoś zahamowania. Jego umysł nie chciał się skupić, jakby się od czegoś wymigiwał. Winston wiedział, że zna następne hasło, ale w tej chwili nie mógł go sobie przypomnieć. W końcu wyłoniło

się z pamięci, ale tylko dzięki świadomemu dochodzeniu, co to musi być, nie samo z siebie. Zapisał je:

BÓG TO WŁADZA.

Przystał na wszystko. Przeszłość była zmienna. Nigdy jej nie zmieniono. Oceania prowadziła wojnę ze Wschodoazją. Zawsze toczyła z nią wojnę. Jones, Aaronson i Rutherford byli winni zbrodni, o które ich oskarżono. Nigdy nie widział zdjęcia, które było dowodem ich niewinności. Ono nigdy nie istniało, uroił je sobie. Pamiętał, że wcześniej zapamiętał coś zgoła przeciwnego, ale były to fałszywe wspomnienia, wytwory wyobraźni, przywidzenia. Jakże łatwe to było! Wystarczyło tylko się poddać, a z tego wynikała cała reszta. Czuł się teraz tak, jakby wcześniej płynął pod prąd, który mimo jego wysiłków stale znosił go do tyłu, a potem nagle zdecydował się zawrócić i zamiast stawiać mu opór, popłynął z nim. Nie zmieniło się nic oprócz jego nastawienia; w każdym razie stało się to, co było przesądzone. Nie bardzo wiedział, dlaczego się kiedyś buntował. Wszystko było łatwe, tyle że…!

Wszystko mogło być prawdą. Tak zwane prawa natury były stekiem bzdur. „Gdybym zechciał — powiedział O’Brien — mógłbym się unieść nad podłogę jak bańka mydlana”. Winston zastanowił się nad tym i znalazł rozwiązanie. „Jeśli on *sądzi*, że unosi się nad podłogą, a ja *sądzę*, że to widzę, to tak się dzieje”. Nagle jak wynurzająca się spod wody deska z zatopionego wraku w jego głowie pojawiła się myśl: W rzeczywistości to się nie dzieje. Tylko to sobie wyobrażamy. Ulegamy halucynacji. Natychmiast ją od siebie odepchnął. Było to ewidentnie błędne rozumowanie. Zakładało, że gdzieś poza umysłem istnieje „rzeczywisty” świat, w którym dzieją się „rzeczywiste” rzeczy. Ale jak mógłby istnieć taki świat? Skąd możemy czerpać o czymś wiedzę, jeśli nie z naszych umysłów? Wszystko dzieje się w umyśle. A co dzieje się we wszystkich umysłach, dzieje się naprawdę.

Nie miał trudności z odrzuceniem tego błędnego rozumowania i nie groziło mu, że ponownie mu ulegnie. Niemniej zdawał sobie sprawę, że nie powinno mu to było nigdy przyjść do głowy. Umysł powinien tworzyć sobie blokadę, za każdym razem, gdy pojawia się niebezpieczna myśl. Powinien to być proces automatyczny, instynktowny. W nowomowie ukuto na to termin „zbrodniostopowanie".

Zaczął się wprawiać w zbrodniostopowaniu. Na początek wziął twierdzenia — „Partia mówi, że Ziemia jest płaska" oraz „Partia mówi, że lód jest cięższy od wody" — i ćwiczył zdolność niedostrzegania lub nierozumienia dowodów, które były z nimi sprzeczne. Nie było to łatwe. Wymagało umiejętności odwracania kota ogonem i improwizacji. Na przykład nie potrafił sobie poradzić z problemami arytmetycznymi wynikającymi z twierdzenia, że „dwa i dwa to pięć". Potrzebna do tego była ekwilibrystyka umysłowa, zdolność dowodzenia w jednym momencie swoich racji za pomocą najsubtelniejszych argumentów logicznych, a w następnym wyparcia ze świadomości, że popełnia się podstawowy błąd logiczny. Głupota była równie niezbędna jak inteligencja i równie trudno było wznieść się na jej wyżyny.

Przez cały czas część jego umysłu zaprzątało pytanie, kiedy go zastrzelą. „Wszystko zależy od ciebie", powiedział O'Brien, ale Winston wiedział, że nie może zrobić absolutnie nic, by świadomie przybliżyć tę chwilę. Mogło się to stać równie dobrze za dziesięć minut jak za dziesięć lat. Mogli trzymać go latami w izolatce albo zesłać do obozu pracy, mogli go też na jakiś czas wypuścić z więzienia, co się czasami zdarzało. Było też zupełnie możliwe, że nim go zastrzelą, powtórzy się cały spektakl aresztowania i przesłuchań. Jedyną pewną rzeczą było to, że śmierć nigdy nie nadchodziła w spodziewanym momencie. Zgodnie z tradycją — niegłoszoną tradycją, którą skądś się znało, choć nigdy się nie słyszało, by ktoś napomknął o tym choćby słowem — strzelali do ciebie z tyłu, zawsze w potylicę, bez ostrzeżenia, kiedy prowadzili cię korytarzem rzekomo z jednej celi do drugiej.

Pewnego dnia — chociaż „pewnego dnia" nie było właściwym określeniem, bo równie dobrze mogło to być w środku nocy — Winston zapadł

w dziwny błogi półsen. Zdawało mu się, że idzie korytarzem, czekając na kulę. Wiedział, że za chwilę w niego uderzy. Pozbył się wszystkich problemów, ze wszystkim się pogodził. Nie miał już żadnych wątpliwości, o nic się nie spierał, nie czuł bólu ani strachu. Jego ciało było zdrowe i silne. Szedł lekkim krokiem, ciesząc się z każdego ruchu, z poczuciem, że spaceruje w słońcu. Nie znajdował się już w wąskich, białych korytarzach Ministerstwa Miłości, lecz w ogromnym, skąpanym w słońcu, szerokim na kilometr pasażu, którym kroczył jak w narkotykowej halucynacji. Był w Złotej Krainie, szedł ścieżką przecinającą zgryzioną przez króliki łąkę. Czuł pod stopami krótką, sprężystą darń, a na twarzy łagodne promienie słońca. Na skraju łąki rosły lekko kołyszące się wiązy, a gdzieś za nimi płynął strumień, w którego zielonych rozlewiskach pod wierzbami stały, leniwie poruszając ogonami, klenie.

Nagle zerwał się z przerażeniem. Na plecy wystąpił mu pot. Usłyszał, że głośno krzyczy:

— Julia! Julia! Julia, moja kochana! Julia!

Przez chwilę nie mógł się pozbyć wrażenia, że ona jest z nim. A właściwie nie po prostu z nim, lecz w nim. Zupełnie jakby przeniknęła przez jego skórę. W tamtej chwili kochał ją znacznie bardziej niż w czasach, gdy byli razem, wolni. Wiedział także, że wciąż żyje, jest gdzieś i potrzebuje jego pomocy.

Opadł z powrotem na łóżko i starał się uspokoić. Co on nawyprawiał? Ile lat dodatkowej odsiadki będzie go kosztował ten moment słabości?

Po chwili usłyszał stukot butów za drzwiami celi. Nie mogli puścić płazem takiego wybuchu. Teraz mieli już pewność, nawet jeśli nie wiedzieli tego wcześniej, że nie dotrzymuje umowy, którą z nimi zawarł. Był posłuszny Partii, ale wciąż jej nienawidził. Dawniej ukrywał heretyckie myśli pod pozorami uległości. Teraz cofnął się o krok dalej: poddał im umysł, ale miał nadzieję, że w głębi serca pozostanie nieskalany. Wiedział, że jest w błędzie, ale wolał w nim trwać. Teraz się na tym poznają — O’Brien się pozna. Wydał się tym jednym głupim okrzykiem.

Będzie musiał zacząć wszystko od nowa. Może to trwać lata. Przeciągnął dłonią po twarzy, starając się oswoić z jej nowym kształtem. Miał głębokie zmarszczki na policzkach, ostro zarysowane kości jarzmowe, rozpłaszczony nos. Poza tym, odkąd ostatni raz widział się w lustrze, wstawiono mu nowe zęby. Niełatwo zachować nieodgadniony wyraz twarzy, jeśli się nie wie, jak ona wygląda. W każdym razie samo panowanie nad mimiką nie wystarczy. Po raz pierwszy dotarło do niego, że jeśli chce się zachować sekret, trzeba go ukryć przed samym sobą. Trzeba cały czas pamiętać, że się go ma, ale dopóki nie nadejdzie odpowiedni moment, żeby go wyjawić, nie wolno dopuścić, by pojawił się w świadomości w jakiejkolwiek formie, którą można wyrazić słowami. Od tej pory musi nie tylko myśleć poprawnie, ale również tak czuć i śnić. I cały czas musi nosić w sobie nienawiść jak grudkę materii, która jest wprawdzie jego częścią, ale niepołączoną z resztą, czymś w rodzaju cysty.

Pewnego dnia postanowią go zastrzelić. Nie miał pojęcia, kiedy to się stanie, ale na kilka sekund przedtem powinno dać się przewidzieć. Zawsze strzelali z tyłu, idąc korytarzem. Wystarczy dziesięć sekund. W tym czasie świat wewnątrz niego może się wywrócić. A potem nagle, bez słowa, bez zatrzymania się w pół kroku, bez drgnięcia powieką kamuflaż nagle opadnie i — trach! — wybuchnie z całą mocą nagromadzona w nim nienawiść. Wypełni go jak potężny, ryczący płomień. I niemal w tej samej chwili — trach! — wystrzeli kula, za późno albo za wcześnie. Roztrzaskają mu mózg w drobny mak, zanim zdążą mu to odebrać. Heretycka myśl nie zostanie ukarana, odpokutowana, na zawsze znajdzie się poza ich zasięgiem. Tą kulą wybiją dziurę w swej perfekcji. Umrzeć, nienawidząc ich — to odzyskać wolność.

Zamknął oczy. Było to zadanie trudniejsze niż wypracowanie dyscypliny umysłowej. Wymagało samoponiżenia, samookaleczenia. Musiał się zanurzyć w najwstrętniejszym brudzie. A co było najstraszniejsze, najbardziej obrzydliwe ze wszystkiego? Przyszedł mu na myśl Wielki Brat. Ogromna twarz (ponieważ stale widywał ją na plakatach, zawsze uważał, że ma metr szerokości), z bujnym czarnym wąsem i oczami, które śledziły go, gdzie-

kolwiek się ruszył, jakby sama z siebie wpłynęła do jego umysłu. Jakie naprawdę uczucia żywił do Wielkiego Brata?

Z korytarza dobiegł odgłos kroków w ciężkich butach. Stalowe drzwi otworzyły z łoskotem. Do celi wszedł O’Brien. Za nim ten oficer o woskowej twarzy i dwóch czarno umundurowanych strażników.

— Wstań — powiedział O’Brien. — Podejdź tutaj.

Winston stanął naprzeciw niego. O’Brien ujął go silnymi rękami za ramiona i przyjrzał mu się uważnie.

— Naszła cię myśl, żeby mnie oszukać — rzekł. — To było głupie. Stań prościej. Patrz mi w oczy.

Przerwał, a potem dodał łagodniejszym tonem:

— Twój stan się poprawia. Pod względem umysłowym niewiele ci już brakuje do normalności. Tylko w sferze emocjonalnej nie robisz żadnych postępów. Powiedz mi, Winstonie — i pamiętaj, żadnych kłamstw; wiesz, że zawsze potrafię je odkryć — powiedz mi, co naprawdę czujesz do Wielkiego Brata.

— Nienawidzę go.

— Nienawidzisz. Dobrze. Wobec tego nadszedł czas, żebyś zrobił ostatni krok. Musisz pokochać Wielkiego Brata. Nie wystarczy go słuchać; musisz go kochać.

Puścił Winstona i popchnął go lekko w stronę strażników.

— Pokój sto jeden — powiedział.

V

Na każdym etapie uwięzienia Winston wiedział, a przynajmniej tak mu się wydawało, w którym miejscu pozbawionego okien gmachu się znajduje. Być może wskazywały na to drobne różnice w ciśnieniu powietrza. Cele, w których bili go strażnicy, były pod poziomem ziemi. Pokój, w którym przesłuchiwał go O’Brien, na górze, blisko dachu. Ten, do którego zaprowadzono go teraz, wiele metrów pod ziemią, na najgłębszych kondygnacjach.

Pomieszczenie było obszerniejsze niż większość cel, w których dotąd go trzymano, ale ledwie widział otoczenie. Zauważył jedynie, że stoją przed nim dwa małe stoły, oba pokryte zielonym suknem. Jeden zaledwie metr czy dwa od niego, drugi dalej, koło drzwi. Winston siedział wyprostowany na krześle, związany tak ciasno, że nie mógł poruszyć żadną częścią ciała, nawet głową. Tkwiła w jakimś uchwycie w rodzaju poduszki, zmuszając go do patrzenia prosto przed siebie.

Przez chwilę był sam, a potem otworzyły się drzwi i wszedł O’Brien.

— Zapytałeś mnie kiedyś — zaczął O’Brien — co jest w pokoju sto jeden. Powiedziałem ci, że znasz już odpowiedź. Wszyscy ją znają. To, co jest w pokoju sto jeden, jest najgorszą rzeczą na świecie.

Drzwi otworzyły się ponownie. Wszedł strażnik, niosąc coś zrobionego z drutu, jakieś pudełko czy koszyk. Postawił to na dalszym stole. O’Brien zasłaniał mu widok, więc Winston nie widział, co to jest.

— Dla każdego co innego jest najgorszą rzeczą na świecie — ciągnął O’Brien. — Może to być śmierć przez zakopanie żywcem, spalenie, utopie-

nie, wbicie na pal albo na pięćdziesiąt innych sposobów. Bywa, że jest to coś błahego, co nawet nie kończy się śmiercią.

Przesunął się nieco w bok, aby Winston miał lepszy widok na przedmiot na stole. Była to podłużna druciana klatka, u góry z uchwytem do przenoszenia. Z przodu przymocowane było do niej coś, co wyglądało jak maska szermiercza, zwrócone wklęsłą stroną na zewnątrz. Chociaż klatka stała trzy czy cztery metry od niego, widział, że jest przedzielona wzdłuż na dwie części, a w każdej znajduje się jakieś stworzenie. Były to szczury.

— Dla ciebie najgorszą rzeczą na ziemi są szczury.

Gdy tylko Winston ujrzał klatkę, przeszedł go dreszcz, przeczucie, że zaraz wydarzy się coś strasznego, choć nie był pewien co. Ale w tej samej chwili dotarło nagle do niego, jakie jest przeznaczenie tej nasadki podobnej do maski. Ścięła mu się krew w żyłach.

— Nie możecie tego zrobić! — krzyknął wysokim, łamiącym się głosem. — Nie możecie, nie możecie! To niemożliwe.

— Pamiętasz przerażenie — zapytał O’Brien — które ogarniało cię w snach? Wznosiła się przed tobą ściana ciemności, a w uszach brzmiało wycie. Po drugiej stronie tej ściany znajdowało się coś strasznego. Zdawałeś sobie sprawę, że wiesz, co tam jest, ale nie śmiałeś dopuścić tego do świadomości. To były szczury.

— O’Brien! — powiedział Winston, starając się panować nad głosem. — Wiecie, że to nie jest konieczne. Co chcecie, żebym zrobił?

O’Brien nie odpowiedział wprost. Gdy się odezwał, mówił mentorskim tonem, który czasami przyjmował. Patrzył w dal, jakby zwracał się do słuchaczy gdzieś za plecami Winstona.

— Sam w sobie ból nie zawsze wystarczy. Zdarza się, że człowiek wytrzymuje ból, nawet gdy przypłaca to śmiercią. Ale dla każdego jest coś, czego nie może znieść, coś, o czym nawet boi się pomyśleć. Nie ma to żadnego związku z odwagą i tchórzostwem. Jeśli spadasz z wysoka, złapanie się liny nie jest tchórzostwem. Nie jest tchórzostwem zaczerpnięcie powietrza, kiedy wynurzasz się z topieli. To instynktowny odruch, na który nie masz najmniejszego wpływu. Tak samo jest z twoją reakcją na szczury. Dla

ciebie są one nie do zniesienia. Są formą presji, której nie jesteś w stanie się oprzeć, choćbyś się starał ze wszystkich sił. Zrobisz to, czego się od ciebie wymaga.

— Ale co, co? Jak mogę to zrobić, skoro nie wiem, co to jest?

O'Brien wziął klatkę i podszedł z nią do bliższego stołu. Postawił ją ostrożnie na suknie. Winston słyszał, jak w uszach pulsuje mu krew. Miał wrażenie, jakby siedział w całkowitej samotności. Znajdował się pośrodku wielkiej pustej przestrzeni, płaskiej pustyni prażonej słońcem, przez którą wszystkie dźwięki docierały do niego z ogromnej odległości. Ale klatka stała niespełna dwa metry od niego. Szczury były ogromne. Były w wieku, kiedy ich pyski stają się tępe i srogie, a sierść z szarej zmienia się w brązową.

— Szczur — powiedział O'Brien, wciąż zwracając się do niewidocznej publiczności — jest wprawdzie gryzoniem, ale mięsożernym. Zdajesz sobie z tego sprawę. Na pewno słyszałeś, co się dzieje w ubogich dzielnicach tego miasta. Na niektórych ulicach kobieta nie odważy się zostawić małego dziecka samego w domu nawet na pięć minut. Szczury na pewno je zaatakują. Szybko ogryzą je do kości. Atakują też chorych i umierających. Gdy chodzi o rozpoznawanie, kiedy człowiek jest bezbronny, wykazują się zdumiewającą inteligencją.

Z klatki dobiegł jazgot pisków. Do Winstona docierał on jak przez ścianę. Szczury starały się dopaść jeden drugiego, rzucając się na przegrodę. Usłyszał też głęboki jęk rozpaczy. On też zdawał się docierać z oddali.

O'Brien podniósł klatkę i robiąc to, coś w niej nacisnął. Rozległ się ostry trzask. Winston szarpnął się gwałtownie, usiłując zerwać się z krzesła. Był to daremny wysiłek, bo każda część jego ciała, nawet głowa, była unieruchomiona. O'Brien przysunął klatkę bliżej. Znalazła się niespełna metr od twarzy Winstona.

— Nacisnąłem pierwszą dźwignię — rzekł O'Brien. — Widzisz, jak skonstruowana jest ta klatka. Maska obejmie całą twoją głowę. Gdy nacisnę drugą dźwignię, jej drzwiczki przesuną się do góry. Te wygłodniałe bestie

wystrzelą z nich jak kule. Widziałeś kiedyś szczura śmigającego w powietrzu na ofiarę? Skoczą na twarz i wgryzą się w nią. Czasami rzucają się najpierw na oczy. Niekiedy przegryzają policzki i pożerają język.

Klatka była coraz bliżej, maska zamykała się wokół jego twarzy. Winston usłyszał serię przenikliwych jęków, które zdawały się rozlegać gdzieś nad jego głową. Ale zaciekle walczył z ogarniającą go paniką. Myśleć, myśleć, nawet jeśli został tylko ułamek sekundy — myślenie było jego jedyną nadzieją. Nagle w nozdrza uderzył go wstrętny, piżmowy zapach tych drapieżników. Wezbrała w nim fala mdłości i niemal stracił przytomność. Wszystko wokół pociemniało. Przez chwilę był oszalałym, wyjącym zwierzęciem. Jednak wydostał się z ciemności, chwytając się pewnej myśli. Był tylko jeden, jeden jedyny sposób, by ocalić życie. Musiał wstawić między siebie i szczury kogoś innego, skryć się za *ciałem* innej osoby.

Obrzeże maski stało się teraz tak duże, że przesłaniało widok wszystkich innych rzeczy. Druciane drzwiczki znajdowały się na szerokość dwóch dłoni od jego twarzy. Szczury wiedziały, co się zaraz stanie. Jeden z nich podskakiwał z podniecenia, drugi, stary rynsztokowy wyga, stał oparty różowymi spodami przednich łap o pręty i chciwie węszył. Winston widział jego wąsy i żółte zęby. Znowu ogarnęła go czarna panika. Był ślepy, bezbronny, niezdolny do myślenia.

— Tę karę stosowano powszechnie w cesarskich Chinach — powiedział jak zwykle dydaktycznym tonem O’Brien.

Maska zaciskała się na jego twarzy. Druty tarły policzki. I wtedy — nie, to nie była ulga, jedynie wątła iskierka nadziei. Za późno, może za późno, ale nagle zrozumiał, że na całym świecie jest tylko *jedna* osoba, na którą może przerzucić tę karę — *jedno* ciało, które może wepchnąć między siebie i szczury. I już krzyczał jak szalony, powtarzając w kółko:

— Zróbcie to Julii! Zróbcie to Julii! Nie mnie! Julii! Nie obchodzi mnie, co z nią zrobicie. Niech te szczury rozszarpią jej twarz do kości. Nie mnie! Nie mnie! Julii!

Opadał do tyłu, w przepastną otchłań, z dala od szczurów. Wciąż był przykuty do krzesła, ale przeleciał przez podłogę, przez mury budynku,

przez ziemię, przez oceany, przez atmosferę, w przestrzeń kosmiczną, w próżnię między gwiazdami — dalej, dalej, coraz dalej od szczurów. Znalazł się o lata świetlne od nich, ale obok niego wciąż stał O’Brien. Wciąż czuł na policzkach zimny dotyk drutów. Ale w ciemności, która go otaczała, usłyszał kolejne metaliczne szczęknięcie i wiedział już, że drzwiczki się zatrzasnęły, a nie otworzyły.

VI

W kawiarni Pod Kasztanem było prawie pusto. Na zakurzone blaty stolików padały ukośnie przez okno żółte promienie słońca. Była piętnasta, godzina samotności. Z teleekranu sączyła się brzękliwa muzyka.

Winston siedział w tym samym kącie co zwykle, patrząc w pustą szklankę. Od czasu do czasu zerkał na szeroką twarz, która przyglądała mu się z przeciwległej ściany. WIELKI BRAT PATRZY NA CIEBIE, głosił napis pod nią. Kelner podszedł niewezwany, napełnił szklankę Dżinem Zwycięstwa i dolał do niego kilka kropli z innej butelki zatkanej korkiem z tulejką. Była to sacharyna przyprawiona goździkami, specjalność zakładu.

Winston słuchał dźwięków dobiegających z teleekranu. Na razie płynęła z niego tylko muzyka, ale w każdej chwili można się było spodziewać specjalnego komunikatu Ministerstwa Pokoju. Wiadomości z frontu afrykańskiego były w najwyższym stopniu niepokojące. Martwił się nimi przez cały dzień. Armia eurazjatycka (Oceania toczyła wojnę z Eurazją; zawsze z nią walczyła) posuwała się na południe z zatrważającą prędkością. W komunikacie wydanym w południe nie wspomniano o żadnym konkretnym rejonie, ale było prawdopodobne, że polem bitwy stało się już ujście Konga. Brazzaville i Leopoldville znalazły się w niebezpieczeństwie. Nie trzeba było patrzeć na mapę, by wiedzieć, co to oznacza. Nie była to już tylko kwestia utraty Afryki Środkowej — po raz pierwszy od początku wojny zagrożone było terytorium samej Oceanii.

Wezbrała w nim gwałtowna emocja, nie tyle strach, ile jakieś nieokreślone podniecenie, ale zaraz opadła. Przestał myśleć o wojnie. W tych dniach nie potrafił skupić myśli na żadnym temacie dłużej niż kilka minut.

Podniósł szklankę i opróżnił ją jednym haustem. Jak zawsze wzdrygnął się, a nawet poczuł lekki odruch wymiotny. Napój był wstrętny. Goździki i sacharyna, same w sobie wywołujące nudności, nie mogły zabić mdłej woni oleju, ale najgorsze było to, że odór dżinu, który towarzyszył Winstonowi dzień i noc, nierozerwalnie łączył się w jego umyśle ze smrodem tych…

Nigdy, nawet w myślach, nie wymieniał ich nazwy i na ile to było możliwe, starał się nie przywoływać ich widoku. Były czymś, co istniało na skraju jego świadomości, kręciło się koło jego twarzy, fetorem, który przywarł do jego nozdrzy. Gdy dżin podszedł mu do gardła, czknął przez fioletowe usta. Odkąd wypuszczono go z więzienia, przytył, a na jego twarz powrócił dawny kolor, a właściwie nawet się pogłębił. Jego rysy pogrubiały, skóra na nosie i policzkach stała się ordynarnie czerwona, nawet łysa czaszka przybrała zbyt różową barwę. Kelner, znowu nieprzywoływany, przyniósł szachownicę i najnowsze wydanie „Timesa”, otwarte na stronie z zadaniem szachowym. Potem, zobaczywszy, że szklanka Winstona jest pusta, przyniósł butelkę z dżinem i ponownie ją napełnił. Winston nie musiał składać żadnych zamówień. Znano tu jego zwyczaje. Zawsze czekała na niego szachownica, jego stolik w rogu zawsze był zarezerwowany; nawet gdy w lokalu było pełno gości, miał go tylko dla siebie, ponieważ nikt nie chciał, by go widziano zbyt blisko Winstona. Nigdy nawet nie zadawał sobie trudu, by policzyć, ile kolejek dżinu wypił. W nieregularnych odstępach czasu przynoszono mu brudny kawałek papieru, rzekomo rachunek, ale miał wrażenie, że zawsze jest on za niski. Nie robiłoby mu różnicy, gdyby było odwrotnie. Obecnie zawsze dysponował sporą gotówką. Miał nawet pracę, synekurę, znacznie lepiej płatną niż poprzednie zajęcie.

Muzyka z teleekranu urwała się i w jej miejsce pojawił się głos. Winston uniósł głowę, by posłuchać. Nie był to jednak komunikat z frontu, lecz tylko krótka informacja Ministerstwa Obfitości. Okazało się, że w ubiegłym kwartale produkcja sznurowadeł zakładana w dziesiątym Planie Trzyletnim została przekroczona o dziewięćdziesiąt osiem procent.

Przeanalizował zadanie szachowe i rozstawił piony i figury. Zakończenie partii było sprytne, z udziałem dwóch skoczków. „Daj mata białymi w dwóch ruchach”. Winston spojrzał na portret Wielkiego Brata. Białe zawsze wygrywają, pomyślał z jakimś pochmurnym mistycyzmem. Zawsze, bez wyjątku, tak to już jest. Od początku świata czarne nigdy nie wygrały. Czyż nie było to symbolem wiecznego, niezmiennego zwycięstwa Dobra nad Złem? Ogromna twarz odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym spokojnej mocy. Białe zawsze dają mata.

Głos z teleekranu przerwał, po czym dodał innym, dużo poważniejszym tonem:

— Uprzedza się wszystkich, by czekali na ważne oświadczenie o piętnastej trzydzieści. Piętnasta trzydzieści! To wiadomość najwyższej wagi. Dołóżcie wszelkich starań, by go nie przegapić. Piętnasta trzydzieści!

Ponownie buchnęła brzękliwa muzyka.

Winstonowi mocniej zabiło serce. To będzie komunikat z frontu; instynkt podpowiadał mu, że nadchodzą złe wieści. Przez cały dzień odczuwał krótkie przypływy podenerwowania na myśl o druzgoczącej klęsce w Afryce. Wydawało mu się, że widzi armię eurazjatycką przewalającą się przez nigdy wcześniej nienaruszoną granicę i ciągnącą w dół tego kontynentu jak kolumna mrówek. Dlaczego nie można było jej w jakiś sposób oskrzydlić? Miał w głowie wyraźny zarys zachodnioafrykańskiego wybrzeża. Podniósł białego skoczka i przestawił go na inne pole. *Tam* był właściwy punkt. Widząc oczami wyobraźni pędzące na południe czarne hordy, zobaczył inne, zgromadzone w jakiś tajemniczy sposób siły, nagle przemieszczone na ich tyły, odcinające ich morskie i lądowe linie komunikacyjne. Czuł, że siłą woli powołuje te inne siły do istnienia. Ale trzeba było działać szybko. Jeśli wróg opanuje całą Afrykę, jeśli zajmie lotniska i bazy okrętów podwodnych na Przylądku Dobrej Nadziei, rozetnie Oceanię na pół. Mogło to oznaczać wszystko: klęskę, rozpad, ponowny podział świata, zniszczenie Partii! Wziął głęboki oddech. Kłębiła się w nim niezwykła mieszanina sprzecznych uczuć — chociaż raczej nawarstwiały się niż mieszały i nie mógł się połapać, która jest na wierzchu.

Wzburzenie minęło. Odstawił białego skoczka na poprzednie miejsce, ale przez chwilę nie mógł się zabrać do poważnego zastanowienia się nad rozwiązaniem zadania szachowego. Jego myśli znów zaczęły błądzić. Niemal nieświadomie napisał palcem na zakurzonym stole:

2 + 2 = 5

„Nie mogą wejść w ciebie”, powiedziała. Ale mogli. „To, co się tutaj z tobą stanie, zmieni cię *na zawsze*”, powiedział O’Brien. To była prawda. Są rzeczy, twoje własne czyny, po których już nigdy nie dojdziesz do siebie. Coś w tobie zostaje zabite, wypalone, skauteryzowane.

Widział ją, nawet z nią rozmawiał. Niczym to nie groziło. Wiedział, a raczej czuł to intuicyjnie, że teraz nie przejawiają już prawie żadnego zainteresowania tym, co robi. Gdyby któreś z nich tego chciało, mógłby się z nią umówić na następne spotkanie. Bo wtedy spotkali się przypadkiem. Stało się to w Parku, w marcowy, obrzydliwy, przejmująco zimny dzień, kiedy ziemia była twarda jak żelazo, cała trawa zdawała się martwa i nigdzie nie było ani jednego pączka kwiatu oprócz kilku krokusów, które przebiły się na powierzchnię tylko po to, by rozszarpał je wiatr. Szedł szybko, ze zmarzniętymi rękami i łzawiącymi oczami, gdy zobaczył ją nawet nie dziesięć metrów przed sobą. Od razu uderzyło go, że się w jakiś trudny do określenia sposób zmieniła. Minęli się bez choćby jednego gestu, ale potem zawrócił i — niezbyt ochoczo — poszedł za nią. Wiedział, że nie muszą się niczego obawiać, że nikt nie zwróci na nich uwagi. Nie odezwała się ani słowem. Szła na ukos przez trawnik, jakby starała się go pozbyć, ale w końcu zrezygnowała i pogodziła się z tym, że idzie obok niej. Wkrótce znaleźli się w kępie bezlistnych, postrzępionych krzewów, które nie dawały żadnej osłony ani przed wzrokiem innych osób, ani przed wiatrem. Zatrzymali się. Było przeraźliwie zimno. Wiatr świstał w gałęziach i targał nieliczne, brudne krokusy. Winston objął ją w pasie.

Nie było tam żadnego teleekranu, ale musiały być ukryte mikrofony, a poza tym byli dobrze widoczni. Nie miało to żadnego znaczenia, nic nie

miało znaczenia. Gdyby chcieli, mogliby się położyć na ziemi i zrobić *to*. Na samą myśl o tym ścierpła mu skóra. W ogóle nie zareagowała na to, że ją objął; nawet nie próbowała się odsunąć. Już wiedział, co się w niej zmieniło. Jej cera była ziemista, a przez czoło i skroń biegła, częściowo ukryta pod włosami, długa blizna, ale nie tylko do tego sprowadzała się ta zmiana. Przede wszystkim jej talia stała się grubsza i zadziwiająco sztywna. Pamiętał, jak kiedyś po wybuchu pocisku rakietowego pomagał wyciągnąć z ruin trupa i zdumiał go nie tylko jego niezwykły ciężar, ale także sztywność, która sprawiała, że zdawał się raczej głazem niż cielesną powłoką, i trudno było go ująć. Jej ciało było takie samo. Przyszło mu do głowy, że jej skóra jest na pewno inna w dotyku niż dawniej.

Nie próbował jej pocałować, nie odezwali się też do siebie. Gdy wracali przez trawnik, po raz pierwszy spojrzała wprost na niego. Było to przelotne spojrzenie, pełne pogardy i niechęci. Zastanawiał się, czy ta niechęć wynikała tylko z przeszłości, czy też wzbudziły ją również jego obrzmiała twarz i łzy, które wiatr wyciskał z jego oczu. Usiedli na dwóch żelaznych krzesłach, obok siebie, ale niezbyt blisko. Po jej zachowaniu zorientował się, że Julia zaraz coś powie. Wysunęła o kilka centymetrów stopę w niezgrabnym bucie i celowo rozdeptała gałązkę. Zauważył, że również jej stopa wydaje się szersza.

— Zdradziłam cię — powiedziała śmiało.

— A ja zdradziłem ciebie — odparł.

Ponownie obrzuciła go niechętnym spojrzeniem.

— Czasami — powiedziała — grożą ci czymś… czymś, czego nie jesteś w stanie znieść, o czym boisz się nawet pomyśleć. I wtedy mówisz: „Nie róbcie mi tego, zróbcie to komuś innemu, zróbcie to temu a temu”. A potem możesz udawać sam przed sobą, że to był tylko wybieg, że powiedziałeś to tylko po to, by ich powstrzymać, a w rzeczywistości wcale tego nie chciałeś. Ale to nieprawda. Kiedy to się dzieje, naprawdę tego chcesz. Jesteś przekonany, że nie możesz ocalić życia w żaden inny sposób, i jesteś gotów to zrobić. *Chcesz*, żeby to się przydarzyło innej osobie. Masz w nosie to, że będzie cierpiała. Troszczysz się tylko o siebie.

— Troszczysz się tylko o siebie — powtórzył jak echo.

— A potem nie czujesz już do tej osoby tego, co przedtem.

— Tak — powiedział — nie czujesz już tego, co przedtem.

Wyglądało na to, że nie mają sobie nic więcej do powiedzenia. Wiatr przenikał przez ich cienkie kombinezony. Niemal natychmiast siedzenie tam w milczeniu stało się krępujące; poza tym było za zimno, by tkwić bez ruchu.

— Musimy się spotkać ponownie — powiedział.

— Tak — zgodziła się — musimy się spotkać ponownie.

Przez krótki czas trzymał się niezdecydowanie pół kroku za nią. Nie wymienili już ani słowa. Właściwie nie starała się go pozbyć, ale szła tak szybko, że nie mógł się z nią zrównać. Miał zamiar odprowadzić ją do stacji metra, ale nagle doszedł do wniosku, że wleczenie się za nią w taki ziąb jest bezsensowne i nieznośne. Opanowało go pragnienie nie tyle ucieczki od Julii, ile powrotu do kawiarni Pod Kasztanem, która nigdy wcześniej nie wydawała mu się tak pociągająca jak teraz. Pomyślał z tęsknotą o swoim stoliku w rogu, z gazetą, szachownicą i szklanką ze stale uzupełnianym dżinem. Przede wszystkim będzie tam ciepło. W następnej chwili, nie całkiem przypadkiem, pozwolił, by oddzieliła go od niej mała grupka ludzi. Spróbował bez przekonania ją dogonić, potem zwolnił kroku, odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę. Po przejściu pięćdziesięciu metrów obejrzał się. Na ulicy nie było tłoku, ale nie mógł już jej odróżnić od innych przechodniów. Mogła być dowolną z tuzina spieszących się postaci. Być może jej pogrubiałego i zesztywniałego ciała nie dało się już rozpoznać od tyłu.

„Kiedy to się dzieje — powiedziała — naprawdę tego chcesz”. On tego chciał. Nie tylko to powiedział, ale pragnął tego. Pragnął, żeby to ją, a nie jego, wydano na pastwę tych…

W muzyce płynącej z teleekranu coś się zmieniło. Wkradła się w nią fałszywa i szydercza, gorzka nuta. A potem — może to się wcale nie działo, może było to tylko wspomnienie, które przybrało postać dźwięku — jakiś głos zaśpiewał:

Pod potężnym kasztana pniem
Sprzedałem ciebie, tyś sprzedał mnie…

Do oczu napłynęły mu łzy. Przechodzący obok kelner zauważył, że jego szklanka jest pusta, i wrócił z butelką dżinu.

Winston podniósł szklankę i powąchał jej zawartość. Alkohol z każdym łykiem stawał się nie mniej, lecz bardziej wstrętny. Ale był żywiołem, w którym pływał, jego życiem, śmiercią i zmartwychwstaniem. To dżin wprawiał go co wieczór w senne otępienie, to dżin ożywiał go każdego ranka. Gdy się budził, co rzadko zdarzało się przed jedenastą, ze sklejonymi powiekami, paleniem w ustach i grzbietem tak obolałym, jakby mu go ktoś przetrącił, nie byłby w stanie nawet unieść się z pozycji horyzontalnej, gdyby nie butelka i filiżanka, które wieczorem stawiał przy łóżku. W południowe godziny siedział ze szklistym wzrokiem oraz butelką pod ręką i słuchał teleekranu. Od piętnastej do zamknięcia lokalu nie wychylał nosa z kawiarni Pod Kasztanem. Nikogo już nie obchodziło, co robi, nie budził go żaden gwizdek, nie upominał żaden teleekran. Od czasu do czasu, chyba dwa razy w tygodniu, chodził do zakurzonego biura w Ministerstwie Prawdy, które wyglądało tak, jakby zapomniano o jego istnieniu, i wykonywał jakąś pracę czy coś zwanego pracą. Przydzielono go do podkomisji jakiejś podkomisji, która wykiełkowała z jednej z niezliczonych komisji zajmujących się drobnymi trudnościami, które pojawiały się podczas opracowywania jedenastego wydania *Słownika nowomowy*. Sporządzali coś, co nazywano sprawozdaniami okresowymi, ale nigdy nie udało mu się ustalić, o czym właściwie w tych sprawozdaniach informowali. Miało to coś wspólnego z kwestią, czy przecinki należy stawiać przed czy za nawiasami. W skład tej podkomisji wchodziły jeszcze cztery inne osoby, z podobną do jego przeszłością. Bywały dni, kiedy się zbierali i zaraz potem rozchodzili, szczerze przyznając jeden drugiemu, że tak naprawdę nie mają nic do roboty. Ale zdarzały się i takie, kiedy niemal ochoczo zabierali się do pracy, ostentacyjnie demonstrując, że wykorzystują każdą minutę, i sporządzając długie notatki służbowe, których nigdy nie kończyli, kiedy spory o to,

czego rzekomo dowodzą, stawały się niezwykle gorące i zawiłe, pełne targów o subtelne zmiany definicji, pokrętnych dygresji, kłótni, a nawet pogróżek, że zwrócą się do wyższej instancji. A potem nagle całe to ożywienie mijało i siedzieli wokół stołu, patrząc na siebie zgaszonym wzrokiem, jak duchy znikające z pierwszym pianiem koguta.

Teleekran na chwilę ucichł. Winston ponownie uniósł głowę. Komunikat! Ale nie, tylko zmieniano muzykę. Pod powiekami miał obraz Afryki. Ruchy armii były na niej zaznaczone jak na diagramie: czarna strzałka przedzierała się pionowo na południe, a biała poziomo na wschód i przecinała ogon pierwszej. Jakby dla upewnienia się spojrzał na niewzruszoną twarz na portrecie. Czy to możliwe, by ta druga strzałka nawet nie istniała?

Znowu stracił zainteresowanie sytuacją na froncie. Wypił kolejny łyk dżinu, podniósł białego skoczka i wykonał nim niepewny ruch. Szach. Ale ewidentnie nie było to właściwe posunięcie, ponieważ…

Ni z tego, ni z owego w jego pamięci odżyło wspomnienie. Ujrzał oświetlony świecą pokój z szerokim, pokrytym białą kołdrą łożem i siebie, dziewięcio- czy dziesięcioletniego chłopca, siedzącego na podłodze, potrząsającego kubkiem z kostkami do gry i śmiejącego się niepowstrzymanie. Matka siedziała naprzeciw niego i też się śmiała.

Musiało to być mniej więcej miesiąc przed jej zniknięciem. Była to chwila pojednania, kiedy zapomniał o skręcającym się z głodu żołądku i na moment odżyło uczucie, jakim ją wcześniej darzył. Dobrze pamiętał ten dzień: lało jak z cebra, po szybach spływały strugi deszczu, a światło w domu było zbyt słabe, by można było przy nim czytać. Nuda ogarniająca dwójkę dzieci w ciemnej, zagraconej sypialni stała się nieznośna. Winston marudził i grymasił, na próżno domagał się jedzenia, miotał się po pokoju, zrzucając wszystko i kopiąc w boazerię, aż sąsiedzi zaczęli stukać w ścianę, podczas gdy młodsze dziecko co rusz wybuchało płaczem. W końcu matka powiedziała: „Bądź grzeczny, to kupię ci zabawkę. Śliczną zabawkę, bardzo ci się spodoba”, a potem poszła w tym deszczu do małego sklepiku wielobranżowego nieopodal, który wciąż bywał sporadycznie otwarty, i wróciła z tekturowym pudełkiem zawierającym grę planszową „Drabiny i węże”.

Wciąż pamiętał zapach wilgotnej tektury. Plansza była popękana, a drewniane kostki tak źle wycięte, że — położone na boku — ledwie się trzymały. Patrzył na nie ponuro i bez zainteresowania. Ale potem matka zapaliła ogarek świecy i usiedli na podłodze, żeby zagrać. Wkrótce gra tak go wciągnęła, że zanosił się śmiechem, patrząc, jak pionki wspinają się z nadzieją po drabinach, a potem ześlizgują się z węży niemal na pozycje wyjściowe. Rozegrali osiem partii, z których każde z nich wygrało cztery. Jego siostrzyczka, za mała, by zrozumieć, o co chodzi w tej grze, siedziała oparta o podgłówek, śmiejąc się, bo oni się śmiali. Przez całe popołudnie wszyscy byli razem szczęśliwi, jak w czasach jego wcześniejszego dzieciństwa.

Wyparł ten obraz z głowy. Było to fałszywe wspomnienie. Takie wspomnienia nawiedzały go od czasu do czasu. Nie miały znaczenia, jeśli wiedziało się, czym naprawdę są. Niektóre rzeczy faktycznie się wydarzyły, niektóre nie. Wrócił do szachownicy i ponownie podniósł białego skoczka. Niemal w tej samej chwili figura spadła z łoskotem na szachownicę. Winston podskoczył jak ukłuty szpilką.

Powietrze przeszył tryumfalny dźwięk trąbki. To był ten komunikat! Zwycięstwo! Jeśli wiadomość poprzedzał dźwięk trąbki, zawsze oznaczało to zwycięstwo. Przez kawiarnię przebiegł elektryzujący dreszcz podniecenia. Nawet kelnerzy poderwali się i nadstawili uszu.

Dźwięk trąbki wywołał ogromny rwetes. Z teleekranu trajkotał już podniecony głos, ale zaledwie się odezwał, został prawie zagłuszony przez dobiegający z zewnątrz ryk wiwatów. Wiadomość niosła się ulicami jak pod wpływem magii. Winston zdołał usłyszeć wystarczająco dużo z tego, co wydobywało się z teleekranu, by zrozumieć, że wszystko przebiegło tak, jak przewidział: zgromadzona w tajemnicy przed wrogiem wielka armada, nagłe uderzenie na jego tyły, biała strzałka przebijająca ogon czarnej. Przez wrzawę przebijały się fragmenty tryumfalnych doniesień: „Wielki manewr strategiczny… idealna koordynacja… całkowity pogrom… pół miliona jeńców… kompletna demoralizacja… opanowanie całej Afryki… prowadzą do

rychłego zakończenia wojny… zwycięstwo… największe zwycięstwo w dziejach ludzkości… zwycięstwo, zwycięstwo, zwycięstwo!”.

Stopy Winstona wykonywały pod stołem konwulsyjne ruchy. Nie ruszył się z miejsca, ale w myślach biegł, pędził, był z tłumem na zewnątrz, wiwatując do utraty tchu. Znowu spojrzał na portret Wielkiego Brata. Oto gigant, który górował nad światem! Skała, o którą rozbijały się azjatyckie hordy! Pomyślał, jak zaledwie dziesięć minut temu — tak, zaledwie dziesięć minut temu — targały nim ambiwalentne uczucia, gdy się zastanawiał, czy z frontu nadejdzie wiadomość o zwycięstwie, czy o klęsce. Ach, odczuwał coś więcej niż tylko radość, że eurazjatycka armia została zniszczona! Od pierwszego dnia w Ministerstwie Miłości wiele się w nim zmieniło, ale aż do tej chwili nie dokonała się ostateczna, niezbędna, uzdrawiająca zmiana.

Głos z teleekranu wciąż snuł opowieść o jeńcach, łupach i rzezi, ale krzyki na zewnątrz nieco osłabły. Kelnerzy wrócili do pracy. Jeden z nich podszedł z butelką dżinu. Winston, siedząc w błogim rozmarzeniu, nawet nie zauważył, że jego szklanka została napełniona. Nie biegł już i nie wiwatował. Był z powrotem w Ministerstwie Miłości, wszystko zostało mu wybaczone, jego dusza była czysta jak świeży śnieg. Stał pod pręgierzem, wszystko wyznawał, wszystkich wydawał. Szedł korytarzem wyłożonym białymi ceramicznymi płytkami z uczuciem, że spaceruje w słońcu, a za nim podążał uzbrojony strażnik. W jego mózg wbijała się upragniona kula.

Popatrzył na ogromną twarz. Odkrycie, jaki uśmiech kryje się pod bujnym wąsem, zajęło mu czterdzieści lat. Och, jakież okrutne, niepotrzebne niezrozumienie! Och, cóż za uparty opór przed przygarnięciem do przepełnionej miłością piersi! Po obu stronach jego nosa pociekły dwie pachnące dżinem łzy. Ale wszystko było dobrze, wszystko było już dobrze, walka dobiegła końca. Odniósł nad sobą zwycięstwo. Pokochał Wielkiego Brata.

KONIEC

ANEKS

Zasady nowomowy

Nowomowa, urzędowy język Oceanii, została stworzona dla potrzeb ideologicznych angsocu, czyli angielskiego socjalizmu. W 1984 roku nikt jeszcze nie używał jej ani w mowie, ani w piśmie jako jedynego środka komunikacji. Wprawdzie pisano w niej artykuły wstępne w „Timesie", ale były to wyczyny, do których zdolna była jedynie wąska grupa wybitnych specjalistów. Przewidywano, że nowomowa zastąpi ostatecznie staromowę (czyli — jak powiedzielibyśmy — poprawny język angielski) około roku 2050. Tymczasem stawała się coraz bardziej popularna, gdyż wszyscy członkowie Partii starali się coraz częściej używać jej słów i konstrukcji gramatycznych w mowie codziennej. Wersja będąca w użyciu w roku 1984, ujęta w dziewiątym i dziesiątym wydaniu *Słownika nowomowy*, była prowizoryczna i zawierała wiele zbędnych słów i archaicznych sformułowań, które miały zostać wycofane później. Tutaj zajmiemy się wersją ostateczną i udoskonaloną, przedstawioną w wydaniu jedenastym.

Celem nowomowy było nie tylko dostarczenie środków wyrazu dla światopoglądu i nawyków myślowych właściwych dla zagorzałych zwolenników angsocu, ale również uniemożliwienie myślenia w inny sposób. Intencją jej twórców było doprowadzenie do tego, by — kiedy nowomowa zostanie raz na zawsze przyjęta, a staromowa zapomniana — żaden heretycki, to znaczy odbiegający od zasad angsocu, pogląd nie był możliwy do sformułowania, przynajmniej w tej mierze, w jakiej myśl wyraża się sło-

wami. Jej słownictwo zostało tak skonstruowane, by nadać dokładną, często bardzo subtelną, postać każdemu znaczeniu, które chciałby prawidłowo przekazać każdy prawomyślny członek Partii, a jednocześnie usunąć wszelkie inne znaczenia oraz możliwość wyrażenia ich w sposób okrężny lub zawoalowany. Dokonano tego, częściowo tworząc inne słowa, ale głównie usuwając słowa niepożądane, a te, które pozostały, pozbawiając znaczeń niezgodnych z partyjną ortodoksją i w miarę możliwości wszelkich znaczeń drugorzędnych czy ubocznych. Weźmy jeden tylko przykład. W nowomowie nadal istniał przymiotnik „wolny", ale można go było używać tylko w takich zdaniach jak „Ten pies jest wolny od pcheł" albo „To pole jest wolne od chwastów". Nie można go było zastosować w dawnym sensie, to znaczy powiedzieć o kimś, że jest „wolny politycznie" czy „wolny intelektualnie", ponieważ nie istniały już nawet pojęcia wolności politycznej czy intelektualnej, a zatem z konieczności zniknęły ich nazwy. Oprócz usuwania zdecydowanie heretyckich terminów zubożenie słownictwa traktowano jako cel sam w sobie, więc nie miało prawa przetrwać żadne słowo, którego można było się pozbyć. Nowomowę stworzono nie po to, by poszerzyć, lecz zawęzić zakres myślenia, a cel ten realizowano przez okrawanie zasobu słownictwa do niezbędnego minimum.

Podstawą nowomowy był język angielski w tej postaci, w jakiej obecnie się nim posługujemy, ale wiele jej zdań, nawet bez nowo utworzonych słów, byłoby niezrozumiałych dla dzisiejszego jego użytkownika. Słownictwo nowomowy dzieliło się na trzy odrębne zbiory, zwane słownikiem A, słownikiem B (zawierającym słowa złożone) i słownikiem C. Najprościej będzie omówić każdy z tych zbiorów z osobna, ale gramatyczne osobliwości tego języka zostaną wyłożone w sekcji poświęconej słownikowi A, ponieważ we wszystkich trzech obowiązywały te same reguły.

Słownik A. Ten zbiór składał się ze słów niezbędnych w życiu codziennym, określających takie czynności jak jedzenie, picie, praca, wkładanie ubrania, wchodzenie i schodzenie ze schodów, poruszanie się pojazdami, uprawianie ogrodów, gotowanie i tym podobnych. Obejmował niemal wyłącznie słowa,

które posiada nasz język — takie jak „uderzenie”, „bieg”, „pies”, „drzewo”, „cukier”, „dom”, „pole” — ale w porównaniu z dzisiejszym angielskim słownictwem ich liczba była niezwykle mała, a znaczenia ściślej zdefiniowane. Usunięto wszelkie dwuznaczności i odcienie znaczeniowe. Na ile było to możliwe, doprowadzono do tego, że słowo nowomowy z tego zbioru stało się po prostu ciągiem dźwięków wyrażających *jedno* dokładnie rozumiane pojęcie. Używanie słów z tego zbioru w twórczości pisarskiej czy w dyskusji politycznej albo filozoficznej było zupełnie niemożliwe. Miały one wyrażać proste, służące określonemu celowi myśli, zwykle odnoszące się do konkretnych przedmiotów lub czynności fizycznych.

Gramatyka nowomowy miała dwie bardzo wyraźne cechy szczególne. Pierwszą była niemal całkowita wymienność różnych części mowy. W zależności od sytuacji każde słowo tego języka (w zasadzie odnosiło się to nawet do bardzo abstrakcyjnych wyrazów, takich jak „jeśli” czy „kiedy”) mogło być użyte jako czasownik, rzeczownik, przymiotnik czy przysłówek. Pomiędzy formą czasownikową a formą rzeczownikową, jeśli miały taki sam rdzeń, nie było żadnych różnic; zasada ta sama z siebie zakładała zniszczenie wielu form archaicznych. W nowomowie nie istniało na przykład słowo „myśl”, aczkolwiek jego temat zachował się w niektórych wyrazach złożonych, takich jak „myślozbrodnia”. Jego miejsce zajął termin „myślenie”, który pełnił zarówno rolę rzeczownika, jak i czasownika. Nie kierowano się przy tym żadnymi zasadami etymologii: w niektórych wypadkach zdecydowano się zachować oryginalny rzeczownik, w innych czasownik. Nawet gdy rzeczownik i czasownik o zbliżonych znaczeniach nie były ze sobą powiązane etymologicznie, często rugowano jeden lub drugi. Nie było na przykład takiego słowa jak „ciąć”, bo jego znaczenie dostatecznie oddawała forma rzeczownikowo-czasownikowa „nóż”. Jej podstawą był rzeczownik, który po zmianie końcówki przekształcał się w różne formy czasownika [1]. Podobnie rzecz się miała z przymiotnikami i przysłówkami. Pierwsze tworzono przez dodanie do tematu formy rzeczownikowo-czasownikowej przyrostka „-ny”, drugie przyrostka „-nie”.

I tak na przykład „prędny” oznaczało „szybki”, a „prędnie” — „szybko”. Zachowano pewną część naszych dzisiejszych przymiotników, takich jak „dobry”, „silny”, „duży”, „czarny”, „miękki”, ale ich ogólna liczba była bardzo mała. Skoro niemal każde znaczenie przymiotnikowe można było uzyskać przez dodanie przyrostka „-ny”, stały się one niemal zbędne. Nie ostał się żaden z obecnie używanych przysłówków, oprócz bardzo nielicznych kończących się na „-nie”; niemal wyłącznie używano tej końcówki. Na przykład słowo „dobrze” zastąpiono słowem „dobrnie”.

Poza tym znaczenie każdego wyrazu — to też w zasadzie odnosiło się do całego zasobu leksykalnego tego języka — można było zmienić na przeciwstawne przez dodanie przedrostka „nie-”, a z drugiej strony można było je wzmocnić przedrostkiem „plus-”, a dla większej emfazy przedrostkiem „dwakroćplus-”. I tak na przykład „niezimny” oznaczał „ciepły”, natomiast „pluszimny” i „dwakroćpluszimny” odpowiednio „bardzo zimny” i „nieznośnie zimny”. Było też możliwe, podobnie jak we współczesnym angielskim, zmienienie znaczenia prawie wszystkich słów przez stosowanie przyimków, takich jak „przed”, „po”, „na”, „ku”, „do” itd., traktowanych jako przedrostki. Dzięki takim metodom udało się doprowadzić do ogromnego zmniejszenia zasobu słów. Skoro na przykład istniało słowo „dobry”, nie było potrzeby używać słowa „zły”, ponieważ to samo można było równie dobrze, a nawet lepiej, wyrazić słowem „niedobry”. W wypadku słów o przeciwstawnych znaczeniach należało tylko zdecydować, które z nich usunąć. I tak „ciemny” można było zastąpić „niejasnym” albo „jasny” „nieciemnym” wedle uznania twórców tego języka.

Drugą cechą szczególną gramatyki nowomowy było maksymalne uproszczenie reguł tworzenia, porządkowania i odmiany części mowy. Oprócz kilku wymienionych poniżej wyjątków każda z nich podlegała tym samym zasadom. Wszystkie czasowniki zaliczono do jednej grupy koniugacyjnej, usuwając przy okazji czas przyszły złożony. Liczbę mnogą rzeczowników tworzono przez dodanie końcówek: „-i” lub „-y” bez zmiany tematu. Wskutek tego rzeczowniki „człowiek”, „wół”, „zbiór” miały w liczbie mnogiej formy „człowieki”, „wóły”, „zbióry”. Przymiotniki stopniowano

w sposób regularny, w stopniu wyższym dodając do tematu fleksyjnego przyrostek „-szy”, a w najwyższym do stopnia wyższego przedrostek „-naj” („dobry”, „dobrszy”, „najdobrszy”). Stopniowanie opisowe i nieregularne zniesiono.

Jedynymi klasami słów, które wciąż wolno było odmieniać nieregularnie, pozostały zaimki osobowe, względne i wskazujące oraz czasowniki posiłkowe. Zachowały one dawne formy, usunięto jedynie jako niepotrzebną formę „komu”. Występowały również pewne nieregularności w słowotwórstwie, wynikające z potrzeby szybkiej i łatwej wymowy. Wyraz, który był trudny do wymówienia albo mógł być źle zrozumiany, uznawano tym samym za nieodpowiedni, dlatego niekiedy dla ułatwienia wymowy wstawiano dodatkowe zgłoski albo zachowywano dawne słowo. Ale odnosiło się to głównie do słownika B. Dlaczego do łatwości wymowy przykładano tak wielką wagę, stanie się jasne w dalszej części niniejszego szkicu.

Słownik B. Ten zbiór składał się z terminów utworzonych specjalnie dla celów politycznych, to znaczy takich, które nie tylko w każdym wypadku były nacechowane politycznie, ale miały też narzucać używającym ich osobom pożądane przez Partię nastawienie. Trudno było używać ich poprawnie bez pełnego zrozumienia zasad angsocu. Niektóre można było przełożyć na staromowę, a nawet na słowa ze zbioru A, ale zazwyczaj wymagało to długiej parafrazy i zawsze wiązało się z utratą pewnych odcieni znaczeniowych. Wyrazy ze słownika B były czymś w rodzaju werbalnej stenografii i często w kilku zaledwie sylabach upychano mnóstwo idei, przy tym czyniono to bardziej precyzyjnie i silniej wpływając na słuchaczy niż za pomocą słów z jakiegokolwiek języka naturalnego.

Słownik B zawierał wyłącznie wyrazy złożone[2]. Każdy składał się z dwóch lub więcej słów lub części słów, spojonych w łatwą do wymówienia całość. Taki amalgamat był zawsze formą rzeczownikowo-czasownikową, odmienianą według ogólnie obowiązujących reguł, którą można było przekształcać w inne części mowy. Weźmy na przykład termin „dobro-

myśl”, który oznaczał z grubsza „ortodoksję” albo — po dodaniu końcówki czasownikowej — „myśleć ortodoksyjnie”. Jego pochodne to: imiesłów czynny „dobromyślący”, przymiotnik „dobromyślny”, przysłówek „dobromyślnie” oraz rzeczownik „dobromyśliciel”.

Hasła ze słownika B tworzono bez żadnego planu, mając w pogardzie zasady etymologii. Można je było budować ze słów, które były różnymi częściami mowy, ustawiać w dowolnym szyku i zniekształcać w dowolny sposób, byleby ułatwić ich wymowę, nie zacierając przy tym źródeł pochodzenia ich elementów. Dla przykładu w słowie „zbrodniomyśl” („myślozbrodnia”) myśl postawiono na drugim miejscu, natomiast w terminie „myślopol” (Policja Myśli) na pierwszym, przy czym słowo policja pozbawiono drugiej sylaby. Ponieważ przy tworzeniu terminów ze słownika B trudniej było zapewnić łatwe do wymówienia zestawienie głosek, znalazło się w nim więcej form nieregularnych niż w słowniku A. Na przykład przymiotnikami pochodzącymi od nazw „Minprawd”, „Minpok” i „Minmił” były, odpowiednio, „minprawny”, „minpokojowy” i „minmiły” tylko dlatego, że końcówki „-minprawdny”, „-minpokny” i „-minmiłny” brzmiały niezgrabnie i były dość trudne do wymówienia. Jednak w zasadzie do wszystkich słów ze zbioru B można było dodawać przyrostki według takich samych reguł jak w słowniku A.

Niektóre wyrazy ze słownika B miały bardzo wysublimowane znaczenia, niezrozumiałe dla kogoś, kto nie opanował w pełni języka nowomowy. Weźmy na przykład takie oto typowe zdanie z artykułu wstępnego w „Timesie”: „Staromyśliciele nietrzewnoczują angsoc”. W staromowie najkrócej dałoby się to wyrazić tak: „Ci, których poglądy ukształtowały się przed Rewolucją, nie są zdolni w pełni zrozumieć zasad angielskiego socjalizmu, gdyż nie podchodzą do niego z entuzjazmem”. Ale nie jest to przekład dokładny. Przede wszystkim po to, by w pełni pojąć sens cytowanego tu zdania, trzeba mieć jasny obraz tego, co znaczy „angsoc”. W dodatku tylko osoba całkowicie przesiąknięta ideologią angsocu mogła w pełni docenić siłę oddziaływania słowa „trzewnoczuć”, które oznaczało trudną dziś do zrozumienia ślepą, żarliwą akceptację, czy słowa „staromyśliciel”,

nierozerwalnie związanego z niegodziwością i dekadencją. Jednak pewne słowa nowomowy, jednym z których było właśnie „staromyśliciel”, odgrywały szczególną rolę, polegającą nie tyle na nadawaniu, ile na niszczeniu znaczeń. Zakres znaczeniowy tego rodzaju słów, z konieczności nielicznych, rozszerzano tak bardzo, że na koniec obejmował on sens całego szeregu innych, które mogły wówczas pójść w niepamięć, bo znajdowały dostateczne odzwierciedlenie w jednym ogólnym terminie. Największym wyzwaniem dla autorów *Słownika nowomowy* nie było wymyślanie nowych terminów, lecz dokładne ustalanie ich znaczenia, innymi słowy ustalanie, ile dawnych będzie można usunąć dzięki ich stworzeniu.

Jak widzieliśmy na przykładzie przymiotnika „wolny”, pewne słowa, które miały niegdyś heretyckie znaczenie, dla wygody zachowano, ale pozbawiono je niepożądanego sensu. Niezliczone inne, takie jak „honor”, „sprawiedliwość”, „moralność”, „internacjonalizm”, „demokracja”, „nauka” i „religia”, po prostu straciły rację bytu. Ukuto kilka obejmujących ich znaczenie ogólnikowych terminów, dzięki czemu pozbyto się ich. I tak, na przykład, znaczenia wszystkich słów związanych z pojęciami wolności i równości przyporządkowano słowu „myślozbrodnia”, wszystkich zaś, które odnosiły się do pojęć obiektywizmu i racjonalizmu, terminowi „staromyślenie”. Większa precyzja byłaby niebezpieczna. Od członka Partii wymagano podejścia podobnego do tego, jakie miał starożytny Hebrajczyk, który wiedział niewiele ponad to, że wszystkie pozostałe narody czczą „fałszywych bogów”. Nie musiał wiedzieć, że ci inni bogowie nazywają się Baal, Ozyrys, Moloch, Asztarte i tak dalej; prawdopodobnie im mniej o nich wiedział, tym bardziej był ortodoksyjny. Wiedział, że istnieje Jahwe, i znał jego przykazania, które przecież wyraźnie mówiły, że bogowie o innych imionach czy cechach są fałszywymi bogami. W nieco zbliżony do tego sposób członek Partii wiedział, co składa się na właściwe zachowanie, i miał bardzo mgliste pojęcie o tym, jakie są możliwe odstępstwa od tej normy. Na przykład jego życie seksualne w całości regulowały dwa słowa nowomowy: „seksozbrodnia” (niemoralność seksualna) i „dobroseks” (czystość seksualna). Pierwszym z tych terminów określano wszelkie występki

seksualne — cudzołóstwo, promiskuityzm, homoseksualizm i inne dewiacje oraz normalne stosunki małżeńskie uprawiane dla przyjemności. Nie było potrzeby sporządzenia ich listy, ponieważ wszystkie były jednakowo naganne i w zasadzie zagrożone karą śmierci. W słowniku C, który składał się z terminów naukowych i technicznych, mogła zaistnieć konieczność nadania specjalistycznych nazw pewnym zboczeniom seksualnym, ale przeciętnemu obywatelowi ich znajomość nie była do niczego potrzebna. Wiedział, co oznacza „dobroseks” — normalny stosunek seksualny między mężem i żoną odbywany wyłącznie w celu spłodzenia potomstwa, bez odczuwania przez kobietę fizycznej przyjemności; wszelkie inne były „seksozbrodnią”. W nowomowie rzadko można było rozwinąć obrazoburczą myśl, bo nawet jeśli komuś przyszła taka do głowy, mógł mieć jedynie niejasne przeczucie, że stoi na progu herezji — nie istniały słowa niezbędne do jego przekroczenia.

Żadne słowo ze zbioru B nie było ideologicznie neutralne. Wiele z nich stanowiły eufemizmy. Takie słowa jak na przykład „przyjemnobóz” (obóz pracy przymusowej) czy „Minpok” (Ministerstwo Pokoju, tzn. Ministerstwo Wojny) były niemal dokładnym przeciwieństwem tego, co pozornie znaczyły. Z drugiej strony niektóre inne świadczyły o dobrym zrozumieniu i szczerze pogardliwym stosunku do prawdziwego charakteru ustroju społecznego Oceanii. Jednym z takich słów było „prolżarło”, oznaczające tandetne rozrywki i fałszywe wiadomości, których Partia dostarczała masom. Z kolei inne słowa były dwuznaczne i kojarzyły się z „dobrem”, gdy odnosiły się do Partii, a ze „złem”, gdy do wroga. Ponadto było wiele takich, które na pierwszy rzut oka zdawały się zwykłymi skrótowcami, a ich ideologiczne zabarwienie nie wynikało z ich znaczenia, lecz z budowy.

W miarę możliwości starano się wprowadzać do zbioru B wszystkie słowa, które miały lub mogły mieć jakiekolwiek znaczenie polityczne. Nazwy wszystkich organizacji, ugrupowań, doktryn, krajów, instytucji i budynków publicznych przykrawano i nadawano im znajomo brzmiącą postać, to jest sprowadzano je do jednego, łatwego do wymówienia słowa o jak najmniejszej liczbie sylab, które zachowywałoby jego pochodzenie.

Na przykład Departament Archiwów w Ministerstwie Prawdy, w którym pracował Winston Smith, nazwano „Archdepem”, Departament Literatury „Litdepem”, Departament Teleprogramów „Teledepem” i tak dalej. Nie robiono tego wyłącznie dla oszczędzania czasu. Już w pierwszych dziesięcioleciach skondensowane wyrazy i zwroty stały się jedną z charakterystycznych cech języka politycznego; tendencja do używania tego rodzaju skrótowców najsilniej zaznaczała się w państwach i organizacjach totalitarnych. Ich przykładami są „Nazi”, „Gestapo”, „Komintern”, „Inprekor”, „Agitprop”. Początkowo zasadę tę stosowano niejako intuicyjnie, ale w nowomowie stała się ona świadomą i celową praktyką. Dostrzeżono bowiem, że skracając w ten sposób nazwę, zawęża się i subtelnie zmienia jej znaczenie, gdyż nie dopuszcza to do powstania większości skojarzeń, które wywoływałaby ona w pełnym brzmieniu. Na przykład nazwa „Międzynarodówka Komunistyczna” przywołuje obraz powszechnego braterstwa ludzi, czerwonych sztandarów, barykad, Karola Marksa i Komuny Paryskiej. Natomiast słowo „Komintern” przywodzi na myśl tylko zwartą organizację i dobrze zdefiniowaną doktrynę. Odnosi się ono do czegoś niemal tak samo łatwo rozpoznawalnego i o tak samo ograniczonym zastosowaniu jak krzesło czy stół. Słowo „Komintern” można wymówić prawie bezmyślnie, natomiast „Międzynarodówka Komunistyczna” jest określeniem, które zmusza do choćby chwilowego zastanowienia się nad jego znaczeniem. Na tej samej zasadzie słowa takie jak „Minprawd” wywołują mniej skojarzeń niż „Ministerstwo Prawdy”, a przy tym łatwiej jest nad nimi zapanować. To tłumaczy, skąd wziął się zwyczaj skracania określeń, gdzie się tylko dało, i dlaczego przywiązywano tak wielką, niemal przesadną, wagę do tego, by każde słowo było łatwe do wymówienia.

W nowomowie tylko o dokładne znaczenie słów dbano bardziej niż o ich brzmienie. Kiedy wydawało się to konieczne, zawsze poświęcano dla niego poprawność gramatyczną. I słusznie, ponieważ — przede wszystkim dla celów politycznych — potrzebne były krótkie, zwięzłe słowa o niebudzącym wątpliwości sensie, które można było wypowiedzieć szybko i które budziły w umyśle mówiącego jak najmniej skojarzeń. Dzięki temu, że były

do siebie tak bardzo podobne, słowa ze zbioru B nawet zyskiwały na sile. Niemal bez wyjątku słowa te — „dobromyśl”, „Minpok”, „prolżarło”, „seksozbrodnia”, „przyjemnobóz”, „angsoc”, „trzewnoczuć”, „myślopol” i niezliczone inne — składały się z dwóch lub trzech sylab, akcent zaś kładziono na przedostatniej sylabie. Posługiwanie się nimi sprawiało wrażenie trajkotu, gadaniny zarazem skandowanej i monotonnej. I do tego właśnie dążono, chciano jak najbardziej uniezależnić mowę, zwłaszcza na tematy nieobojętne ideologicznie, od świadomości. W życiu codziennym niewątpliwie trzeba się było czasami zastanowić, nim się coś powiedziało, ale członek Partii wezwany do wygłoszenia oceny politycznej czy moralnej powinien wyrzucać z siebie właściwe opinie równie automatycznie jak karabin maszynowy siejący kulami. Przygotowywało go do tego odpowiednie przeszkolenie, język był niemal niezawodnym instrumentem, a budowa słów, z ich szorstkim brzmieniem i zgodną z duchem angsocu rozmyślną brzydotą, jeszcze bardziej ułatwiała mu to zadanie.

Podobnie to, że miał bardzo mało słów do wyboru. W porównaniu z naszym słownictwo nowomowy było ubogie, a w dodatku stale wymyślano nowe sposoby jego jeszcze większej redukcji. W istocie nowomowa różniła się od większości innych języków tym, że zasób jej słów, zamiast się powiększać, z roku na rok się kurczył. Każde jego zmniejszenie było zyskiem, gdyż im węższy zakres wyboru możliwych sformułowań, tym mniejsza pokusa myślenia. Żywiono nadzieję, że w końcu uda się doprowadzić do tego, by artykułowane dźwięki wydobywały się z krtani bez udziału ośrodków mózgowych. Przyznawano się do tego otwarcie, o czym świadczy słowo „kaczamowa” oznaczające kwakanie jak kaczka. Jak wiele innych słów ze zbioru B, „kaczamowa” miała podwójne znaczenie. Jeśli wykwakiwane opinie były zgodne z partyjną ortodoksją, słowo to oznaczało pochwałę, gdy więc w „Timesie” nazwano jednego z partyjnych prelegentów „dwakroćplusdobrym kaczomówcą”, był to wyraz najwyższego uznania.

Słownik C. Zbiór ten był uzupełnieniem dwóch omówionych wcześniej i zawierał wyłącznie terminy naukowe i techniczne. Przypominały one te, które są w użyciu obecnie, i były tworzone od tych samych rdzeni, ale — podobnie jak we wcześniej omówionych zbiorach — dbano o to, aby były sztywno zdefiniowane i nie miały niepożądanych znaczeń ubocznych. Podlegały tym samym regułom gramatycznym co słowa z pozostałych dwóch zbiorów. Bardzo niewiele z nich pojawiało się zarówno w mowie potocznej, jak i w języku polityki. Każdy naukowiec i technik mógł znaleźć wszystkie potrzebne mu słowa w dziale poświęconym jego specjalności, ale rzadko znał więcej niż garstkę terminów z innych dziedzin. Zaledwie kilka było wspólnych dla wszystkich działów i nie było ani jednego słowa, które odnosiłoby się do nauki jako pewnego podejścia do świata czy metody myślenia o nim bez względu na jej gałąź. Co więcej, nie istniało żadne słowo, które byłoby odpowiednikiem naszego terminu „nauka”, ponieważ wszelkie znaczenia, jakie mogłoby ono ewentualnie mieć, zawierały się w wystarczającej mierze w słowie „angsoc”.

Z powyższego opisu wynika, że w nowomowie wyrażenie jakiejkolwiek nieortodoksyjnej opinii było praktycznie niemożliwe. Oczywiście można było wygłaszać herezje, ale tak prymitywnie sformułowane, że były czymś w rodzaju bluźnierstw. Można było na przykład powiedzieć: „Wielki Brat jest niedobry”, ale tego stwierdzenia, które dla ortodoksa byłoby ewidentnym absurdem, nie można by było uzasadnić żadnym rozsądnym argumentem, gdyż brakowało potrzebnych do tego słów. Poglądy wrogie wobec angsocu mogły się pojawiać jedynie w formie mglistych idei, którym nie można było nadać kształtu werbalnego i których nie sposób było nazwać inaczej niż terminami o tak szerokim zakresie znaczeniowym, że wrzucano je do jednego worka i potępiano hurtem, bez ich definiowania. W istocie nowomowy można było użyć do celów nieortodoksyjnych, tylko przekładając niektóre z jej słów z powrotem na staromowę, co było przestępstwem. Można było na przykład zbudować w nowomowie zdanie „Wszystkie człowieki są równe”, ale miałoby ono taki sam sens jak zdanie staromowy

„Wszyscy ludzie są rudzi”. Nie byłoby błędne gramatycznie, lecz wyrażałoby oczywistą nieprawdę, a mianowicie to, że wszyscy ludzie są tego samego wzrostu, wagi czy siły. Nie istniało już bowiem pojęcie równości politycznej, gdyż słowo „równy” zostało pozbawione tego ubocznego znaczenia. W roku 1984, gdy staromowa była wciąż powszechnym narzędziem komunikacji, istniało teoretycznie niebezpieczeństwo, że ten i ów, używając słów nowomowy, może pamiętać ich pierwotne znaczenia. W praktyce osobie dobrze wyćwiczonej w dwumyśleniu uniknięcie tego zagrożenia nie sprawiało dużej trudności, a za parę pokoleń zniknęłoby nawet ono. Byłoby to po prostu niemożliwe, ponieważ ktoś wychowany w otoczeniu, w którym jedynym językiem jest nowomowa, nie wiedziałby, że przymiotnik „równy” odnosił się niegdyś także do równości politycznej, a „wolny” do wolności myślenia, tak jak osoba, która nie ma pojęcia o szachach, nie wie, że „królowa” i „wieża” oprócz znaczeń głównych mają też uboczne, które odnoszą się do figur w tej grze. Byłoby wiele zbrodni i błędów, których nie mógłby popełnić po prostu dlatego, że nie miałyby nazw, a więc byłyby dla niego niewyobrażalne. Można było przewidzieć, że z upływem czasu cechy szczególne nowomowy będą się coraz bardziej uwidaczniały — będzie w niej coraz mniej słów, ich znaczenia będą coraz ściślejsze, a możliwość posłużenia się nią w niewłaściwym celu będzie stale malała.

Kiedy nowomowa zastąpiłaby raz na zawsze staromowę, zostałoby przerwane ostatnie ogniwo łączące ją z przeszłością. Historia byłaby już napisana na nowo, ale tu i ówdzie przetrwałyby niedokładnie ocenzurowane fragmenty dawnej literatury i dopóki ktoś zachowałby znajomość staromowy, mógłby je przeczytać. W dalszej przyszłości nawet te fragmenty, jeśliby jakimś cudem ocalały, stałyby się niezrozumiałe i nieprzetłumaczalne. Nie można bowiem było przełożyć ze staromowy na nowomowę niczego, co nie odnosiło się do jakiejś operacji technicznej czy bardzo prostej codziennej czynności albo nie było już ortodoksyjne (w nowomowie „dobromyślne”). W praktyce oznaczało to, że nie można było przetłumaczyć w całości żadnej książki napisanej przed rokiem 1960. Przedrewolucyjną literaturę można było poddać tylko przekładowi ideologicznemu, to

znaczy takiemu, który zmieniał nie tylko jej język, ale również treść. Weźmy na przykład dobrze znany ustęp Deklaracji Niepodległości:

> Uważamy za oczywiste te oto prawdy: że ludzie zostali stworzeni równymi, że Stwórca obdarzył ich pewnymi niezbywalnymi prawami, że do tych praw należą prawo do życia, wolności i poszukiwania szczęścia, że w celu zapewnienia sobie tych praw ludzie ustanowią rządy, których władza będzie wypływać z woli rządzonych, że ilekroć jakakolwiek forma rządu stanie się sprzeczna z tym celem, naród ma prawo ją zmienić lub obalić i ustanowić nowy rząd […].

Przełożenie tego na nowomowę z zachowaniem sensu oryginału byłoby zupełnie niemożliwe. Najwierniej można by oddać całość tego fragmentu jednym słowem: „myślozbrodnia”. Pełny mógłby być tylko przekład ideologiczny, w którym słowa Jeffersona zamieniłyby się w panegiryk na cześć władzy absolutnej.

W ten właśnie sposób przekształcano już dużą część literatury. Ze względów prestiżowych warto było zachować pamięć o pewnych postaciach historycznych, przerabiając ich osiągnięcia tak, aby były zgodne z filozofią angsocu. Dlatego utwory różnych pisarzy, takich jak Szekspir, Milton, Swift, Byron i kilku innych, były już w trakcie tłumaczenia; po wykonaniu tego zadania ich oryginalne dzieła miały zostać zniszczone wraz z całą resztą dawnej literatury, która jeszcze przetrwała. Praca nad tymi przekładami była trudna i powolna, więc nie sądzono, że zakończy się nie wcześniej niż w pierwszej albo nawet drugiej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku. Takiej samej przeróbce trzeba było poddać mnóstwo literatury fachowej — niezbędne podręczniki techniczne i tym podobne teksty. Właśnie przede wszystkim dlatego, by dać czas na sporządzenie wstępnych wersji przekładów, datę ostatecznego przejścia na nowomowę wyznaczono dopiero na rok 2050.

1. Jest to mój wtręt, bez którego przekład „Aneksu” na język polski byłby niespójny, ponieważ — ujmując to w skrócie — (1) w angielskim niektóre rzeczowniki w pisowni, a czasami również w wymowie, mają identyczną postać jak czasowniki, na przykład podane tu przez Orwella słowo *cut* odpowiada (między innymi) zarówno polskiemu rzeczownikowi „cięcie”, jak i czasownikowi „ciąć”, (2) cechą bezokolicznika jest partykuła bezokolicznikowa (*infinitive particle*) *to*, a w słownikach umieszcza się tak zwany bezokolicznik bazowy (*bare infinitive*), bez *to*, wskutek czego wizualnie nie różni się on od rzeczownika, podczas gdy w języku polskim jest to końcówka „-ć” lub „-c”, którą trzeba albo dodać do „formy rzeczownikowo-czasownikowej” czy rzeczowniko-czasownika (*noun-verb*), jak nazywa to Autor, albo opuścić, co pozbawiałoby ją podobieństwa do czasownika. Mogę podać tylko jedną zbliżoną do tego parę w języku polskim: rzeczownik „piec” i czasownik „piec” (piec coś w urządzeniu o nazwie piec). Nic więcej nie przychodzi mi do głowy (przyp. tłum.). [wróć]
2. Oczywiście wyrazy złożone znajdowały się też w słowniku A, ale były tylko wygodnymi skrótowcami i nie miały żadnego zabarwienia ideologicznego. [wróć]

W serii „Wehikuł czasu” ukazały się:

Daniel Keyes

KWIATY DLA ALGERNONA

Arthur C. Clarke

KONIEC DZIECIŃSTWA

Roger Zelazny

ALEJA POTĘPIENIA

Robert A. Heinlein

HIOB. KOMEDIA SPRAWIEDLIWOŚCI

Brian Aldiss

NON STOP

Harry Harrison

PRZESTRZENI! PRZESTRZENI!

Brian Aldiss

CIEPLARNIA

Joe Haldeman

WIECZNA WOJNA

Robert A. Heinlein

DRZWI DO LATA

Alfred Bester

GWIAZDY MOIM PRZEZNACZENIEM

Kate Wilhelm

GDZIE DAWNIEJ ŚPIEWAŁ PTAK

Jewgienij Zamiatin

MY

Alfred Bester

CZŁOWIEK DO PRZERÓBKI

Nevil Shute

OSTATNI BRZEG

James Blish

KWESTIA SUMIENIA

Frank Herbert

RÓJ HELLSTROMA

Joe Haldeman

WIECZNA WOLNOŚĆ

Theodore Sturgeon

WIĘCEJ NIŻ CZŁOWIEK

Eric Frank Russell

OSA

George R. Stewart

ZIEMIA TRWA

Philip K. Dick

OPOWIADANIA NAJLEPSZE

Robert Silverberg

UMIERAJĄC, ŻYJEMY

George Orwell

ROK 1984

W przygotowaniu:

Arthur C. Clarke

2001: Odyseja kosmiczna

Arthur C. Clarke

2010: Odyseja kosmiczna

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
CZĘŚĆ I
I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
CZĘŚĆ II
I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX
X
CZĘŚĆ III
I
II
III
IV
V
VI
Zasady nowomowy
Seria "Wehikuł czasu"

Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *Nineteen Eighty-Four*

Copyright © for this Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2022

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor serii: Sławomir Folkman

Redaktor: Grzegorz Dziamski

Projekt i opracowanie graficzne serii i okładki: Sławomir Folkman

Ilustracja na okładce: Igor Morski

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Rok 1984*, wyd. I w tym przekładzie, Poznań 2022)

ISBN 978-83-8188-907-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61 867 81 40, 61 867 47 08
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**